

Krawedz żelaza t.1

Miroslav Zamboch

Książka II z Koniasz



calibre 0.9.27

Miroslav Zamboch
Koniasz III Krawedz Zelaza 1

**TOM I
Z JĘZYKA CZESKIEGO
PRZEŁOŻYŁA**

Anna Jakubowska
ilustracje Dominik Broniek
Copyright © by Miroslav amboch,2007
Copyright © for this edition by
Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin

2007

Copyright © for translation by Anna
Jakubowska,2007
Wydanie I
ISBN 978-83-60505-70-0

KONIASZ I JEGO ŚWIAT

Era:

Dokładne datowanie początków starej ery jest trudne do określenia i różni się w dawnych źródłach, ale panuje powszechna zgoda, że starą erę rozpoczyna Wielka Wojna hiperмага Tekuarda Maatena przeciwko pozostałym klanom wtajemniczonych na Kontynencie.

Ze względu na niejasności w datowaniu niektórych wydarzeń historycznych i okres chaosu, trwający w przybliżeniu stulecie, przedstawione ery będą opierać się na „Wielkiej historii cywilizacji” spisanej przez Verola Munga. Mimo że z pewnymi hipotezami autora – na przykład, że Tekuard Maaten żył jeszcze kilkadziesiąt lat po skończeniu Wielkiej Wojny, że przez cały czas trwania starej ery istniały tajne klany czarowników oraz z wieloma innymi podobnymi spekulacjami – nie możemy się zgodzić, uważa się, że praca Munga nad sprawdzaniem faktów jest, w porównaniu z innymi nowożytnymi autorami, najbardziej dokładna.

Koniasz:

Prawdziwe imię: [ocenzurowano]; urodzony 355 s.e.

Jedyny syn pana [ocenzurowano] i pani [ocenzurowano]. W wieku dwudziestu lat po sprzeczce z ojcem uciekł z domu i wyruszył w podróż. Używał wielu przydomków, najczęściej ukrywał się pod imieniem Koniasz; to imię z czasem stało się synonimem człowieka w drodze, który chce zataić swoją prawdziwą tożsamość.

Poniżej przedstawiam niepełny spis epizodów z życia Koniasza, jaki został opublikowany przez nieznaną osobę w 23 roku nowej ery. Wedle analizy są to zapiski

własne Koniasza, stanowiące część jego spuścizny. Od prawowitych spadkobierców uzyskałem przyrzeczenie, że kiedy już przestaną być ważne osobiste i polityczne powody, będę miał możliwość wglądu do pozostałych tekstów, które zostawił po sobie ten łowca przygód, podróżnik i katalizator działań społecznych. Na razie, mam nadzieję, czytelnicy wybaczą, jedynie niepełna historia z nie tak odległych czasów, kiedy świat był jeszcze wielki, a na wielu miejscach mapy mogliśmy przeczytać napis Hic sunt leones.

Na samo dno

Jadłem zupę i zagryzałem chlebem. Pieczywo było twarde, na wierzchu spleśniałe, ale na lepsze jedzenie nie mogłem sobie pozwolić. Facet przy stole obok nagle zaklął, z hurgotem odsunął krzesło i wstał. A ja już trzymałem w rękach strzałkę do rzucania, jeszcze przed chwilą ukrytą w futerale po wewnętrznej stronie lewego przedramienia. Zrobiłem to odruchowo i gdyby mężczyzna uczynił choć jeden krok w moim kierunku, zabiłbym go na miejscu. On jednak skierował się na zewnątrz. Schowałem broń i znów złapałem łyżkę.

To trwało już zbyt długo. Ciągłe napięcie i świadomość niebezpieczeństwa zmieniły mnie w zaszczute zwierzę, w zagonione w kąt stworzenie, które najpierw się broni, a dopiero potem myśli.

Po dwóch tygodniach w dziczy zatłoczona i cuchnąca knajpa wydawała mi się szczytem luksusu. Gospoda znajdowała się na samym skraju miasta i z całą pewnością przychodzili tutaj ludzie, którym nie zależało na obecności cesarskich szpicli lub żołnierzy. Płaszcz położyłem na ławie obok siebie i w końcu poczułem, że powoli wysycha na mnie ubranie. Długie nogi wyciągnąłem jak najbliżej kominka, żeby porządnie się ogrzać. Siorbałem resztki letniej już zupy i z ukosa obserwowałem obecnych. Złodzieje, kieszonkowcy, szmuglerzy, ludzie wynajmowani do bójek. Zauważyłem, że małego chłopaka, kulącego się przy oknie, zainteresowało moje okrycie. Nie miałem w kieszeniach nic cennego prócz pięciu srebrnych, ale nie chciałem stracić płaszcza, ponieważ był nieprzemakalny. Ostatnia rzecz, jaka mi została z domu.

–Życzy sobie pan coś jeszcze? – Przy moim stole zatrzymał się oberżysta.

–Jeszcze raz to samo – odpowiedziałem.

Odszedł, pomrukując. Niedawno jeszcze zwracano się do mnie „młodzieńcze” albo „młody człowieku”. Teraz ludzie unikali patrzenia na mnie i czuli odrazę nawet podczas rozmowy. Może to wina świeżych blizn na twarzy, może źle zrośniętego złamanego wcześniej nosa.

Nigdy nie byłem zbyt przystojny, wręcz przeciwnie, ale dało się przeżyć. Kiedy tydzień temu ujrzałem swoje odbicie w wodzie, sam się zdziwiłem, jak źle wyglądam. Źle – to dobre słowo. Już od dwóch lat byłem zbiegiem. Dwa lata ukrywałem się, uciekałem, broniłem się i zabijałem. Nauczyłem się przebiegłości, ostrożności, nikomu nie wierzyłem. I to wszystko wyryło się w rysach mojej twarzy. Puściłem kromkę chleba i chwyciłem za przedramię chłopaka, który zza stołu próbował ukraść płaszcz.

–Wiesz, co robią ze złodziejami?

Obserwował mnie z uwagą, w jego oczach migotał strach. Trzymałem go mocno i jeszcze wykręcałem rękę w nadgarstku. W Vandecie widziałem, jak podobny mały hultaj brzydko dźgnął jednego kupca.

–Nie wiem. – Pokręcił głową.

–Obcinają im ręce.

Puściłem chłopaka. Odwrócił się i jak błyskawica wybiegł z gospody.

Oberżysta postawił przede mną kolejny talerz zupy. Nie mruknął o pieniądzach, a i ja o nich nie wspomniałem. Czulem się zmęczony. Nie fizycznie, ale psychicznie. Od czasu, kiedy uciekłem z domu, zabiłem dwudziestu jeden mężczyzn. Większość z nich znałem osobiście. Byli to członkowie elitarnej jednostki ojca, doskonali żołnierze, absolutnie oddani swemu panu. Tak oddani, że nie wahali się przed prześladowaniem jego syna. Dziś już wiedziałem, że wtedy

popelnilem blad. Powiniennem go zabic. Powiniennem zabic swojego ojca.

–Moge sie przysiazc?

Podnioslem wzrok. Przy moim stole objawil sie facet, mowil do mnie a nawet przyniosl ze soba krzeslo. Prawdopodobnie traktowal swoje pytanie powaznie. Byl drobny, niski i szczuply. Twarz mial niezwykle bladą, zimne oczy o niebieskiej barwie osadzone blisko nosa. Płaszcz lezal na nim doskonale, w material, mimo iz na pierwszy rzut oka wydawal sie delikatny i leciutki, nie wsiakly krople deszczu.

Wzruszyłem ramionami.

–Pewnie.

Bez pośpiechu przysunął krzesło do stołu i usiadł. Nagle wokół nas zrobiło się pusto. Gość nie był stąd, ale go znali.

–Chce pan coś do picia?

Gdyby przyszedł wcześniej, zamówiłbym porządne danie, lecz po dwóch litrach zupy i bochenku spleśniałego chleba nie miałem już miejsca w żołądku.

–Grzane wino.

Wzrokiem przywołał oberżystę i zamówił cały dzban. Upilem. Wino pachniało cynamonem i goździkami, cierpkość mieszała się ze słodyczą. Czulem, jak gorący płyn przyjemnie splywa po przetyku. Idealny napój w zimnym i deszczowym klimacie. Nie rozumiałem, jak ludzie mogą pić miejscowe liche piwo. Milczałem i czekałem, aż gość sam zacznie mówić.

–Miałbym dla pana pracę. – Przeszedł od razu do rzeczy. Uniosłem brwi:

–Szukam pracy?

Potrzebowałem pieniędzy, dużo pieniędzy, ponieważ kiedy człowiek ukrywa się i ucieka, musi sobie drogę torować złotem.

–To bardzo dobrze płatna praca – kontynuował.

–Jak bardzo dobrze?

–Pięćset złotych zaliczki, pięćset złotych potem. Zrozumiałem, do czego zmierza.

–Nie zabijam ludzi – powiedziałem, a w duchu dodałem: za pieniądze. Spochmurniał, gładkie czoło pokryły zmarszczki, oczy mężczyzny zmieniły się w dwa kawałki lodu.

–Wygląda pan na profesjonalistę.

Nie był przyzwyczajony, żeby ktoś sprzeciwiał się jego życzeniom czy rozkazom.

–Czasem wrażenie jest mylne.

Zamyślił się. Widziałem, jak w głowie mu się kotłuje, jak decyduje, co będzie dla niego najlepsze.

–Zatrzyma się pan tu na dłużej?

–Nie wiem. Chyba przejdę się w dół rzeki do przystani. Tam jest taniej, a może dam się nająć na jakiś statek.

Położył na stole wypełnioną w połowie sakiewkę.

–Zostawię panu trochę pieniędzy, żeby mógł pan odpocząć. Oczywiście zupełnie niezobowiązująco. Gdyby jednak zmienił pan zdanie, proszę powiedzieć oberżysty, że chce pan rozmawiać z Eduardem. Zajmie się resztą. – Nawet nie tknął swojego kielicha i odszedł.

W sakiewce było dziesięć złotych. Jeszcze rok temu podobna kwota nic by dla mnie nie

znaczyła. Teraz zamiast dziesięciu błyszczących monet wyobraziłem sobie kąpiel, pokój, czyste łóżko i jechanie na długą drogę.

–Nie jest pan zainteresowany?

Stała trochę bojaźliwie kawalek od stołu. Z pewnością nie widziała dobrze mojej twarzy, inaczej by mnie nie zaczepiła. Nie mogła być dużo starsza ode mnie, ale rzemiosło dziwki jest ciężkie i szybko się przy tym starzeje. Miała białą spódnicę z brudną lamówką, wysoki gorset unosił duże piersi dziewczyny aż do ramion. Musiała dopiero co przyjść, ponieważ w farbowanych kręconych włosach błyszczały krople wody. Pełne wargi nie potrzebowały szminki, mimo to podkreśliła je tanią nieprzyzwoitą czerwienią.

–Ile? – spytałem. Zawahała się.

–Dwa złote.

Wiedziałem, że ponad dwukrotnie zawyżyła normalną takse ulicznych dziwek, ale nie przeszkadzało mi to. Nie chciałem dzisiaj być sam.

–Na całą noc. Za trzy złote. – Podbiłem ofertę, zanim zdążyła powiedzieć „nie”.

* * *

Wyszliśmy z gospody. Wciąż padało, niebo było pokryte ólowianą zasłoną, w powietrzu unosiła się wszechobecna, przenikająca do szpiku kości wilgoć. Pod nogami chlupotało nam błoto. Dziewczyna podciągnęła spódnicę, żeby jej nie zabrudzić. Zauważyłem, że ma na nogach porządne buty z cholewami. Tutejszy klimat nie sprzyjał noszeniu trzewiczków.–Mam klitkę przy ulicy obok, zaprowadzę pana – powiedziała z wahaniem i wzięła mnie pod rękę.

Widziałem jej wzrastającą niepewność i strach. Chyba nie zachowywałem się jak typowy klient.

–Zakwaterujemy się gdzieś na mieście.

Nie protestowała.

U ulicznego sprzedawcy kupiłem prosty parasol z nawoskowanego papieru i podałem dziewczynie. Byłoby mi nieprzyjemnie, gdyby całą drogę mokła. Pewnych resztek dobrego wychowania człowiek pozbywa się na ostatku.

Znalazłem pensjonat w kupieckiej dzielnicy, gdzie się zameldowaliśmy. Facet za ladą, co prawda, przyglądał się nam podejrzliwie, ale kiedy spojrzałem wrogo, bez słowa dał mi klucz od pokoju.

–Niech pan spłonie w piekle – wycedziłem do niego, odchodząc.

* * *

Zanurzyłem się w gorącej wodzie. Nad powierzchnią unosiła się para, w wielkim ceramicznym piecu huczał ogień. Na suficie zbierała się woda i kapiała z powrotem do basenu. Miejscowi ludzie walczyli z zimnym klimatem najróżniejszymi sposobami, a kąpiele były ich największym osiągnięciem. Baseny napełniali gorącą wodą wypływającą gdzieś bezpośrednio z ziemi. Przylapałem się na tym, że rozmyślałem o tysiącu złotych. Te pieniądze bardzo by mi się przydały. Mógłbym sobie kupić miejsce na łodzi, wydostać się z Kontynentu, uciec z zasięgu władzy ojca. Może nawet wytargowałbym więcej... Przeszły mnie ciarki. Właśnie rozważałem zabójstwo za pieniądze. Dwa lata zmieniły mnie bardziej niż myślałem, śmierć stała się dla mnie czymś wprost naturalnym. A własne życie postrzegałem jako niejasne, odległe, pokryte szarym woalem. Odpędziłem nieprzyjemne myśli i oddałem się kojącemu dotykowi gorącej wody. Z

przyzwyczajenia sprawdziłem, gdzie mam broń – miecz i nóż leżały na krawędzi basenu niedaleko mojej prawej ręki. Dziewczyna przyszła zawinięta w lnianą tkaninę i szybko wśliznęła się do wody. Podsunąłem jej brzożową różgę, szczotkę i mydło.-Wydaje się panu śmieszne, że się wstydzę? – zapytała niepewnie.

–Nie.

Nie kłamałem. Uświadomiłem sobie, że cieszę się, iż byłem w łaźni pierwszy i nie musiałem pokazywać swego chudego, pokrytego bliznami ciała.

–Przyjechał pan z daleka?

Myła się i jednocześnie przyglądała mi się spod oka.

–Tak. Ktoś bardzo uparcie mnie śledzi, a ja staram się zatrzeć za sobą ślady.

–Jest pan wykształcony, prawda?

–Po czym to poznałaś?

–Mówi pan jak uczeni ludzie.

Uświadomiłem sobie, że przestałem używać miejscowego dialektu. Mam dobre ucho do języków i po dwóch, trzech dniach łatwo dostosowuję się do miejscowej gwary. Tylko czasem, kiedy jestem zmęczony, zapominam się.

–Studiowałem na uniwersytecie.

–A jak się pan tu znalazł?

Graliśmy w prastarą grę: kobieta, która słucha i mężczyzna, który mówi. Nie przeszkadzało mi to. A może rzeczywiście ją interesowałem?

–Jeden człowiek uwiódł dziewczynę, względem której miałem poważne plany, a ja próbowałem mu się przeciwstawić. Dlatego musiałem uciekać.

–Był silniejszy od pana?

–Coś w tym stylu.

* * *

Byłem dla niej dobry. Spała teraz w łóżku, na jakie nigdy nie mogła sobie pozwolić, wełniana kołdra ześliznęła się dziewczynie aż do pasa. Z obnażonymi piersiami i bez makijażu wyglądała dużo młodziej i bezbronne. Siedziałem na krześle, piłem wino i rozmyślałem. O przeszłości i przyszłości. Ojciec był typem człowieka odnoszącego sukcesy, któremu wszystko się udaje. Najlepszy żołnierz, świetny polityk, jeden z pierwszych wielmożów cesarstwa. Ale najlepiej radził sobie z kobietami. Nie miał zahamowań i kiedyś w jego skrzydle pałacu spotkałem nawet królową. Była dość późna godzina, więc wizyta z całą pewnością nie miała pretekstu politycznego. Kochał ryzyko, a strach przed tym, że wszystko się wyda, był dla ojca jak wisienka na torcie. Nie lubił mnie, wydawało mu się, że jestem jedynym dowodem jego niedoskonałości. On był przystojny, ja brzydki, on atletyczny i silny, ja wychudły i kościsty. On czarujący, wręcz dusza towarzystwa, ja poświęcałem się raczej książkom. On miał niesłabnące ambicje związane z handlem i mocarstwem, ja wołałem studiować albo incognito włóczyłem się między ludźmi. Łączyła nas jedna rzecz – zainteresowanie szermierką i walką. Czasem trenował mnie osobiście, by pokazać, jak marnym jestem zawodnikiem. Sprawił, że sam o sobie zacząłem tak myśleć. Dziewczęta kręciły się wokół mnie jak wokół każdego młodego, bogatego szlachcica, lecz dobrze zdawałem sobie sprawę, co jest przedmiotem ich zalotów, dlatego niezbyt się nimi interesowałem. Dopiero pewnego dnia, podczas jednej ze swoich wypraw na targowisko, gdzie przysłuchiwałem się, w jakich językach mówią przyjezdni i starałem się ich

uczyc, spotkałem dziewczynę, która zaciekała mnie od pierwszego wejrzenia. Nie wiedziała, kim jestem, a mimo to jej się podobałem. Ale ojciec już miał plany związane ze mną. Chciał mnie wykorzystać jak figurę na szachownicy mocarstwa i ożenić z właściwą kobietą. Wtedy po raz pierwszy sobie

uświadomił, że nie zdoła mną manipulować tak, jak innymi ludźmi, więc zdecydował się załatwić mnie inaczej. Uwiódł tę dziewczynę i postarał się, żebym ich razem przyłapał. Nie ocenił mnie właściwie. Dziś pewnie zareagowałbym inaczej, ale wtedy nie myślałem. Mimo że tysiące razy przegrałem w pojedynkach na treningach, mimo że tysiące razy leżałem na ziemi poniżony i zhańbiony, zaatakowałem ojca od razu w parku. Nie dałem mu szansy. Pamiętam strach w jego oczach, kiedy siedział w kałuży własnej krwi na ścieżce usypanej z białego żwiru, a kawałek dalej w kurzu wałały się jego ucho i kawałek nosa.

Po raz pierwszy w życiu przegrał. Już wtedy uświadomiłem sobie, że albo muszę go zabić, albo odejść. Uciekłem, bo nie przyszło mi do głowy, że będzie mnie prześladować tak długo. Podjąłem wtedy złą decyzję.

Dziwka zamruczała coś przez sen, odwróciła się na bok i naciągnęła kołdrę na ramiona. W ciągu ostatnich dwóch lat nie przeczytałem ani jednej książki, nie odwiedziłem żadnego miejsca, które byłoby interesujące, nie widziałem nic ładnego. Wciąż się ukrywałem i starałem zgubić prześladowców. Za każdym drzewem widziałem zabójców, w każdym cieniu szpiclów. Moja pierwsza poranna i ostatnia wieczorna myśl dotyczyła broni. Powoli, ale nieuchronnie zaczynałem wariować. Dopilem resztkę wina. Na zewnątrz zaczynało świtać. Siedziałem w obskurnym pokoju, piłem tanie wino, w moim łóżku spała uliczna prostytutka, a mimo to odbierałem tę sytuację jako coś najprzyjemniejszego i najładniejszego, co mnie ostatnimi czasy spotkało. Po cichu zacząłem się ubierać. Nie chciałem obudzić dziewczyny, nie chciałem rozmawiać. Noc, wino i moja długa samotność sprawiły, że czułem się z nią dobrze, bałem się, że przerwę ten czar trzeźwym porannym spotkaniem. Na nocnym stoliku zostawiłem sakiewkę, a w niej trzy złocisze.

Poszedłem do taniej stolówki po drugiej stronie ulicy i zamówiłem kaszę owsianą z cukrem i miodem. Do picia gorącą wodę doprawioną w jednej trzeciej najtańszym winem. Większość klientów stawiała się tutaj przed początkiem dnia pracy na śniadanie. Cieśle, wbijacze pali mostowych, tragarze, kilku kupców. Jedzenie było gorące, a ja głodny, więc mi smakowało. Ludzie o poranku zbyt wiele nie mówili i przeważanie skupiali się na zawartości swych talerzy. W nocy zdecydowałem, że wynajmę się na jakiś statek kupiecki zmierzający do brzegów Południowego Świata. Może było tam pustkowia i tylko zaczątki cywilizacji, ale i tak wydawało się to lepsze niż ukrywanie się i zwodzenie zabijaków ojca. Złapałem się na tym, że rozciągam wargi w uśmiechu. Po raz pierwszy od długiego czasu cieszyłem się myślą o

przyszłości. Do stolówki weszło kilku ludzi, drzwi otworzono dość szeroko i aż do mnie dotarł zimny powiew wiatru. Oddawałem się myślom o tym, jak to będzie za oceanem. Dojadłem śniadanie i z przyzwyczajenia skontrolowałem okolicę. Przez małą szybkę w drzwiach widziałem wejście do pensjonatu, gdzie spędziłem noc. Dwóch lapiduchów właśnie wynosiło kogoś na noszach. Powiał wiatr, szara płachta się uniosła, zobaczyłem kilka blond kędziorów. Pochyliłem głowę nad talerzem. A jednak mnie znaleźli. Słyszałem łomot własnego serca. Nie przyspieszyło nawet o jedno uderzenie, biło monotonnie i regularnie jak maszyna. Oddychałem spokojnie i głęboko, otoczenie postrzegałem jako układankę detali i całości

równocześnie. Czulem, że ostatnia grupa ludzi, którzy weszli do środka, to byli oni. Ostrożnie się rozejrzałem. W ciągu kilku minut przybyło klientów. Barczysty mężczyzna przyniósł właśnie miskę do stołu obok. Mimo że był przysadzisty, prawie krępy, poruszał się lekko i zwinnie. Rozpoznałem go: Mark, ulubieniec ojca i mój – jeśli nie przyjaciel, to przynajmniej kolega. Od czasu, kiedy go ostatni raz widziałem, jeszcze bardziej zmężniał i poznałem go po charakterystycznym sposobie chodzenia. Już w młodości poruszał się jak pantera, a teraz, z powodu jego postawności, po prostu rzucało się to w oczy. Obojętnym spojrzeniem omiotłem ludzi dookoła. Nie zauważył mnie. Może. Może mnie widział, lecz nie dał tego po sobie poznać? Spróbowałem oszacować, ilu ich razem weszło. Czterech czy pięciu? Odwróciłem łyżkę rączką w stronę talerza, szerszą część schowałem w dłoni, pod pachę wsunąłem zwinięty płaszcz i usiadłem na ławce przed Markiem.

–Jak się wiecie?

Zamrugnął ze zdziwieniem.

–Zmienileś się – powiedział po chwili i połknął kęs kaszy. Drugą rękę, jakby nigdy nic, położył na kolanach.

–Ludzie się zmieniają. Już cię ojciec mianował na rycerza?

–Nie, jeszcze nie.

–Zatem ja jestem twoim ostatnim egzaminem?

–Ty? Nie rozumiem, o czym mówisz. Przyjechałem ubezpieczać transport wartościowej przesyłki. Delikatny towar.

Szubrawiec myślał, że się nabiorę. Zagrały potężne mięśnie na ramionach, jakby Mark szukał czegoś pod ławką. Nie zawsze wygodnie być mięśniakiem. Wepchnąłem mu rączkę łyżki przez oko aż do mózgu, nie zdążył się nawet poruszyć. Pod ławkę upadła mu mała kusza. Już naciągnięta. Nachyliłem się po nią. Dwóch

mężczyzn podniosło się od stołu i z mieczami w rękach ruszyli na mnie. Pierwszemu strzeliłem w twarz. Przypuszczałem, że pod odzieniem będzie miał drucianą koszulę. Na drugiego przewróciłem ciężką ławę. Nie zdołał uskoczyć na czas – ława podcięła mu nogi, a kiedy padał, jeszcze poderżnąłem mu gardło. Dzwonienie łyżek o talerze ustało, ludzie stłoczyli się przy ścianach, środek pomieszczenia opustoszał. Czyżby było ich tylko trzech? Uważnie przeszukałem Marka, zabrałem sakiewkę z pieniędzmi i jego miecz. Mark używał miecza z rękojeścią na półtorej dłoni, z przedłużoną ośmiokątną głownią. Była to o wiele lepsza broń niż moja. Dwóch mężczyzn zostawiłem w spokoju. Musiałbym się za bardzo zbliżyć do ludzi zebranych pod ścianami. Powoli szedłem do wyjścia. W prawej ręce trzymałem miecz, w lewej złożony na pół płaszcz. Najbardziej niebezpieczna chwila nastąpi, kiedy spróbuję otworzyć drzwi. Jeśli jest ich dwóch i stoją po obu stronach, jeden prawdopodobnie mnie dostanie. Musiałem wyjść jak najszybciej, ponieważ na zewnątrz z pewnością urządzili zasadzkę. Nie patrzyłem w żaden konkretny punkt, zdałem się na widzenie peryferyjne. W stolówce zapadła cisza, moje kroki rozbrzmiewały donośnie, ktoś głośno oddychał. Szelest materiału, delikatne skrzypienie podłogi, bębnienie deszczu o dach. Stałem przy drzwiach i wstrzymywałem oddech. Rękę z płaszczem ostrożnie zbliżałem do klamki. Znieruchomiałem na dźwięk stali wyciąganej ze skórzanej pochwy. Błyskawicznie odwróciłem się w prawo, instynktownie osłoniłem, płynnie przeszedłem do obrotu i odtrąciłem również drugi miecz. Mężczyzna spodziewał się mojej reakcji i przeszedł natychmiast do ataku. Wiedziałem, że nie zdążę z powrotem i byłem

zmuszony osłonić się ręką z płaszczem. Ostrze miecza przecięło mocną skórę i ugodziło mnie w przedramię, ale jednocześnie uwięzło w fałdach złożonego płaszcza. Naparłem na mężczyznę, czym nie pozwoliłem mu wyswobodzić miecza i jednocześnie wydstałem się z zasięgu człowieka po lewej. Uderzyłem go głownią w skroń. Upadł na ziemię. Mężczyzna z prawej się zawahał i to ocaliło mi życie. Odrzuciłem płaszcz, żebym mógł lepiej manewrować i ruszyłem w jego stronę. Krwawiłem, choć jednocześnie wiedziałem, że mam dość czasu, zanim utrata krwi mnie osłabi. Ustępował, odwaga go opuściła.

–Proszę, panie, nie. Niech mnie pan nie zabija! – skamlał.

Nie próbował nawet unieść miecza. Dźgnąłem go w samo serce. Od razu w stolówce owinałem sobie lewą rękę bandażem, a potem szybko przeszukałem wszystkich martwych. Mężczyzn na zewnątrz, jeśli jacyś tam czekali, już się nie bałem.

Znalazłem w sumie sto złotych i czek na pięćset platny u miejscowego bankiera. Kiedy odchodziłem, w drzwiach zatrzymał mnie właściciel jadalni.

–Nic do pana nie mam, pan się tylko bronił. Ale co z tymi martwymi? Zatrzymałem się.

–Ile kosztuje najtańszy pogrzeb?

–Dwa srebrne, panie.

Położyłem na stole złocisza i odszedłem.

* * *

Zapłaciłem również za pogrzeb kobiety, z którą spędziłem noc i której imienia nawet nie znałem. Może miała bliskich, którymi się opiekowała – dzieci, rodziców, rodzeństwo. Nie mogłem im pomóc, nawet gdybym chciał. Wybrałem przesadnie drogą gospodę w centrum miasta i zamówiłem miejscową specjalność: ognistą marynarską gorzałkę. Z mojego powodu umarła niewinna kobieta, zabiłem pięciu ludzi, w tym jednego nieprzytomnego i jednego sparaliżowanego ze strachu. Zabiłem ich, żeby już nigdy nie mogli na mnie napaść, a mimo to zbierało mi się na wymioty. Gorzałka smakowała tak, jak powinna. Ohydnie paliła w gardle, aż mroczki latały przed oczami. Po południu i drugiej butelce driakwi dla niewidomych w gospodzie pojawił się Eduard.

–Słyszałem, co pan zrobił na dole, w mieście.

Wypiłem dużo, ale nie byłem pijany. Patrzyłem na Eduarda jak przez zasłonę spadającej wody.

–Taki talent jak pański szkoda zmarnować. Przemyśli pan moją propozycję? – kontynuował przymilnie.

Miał rację. Miałem talent albo zdolności, jak zwał, tak zwał. Dokądkolwiek bym nie zmierzał, wszędzie umierali ludzie. Winni, niewinni, wszystko jedno.

–Mam pieniądze. Pański tysiąc mnie nie interesuje – odpowiedziałem i naląłem sobie następny kieliszek.

–Jestem tego świadomy i zwiększam cenę pięciokrotnie.

Gdybym był trzeźwy, natychmiast bym uciekł, ponieważ tyle pieniędzy płaci się za zamordowanie dostojnika kościelnego, króla albo Boga.

–Świetnie. O kogo chodzi?

–Bierze pan zlecenie?

Zastanawiałem się tylko przez chwilę. Było mi wszystko jedno. Jeden trup mniej czy więcej...

–Biorę.

Pokazał mi obrazek człowieka, którego miałem zabić, dał kuszę i jeden belt, a do tego tysiąc złotych zaliczki. Poleciał mi, żebym strzelał do celu z odległości przynajmniej siedemdziesięciu metrów. Z bliska podobno nigdy nie daje się zaskoczyć. Już wcześniej słyszałem o ludziach, którzy mają tak wyostrzone zmysły i wrażliwą podświadomość, że prawie niemożliwe jest zabić ich z zasadzki. Wierzyłem Eduardowi. Z pewnością nie dawał mi tyle pieniędzy bez powodu. Zapłaciłem i wyszedłem z gospody. W chwili, kiedy przyjąłem zlecenie, jakby coś mi przeskoczyło w głowie – nie wahalem się, nie wątpilem, czy dobrze myślę... Skoncentrowałem się jedynie na tym, żeby mężczyznę zabić.

Kupiłem tuzin beltów do wielkiej kuszy i poszedłem za miasto przestrzelać broń. Łuczysko nie było zrobione z drewna, ani z żelaza, lecz z kilku różnych materiałów: na wewnętrznym łuku można było rozpoznać masę rogową, pośrodku warstwę drewna, a co tworzyło zewnętrzną część łuku, nie mogłem zgadnąć. Podczas napinania kuszy stwierdziłem, że prawie nie dają rady – miała naciąg przynajmniej stu trzydziestu kilogramów. Z worka napelnionego trawą zrobiłem tarczę o wielkości i kształcie ludzkiego tułowia, powiesiłem na drzewie i odliczyłem sto kroków. Mam długie nogi, odległość z pewnością była większa niż osiemdziesiąt metrów. Wystrzeliłem i już za pierwszym razem trafiłem. Belt leciał niewiarygodnie płaskim łukiem. Sprawdziłem tarczę i stwierdziłem, że belt przeszedł przez worek i gruby na trzydzieści centymetrów pień drzewa za nim. Pocisk cały ze stali, który dał mi Eduard, przebiłby nawet ceglana ścianę.

Trzy dni poznawałem przyzwyczajenia mojego celu. Był to mężczyzna prawie mojego wzrostu, ale o dobre dziesięć kilogramów cięższy i wyglądał na silnego jak byk. Chodził w długim płaszczu z wysokim kołnierzem, skórzanej czapce i spodniach, na których widoczne były ślady długiej jazdy w siodle. Mieszkał w pensjonacie „Pod Niebieską Kotwicą”, skąd codziennie rano chodził do gospody na przystani i dokąd codziennie wracał. Nie wyglądało na to, że pije. Prawdopodobnie na kogoś albo na coś czekał. Wybrałem miejsce przy częściowo zburzonej ścianie na skraju przystani i schowałem się za nią. Przez całe dni padało, ale od chwili, kiedy zabiłem Marka i jego ludzi, deszcz mi nie przeszkadzał. Przyzwyczailem się do dźwięku wody ściekającej po płaszczu, do nieustannie mokrych butów, do wilgotnego ubrania. Nauczyłem się rozpoznawać niewyraźne obiekty w terenie przy ciągłym zachmurzeniu. Stałem w deszczu za ścianą z przygotowaną kuszą i czekałem, aż drzwi gospody się otworzą, a mój cel pojawi się na zewnątrz. Wyobrażałem sobie moment, kiedy nacisnę spust, czas bezgłośnego lotu beltu, chwilę trafienia. Dalej nie wyobrażałem sobie nic.

W cieniu pod rynną coś się poruszyło, otworzyły się drzwi i jakiś człowiek wyszedł na zewnątrz. Wycelowałem, lecz po sposobie poruszania się poznałem, że to ktoś inny. Dopiero za drugim razem miałem szczęście. Wycelowałem w tułów mężczyzny przez szparę w murze i wstrzymałem oddech. Ale później odłożyłem kuszę. Tuż przed tym, zanim nacisnąłem spust, wyobraziłem sobie, jak to będzie, kiedy go trafię. Może mam zabijanie we krwi, jednak strzelania z zasadzki nie. Tak by zrobił mój ojciec. Z kuszą w ręku przeszedłem murek i pobiegłem w kierunku drogi, żeby go dogonić.

–Hej, niech pan poczeka! – zawołałem. Odwrócił się i zatrzymał. Podeszedłem do niego, kuszę wciąż trzymałem w zwieszanej ręce.

–Dostałem pieniądze za to, że pana zabiję.

–I dlaczego pan tego nie zrobił? – zapytał i kiwnął na broń. Po raz pierwszy widziałem go z

bliska. Miał pomarszczoną twarz, masywną

szczękę, wielkie usta pełne białych równych zębów. Oczy w szarości deszczowego dnia wydawały się zielone. Pięści przypominały palki do rozbijania kamieni.

–Zrobię to mieczem.

–Raczej powinienes strzelać, młodzieńcze. Odrzuciłem kuszę, zdjąłem płaszcz i stanąłem w postawie wyjściowej.

Poszedł w moje ślady. Pomyliłem się, był potężniejszy niż myślałem, ale to i tak nie grało roli.

–Ile ci dali? – zapytał.

–Pięć tysięcy.

–To nie jest zła cena. Nasze miecze po raz pierwszy się skrzyżowały. Był lepszy, o wiele lepszy niż ja.

Był lepszy niż mój ojciec, niż ktokolwiek, z kim się potkałem albo kogo widziałem. Nie trwało długo, a już leżałem na ziemi, w błocie. Krwawiłem z tuzina ran, wszystkie były głębokie, a to, że jeszcze żyłem, zawdzięczałem tylko szczęściu i mojemu sprężystemu ciału.

Stał nade mną i zakrywał połowę ołowianego, szarego nieba. Powoli wytarł miecz z krwi i wsunął go do pochwy.

–Jesteś dobry, młodzieńcze, naprawdę dobry. Ale nie masz dobrego rzemiosła. Brakuje ci twardości. Już trzydzieści lat zabijam za pieniądze, lecz nigdy się nie wahałem, kiedy mogłem strzelić w plecy, przysięgam. Zajmij się czymś innym. O ile przeżyjesz.

Odszedł. Leżałem w błocie, umierałem, ale byłem szczęśliwy. Wreszcie zdałem sobie sprawę z ceny życia, ponownie odkryłem jego urodę, jego wartość. Nagle wiedziałem, że trzymam się go jak nikt inny, że je szanuję i chcę żyć. Świat był pełen rzeczy wartych zobaczenia, na zapomnianych półkach stały książki pełne myśli, których na razie nikt, oprócz autorów, nie docenił. A może gdzieś czekała na mnie kobieta, którą mógłbym pokochać? Śmiertelne zmęczenie i wyniszczenie ostatnich dwóch lat opadło ze mnie, byłem znów sobą, taki jak kiedyś. Albo prawie jak kiedyś. Obłożyłem rany błotem i zacząłem się czołgać w kierunku najbliższego domu. W oknach się świeciło, a ja miałem nadzieję, że znajdę tam jakiegoś naiwnego głupka, który mi pomoże.

Cherchez la Femme

Świat pogrążony był w białej mgłę, pod gwałtownymi podmuchami wiatru drzewa wokół uginały się to w jedną, to w drugą stronę. Chciałem się rozejrzeć, ale własne ciało nie było mi posłuszne. Usłyszałem dźwięk bębna. Monotonny rytm przenikał głęboko do wnętrza mózgu i rozbudzał fale dręczącego bólu. Wtem ktoś powiesił we mgłę ognistą kulę. Buchała żarem, miałem wrażenie, że zaczyna mi przypiekać skórę na ciemieniu. Próbowałem dostrzec, co za głupek zawiesił kulę w powietrzu, lecz wciąż nie mogłem się ruszyć. Ból, który powodował rytm bębna i gorąco doprowadzały mnie do wściekłości. Żeby nie oszaleć, skupiłem swoją uwagę na otaczającym mnie lesie. Drzewa tańczyły w rytmie nadawanym przez grającego na bębnie. Zakląłem, ponieważ to, co widziałem, było bez sensu. Minęła cała wieczność, aż biała mgła się rozproszyła, a pulsujący ból zmienił w agonię. Ktoś jęknął. Miał popękane i spierzchnięte usta, do tego piekielnie chciało mu się pić. Tym kimś byłem ja. Ognistą kulą nad głową okazało się słońce, a kołyszącymi się drzewami – ludzie maszerujący przede mną. Wciąż jednak nie mogłem przekręcić głowy i nie potrafiłem znaleźć własnych rąk. Dopiero po chwili odkryłem je

po bokach, na wysokości twarzy, około pół metra od niej. Były węższe i bez sił, jakby należały do kogoś innego. Rozległo się trzaśnięcie batem, ktoś stęknął. Ból głowy ustąpił, moje myśli przestały przypominać śnięte ryby uwięzione w wyschniętym błocie.

Maszerowałem pośrodku kolumny ludzi, wszyscy mieliśmy głowy i ręce uwięzione w drewnianych kłodach ściśniętych skórzanymi pasami. Żeby nie uderzać w siebie dybami, kołysaliśmy się z boku na bok w tym samym rytmie. Wzdłuż kolumny przejeżdżali konni i zmuszali nas do zachowywania formacji. Jeźdźcy byli ubrani w mundury armii crambijskiej. Albo wszyscy byliśmy rekrutami, wnioskując z drewnianych kołnierzy – niedobrowolnymi rekrutami, albo więźniami. Nie pamiętałem, żebym planował wstąpienie do armii, nie przypominałem sobie również, żeby ostatnimi czasy ścigali mnie z powodu jakiegoś przestępstwa. Wszystkie

popelnilem bardzo daleko stąd. Zastanawiając się, stwierdziłem jednak, że moja pamięć ma wiele dziur. Może naprawdę zachciało mi się zostać żołnierzem piechoty Jego Imperialnej Wysokości i męczyć się w skwarze w kajdanach? Hm, nie wydawało się to prawdopodobne.

W końcu jeden z oficerów zarządził przerwę. Stałem trochę dłużej niż pozostali, żeby się zorientować, ilu nas tutaj jest. Wąż mężczyzn z kłodami rozciągał się w obie strony jak okiem sięgnąć, umundurowanych żołnierzy dostrzegłem kilkudziesięciu. Krępy mężczyzna, sierżant, sądząc po pagonach, w towarzystwie dwóch pomocników z wiadrem chodził między uwięzionymi i dawał im wodę. Każdemu jeden czerpak. Nie mogłem się doczekać, aż nadejdzie moja kolej, wzrokiem wciąż śledziłem czerpak i prosiłem opatrność, żeby sierżant nabral dla mnie pełen. Chciało mi się pić, piekielnie chciało mi się pić. Chwilę później do trójki dołączył oficer z pisarzem. Każdego rekruta oglądał i dyktował pisarzowi krótką notatkę. Powoli się do mnie zbliżali. Wnioskując ze sposobu, w jaki nieśli wiadro, wody porządnie ubyło. Oficer miał mundur szyty na miarę, pagony wskazywały, że to porucznik, złota lamówka zdradzała, że jest również szlachcicem. Plebejusze, bez względu na rangę, w armii crambijskiej mieli lamówki srebrne.

W końcu podeszli do mnie. Sierżant przytrzymał mi przy ustach pełny czerpak wody. Już pierwszy łyk był wspaniale zimny i orzeźwiający. Było mi obojętne, że z tego samego czerpaka poił przede mną kilkuset innych mężczyzn, a wielu z nich ma prawdopodobnie trypra, syfilis, trąd i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Zacząłem pić –łapczywie, ale jednocześnie tak, żeby nie rozlać ani kropelki.

–Ale wyglądasz. Kto cię tak urządził?

Porucznik swoją zdobioną srebrem szpicrutą odwrócił mi głowę, żeby mógł się lepiej przyjrzeć. Wcale go nie interesowało, że z tego powodu straciłem dobrą połowę zawartości czerpaka, która wylała się na ziemię.

–Straszne, tym razem wzięliśmy najgorszy plebs – kontynuował ocenę mojej powierzchowności.

Pisarz bezmyślnie mu przytakiwał. A mnie było wszystko jedno, co o mnie mówi. Nawet jako młodzian nie byłem przystojniakiem, wręcz przeciwnie. Nie byłem też potworem i ludzie, patrząc na mnie, nie odwracali wzroku. Teraz, kiedy z biegiem lat paru gorliwców upiększyło moją zbyt pociągłą i kościstą twarz kilkoma bliznami i dwukrotnie złamanym nosem, wyglądałem trochę gorzej. Dokładnie mówiąc, o wiele gorzej, ale przyzwyczaiłem się do własnego wyglądu i potrafiłem z nim żyć. Naprawdę

było mi obojętne, co ten arogancki i wystrojony porucznik o mnie myślał. Chciałem tylko porządnie się napić.

–Wylał mi pan wodę. Mógłbym dostać jeszcze jeden czerpak? – powiedziałem najspokojniej i najgrzeczniej jak potrafiłem.

Może wyczytał wściekłość z moich oczu?

–Nie bądź bezczelny, gnoju! Teraz jesteś piechurem cesarskiej armii! Tutaj wszystkie sztuczki wybijemy ci z głowy!

Smagnął mnie szpicrutą po twarzy. Przeciął mi skórę, czułem, jak po policzku ścieka krew. Jedna blizna mniej czy więcej, bez różnicy. Jednak zagotowało się we mnie. Był w moim wieku, dobrze zbudowany, z wypomadowanymi włosami i gładką cerą, obiecujący potomek szlacheckiego rodu na progu świetlanej kariery. Wiedziałem, że więcej wody nie dostanę, dlatego przestałem grać posłusznego chłopczyka.

–Nie jestem żołnierzem Jego Imperialnej Wysokości, ponieważ nie złożyłem przysięgi. Właśnie uderzył pan w twarz wolnego obywatela, co jest przewinieniem wobec prawa Jego Cesarskiej Eksceleencji. Chociaż przypuszczam, że takiej rzeczy swoim intelektem nie jest pan w stanie pojąć.

Moja gadka o przewinieniu wobec prawa była tylko akademicką paplaniną, ale porządnie go rozzłościła. Prawdopodobnie skończył z wyróżnieniem akademię wojskową i nie był przygotowany na to, żeby jakiś łazęga wyśmiewał się z jego inteligencji.

–Ty gnoju! Już ja cię nauczę! – wrzasnął i znów smagnął mnie szpicrutą. Uchyliłem się i cios nieszkodliwie zatrzymał się na dębowym drewnie mego kołnierza. To go rozwścieczyło jeszcze bardziej i zaczął mnie kopać gdzie popadnie. Sierżant starał się powstrzymać oficera słowem, lecz oczywiście na próżno. Skuliłem się, odczekałem, aż się zamachnie do następnego kopnięcia i w ostatniej chwili podetknąłem mu pod goleń kłodę. Zawył z bólu i przewrócił się na ziemię, pozbierał się jednak szybko i wyskoczył z mieczem w ręce. Wtedy już zbiegli się pozostali żołnierze, którzy w końcu go powstrzymali.

–Zostawcie mnie – prychnął jak rozdrażniony kot. – Jestem szlachcicem i oficerem, nie macie prawa mnie trzymać!

–Puście go! – rozległo się za moimi plecami.

Odwróciłem się na ziemi tak, żeby zobaczyć nadchodzącego. Złote generalskie pagony, jastrzębia twarz z zimnymi, bystrymi oczami w niemożliwym do określenia

kolorze. Inteligentny, powściągliwy, niebezpieczny. Właśnie patrzyłem na hrabiego generała Edmunda de Glowa, najlepszego oficera cesarskiej armii. Widziałem jego portrety wystawiane w dużych miastach cesarstwa podczas jego wojennych triumfów. Zawsze trzymał się z dala od politycznych intryg i zawsze, bez względu na okoliczności, wspierał cesarza. Mówiono o nim, że imperator może polegać na nim bardziej niż na sobie.

–Co tu się stało? – zapytał i popatrzył przy tym na sierżanta, który rozdzielał wodę.

Żołnierz zaczął coś nerwowo tłumaczyć, lecz de Glow powstrzymał go gestem.

–Interesuje mnie, czy ten mężczyzna – wskazał w moim kierunku – zaatakował porucznika Horowitza.

Zmroziło mnie. Wystarczyło słowo i kołysałbym się na stryczku. Sierżant również to wiedział.

–Nie, to markiz Horowitz... – udało mu się powiedzieć bez zajknięcia.

–Wystarczy – znów przerwał de Glow. – Poruczniku, niech pan skończy wydawanie wody, zanim zaczniemy maszerować. Zapamiętam, co się tu dzisiaj stało. Chcę pana mieć w swoim oddziale szturmowym, żeby się przekonać, czy jest pan godzien nosić mundur oficera Jego Cesarskiej Ekscelencji. – De Glow wydał rozkazy i odjechał.

Horowitz spojrział na mnie z nienawiścią. Rozumiałem go, właśnie stałem się plamą na jego dobrym imieniu.

–Zapłacisz mi za to! – syknął.

–Proszę pana, gdzie mam wcielić tego żołnierza? Musimy dokończyć cały rząd, żeby nie zrobił się bałagan – wtrącił pisarz.

–Będzie miał taką samą sposobność jak ja. Zapisz drania do przedniego oddziału hrabiego de Głowa. W ten sposób będę go miał pod kontrolą i przekonam się, czy jest godzien nosić mundur żołnierza Jego Cesarskiej Ekscelencji.

Pan rozkazał psu, a pies ogonowi, pomyślałem, ale głośno tego oczywiście nie powiedziałem. Mógłby mnie na miejscu dźgnąć na wylot.

Znów wyruszyliśmy w drogę. Przerwa pomogła i chociaż język przylepiał mi się do podniebienia, czułem się lepiej. Nawet sobie przypomniałem, co sprawiło, że zdecydowałem się umrzeć w imię chwały i sławy crambijskiego cesarza. Oczywiście, winna temu była kobieta.

Z powodu mojego wyglądu – do odrażającej i budzącej strach twarzy trzeba dołożyć dwumetrowe, wychudłe i pokryte bliznami ciało, na którym można studiować każde ścięgnię i mięsień – nie jestem w centrum uwagi tej bardziej atrakcyjnej połowy ludzkości. Kiedy zależy mi na towarzystwie, muszę za nie zapłacić i to zazwyczaj trzy razy więcej niż inni mężczyźni. A i tak to wszystko jest nic niewarte, ponieważ dziewczyny się mnie boją, a te, które się nie boją, są wobec mnie obojętne. W Hyaszu, najbardziej na południe wysuniętym porcie imperium, spotkałem pewną małą, arogancką brunetkę, której zupełnie nie przeszkadzało, jak wyglądam. Było z nią nawet wesoło. W ciągu wieczora odwiedziliśmy kilka gospód i kabaretów, aż wreszcie wylądowaliśmy w pokoju w całkiem porządnym pensjonacie. Śmiała się z moich dowcipów, słuchała, kiedy powinna słuchać i potrafiła cytować długie fragmenty „Poskromienia złoźnika”, „Młodego imperatora” oraz innych dobrych sztuk teatralnych. Umiała, oczywiście, też wiele innych rzeczy i była w nich jeszcze lepsza niż w recytacji. Może powinno mi dać do myślenia, że nie interesowała się pieniędzmi. Rano nie obudziłem się w łóżku, ale tutaj, w kolumnie przymusowych rekrutów z kłodą na karku. Musiała mi nasypać czegoś do jedzenia, ponieważ – mimo że tego wieczora wypilem naprawdę dużo – takiego bólu głowy i luk w pamięci sam alkohol by nie spowodował. Niewątpliwie sprzedała mnie cesarskim werbownikom, bestia jedna. Gdyby była mądrzejsza, zorientowałaby się, że po dobroci wyciągnęłaby ze mnie więcej. Ale może się jej nie podobałem.

Tymczasem doszliśmy do ogromnej rzeki. Woda była zamulona przez żółte blocko, przeciwległy brzeg oddalony o dobre sto metrów, a prąd gnał w tempie kłusującego konia. Promy już na nas czekały. Konwojujący, jakby chcieli spełnić moje najgorsze obawy, na czas przeprawy zostawili nam drewniane kolnierze na szyjach. Z głową i rękami uwięzionymi w dybach, pływać się nie dało. Gdyby któryś prom zatonął albo się rozpadł, wszyscy byśmy utonęli. Czekałem, aż przyjdzie moja kolej i starałem się wykoncypować, co się tutaj dzieje.

Żółta rzeka, według mojej wiedzy geograficznej, nazywała się FewGhaka i tworzyła naturalną południową granicę imperium. Za nią rozciągała się tropikalna dżungla, zasiedlona przez prymitywne plemiona łowców głów. Według niektórych uczonych kiedyś, dawno temu, istniała tam rozwinięta cywilizacja, zanim cały teren pochłonęła dżungla. W środowisku lasów deszczowych żadna kultura nie może ani powstać, ani przetrwać. Z „Historii powstania Imperium Crambijskiego” Vespada pamiętałem, że w ciągu ostatnich

dwustu lat plemiona z puszczy kilkakrotnie próbowały przejść przez rzekę i przesunąć granicę na północ. Nigdy im się to nie udało, ponieważ byli źle zorganizowani.

W ciągu kilku godzin na lewym brzegu FewGhaki zgromadziły się wszystkie siły de Głowa. Szacowałem, że ma ze sobą trzy tysiące ludzi, z czego tysiąc stanowili biedacy tacy jak ja, a drugi tysiąc niebojowe jednostki zaopatrzeniowe. Jak na armię inwazyjną było nas za mało, jak na oddział przygraniczny – za dużo.

Z zamyślenia wyrwał mnie pełen przerażenia krzyk. Jeden z promów natrafił pośrodku rzeki na mieliznę. Drewniana platforma przechyliła się, prąd coraz bardziej napierał na jeden bok i woda dostała się na pokład. Przerażeni ludzie odskoczyli na drugą stronę promu i naruszyli delikatną równowagę już i tak przeciążonej jednostki. Ktoś próbował zaprowadzić porządek, ale jego głos zginął w nieartykułowanych wrzaskach. Lina, która utrzymywała prom, zatrzęszczała, platforma rozpadła się na wiele grubo ciosanych pni, ludzie powpadali do wody. Silny prąd porwał resztki drewna i ludzi, po chwili na mieliznie pozostało tylko paru szczęśliwców.

Szczęśliwców tylko do momentu, kiedy dostrzegli ich krokodyle. Podczas potwornego widowiska ruch na brzegu trochę ustał.

–Wstać i do szeregu! – rozkazał sierżant i skierował nas do następnego promu.

Kłoda wokół szyi wydała mi się nagle cięższa, a prymitywna tratwa, na którą miałem wejść, jeszcze bardziej krucha.

–Nie pozwolę na to! Po prostu im to zdejmijcie! – usłyszałem wysoki głos.

Różowolicy grubasek, ubrany w coś, co bardziej niż mundur przypominało polową sutannę kapłana, klócił się z kapitanem, który dowodził wsiadaniem na prom.

–Tamci ludzie mogli przeżyć, gdybyście im zdjęli te głupie okowy!

Kapitan, stary weteran ze srebrnymi lamówkami, nie przejmował się wrzaskami grubaska.

–Nie będę ryzykował, że któryś z nich ucieknie. Dyby zdejmę po drugiej stronie rzeki. Dostałem rozkaz.

Grubasek próbował protestować, ale na próżno.

–Wsiadaniem dowodzę ja – zakończył debatę kapitan. – Zabierzcie stąd doktora Gausta, żebym go nie musiał zamknąć z powodu naruszenia dyscypliny – polecił na koniec dwóm przybocznym.

Gaust przypominał różowy wulkan tuż przed erupcją i kapitan rozsądnie się odwrócił, żeby udawać, że nie dosłyszał wyzwisk doktora.

W uporządkowanej formacji przeprowadzono nas na prom i przewieziono na drugi brzeg. Tam, bez dalszej zwłoki, pozbawiono klód i zaczęto przydzielać do oddziałów. Wieczorem wszyscy uroczyście złożyliśmy przysięgę i również wobec prawa zostaliśmy żołnierzami cesarskiego imperium. Nie czulem się z tego powodu lepiej.

Leżałem w namiocie polowym z dwudziestoma innymi mężczyznami i tak samo jak oni

miałem przy głowie ekwipunek ułożony w piramidkę. Prosty hełm, krótki miecz z szerokim ostrzem, pochwę z kółkiem do przewieszenia rzemienia i wojskową menażkę. Mimo duchoty i odoru spoconych ciał w namiocie czułem zapach obcego świata tam, na zewnątrz. Tutaj, za rzeką, kończyła się cywilizacja. Cesarz przez całe dziesięciolecia starał się przesunąć granicę dalej, ale wszelkie jego usiłowania paraliżowała ściana wiecznie zielonej dżungli. Nawet mimo tego, że przeciwko niemu stały tylko pojedyncze plemiona dzikich wojowników, które nie znały żelaza i nie potrafiły ze sobą współpracować. Był to również świat, przez który jeszcze nikt nie przeszedł i nie oznaczył na mapach. We wspomnieniach weteranów walk z dzikimi plemionami mówiło się o bezgranicznej wierze tubylców w to, że pewnego dnia znajdzie się człowiek, który ich zjednoczy i wtedy zwyciężą.

Wciąż nie rozumiałem, dlaczego armia de Glowa wysiadła na drugim brzegu. Na kolejną próbę zmasakrowania dzikich i przepędzenia ich dalej od granicy było nas za mało, ale możliwe, że widziałem tylko niewielki kawałek dużo większego planu. Była późna noc, dźwięki dobiegające z niedalekiej dżungli nasiliły się. Kroki strażników chodzących wokół namiotów zabrzmiały nagle bardziej nerwowo. Mogłem uciec, ale nie wiedziałem, czy tego chcę. Rozmyślałem tak długo, aż usnąłem. Rano obudziła mnie obozowa trąbka.

Cały dzień budowaliśmy obóz, który miał nam służyć jako stała baza; ścinaliśmy wysoką trawę, stawialiśmy magazyn na palach i palisady na wypadek niespodziewanego ataku. De Glow rozstawił na granicy dżungli łańcuch straży. Horowitz oczywiście o mnie nie zapomniał i przydzielił mi północną wartę. Nie przeszkadzało mi to, ponieważ sypiam mało a jednocześnie zyskałem możliwość w samotności zapoznać się z zapachami i dźwiękami tego nowego świata za rzeką.

Następnego dnia, oprócz stawiania obozu, nadeszła kolej także na przećwiczenie rekrutów. Starzy żołnierze nie tracili czasu na musztrę, nauczyli nas tylko kilku podstawowych komend, a resztę poświęcili na fechtunek. Na tej podstawie wywnioskowałem, że naprawdę idziemy do akcji bojowej. Nie wychylałem się i

uderzałem mieczem tylko tak, jak oczekiwali tego ode mnie instruktorzy. Jednocześnie zastanawiałem się, gdzie podziła się moja własna broń – długi miecz ze smukłym ostrzem z dobrej chaabskiej stali. Już za sam miecz ta ulicznica mogła dostać majątek.

–Sierżancie! Niech mi pan da na chwilę tego żołnierza. Wydaje się, że pana lekcja go nie bawi. – Z zadumy i bezmyślnego powtarzania za instruktorem poszczególnych technik wyrwał mnie znajomy głos.

Porucznik Horowitz odnalazł mnie również tutaj. Nawet go rozumiałem. Gdybym pięć lat temu nie uciekł z domu, też prawdopodobnie byłbym takim nadętym szlacheckim smarkaczem.

–Miej się na baczności, żołnierzu! – rozkazał Horowitz i zaatakował z nienacka.

Nie chciał mnie ani niczego nauczyć, ani poniżyć, chciał mnie zabić. Zrobiłem unik niedbałym ruchem, żeby wyglądało to na przypadek i kontratakowałem uderzeniem.

Horowitz z łatwością się uchylił i znów ostro zaatakował. Miał piękny miecz z potężną osłoną i odciążonym ostrzem, które z daleka przypominało moją oryginalną broń. Przeciwestawiałem się mu ślizgiem, na tyle krótkim, żeby porucznik mógł myśleć, iż to znów był tylko przypadek. Otoczyli nas pozostali żołnierze, z oddali usłyszałem oceniające uwagi sierżantów. Horowitz też je słyszał. Irytowały go, ponieważ sierżanci chwalili moją obronę. Był dobrym szermierzem, ale wściekłość nikomu nie dodaje zręczności. Nie wiedziałem, co by się ze

mną stało, gdybym go zabił, dlatego wykorzystałem jego zbyt zamaszty cios, odwróciłem się do niego i powaliłem przerzutem na bok, którego nawet prostak, za jakiego mnie uważał, może się nauczyć podczas bójek w gospodach. Drużyna mi kibicowała, lecz wiedziałem, że za ten aplauz zapłacę.

–Wystarczy! – Horowitza, którego dalsze działania z pewnością zamieniłyby się w jatkę, zatrzymał władczy głos. – Wspaniały pokaz fechtunku i walki, choć z pana strony, markizie, może trochę nierozważny.

De Glow znów zbliżył się jak duch.

–Idźcie obaj do punktu opatrunkowego, a potem zgłoś się do porucznika Benoa – wskazał na mnie. – Chcę cię mieć w oddziale zwiadowczym.

–Rozkaz, generale! – odpowiedziałem.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że na lewym przedramieniu mam powierzchowną ranę. Horowitz zdołał mnie jednak zadrasnąć.

W punkcie opatrunkowym nikogo nie było, na stole ujrzałem mapę. Rozłożyłem ją i starałem się zapamiętać szczegóły. FewGhaka płynęła po granicy mniej więcej z zachodu na wschód, sto kilometrów wyżej na zachodzie wpadała do niej mniejsza rzeka – LowGhaka. Ponieważ wpadała z dżungli, jej bieg na mapie był zaznaczony przerywaną niebieską linią, co znaczyło, że w rzeczywistości dokładnie nie wiadano, którędy właściwie płynie. Według kartografa płynęła dżunglą równoległe do granicy, około dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

–Umie pan czytać?

Do namiotu wszedł doktor Gaust.

–Ech, trochę – przyznałem się niechętnie. Klamię tylko wtedy, kiedy to niezbędne. – Rok chodziłem do przykościelnej szkoły.

Gaust skinął głową. Natychmiast zauważył moje zadrażnienie na przedramieniu i grzbiecie dłoni.

–Niech pan usiądzie, obejrzę to.

Mimo że był gruby, w panującym upale, w odróżnieniu ode mnie, w ogóle się nie pocił.

–Przywiozą jeszcze następne rezerwy? – zapytałem. Gaust spojrział na mnie badawczo.

–Dlaczego pana to interesuje?

–No, wydaje mi się, że na dużą wyprawę do dżungli mamy ich trochę za mało.

–Umie pan trochę czytać i trochę się zna na zaopatrzeniu armii?

–No. – Wzruszyłem ramionami. – To tylko doświadczenia starego żołnierza. Nie chciało mi się tłumaczyć, że do dwunastego roku życia musiałem studiować

historię wszystkich wielkich bitew, rozbierać je i analizować błędne lub – przeciwnie – genialne decyzje dawnych dowódców.

–Jasne, żołnierzu, ma pan zaledwie trzydzieści lat, ale już jest pan stary. Z tym cięciem już skończyliśmy. Gdyby się zaogniło, proszę przyjść. – Doktor Gaust zakończył opatrywanie rany.

Ukloniłem mu się uprzejmie i odszedłem, żeby poszukać porucznika Benoa.

W obozie zostaliśmy jeszcze tydzień. W tym czasie dowiedziałem się od werbowników, którzy byli tutaj z nami, co właściwie się ze mną działo. Ta sprytna brunetka sprzedała mnie armii za pięć złotych, a za miecz dostała od nich następne pięć. Każdy porządny płatnerz dalby za niego bez targowania stówę, ale tego nie mogła wiedzieć. Może wydawało jej się, że to

dobry interes, lecz dziesięć złotych

dałbym dziewczynie już za sam wieczór, który razem spędziliśmy. Tego również nie mogła wiedzieć. Podczas jednej ze zbiórek stwierdziłem, że moją starą broń ma jakiś oficer oddziałów zaopatrzeniowych drugiego rzutu. Mądrze się opanowałem i machnąłem na miecz ręką.

Po tygodniu ćwiczeń i przygotowań wyruszyliśmy. Zanim się zanurzyłem w nieprzebytą na pierwszy rzut oka zieloną ścianę, głęboko zaczerpnąłem powietrza. Miałem niejasne przeczucie, że niewiele będzie tych, którzy jeszcze zobaczą słońce.

Jako wywiadowca szedłem w pierwszej linii. Płatanina zarośli, karłowatych drzew i lian była tak gęsta, że musiałem prawie cały czas używać ciężkiej maczety. Nad zielonym chaosem, na wysokość wielu dziesiątków metrów, wznosiły się olbrzymie puszczy, które zasłaniały niebo i zmieniały światło jasnego południa w szarawy półmrok. Natychmiast zacząłem dusić się z gorąca, a skórę pokrył oleisty pot. Powietrze było wilgotne, wydawało mi się, że można w nim wprost dotknąć kropelek wody. Puszcza dokoła tętniła życiem. Pod każdym liściem i w każdym kawałku butwiejącej ziemi skrywały się miriady robaków, gąsienic i najróżniejszych larw, w powietrzu unosiły się ptaki tak małe, że było to aż niewiarygodne, motyle i chrząszcze, z kleszczami tak długimi jak ludzkie palce, były za to nieprawdopodobnie wielkie. A także jadowite. W ciągu pierwszego dnia straciliśmy siedmiu ludzi tylko z powodu ukąszeń węży i pogryzień przez maleńkie robaczki, które ukrywały się w mięsistych lodygach rośliny przypominającej paproć skrzyżowaną z przyziemną palmą.

W nocy nie mogłem usnąć i słuchałem szeleszczących dźwięków życia wokół. Wystarczył dzień, żebym zrozumiał, że do lasu deszczowego, do dżungli, która rozpościerała się na wielu piętrach nad nami, nie należymy. Kiedy przez pierś przebiegło mi coś kudłatego, poddałem się, z koca zrobiłem prosty hamak i zawiesiłem między dwoma pobliskimi drzewami.

Ranek następnego dnia rozpoczął się od liczenia martwych. Dwunastu ludzi. Wszyscy mieli sine wargi, a żyły na skroniach nabrzmiałe, jakby miały pęknąć. Gaust chciał zbadać ich ciała, dlatego na krótko wstrzymano wymarsz. Kiedy przyniosłem Gavrila, mężczyznę, z którym miałem być w parze, przyłapałem doktora nad otwartą klatką piersiową. Wokół zgromadziły się chmary much, lecz wydawało się, że ich nie zauważa. Położyłem ciało przy pozostałych i nachyliłem się nad stołem do sekcji zwłok. Serce, które Gaust trzymał w ręce, było opuchnięte i miało dziwny żółty kolor.

–Nie rozumiem. Wszyscy zostali pogryzieni w ten sam sposób, ale jeden miał wodę w płucach, inny umarł na apopleksję, jeszcze inny się udusił – mrucał do siebie.

–Jak byli pogryzieni? – spytałem.

Pokazał na skupiska czerwonych kropek na tętnicy szyjnej nieboszczyka.

–Te bestie czują ciepłą krew i idą po nią.

Przytaknąłem.

–Z pewnością ma pan rację, lecz obawiam się, że wszyscy będziemy musieli się do tego przyzwyczaić.

Ja sam miałem na rękach identyczne ranki. Swędziały jak diabli, jednak nie odważyłem się ich drapać.

–Wszyscy jesteśmy pogryzieni w setkach różnych miejsc, ale według mnie każdego z tych żołnierzy zabiło coś innego. Coś, od czego opędzali się we śnie.

Gaust skinął głową.

–Dobre spostrzeżenie. Przypuszczam, że to też wiedza starego żołnierza?

–Tak, proszę pana. – Skrzywiłem się i zsalutowałem.

–W porządku, żołnierzu.

Odwzajemnił mi się grymasem i przez chwilę wyglądał jak mały chłopiec.

–W tym przypadku radziłbym panu, żeby przestał mnie pan pozdrawiać w sposób zarezerwowany tylko dla najwyższych dowódców i krewnych imperatora.

Grymas zastygł mi na twarzy Z tego, oczywiście, nie zdawałem sobie sprawy.

–Rozkaz, proszę pana! – Zsalutowałem ponownie, tym razem zgodnie z regulaminem.

Gaust mi się spodobał, nie miałem tylko pojęcia, co on tu robi. Po krótkiej porannej odprawie ruszyliśmy dalej. Dwunastu martwych, zabitych przez jadowite owady, nie mogło zatrzymać de Głowa. Wydawało mi się to niemożliwe, ale dżungla stała się jeszcze bardziej niedostępna i niebezpieczna. Nie chciało mi się machać maczetą od rana do wieczora i zacząłem uważnie przyglądać się roślinom. Obok niektórych dało się przejść, jeśli oczywiście nie rzucił się nagle na człowieka rój owadów i nie pogryzł go do krwi. Inne rośliny miały kolce lub jadowite włoski pod spodem liści, lecz przy odrobinie sprytu człowiek mógł je ominąć. Podobne próby kosztowały mnie wiele ukłuć i oparzeń. Przysięgłem sobie, że jeśli wyjdę z tego żywy, zostanę ekspertem w zakresie flory i fauny tropikalnej dżungli.

Aż do trzeciego dnia myślałem, że naszym głównym przeciwnikiem będą jadowite owady i węże. Byłem w błędzie. Na pagórku, który zupełnie ginał w zielonym morzu, ale gdzie powietrze było o wiele chłodniejsze, odkryliśmy prymitywną wioskę mieszkańców dżungli. Było to tylko parę chat z lian i liści palmowych i kilka częściowo

uprawianych małych poletek, gdzie rosły pataty, drzewa cukrowe i chlebowce. Widziałem, że oficerowie jak jeden mąż, podczas naszej relacji ze zwiadu, krzyknęli z radości. Nie wiedziałem z jakiego powodu, ponieważ ci tubylcy nie byli kanibalami ani łowcami głów. Dzicy, których obserwowałem z gąszczy, byli zbyt zamożni, żeby parać się myślistwem i wojną. Znaleźli miejsce, gdzie udało im się wykorzystać olbrzymie roślinne bogactwo dżungli i utrzymywali się przy życiu dzięki jej niezliczonym plodom. Rolnictwo to pierwszy krok do cywilizacji. De Głow odwołał nas, zwiadowców, i wysłał do wsi wypoczęte jednostki dalszej linii. Z czym nie dały sobie rady ich miecze, zlikwidował ogień.

* * *

Siedziałem w hamaku i czekałem, aż zacznie wrzeć woda w kociołku, kiedy między krzewami pojawił się Gaust.–Mogę na chwilę, żołnierzu?

Zrobiłem mu miejsce obok siebie i wsypałem do wrzątku parę listków herbaty. Wolałbym kawę, ale ukradli ją po mojej nieudanej bibce.

–Nie podziela pan wszechobecnego entuzjazmu z powodu naszego zwycięstwa?

–Gaust zaczął rozmowę.

–De Głow go podziela?

Pokręcił głową.

–Nie. De Głow był zawsze specyficznym i skrytym człowiekiem, ale ostatnimi czasy zachowuje się jeszcze bardziej niezwykle niż kiedyś. Jak pan myśli, jak to będzie wyglądać dalej? – spytał. – Jestem ciekawy spostrzeżeń starego żołnierza.

Upilem gorącej herbaty. Gasiła pragnienie lepiej niż zimna woda i człowiek miał przynajmniej pewność, że nie ma w niej żadnych żyjątek.

–Z każdym kilometrem, który pokonamy, drzewa będą wyższe, runo gęstsze, a powietrze bardziej wilgotne. Następnej wsi, jeśli na jakąś trafimy, już nie spalimy. Nie będzie chciała się zająć.

Gaust pokręcił się w hamaku, zza pazuchy w butwiejące liście wypadło mu kilka pergaminów. Zanim zdążył zareagować, przykucnąłem, by je podnieść. Przy okazji oczywiście obejrzałem. Były na nich starannie wykonane rysunki roślin, które rosły wokół. Większość obrazków była opatrzona podpisami wykonanymi drobnym, ale kształtnym pismem.

–Co to jest? – Podąłem mu pergaminy.

–Jeden z powodów, dla których tu jestem. Chcę zebrać jak najwięcej informacji o miejscowej florze.

–A pozostałe powody?

Popatrzył na mnie, w oczach błysnęło mu rozbawienie.

–A pan mi zdradzi swoje, żołnierzu?

–Nie.

–To ja też nie.

Moje przypuszczenia dotyczące dżungli były nieprzyjemnie dokładne. Nauczyliśmy się zwracać uwagę na najbardziej jadowite stwory, więc zazwyczaj umierał najwyżej jeden człowiek dziennie. Ale pięć dni po mojej rozmowie z Gaustem było ich nagle siedmiu. Rozpoznanie lekarza brzmiało: śmierć z powodu przegrzania. W upale i stuprocentowej wilgotności człowiek prawie nie był w stanie ochłodzić się przez wypocenie i serca niektórych tego nie wytrzymały. Szliśmy dalej. Upał, wysiłek i wilgoć trawiły nas jak kwas, twarze stawały się bez wyrazu. Ludzie z wyglądu przypominali chorych w letargu. De Głowa zupełnie to nie interesowało. Widziałem go kilka razy i wydawało się, że dżungla na niego nie działa. Tylko oczy błyszczały mu jak kotu.

Na prawdziwych kanibali natrafiłem jako pierwszy. Była to cała rodzinka: jeden dorosły mężczyzna, trzy kobiety i siedmioro dzieci. Miałem szczęście, ponieważ sporadyczny powiew wiatru przyniósł do mnie korzenny odór ich ciał i to mnie ostrzegło. Stali na kotwicy na potoku albo raczej rzeczce i z pirogi łowili ryby. Mężczyzna miał naszyjnik z miniaturowych ludzkich czaszek. W chwili, gdy wynurzyłem się z krzaków, próbował we mnie wycelować wąską, półtorametrowej długości rurką. Przypuszczałem, że to dmuchawka z zatrutą strzałą wewnątrz. Zatrzymałem go gestem. Mogłem sobie na to pozwolić, ponieważ byłem dobrze kryty przez liście. Pozostali nasi ludzie szli za mną w odległości co najmniej dwustu metrów. Mimo że starałem się ich tego nauczyć, nikt inny nie przyswoił sobie mojej techniki poruszania się w dżungli. To nie była moja wojna i z każdą godziną miałem coraz większą ochotę zniknąć. A już na pewno z powodu cesarza nie chciałem zabijać dzieci i kobiet, nawet gdyby byli kanibalami. Niech każdy je to, na co ma ochotę. Wskazałem na nich, na łódź i rzekę, później na siebie i zatoczyłem dłonią szeroki okrąg wokół. Przez cały czas w drugiej ręce trzymałem nóż do rzucania, przygotowany, żeby wbić go dzikusowi między żebra, gdyby tylko spróbował mnie przechytryć. W chwili, kiedy usłyszał nadchodzących żołnierzy, skinął głową. Wyszeptał chrapliwym głosem parę

słów, których nie zrozumiałem, jego kobiety w okamgnieniu spakowały ekwipunek i zanim

zdążyłem nabrać powietrza, odpłynęli z prądem.

* * *

Hełm, tarczę i ciężki pikowany płaszcz wyrzuciłem już dawno. Nie były warte wysiłku, jakiego wymagało ich noszenie. Przedzierałem się przez dżunglę jak najciszej potrafiłem i miałem coraz silniejsze poczucie, że już nie jestem sam. Czasem sprawiały to zbyt gwałtownie rozkołysane liście, dziwny odór w powietrzu czy mignięcie ciemnego cienia, który dostrzegałem kątem oka. Trwało to cały dzień. Rzucili się na nas, kiedy gotowaliśmy się do rozbicia obozu. Gdyby poczekali do zmroku, byłoby z nami gorzej. Wynurzyli się z dżungli niczym zręczne małpy, uzbrojeni w proce, dmuchawki i lekkie, rzucane z dłoni strzałki ze skrzydełkami z balsowego drewna i zatrutymi grotami z cierni. Te były najgorsze – latały szybko i celnie na odległość trzydziestu metrów. Nie używałem miecza, bo był zbyt ciężki i do walki ze zwinnymi ludojadami nieporęczny. W absolutnej ciszy walczyłem dwoma nożami, wstrzymując przy tym oddech, żeby móc słyszeć zdradziecki świst towarzyszący miotanej strzałce. Z trawy przede mną wynurzył się zgarbiony długoręki cień z kamienną siekierą w ręce, jednocześnie zarejestrowałem delikatny szelest za sobą. Rzuciłem się na ziemię, strzałka trafiła w pierś tego z przodu. Wtedy zaatakował mnie ktoś z lewej. Leżąc, kopnąłem go w pachwinę. Odskoczył na kilka metrów i padł bez ruchu. Kolejny pstrokato pomalowany wojownik skoczył na mnie ze strzałką w ręce. Musiałem poświęcić nóż, żeby być szybszym.

Starcie trwało zaledwie dziesięć minut, ale kiedy atak się zakończył, było nas o pięćdziesięciu mniej; połowa zabitych nie miała głów. Napadli nas łowcy głów i naszym kosztem zdobyli niezły łup. Naliczyliśmy tylko dwunastu martwych dzikich.

Po przeczesaniu okolicy i wyrąbaniu bezpiecznej przestrzeni, kuśtykałem do środka obozu, żeby być jak najdalej od zielonej ściany lasu, gdzie groziło niebezpieczeństwo. Jako zwiadowca, na szczęście, nie miałem obowiązku trzymania warty. Zdecydowałem się zniknąć z samego rana. O ile zdołałem się zorientować, zaatakowało nas nie więcej niż trzydziestu, ale to my mieliśmy dwa razy tyle martwych i rannych. Miałem wrażenie, że całe zajście traktowali raczej w kategoriach sportowych, widziałem bowiem również dzieci i kobiety, albo walka tutaj rządziła się innymi prawami, a odcinanie głów należało do obowiązków kobiet. Najgorsze wydawało się to, że parę kilometrów dalej mogło czekać następne plemię, które aż trzęsło się z niecierpliwości, żeby się z nami rozprawić. De Glow był szaleńcem, skoro starał się przebić przez dżunglę bez wsparcia całej armii. Zatrzymałem się w namiocie Gausta. Zatrute strzały sprawiły że właściwie się nie napracowałem. Miał pochmurną minę i nędznie wyglądał. Zaproponował mi szklaneczkę z butelki zapieczętowanej woskiem. Gorzałka, do tego diabelnie mocna. W miejscowym klimacie trucizna, ale byłem mu za ten kieliszek wdzięczny.

–Wie pan, co jest ciekawe? Jedna trzecia martwych to oficerowie – powiedział cicho.

Kiedy mówił, odwracał wzrok, zauważyłem jednak, że oczy ma błyszczące od łez. Dziwne było patrzeć na mężczyznę, który płacze z powodu ran obcych ludzi. Gaust tu nie pasował – taki wrażliwy na wojnę i śmierć. Może był dobrym lekarzem, który potrafi sprowadzać na świat dzieci i pomagać przy niedużych operacjach, ale gdy pod nożem umierali mu ludzie, którym starał się amputować kończyny zranione zatrutą strzałą – z tym nie dawał sobie rady.

–Oficerowie noszą hełmy z pióropuszcami. Chyba spodobało się to dzikim i dlatego na nich się skupili.

Moje wytłumaczenie przyjął skinieniem głowy.

–Dziesięciu. Dziesięciu umarło mi wprost na stole. Wydawało się, że jednego zdołałem uratować, ale później w ciągu pół godziny zabiła go niewiarygodnie szybko postępująca gangrena – powtarzał w kółko.

Zmusilem Gausta, żeby wypił jeszcze jedną szklaneczkę i położył się w hamaku. Zanim sam zleżem, przeszedłem się po obozie i odwiedziłem płatnerza. Broni martwych żołnierzy jeszcze nikt nie rozgrabił, wszyscy byli zbyt zmęczeni. Na stercie znalazłem swój stary miecz. Zabrałem go i wróciłem do namiotu. Przy oficerskim ktoś stał i mnie obserwował. Zmierzchało już, więc nie zwróciłem uwagi, kto. I to był błąd.

Zamierzałem uciec, gdy tylko się rozwidni, ponieważ w ciemnościach nie odważyłbym się iść przez dżunglę. Obudzili mnie jeszcze przed świtem. Dziesięciu ludzi, wszyscy z wyciągniętymi mieczami, dowodził nimi Horowitz. Nawet na nim dżungla odcisnęła swe piętno. Policzki miał zapadnięte, pogryzioną szyję rozdrapał sobie do krwi. Aż się prosiło, żeby jakiś robał naskładał mu w ranach jajeczek.

–Proszę oddać broń! – rozkazał mi.

Nie miałem pojęcia, co znaczy ta wizyta, dlatego posлуchałem.

Doprowadzili mnie przed namiot dowódców, przedwczesna pobudka sprawiła, że większość ludzi wyszła już ze swoich hamaków.

Nawet de Glow był na nogach. Nie wyglądał na zaspanego ani wściekłego, miał swoją zwyczajową, powściągliwą minę.

–Panie generale, ten mężczyzna ukradł oficerowi broń. Tutaj! – Horowitz przedstawił swoje oskarżenie i podał de Glowowi mój miecz, który wczoraj wziąłem z kupki po poległych.

De Glow obrzucił broń przelotnym spojrzeniem.

–Do kogo należy ten miecz?

Milczałem, ponieważ zgodnie z przepisami zwykłego żołnierzowi nie wolno rozmawiać z oficerem wyższej rangi bez rozkazu, a Horowitz i tak by mi przerwał. Miałem nadzieję, że zaraz wszystko się wyjaśni. Nie popełniłem żadnego przewinienia, zachowałem się zgodnie z wojskowym prawem obyczajowym.

–Mój, panie! – Jako właściciel zgłosił się łysy kapitan i wystąpił o krok.

Miał dreszcze spowodowane gorączką i z pewnością nie wiedział, co mówi. Cierpiał na żółtą febrę w ostatnim stadium. Horowitz mógł mu wmówić cokolwiek.

–To nieprawda! – krzyknąłem i nagle leżałem na ziemi powalony ciosami drewnianych palek. Nie sądziłem, że Horowitz tak starannie poinstruował swoich ludzi i przegapiłem ostatnią okazję do ucieczki.

–Dziesięć razy batem. – De Glow bez mrugnięcia ogłosił wyrok i wrócił do namiotu.

Dziesięć razy wojskowym batem z żelaznymi kolcami rozbija mięso aż do kości, ze skóry nie zostaje zupełnie nic. Słabszym ludziom mocniejsze uderzenie niekiedy przetrąca kark. W środowisku, gdzie nawet najmniejsze otarcie groziło infekcją i gangreną, gdzie w mięsie roily się larwy pasożytów, to był pewny wyrok śmierci, który można porównać z inkwizycyjnymi i torturami.

Bez ceregieli przywiązali mnie za ręce do kłody i podnieśli do góry, żebym nie dotykał nogami ziemi. Gaust próbował protestować, ale na próżno. Kapitana, który swoim

oświadczeniem wydał na mnie wyrok, musieli odnieść do namiotu lekarskiego, ponieważ stracił przytomność.

–Zdechniesz, ty gnojku! – szepnął mi do ucha Horowitz, kiedy sprawdzał pętle na rękach.

–Zobaczymy – warknąłem.

Zamiast odpowiedzi plunął mi w twarz.

Czułem, jak rodzi się we mnie nienawiść. Gorąca i gorzka nienawiść. Staralem się ją wykorzystać, rozdmuchać w płomień, który utrzymałby mnie przy życiu. Gdyby się ze mnie nie wyśmiewał, pewnie umarłbym już podczas batożenia. Horowitz wybrał do egzekucji umięśnionego chłopca z niskim czołem. Z przyjemnością wypróbował bat na pniu rosłej palmy, łakomie się przy tym oblizując. Żelazne kolce zostawiały w korze grube na palec dziury. Złapałem się na tym, że na porozdzierany pień spoglądam z wybaluszonymi oczami. Gaust tymczasem włożył mi między zęby kawałek drewna. Przegryziony język wydawał mi się w tej chwili zupełnie nieistotny Skoncentrowałem się na twarzy Horowitza i przygotowałem na pierwsze uderzenie. Nienawidziłem tego paniczyka i chciałem zobaczyć jak umiera. Cholerne dupka, który chciał mnie zabić tylko z powodu nieporozumienia. Gnoja, zasmarkańca, pętaka. Przy pierwszym ciosie zadrzałem, przy drugim wyrwał mi się krótki jęk. Przy trzecim przestałem zauważać świat, została tylko rozmazana twarz Horowitza. Przy piątym z oczu pociekły mi łzy; nie z bólu, ale z wściekłości, ponieważ czułem, jak opuszczają mnie siły. Jeszcze przy ósmym wszystkie mięśnie miałem napięte, żeby chronić kręgosłup i ważne organy wewnętrzne przed raniącymi żelaznymi kolcami. Dziewiątego i dziesiątego nie pamiętam.

Obudziło mnie bzyczenie much. Natrętne i głośnie bzyczenie much. Chciałem się otrząsnąć, żeby uniemożliwić im złożenie jajeczek w moich otwartych ranach, ale mi się nie udało. Leżałem na brzuchu na czymś twardym. Bałem się tego, co nadejdzie.

–Spokojnie, żołnierzu, uważam na pana – usłyszałem uspokajający głos Gausta.

–Żadnego robactwa do pana nie dopuszczam.

Leżałem pod moskitierą, a Gaust zajmował się drobnymi muszkami, które przenikały przez delikatną tkaninę.

–Już dobrze, żołnierzu.

Wiedziałem, że kłamie, ponieważ trzęsła mną febra, źle widziałem i czułem, jakbym próbował wdychać wodę. Często traciłem przytomność, ale Gaust, przynajmniej kiedy byłem świadomy, nieustannie o mnie dbał. Co dziwne, wciąż obozowaliśmy w tym samym miejscu. Było ze mną coraz gorzej. Gaust twierdził, że trzeciego dnia przychodzi kryzys. Gorączka pomału trawiła moje serce, Czasem biło szybko, kiedy indziej powoli; puls, który w chwilach napięcia słyszałem jak regularne dudnienie dzwonów, zmieniał się w delikatny szelest. Nie chciałem umierać, z całej siły walczyłem ze śmiercią, z chorobą, z zakażeniem krwi i pasożytami, które roily się

wszędzie wokół mnie. Nie chciałem umierać, coraz bardziej nie chciałem. Nie z powodu pragnienia życia, miłości i innych pięknych rzeczy, które są tego warte. Nie chciałem umierać, ponieważ pragnąłem zobaczyć, jak umiera ktoś inny. Trzeciego dnia wieczorem Gaust usnął. Było mi niedobrze, było mi źle, było mi najgorzej od chwili, kiedy mnie batożyli. W żołądku, płucach i sercu czułem chłód, jakbym już w połowie był martwy. Ze śmiercią się pogodziłem, ale nie z przegraną.

Ściemniło się, ciągle bzyczenie ustalo i miałem wrażenie, jakby się ochłodziło. Z pewnością

spowodowała to gorączka. Gaust ze spuszczoną głową spał na krześle tuż obok mnie. Odgarnąłem moskitierę i wstałem. Wydawało mi się, że jestem ze szkła, w połowie niematerialny, niczym duch w rzeczywistym świecie. Kiedy jednak objąłem palcami rękojeść bata, na którym jeszcze gnily kawałki skóry z moich własnych pleców, część sił wróciła. Zataczając się, doszedłem do namiotu oficerów. Było mi wszystko jedno, czy ktoś mnie zobaczy. W drugiej ręce trzymałem nóż, gotowy zabić każdego, Horowitza znalazłem od razu, spał przy wejściu. Uderzyłem go rękojeścią bata w skroń. Osunął się z hamaka. Nie byłbym zadowolony, gdyby teraz umarł. Przerzuciłem go przez ramię i zaniósłem do dżungli. Wciąż czułem się niczym papierowa kukielka, ale kiedy niosłem paniczyka, nawet nie wydawał się ciężki. Wsunąłem mu w usta knebel i przywiązałem stojącego do drzewa. Mój ruch obudził owady, po chwili wokół nas bzyczały całe chmary much, moskitów i innego robactwa. Czułem, jak siadają na moich poranionych plecach, ale było mi wszystko jedno. Za moment będą mogły wybierać. Poczekalem, aż Horowitz się ocknie i mnie rozpozna. Znalazłem kawałek świecącego próchniejącego drewna, żebym mógł popatrzeć oficerowi w oczy. Wyglądał jak wystraszony królik. Nie było mi go żal, ani trochę. Przeszedłem do rzeczy. Bat w ciszy nocy opadał, wydając kłapiący dźwięk. Przy piątym uderzeniu Horowitzowi wypadł z ust knebel i zaczął krzyczeć. Nie przestawałem uderzać. Był wytrzymalszy ode mnie, zemdlał dopiero przy ostatnim, dziesiątym bacie. Obóz ożył, okoliczne warty starały się sprawdzić, co właściwie się dzieje. Nie ukrywając się, wróciłem do namiotu Gausta. Miałem szczęście. Albo nikt mnie nie widział, albo nikt mnie widzieć nie chciał.

Z omdlenia przecknąłem się dopiero rano, nade mną stał de Glow.

–Mam uzasadnione podejrzenia, że to on – powiedział do kogoś lodowato spokojnym głosem.

–Hrabio, czuwałem przy nim całą noc. Nie mam pojęcia, co się dzieje wśród waszych żołnierzy, ale ten mężczyzna nie opuścił namiotu. Ponadto wygląda jakby

miał trzy ćwierci do śmierci. Do tego, co pan opisuje, potrzeba by pięciu silnych mężczyzn – protestował Gaust.

Nie miał racji nawet w jednej kwestii. Nie miałem trzech ćwierci do śmierci. Śmierć siedziała mi w żołądku, w jelitach, w głowie, po prostu wszędzie. Byłem nią przesiąknięty na wylot.

–Wierzę panu. Przyniosą tu Horowitza. Proszę zrobić dla niego wszystko, co w pana mocy. To był obiecujący oficer – zgodził się de Glow po krótkiej przerwie. Sprawilo mi radość, że mówił o Horowitzu w czasie przeszłym.

Ponieważ obaj potrzebowaliśmy twardego podłoża, leżeliśmy z Horowitzem obok siebie. Innego stołu w obozie nie było. Spływające z nas krew, pot i ropa mieszały się ze sobą na zniszczonych dębowych deskach. Byliśmy sobie bliżsi niż dwoje kochanków. Nasz stan był podobny, ponieważ w nocy moje rany znów się otworzyły. Gdy nie słyszałem jęków Horowitza, słyszałem własne. Gaust na nasze plecy wylał resztki gorzalki. Agonia trwała następne trzy dni. Później przyszedł kolejny kryzys i to ja przeżyłem. Horowitz tylko się ocknął. Oddychał płytko, żyły na nadgarstkach i szyi miał nabrzmięte, puls ledwo wyczuwalny. Obserwował mnie na wpół przytomnym wzrokiem. Miał poranioną krtań i dzięki temu nikt nie rozumiał jego belkotu.

–Jeśli przeżyjesz, zostawię cię w spokoju – szepnąłem Horowitzowi do ucha. Oczy mu się

zaszklily i umarl.

–Jest pan dumny z tego, co zrobil? – zapytal Gaust.

Nie zauwazyłem doktora siedzacego w ciemnym kacie namiotu. W ciagu tygodnia, kiedy nie wiedzialem, co sie ze mną dzialo, stracil chyba z dziesiec kilogramow i ani troche nie przypominal różowego tusciocha.

Wzruszyłem delikatnie ramionami, poniewaz wciaz jeszcze czulem wszystkie rany.

–Nie ja wymyslilem reguly tej gry. Lecz jezeli nie chce umrzeć, musze sie nimi kierowac.

Nie odpowiedzial mi, zamknal tylko oczy i nie przestawal kręcic glowa.

Szybko zrozumialem, dlaczego.

Podczas mojej choroby nie ruszyliśmy sie z miejsca ani o piedz, poniewaz de Glow zdecydowal sie wyczyścic jak najszerszy obszar za naszymi plecami. Pięćdziesięcioosobowe oddzialy, z pomocą tubylczych tropicieli wynajetych na wschodzie, przez dwa dni przeczesywal teren o powierzchni mniej wiecej dwustu

kilometrów kwadratowych. Wynikiem operacji bylo piec zniszczonych wsi, zabitych w sumie stu pięćdziesięciu dzikich, wliczajac kobiety i dzieci, oraz trzystu naszych własnych martwych. Dwie trzecie bylo w goraczce, calkowicie wyczerpanych, pogryzionych lub chorych na cos, czego nikt nie zdolal nawet nazwac.

Rano, gdy mieliśmy wyruszyc w dalsza droge, de Glow wyglosil krótkie przemowienie. Musial powtarzac je piec razy, poniewaz w dzungli nie bylo dosc miejsca, gdzie moglibyśmy sie wszyscy zgromadzic.

Mowil o wielkiej operacji armii, ktorej jesteśmy ponoć strażą przednią. Naszym zadaniem bylo dojsc az do LowGhaki, doplywu FewGhaki, i wybudowac tam baze na zapasy i dla jednostek, ktore dotra rzeka. De Glow przemawial na swój sposob, bez szczypty emocji. W jego wersji nasz marsz wygladal jak spacer po parku, a nie minimalnie sto pięćdziesiat kilometrów przez zielone pieklo.

Moze de Glow byl arogancki, ale byl tez wysmienitym taktykiem i strategiem, nawet w dzungli mial doskonala orientacje. Zwiadowcy, ktorzy posuwali sie przodem przed regularnymi oddzialami, przeczesywali dzungle w formie szeroko rozpostartego wachlarza. Ja szedlem w najdalej wysunietej grupie. Po pewnym czasie stwierdzilem, ze zanim kolumna niezgrabnych ludzi rozdrazni zadalacych i klujacych mieszkancow puszczy, przez geste poszycie mozna przechodzic bez wiekszych problemow, omijajac niebezpieczenstwa. O ile oczywiscie czlowiek zwracal uwage, zeby nie rozdeptac gniazda malych skorpionow albo nie przedrzec sieci wlochatej pajakow czyhajacych na ofiare.

Dzungla wciaz sie zmieniala i w ciagu kilku dni wszyscy sie przekonaliśmy, ze to, co uwazaliśmy za zielone pieklo, bylo tylko przedpieklem. Po nastepnych dwuch dniach mialem ochote powiedziec, ze rajem. Delikatnie pofaldowany teren przedzielily glębokie doliny i jary. W jednej chwili czlowiek myslal, ze idzie po rowninie, zeby nagle stwierdzic, ze patrzy na szczytowe galęzie drzew rosnacych w rozpadlinie przed nim. Nigdy, nawet na najwyzszym wzgórzu, czy w okolicach najglębszej doliny, nie ujrzeliśmy slonca. Przedzieraliśmy sie przez dzungle w niekonczącym sie półmroku, niebo zaslanialy olbrzymie drzewa, zycie bujnie rozkwitalo wszedzie wokół nas, nad nami i pod nami.

Byl dopiero srodek dnia, a ja mialem juz powyzej uszu coraz bardziej pofaldowanego

terenu i coraz bardziej nieprzeniknionej dżungli. Najpierw zatrzymałem się tylko dlatego, żeby odpocząć, później jednak zauważyłem dwie świeżo ułamane gałęzie, które leżały skrzyżowane na ziemi. Wyglądało to jak znak.

Kropla potu spłynęła mi z czoła na nos i spadła na trawę. Dżungla przede mną była jeszcze ciemniejsza, teren łagodnie opadał. Ostrzeżenie? Dla kogo? Na moje niewypowiedziane pytania odpowiadały podniecone okrzyki i odgłosy walki. Z pewnością natrafiliśmy na wieś. Skuliłem się u podnóża dużego drzewa i rozejrzałem ostrożnie. Walka szybko się skończyła, lecz wciąż dobiegał mnie jakiś szelest. Zbliżał się i dochodził z wielu miejsc równocześnie. W zielonej plataninie dostrzegłem czarne postaci. Tubyłcy uciekali. Nie uciekali najkrótszą drogą, ale równoległe z nami. Siedziałem w kucki z mieczem w ręce, ostrze schowałem w trawie, żeby nie zdradził mnie błysk. Byłem do pasa nagi, pokryty potem i brudem, miałem nadzieję, że mnie nie zauważą.

Troje dzikich zatrzymało się na górcie niedaleko. Mężczyzna i dwie kobiety, jedna niosła w ramionach niemowlę. Niewysocy, wzrostem przypominali dzieci. Starsza kobieta wskazała na skrzyżowane gałęzie i coś wybelkotała. Mężczyzna pokręcił głową, rozbił kopniakiem znak, wziął dziecko i ruszył dalej we wcześniej obranym kierunku. Owionął mnie charakterystyczny korzenny odór ich ciał i już ich nie było. Przebiegli nie dalej niż pół metra ode mnie.

Usłyszałem głos obozowej trąbki obwieszczającej, że dziś rozbijemy obóz trochę wcześniej.

To był posępny wieczór. Dzicy bronili się tylko przez chwilę, a i tak zatrutymi strzałami dosięgli piętnastu żołnierzy. W nocy kilkakrotnie atakowali strażę, zginęli dwaj kolejni wartownicy. Teraz już nie masakrowaliśmy na wespół osiadłych rolników, ale prawdziwych łowców głów, kanibali, dla których walka była sensem życia. Poszedłem sprawdzić, co u Gausta.

Znalazłem go za zniszczoną chatą. Wygrzebał z ziemi roślinę z nienaturalnie dużym, przerośniętym korzeniem i starał się oddać jej wygląd w najdrobniejszych szczegółach. Wyglądał na zmęczonego i wycieńczonego, ale rysował w skupieniu i z zapalem.

–Odkrył pan coś ciekawego? – Oderwałem go od pracy.

–Ta roślina nazywa się Aquoe palet i większość uczonych twierdzi, że w ogóle nie istnieje. Jest trochę podobna do mandragory, lecz ona nie rośnie w tropikach. Według niektórych starych ksiąg wyciąg z korzenia pomaga na wiele chorób, a napar z liści przedłuża życie.

Przyglądałem się doktorowi. Za każdym razem, kiedy mówił o roślinach i o tym, jak za ich pomocą można pomagać ludziom, natychmiast wyglądał na o wiele mniej zatroskanego.

–Niech pan to wypróbuj. Jedna czwarta obozu ma gorączkę albo dreszcze - zaproponowałem.

–Ale ja nie jestem zupełnie pewny, czytałem o tym tylko w starych księgach. To może być trucizna! – zaprotestował.

–Większość z nas i tak umrze. Każda pomoc jest dobra – powiedziałem i poszedłem spać.

Zdałem sobie sprawę, dlaczego przełożyłem swój plan ucieczki. Nie chciałem zostawić tutaj Gausta samego. Bez moich sporadycznych odwiedzin już by się załamał.

Rano stwierdziłem, że Gaust całą noc pracował i wymieszał całe litry maści. Przygotował je nawet na kilka różnych sposobów, żeby stwierdzić, co będzie najlepiej pomagać. Jego eliksiry działały nad podziw dobrze, a Gaust promieniał. Z każdym człowiekiem, któremu udało

się pomóc, wracała mu energia. De Glow zarządził dzień przerwy w marszu, żeby drużyna porządnie odpoczęła.

Myślałem o skrzyżowanych gałęziach i o tym, dlaczego dzicy nie chcieli za nie przejść. Byłem jednak zbyt zmęczony, żeby samemu lecieć gdzieś do przodu i sprawdzać. Miałem nieprzyjemnie przeczucie, że będę jeszcze potrzebował całej swojej energii, żeby przeżyć w zdrowiu tę przygodę. Następnego dnia de Glow dał rozkaz do dalszego marszu w pierwotnie wybranym kierunku, to znaczy na teren oznaczony skrzyżowanymi gałęziami. Mimo że było to wbrew regulaminowi, poprosiłem generała o audiencję. Z powodu dużych strat w gronie oficerów awansowano mnie na sierżanta i mogłem sobie pozwolić na lekkie niedyscyplinowanie.

De Glow wysłuchał mnie w milczeniu. Gdyby nie miał mokrych plam potu na mundurze i rdzewiejących metalowych guzików, wyglądałby jak pokazowy żołnierz. Ja byłem do pasa nagi, z dwoma nożami za paskiem, maczetą w skórzanym pokrowcu przy pasie i mieczem na plecach. Nie zwracano już takiej uwagi na wygląd munduru jak na początku. Nawet się nie dało, ponieważ materiał od wilgocignił i butwiał z nieprawdopodobną szybkością.

–Zrozumiałem pana, sierżancie – powiedział tylko i kazał się odmeldować.

Rozkazu oczywiście nie zmienił.

Wyruszyliśmy. Zadałem sobie trud i wyprzedziłem pozostałych zwiadowców o sto metrów. Szedłem dosłownie na czubkach palców. Nieustannie się rozglądałem, co chwila wciągałem nosem powietrze i nasłuchiwałem. Teren opadał i zrobiło się jeszcze ciemniej, mimo że w niesłabnącym upale ponad koronami drzew panował żar tropikalnego dnia. Schodziliśmy do rozległej i głębokiej doliny. Zmieniło się poszycie dżungli, gleba zmiękła pod dywanem butwiejącej roślinności. Aż do tej pory stąpaliśmy po twardym podłożu, ponieważ nieprawdopodobnie szybki wzrost i rozkład roślin w deszczowym lesie uniemożliwiał nagromadzenie roślinnych resztek, jak to bywa w lasach na północy. Teraz było inaczej. Zieleni ubywało, aż została tylko wysoko nade mną. Nagle szedłem wśród czarnych kolumn gołych kamieni porośniętych delikatnym mchem i grudkami pasożytniczych grzybów. Warstwa gnijących resztek pod nogami roila się miliardami robaków i larw o przedziwnych kształtach. Coś, co wyglądało jak glaz, nagle z trzaskiem się rozpadło i uwolniło w przestrzeń chmurę szybko rozprzestrzeniających się zarodników. Zrozumiałem. Ta dżungla trawiła sama siebie. Bez słonecznego światła, w wilgoci i ciemnościach zachodził wolny proces rozkładu, grzyby i pleśnie pasożytowały na wszystkim, co żyło. Chrobotanie drobnych mieszkańców butwiejącej materii w panującej ciszy robiło straszne wrażenie. Wydawało mi się, że nawet tlenu jest mało i łapałem się na tym, że ciężko mi oddychać. Ostrożnie, żeby niczego niepotrzebnie nie dotknąć i nie uszkodzić, skradałem się dalej.

W końcu przeszliśmy przez dolinę, ale przyplaciliśmy to życiem czterdziestu ludzi. Siedmiu zabił grzyb, którego wybuch widziałem, pozostali zmarli, ot tak, bez widocznej przyczyny.

W ciągu kolejnych trzech dni dwa razy zaatakowali nas dzicy; wnioskując z barw, jakimi byli wymalowani, należeli do różnych plemion. Broń jednak mieli taką samą: proce, dmuchawki, małe łuki z zatrutymi strzałami, balsowe strzałki do rzucania, włócznie oraz dżunglę – a ta im pomagała najbardziej. Czwartego dnia rano pojawili się pierwsi „spleśniali”. Zaczynało się od zielonej plamki w miejscu, gdzie się człowiek zaraził, w większości na ramionach albo barkach. W dotyku plamka była aksamitna i stopniowo się rozrastała. Ludzie cierpieli na coraz silniejsze

ataki bólu, aż nie byli w stanie iść.

W ciągu dwóch dni ich skóra stawała się zielona i w końcu umierali nieprzytomni. Myślałem, że Gaust oszaleje. Czego by nie zrobił i tak nie pomagało. Nie potrafił nawet zakażonym ulżyć przed śmiercią. Na moje nalegania jednego

umarłego otworzył. Wszystkie organy wewnętrzne były porośnięte aksamitną zieloną pleśnią. Tego wieczora siedział w moim hamaku jeszcze długo w nocy. Najpierw płakał, potem tylko kołysał się i trząsł. Był zbyt wrażliwym człowiekiem, lepszym niż wszyscy pozostali, i płacił za to okrutną cenę. Zawdzięczałem doktorowi życie i chętnie bym mu pomógł, ale nie miałem pojęcia, jak. Dlatego więc zostałem. Gdyby nie Gaust, dawno zawróciłbym z powrotem na południe i zostawił de Glowa, żeby sobie radził, jak potrafi.

* * *

De Glow zdołał zachować dyscyplinę jeszcze przez niecały tydzień. Narzekanie szeregowych żołnierzy się nie liczyło, ponieważ pomstowali cicho i tylko wtedy, kiedy nikt ich nie słyszał. Zauważyłem jednak, że oficerowie mają coraz bardziej chmurne miny i czasem przyglądają się sobie badawczo. Wiedziałem, że w chwili, kiedy zostanie naruszony łańcuch wojskowego dowodzenia, gdzie de Glow uprzejmie wydaje polecenia oficerom, ci mniej uprzejmie, ale wciąż jeszcze stosunkowo grzecznie popędzają sierżantów, a ci już zupełnie bezwzględnie i bez skrupulów wyżywają się na drużynie, dyscyplina naszego oddziału rozpadnie się jak domek z kart. Po dwóch dniach obserwacji odkryłem, kto stoi w centrum konspirujących oficerów. Koncentrowali się wokół siwowłosego kapitana, który kierował przejściem przez FewGhakę. Z pewnością również i ich cała ta wędrówka do wnętrza dżungli, połykająca ludzkie życia jak mrówkojad mrówki, zaczęła napelniać wstrętem. Nasze straty wynosiły już ponad czterdzieści procent. Nawet cesarz nie lubił, kiedy poświęcało się życie jego żołnierzy tylko z powodów taktycznych. Bunt wybuchł następnego dnia rano. Kapitan, w towarzystwie trzech innych oficerów, czekał przed namiotem de Glowa. Kiedy hrabia wyszedł na zewnątrz, zasalutował zgodnie z regulaminem i natychmiast zaczął:

–Panie generale, domagamy się powrotu do obozu bazowego.

Mówił pewnie, bez śladu jakichkolwiek wątpliwości w głosie.

–Na dziś wydałem już rozkazy – odpowiedział mu spokojnie de Glow, mimo iż musiał wiedzieć, że nie jest to tylko zwykła dyskusja między dowódcami. Ta odbyłaby się w ustronnym miejscu, poza zasięgiem wzroku szeregowych żołnierzy. Wydawało się, że nie dostrzega stojących przed nim oficerów, a oczami błądzi po okolicznej dżungli.

–Jeśli nie zmieni pan rozkazów, będę zmuszony pozbawić pana dowództwa – kontynuował kapitan, jakby przygotowany na podobny rozwój sytuacji.

–Zapomina pan, kto jest wyższy rangą – powiedział de Glow z poważną twarzą.

–Nie, panie generale. Mamy podstawy podejrzewać, że nie postępuje pan zgodnie z rozkazami cesarza. W takim przypadku mam prawo i obowiązek pozbawić pana dowództwa.

Drużyna zaczęła gromadzić się wokół, ale wszyscy trzymali się z boku, żeby nikt ich nie mógł skojarzyć z całą sytuacją.

–A te podejrzenia zyskał pan w jaki sposób? – zapytał drwiąco de Glow.

–Od chwili, kiedy opuściliśmy obóz bazowy, nie dostaliśmy żadnej wiadomości, nie dogonił nas nawet jeden kurier i nie przywieziono dalszych zapasów.

–Wciąż mamy jeszcze wystarczającą ilość prowiantu – odrzekł de Glow.

–Tak. Z powodu naszych licznych strat. Ponadto nie byliśmy poinformowani o tym, czy grupa, z którą mamy spotkać się nad LowGhaką, rzeczywiście wyruszyła. Bez niej nasze starania są zbyteczne – kontynuował kapitan.

–Ja byłem informowany – powiedział de Glow.

–Jak, panie generale?

Wzrok hrabiego ześliznął się na ludzi przed nim.

–Jeśli nie ma mi pan już nic do powiedzenia, proszę wrócić do swoich obowiązków. Konsekwencje naruszenia dyscypliny wyciągnę wobec pana później, kiedy będzie na to lepszy czas – spróbował zakończyć rozmowę.

Kapitan pokręcił głową.

–Twierdził pan generał, że ta operacja jest osobistym przedsięwzięciem Jego Cesarskiej Ekscelencji i cytował nam pan jego plany. Przejrzałem wszystkie pańskie rzeczy i nic nie znalazłem. Żadnych rozkazów, żadnych spisów haseł, żadnych dokumentów, żadnych poleceń wydawanych magazynom wojskowym. Znalazłem tylko rachunki potwierdzające, że częściowo ponosi pan koszty tej wyprawy. Pozbawiam pana dowództwa, panie generale! – zakończył zdecydowanie.

De Glow odsunął lewą nogę o stopę w tył, w powietrzu mignęło smukłe ostrze w serii cięć. Trzech oficerów natychmiast upadło na ziemię, tylko kapitan trzymał się jeszcze na nogach, ponieważ zdążył odeprzeć zamach lewą ręką. De Glow zakończył swój atak niską septymą. Pozwolił kapitanowi sięgnąć po broń, a później cięciem po skosie w górę odciął mu dłoń. Coup de grâce. Tak jak i pozostali ludzie, stałem w całkowitej ciszy. Nie miałem pojęcia, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Trzej

oficerowie byli martwi, jeszcze zanim ucichł szelest stali wyciąganej ze skórzanej pochwy. De Glow był prawdziwym mistrzem w sztuce dobywania miecza.

–Ci żołnierze dopuścili się buntu wobec cesarskiego majestatu i zostali słusznie ukarani, zgodnie z prawem wojskowym. Jest to również ostrzeżenie dla pozostałych. Pochodzenie, ranga nie mają znaczenia. Cesarska sprawiedliwość obowiązuje wszystkich. Za pół godziny wyruszamy. Ktoś jeszcze ma jakieś wątpliwości? – zapytał de Glow i rozejrzał się po obecnych.

Oficerowie omijali go wzrokiem, z długiego, delikatnie zakrzywionego miecza w jego ręce wciąż skapywała krew. Miałem wątpliwości, ale nie byłem pewien, czy potrafiłbym je generałowi należycie wytłumaczyć. Był naprawdę szybki. Najlepszy szermierz, jakiego kiedykolwiek widziałem. Zaczynałem być ponadto ciekawy, o co tu właściwie chodzi.

Dalej przedzieraliśmy się przez dżunglę i nikt nie wiedział, dlaczego. Oficerowie już nie bardzo wierzyli, że nad LowGhaką mamy połączyć się z kolejnymi oddziałami cesarskimi, i jedynym powodem podporządkowania się dowództwu de Glowa był strach. Strach przed jego mieczem i przed tym, że bez generała nie przeżyliby w dżungli ani chwili. Grupa trzydziestu ludzi podjęła w nocy próbę zbiorowej ucieczki. Rano znaleźliśmy ich bezgłowe korpusy porzucane wokół obozowiska. Prawie co drugi dzień rzuciła się na nas gromada dzikich mieszkańców puszczy. Byli jak niewidoczne cienie zlewające się z dżunglą i jadowici niczym najbardziej podstępne stworzenia. De Glow mimo to wciąż wyglądał jak salonowy elegant, któremu może czasem było trochę za gorąco, ale poza tym wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Wielu ludzi w jego spokoju, rozwadze i umiejętności reagowania,

również na te najbardziej nieprzewidywalne zmiany sytuacji, widziało jedyną nadzieję ratunku, a niektórzy uczepli się myśli, że wszystko dzieje się zgodnie z wolą cesarza i na końcu pełnej utrapień wyprawy czeka nas wielka nagroda. W odróżnieniu od pozostałych, w wystawianej na pokaz normalności de Glowa widziałem dowód jego absolutnego szaleństwa. Nikt zdrowy psychicznie nie zdołałby ze stoickim spokojem wytrzymać nieznośnego upału, wysokiej wilgotności powietrza, larw pasożytów, które sadowiły się we wnętrznościach i było tylko kwestią czasu, kiedy zaatakują któryś z ważnych dla życia organów, jak mózg, serce czy wątroba. Widziałem mężczyzn, którzy ze wstrętem w oczach rozdrapywali rany, żeby z żywego mięsa wydobyć coraz większe larwy pożerające ich żywcem, albo przeciwnie - mężczyzn, którzy popadali w całkowitą apatię, nie jedli, nie pili i umierali z

przeżrzenia i odwodnienia. Tylko de Glow ciągle wyglądał niczym na balu urodzinowym Jego Cesarskiej Ekscelencji. W końcu ciekawość mi przeszła i w każdej chwili rozmyślałem o tym, że jednak nie zrobię w tył zwrot i nie zostawię de Glowa, nawet z żalną resztką jego okazalej kiedyś armii, na pastwę zielonej dżungli kipiącej życiem i śmiercią. Zostałem z powodu Gausta, bez mojej pomocy już dawno by umarł. Dzicy zabiliby go podczas któregoś ze swoich niezliczonych ataków albo padłby z wyczerpania, ponieważ zapominał o jedzeniu i piciu. Całą wolę skoncentrował na tym, żeby utrzymać przy życiu rannych i chorych. Podziwiałem Gausta, mimo że jego starania były zupełnie bezskuteczne. Żaden z żołnierzy, którzy do niego trafili, nie przeżył, ponieważ dżungla pożerała zranionych o wiele szybciej niż zdrowych. Chociaż nikt z nas nie był już całkiem zdrowy. Martwych wciąż przybywało i pewnego dnia oficer zaopatrzeniowy przestał ich liczyć. To był początek definitywnego rozkładu. Gaust prawie nie spał, mieszał swoje eliksiry, ocierał ludziom spocone czoła, chronił przed owadami, opiekował się nimi, mimo że sam padał ze zmęczenia. Robił dokładnie to co dla mnie, kiedy pielęgnował mnie po batożeniu. Pewnego razu, kiedy obudziłem się ze zmęczenia w środku nocy, zobaczyłem, jak rysuje kolejną roślinę. Gdyby tylko ocalił mi życie, zostawiłbym doktora tutaj i oszczędziłbym. Ale ja go też podziwiałem. Był nieprzystosowany do otaczającego nas świata, wręcz niezdolny do tego, żeby przeżyć, ale mimo to wydawał mi się lepszy niż większość ludzi, których kiedykolwiek spotkałem. Wydawał mi się lepszy niż ja sam. Tylko dlatego zostałem, uważałem na Gausta i wciąż pracowałem dla szalonego de Glowa jako zwiadowca.

To, że do czegoś się zbliżamy, dało się odgadnąć już pół dnia wcześniej. Roślinność była jeszcze gęstsza i jeszcze trudniejsza do przebycia niż wcześniej, małpy wrzeszczały głośniejsze, a bzyczenie wszechobecnych owadów uniemożliwiała normalną rozmowę. Byłem tak zmęczony, że nawet nie miałem siły zastanowić się, co mogło spowodować te zmiany. Tak jak milion razy wcześniej machnąłem maczetą, przeciąłem zasłonę z pnących figowców i posunąłem się kolejny krok do przodu. Pod nogami zachlupotało mi błoto, a po kolejnych dziesięciu metrach po raz pierwszy od wielu tygodni ujrzałem słońce. Przez moment stałem oślepiony i dopiero chwilę później się rozejrzałem. Dżungla się nie kończyła, jedynie na dwieście, trzysta metrów przerwana została przez leniwą, pełną meandrów rzekę. Dotarliśmy do LowGhaki. Woda miała czerwonawy kolor i tylko pośrodku koryta widać było oznaki prądu. Poczulem powiew wiatru i natychmiast zadrżałem z zimna. Na drugim brzegu rozpościerało się niekończące się morze dżungli, z którego wyrastały gdzie

olbrzymie drzewa wznoszące się na wysokość nawet trzystu pięćdziesięciu stóp. Teren za rzeką łagodnie się wznosił. Za moimi plecami pojawili się ludzie, ktoś westchnął:

–Słońce.

W życiu nie słyszałem, żeby powiedziano jedno jedyne słowo z takim entuzjazmem i radością. Stopniowo wszyscy zgromadziliśmy się na skraju dżungli i wciąż trwaliliśmy w nabożnym milczeniu.

–Wróćcie do tego wielkiego daktylowca i rozbijcie tam obóz – zakłócił spokój de Glow.

Odwróciłem się w stronę generała. Radość z osiągnięcia celu ani trochę go nie obeszła. Po tygodniach ciężkiej wędrówki również na nim odcisnęło się zmęczenie i wyczerpanie, ale poza tym wciąż miał tak samo nieokreślony wyraz twarzy. Ktoś zaprotestował, ale wystarczyło jedno spojrzenie de Glowa, żeby jakiegokolwiek wyrzuty ustały. Ruszyłem z powrotem. De Glow miał rację, ponieważ nad wodą musiały być całe chmary moskitów. Wieczorem pożarłyby nas żywcem. Ponadto po tygodniach w gorącym piekle wszyscy prawdopodobnie byśmy się wychłodzili.

Leżałem w hamaku i obserwowałem Gausta. Trud marszu i cierpienie jego pacjentów pozbawiły doktora energii, został z niego tylko cień niegdysiejszego optymistycznego grubaska. Mimo to, kiedy opatrzył ostatniego chorego, wyciągnął swoją skrzynkę z pergaminami i zaczął przerysowywać roślinę, którą gdzieś znalazł już wczoraj.

–Dlaczego pan nie odpocznie? – spytałem.

Gaust podniósł na mnie wzrok.

–Nie mogę usnąć. A jeśli przypadkiem mi się to uda, budzą mnie koszmary senne.

Już wcześniej mi zdradził, że prześladowają go duchy wszystkich ludzi, którym udzielał pomocy i którzy umarli na jego rękach.

–Wierzy pan de Glowowi? Że będziemy tutaj budować twierdzę? Pokręcił głową.

–Wszyscy umrzemy.

Może miał rację, ale ja nie chciałem, żeby tak to się skończyło. Nie chciałem, żeby ten jeden konkretny człowiek umarł.

Przez kolejne dwa dni budowaliśmy tratwy. Zostało nas pięćdziesięciu dwóch, z czego dwunastu niezdolnych do niczego. De Glow jakby nie zdawał sobie sprawy z naszej sytuacji. Po trzech dniach ciężkiej pracy byliśmy gotowi do przeprowadzenia się

przez LowGhakę. Ostatnie zapasy jedzenia załadowano na największą tratwę, czekaliśmy na kolejny poranek. Widziałem, że wszyscy, najgłupszy i najodważniejszy, obawiają się momentu, kiedy staniemy na ziemi, której noga cywilizowanego człowieka jeszcze nigdy nie dotknęła.

Zmęczony sierżant odtrąbił capstrzyk. Poczekałem, aż wszyscy zasną. To, co planowałem zrobić, było szalone i niedorzeczne, ale wydawało mi się właściwe. Niektórzy ludzie, jak de Glow czy ja, spokojnie mogą umrzeć gdzieś w zielonej dżungli, ale inni nie. Są ludzie, którzy są świetnymi towarzyszami, których po prostu szkoda. Zgodnie z rozkazem mieliśmy trzymać straże, ale kiedy koło północy niechcący nadepnałem pośrodku obozu na suchą gałąź, nikt nie zareagował. Jednego rannego po drugim zaciągałem na tratwę z zapasami. W większości nawet nie jęknęli. Gausta obudziłem dopiero wtedy, kiedy skończyłem z przemieszczaniem naszego szpitala polowego. Wiele trudu kosztowało mnie dobudzenie doktora, spał jak nieprzytomny.

–Ludzie pana potrzebują, pogorszyło się im – powiedziałem do niego półgłosem.

Ta informacja dotarła do jego otępiałego, znajdującego się na granicy szaleństwa mózgu nawet przez zasłonę zmęczenia i posłusznie poszedł za mną.

–Proszę wsiąść – polecilem.

Posłuchał, a kiedy zepchnąłem tratwę na rzekę, zrozumiał, co zamierzam.

–Za dziesięć dni będzie pan już poza dżunglą. Poślę za panem paru ludzi, którzy chętnie panu pomogą – powiedziałem mu na pożegnanie. Później pochłonęła go ciemność.

Zacząłem ostrożnie budzić zdrowych mężczyzn. Do każdego podchodziłem w taki sam sposób: ostrze noża przykładalem na tętnicy szyjnej, a później poklepywałem żołnierza w ramię. Kiedy po zmianie tętna krwi poznawalem, że się budzi, szeptałem:

–Felczer uciekł wraz z rannymi i zapasami. Może chciałbyś im towarzyszyć?

Mężczyźni, którzy przeżyli ostatnie tygodnie, mieli może wiele wad, ale z pewnością nie byli głupi i w sztuce przetrwania orientowali się doskonale. Tylko jeden okazał się idiotą i próbował wszczać alarm. Wykrwawił się od razu w swoim hamaku. Przed świtaniem nie została na brzegu ani jedna tratwa. Z zadowoleniem położyłem się w hamaku i spróbowałem wykorzystać resztkę nocy na odpoczynek.

Obudziłem się trochę później niż de Glow. Przechadzał się po brzegu niczym lew w klatce i coś niezrozumiale pomrukiwał.

–A dlaczego pan nie zdezerterował? – spytał, widząc jak nadchodzę. Wzruszyłem ramionami.

–Chyba mi nie dowierzali. Przez chwilę mi się przyglądał.

–Dobra, sierżancie. Jesteśmy tutaj ostatnimi ludźmi cesarskiej armii, ale wciąż znajduje się pan pod moim dowództwem. Zbudujemy małą tratwę i przedostaniemy się na drugi brzeg.

–Jeśli mi pan w tym pomoże – powiedziałem i skrzywiłem się.

Pracowaliśmy nad tratwą całe trzy dni, ponieważ we dwóch ciężko było nosić drewno. De Glow pracował za dwóch i tylko dzięki jego zaangażowaniu zbudowaliśmy tratwę tak szybko. Bez problemów przedostaliśmy się na drugą stronę. W trzcinach przy brzegu pełno było krokodyli, a ja tylko miałem nadzieję, że Gaust ma się na baczności.

Im dalej, tym byłem bardziej ciekawy, co zmusiło wysoko postawionego szlachcica do przedzierania się coraz głębiej do wnętrza dżungli. Kontynuowaliśmy podróż szybciej niż kiedykolwiek przedtem. De Glow w ogóle się nie odzywał, ale z nieomylną dokładnością wybierał najbardziej dostępną drogę. Kilka razy uniknęliśmy nawet dzikich, którzy przemierzali dżunglę po własnych szlakach myśliwskich. Może generał był szalony, ale miał sporo sił i musiałem się starać, żeby za nim nadążyć.

Dziesięć dni po tym, kiedy wysłałem do domu Gausta i resztę jednostki, rozbiliśmy obóz na miniaturowej polanie powstałej po powalonym leśnym olbrzymie. Drzewo wywróciło się zaledwie przed paroma tygodniami, ale polana zaczęła już zarastać płataniną krzewin i krzaków. Nasze maczety z młodymi roślinami poradziły sobie bez problemu. Cały dzień wydawało mi się, że dżungla jest trochę inna. Rozmyślałem nad tym i dopiero wieczorem stwierdziłem, że wydaje się młodsza. W tropikalnym lesie deszczowym nawet najwyższe drzewo wyrasta w ciągu niecałych stu lat, ale tu brakowało różnorodności i spiętrzenia krzewów, które powstają dopiero po setkach czy tysiącach lat. Dlatego przed snem udałem się

jeszcze na mały spacer. Po mniej więcej trzystu metrach w kierunku północnym natknąłem się na stopień terenu wysoki prawie na dwa metry. Ciemność uniemożliwiła mi dokładne jego zbadanie, ale wyglądał na zbyt regularny, aby był stworzony siłami natury.

Wróciłem do obozu. De Glow układał się właśnie w hamaku i przykrywał moskitierą. Już się nie dziwiłem, dlaczego nie cierpi tak jak my, szeregowi żołnierze.

Jego moskitierą była wykonana z tak delikatnej tkaniny siatkowej, że rzeczywiście nie przedostawał się przez nią nawet najmniejszy owad.

–Dlaczego tu jesteśmy? – zapytałem.

Cisza była tak długa, że myślałem, że generał nie odpowie.

–Nie jest pan zwyczajnym sierżantem? – powiedział w końcu.

Nie wiedziałem, dlaczego miałbym zdradzać tajemnicę swego pochodzenia, ale z drugiej strony byłem pewien, że co najmniej jeden z nas stąd nie wróci. Dlatego nie miałem oporów, żeby trochę z nim porozmawiać.

–A gdybym powiedział, że nie? – odrzekłem.

Nocne owady tęsknie bzycały w ciemności. Kiedy spojrzałem na ziemię, zobaczyłem dziesiątki, a może setki świecących stworzeń. Mimo że była noc, dżungla nie zasypiała.

–Nie zdziwiłbym się – odpowiedział de Glow po długiej przerwie.

–Pochodzę z rodziny szlacheckiej – przyznałem. Nie kłamałem, choć nie była to oczywiście cała prawda. De Glowa moja odpowiedź zadowoliła.

–Wie pan, służyłem cesarzowi całą swoją duszą – zaczął, a jego „wie pan” brzmiało bardziej uprzejmie. Z pewnością należał do tych, którzy tylko szlachciców uważają za ludzi. Innych zaliczają do robactwa.

–Byłem jednym z najlepszych generałów cesarza i przyczyniłem się do jego sławy jak nikt inny.

Słuchałem w napięciu, ponieważ według moich informacji, o sobie, jako o jednym z najlepszych i najpopularniejszych generałów cesarskiej armii, powinien mówić w czasie teraźniejszym. Moja cierpliwość jednak nie zdała się na nic – de Glow usnął.

Rano rutynowo zniszczyliśmy obóz i wyruszyliśmy w dalszą drogę do wnętrza dżungli. Miałem nieprzyjemne wrażenie, że ktoś nas obserwuje, ale mimo starań nie znalazłem żadnego śladu czyjejś obecności. Przed południem dotarliśmy do kolejnego stopnia terenu, który rozciągał się równoległe do poprzedniego. Kiedy de Glow go dostrzegł, zatrzymał się na moment, ale w żaden sposób nie skomentował zmiany ukształtowania dżungli. Posuwaliśmy się dalej. Uczucie, że po piętach depczą nam nieproszeni tropiciele, nasilało się, ale ciągle jeszcze nie udało mi się dostrzec nawet cienia. Przed zmrokiem natrafiliśmy na kolejny stopień. Tym razem zadałem sobie trud i nie zważając na niecierpliwe poganianie de Glowa, szczegółowo go zbadałem. Kiedy odsunąłem warstwę roślin i gliny, stwierdziłem, że stopień dawno temu zbudowali ludzie ze starannie ociosanych kamiennych bloków. Do snu ułożyliśmy się w ciszy.

Rano miałem poczucie, jakby w powietrzu unosił się charakterystyczny korzenny zapach tubylców, ale znów nie znalazłem nawet najmniejszego śladu. Może zaczynałem wariować? Po dwóch godzinach marszu natknęliśmy się na czwarty olbrzymi stopień. Tutaj już na pierwszy rzut oka było oczywiste, że jest to praca ludzkich rąk. Nie zatrzymaliśmy się i szliśmy dalej. Dżungla szybko zmieniała swój charakter. Leśne olbrzymy zniknęły, mijaliśmy wiele

powalonych drzew, które z pewnością miały problemy z zakorzeniem się. Po kolejnej godzinie przedzierania się przez coraz gęstsza, bambusową, krzewiastą dżunglę, zatrzymaliśmy się przed piątym stopniem. Wszystkie biegly równolegle do poprzednich. Nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że są to jakieś gigantyczne schody. Opanowanie de Glowa roztopiło się jak lód na słońcu, prawie biegł do przodu. Zostałem w tyle. Czasem widziałem nienaturalny ruch gałęzi, ale było mi wszystko jedno. Ktokolwiek by nas śledził, nie mieliśmy szansy uciec. Pokonaliśmy kilka następnych stopni. Za każdym razem były trochę niższe i leżały bliżej siebie. Dżungla szybko rzedła, jakby roślinności brakowało substancji odżywczych. W końcu ujrzeliśmy schody, które wydawały się nie mieć końca, ciągnące się na szczyt ukryty gdzieś w dali. Zrozumiałem, że stąpaliśmy po zboczu gigantycznej schodkowej piramidy. Dogoniłem de Glowa wycieńczonego szybkim biegiem. Głęboko oddychał, patrzył w kierunku szczytu. Na ile zdołałem oszacować odległość, dzieliło nas od niego co najmniej pół kilometra.

–Pan o tym wiedział, prawda? – spytałem.

Przytaknął.

–Według najstarszych zapisów teren ten zamieszkiwała niegdyś stara, rozwinięta cywilizacja. Całe państwo było podobno jednym prosperującym miastem-parkiem, a pośrodku niego stała największa piramida, jaką kiedykolwiek zbudował człowiek.

–A dlaczego tu jesteśmy? – przerwałem jego tłumaczenia. De Glow opuścił ramiona i uciekł wzrokiem w bok.

–Zakochałem się w córce Jego Cesarskiej Ekscelencji.

Niczego nie rozumiałem. Uroda córek crambijskiego cesarza była powszechnie znana i jak się zdołałem zorientować, pieśni trubadurów i portrety nie kłamały. Połowa wysokich oficerów crambijskiej armii była zakochana w cesarzównach. Platonicznie, oczywiście.

–Cesarz przyłapał mnie w jej komnatach – kontynuował spowiedź de Glow.

Stłumiłem gwizdnicie. Z tego, co mówiło się o cesarzu i co ja sam o nim

wiedziałem na podstawie osobistych doświadczeń, takiego intruza zabiłby na miejscu własnym mieczem. Nagle przypomniałem sobie mistrzostwo de Glowa w szermierce. Może nawet cesarz, zwycięzca kilku imperialnych turniejów, nie ośmieliłby się mu przeciwstawić?

–Nie rozumiem, w czym problem. Jest pan jednym z najwyżej postawionych szlachciców cesarstwa i jego najlepszym żołnierzem. Może to niecodzienne przespać się z córką władcy, a dopiero później poprosić o jej rękę, ale panu raczej by to uszło – powiedziałem, żeby rozmowa nie ustała.

De Glow wybuchnął:

–Przespać się z córką cesarza? Nigdy, powtarzam: nigdy bym sobie na to nie pozwolił! Kocham ją! Ma dopiero czternaście lat, a ponieważ nie chciałem zranić jej uczuć, poszedłem zapytać, czy byłaby rada, gdybym podczas piętnastych urodzin poprosił o jej rękę.

Opanowanie de Glowa znikło, twarz miał wykrzywioną nienawiścią, oczy mu błyszczały. Wyglądał jak człowiek, który znajduje się na granicy poczytalności. Odniosłem wrażenie, że coś ukrywa, że chce coś powiedzieć, a nie może. Zdecydowałem się go zachęcić:

–Uważam, że pana, pierwszego żołnierza imperium, cesarz by wysłuchał i

wszystkie pobudki zrozumiał. Oczywiście o ile nie przyłapał pana na pozbawianiu jego ukochanego dziecka dziewictwa.

De Glow zsiniał.

–Nie! Ja przyłapałem jego!

Przez chwilę obaj milczeliśmy.

–Zobaczył pan, jak cesarz współżyje ze swoją najmłodszą córką? – zapytałem bez owijania w bawełnę.

Wydawało mi się to niewiarygodne.

De Glow charczał, w kącikach ust pojawiła się piana.

–Zatrzymałem go jeszcze... jeszcze przed tym – udało mu się w końcu wykrztusić. – Był pijany, broniła się, chciał ją zgwałcić. Powstrzymałem go – wyrzucił z siebie, dysząc, wyglądał przy tym jak zaszczute zwierzę.

–Chciałem go zabić, ale nie potrafiłem. Bo to był cesarz. Mój cesarz -powiedział w końcu cicho.

–I co było potem? – spytałem.

–Zostawiłem go tam leżącego z rozbitą twarzą i wróciłem do koszar swojej jednostki.

Rozmyślałem. Dla obu zainteresowanych była to dość trudna sytuacja. Cesarz nie mógł pozwolić, żeby ta historia nabrała rozgłosu, a jednocześnie nie mógł, ot tak, kazać stracić swego dowódcę numer jeden, żołnierza, którego sam wielokrotnie odznaczył, generała, który był podporą armii i całego cesarstwa. Ponadto żołnierze byli lojalni wobec de Glowa, a nie władcy. Jedyne rozwiązanie, jakie przyszło mi do głowy, to morderstwo na zlecenie.

–I co było dalej? – spytałem.

–Po dwóch dniach dostałem od cesarza list. Proponował w nim ugodę: moje samobójstwo za zachowanie majątku i przywilejów dla mojej rodziny.

Skrzywiłem się w duchu. Do sprytu władcy władców jeszcze dużo mi brakowało. To było bardziej eleganckie i dużo prostsze rozwiązanie.

–A dlaczego jest pan tutaj?

De Glow przy tym pytaniu się wyprostował, jakby wrócił mu animusz.

–Pochodzę z potężnego rodu szlacheckiego i nie mogę dopuścić, żeby nasze imię splamić czymś takim, jak samobójstwo. Rozgłosiłem, że cesarz przydzielił mi specjalne zadanie i wyruszyłem ze swoimi ludźmi tutaj.

Pomału do mnie docierało, co właściwie miał na myśli.

–Żeby tutaj umrzeć? – upewniłem się, że dobrze rozumiem.

De Glow przytaknął.

–Nie wierzę w legendę, że kto wejdzie na szczyt tej piramidy, stanie się królem wszystkich dzikich. Nie wierzyłem nawet w istnienie tego miejsca. Tylko że wielu ludzi wierzy. Cesarz stara się przesunąć granice imperium na południe już kilkadziesiąt lat. Będą o mnie mówić, że z honorem padłem za imperium!

Na chwilę stanął przede mną stary de Glow, fanatyczny wojownik i wielbiciel cesarstwa. Trzy tysiące ludzi umarło tylko z powodu legendy szlacheckiego szaleńca.

–Powinien pan go zabić – powiedziałem głośno.

–To cesarz, nie mogłem go zabić!

–Jeśli chciał zgwałcić swoją córkę, spróbuje to zrobić ponownie. Pan jednak już nie będzie mógł mu w tym przeszkodzić. Nikt nie będzie mógł – przesadnie akcentowałem słowa, patrząc de Glowowi uważnie w oczy.

–Nie! To było tylko nagle pomieszanie zmysłów! To się już nigdy nie powtórzy! To cesarz! – krzyczał.

–Jest pan największym biedakiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem, hrabio - kontynuowałem. – Cesarz ma pięć córek. Całkiem możliwe, że zgwałcił każdą z nich. Dziewczynę, którą pan kocha, zostawił pan na pastwę jej ojca, najpotężniejszego człowieka na świecie. Na pastwę ojca, który gwałci własne dzieci.

De Glow zaatakował. Uratowało mnie tylko to, że już go widziałem w akcji.

Instynktownie odbiłem błyskawiczny atak maczetą, jej ostrze wyryło na ostrzu miecza głęboką bruzdę. Odparłem cięcie w kolano. W samą porę się zebrałem i w końcu sam dobytełem miecza. Brzęknęła stal, odparłem trzy ataki idące po sobie tak szybko, że wyglądały jak jeden. Próbowałem wybić de Glowa z rytmu twardym kryciem z kontr uderzeniem. Ostrza naszych mieczy się zetknęły, błysk słonecznego światła odbitego od stalowej powierzchni na moment mnie oślepił. W ostatniej chwili uratowałem się głębokim odchyłem do tyłu, koniec jego miecza lekko przejechał mi po piersi. Nagle w ręce trzymałem tylko rękojeść miecza, reszta leżała na ziemi. W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć, że ta perfekcyjna broń pękła. Ze zdziwienia spóźniłem obronę, ostrze wsparło się na mojej piersi.

–Przy najmniejszym ruchu umrzesz – powiedział.

Zamarłem i wbilem w niego wzrok, żebym mógł przewidzieć, co zrobi w następnej chwili. Kątem oka zauważyłem wokół nas ruch dżungli, ale nie odważyłem się nawet na moment oderwać spojrzenia od pary szalonych szarych oczu. Wtem pojawiło się w nich jakieś zdziwienie, potem zmętniały. Przedramieniem zepchnąłem ostrze w bok i odsunąłem się o krok. Zbytecznie, ponieważ de Glow bezwładnie przewrócił się na ziemię. W jego szyi tkwiła mała strzałka z czerwonym puchem.

Rozejrzałem się.

Stali wszędzie wokół. Niewysocy, śniadzi, żyłaści, ale umięśnieni. Oprócz przepasek na biodrach i jakichś „czapeczek”, które nałożyli na prącia, byli nadzy. Twarze mieli naznaczone rytualnymi bliznami, w rękach trzymali włócznie, dmuchawki i kamienne siekiery. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że mierzyli nie tylko do mnie, ale również do siebie nawzajem. Zacząłem się rozglądać, w jakim kierunku najszybciej mógłbym się ruszyć, żeby zejść z zasięgu linii, ale człowiek z wypisanym na twarzy okrucieństwem lekko pokręcił głową. Dmuchawkę trzymał tuż przy ustach. Ktoś gniewnie krzyknął, napięcie zgęstniało. Zrozumiałem, że stoję otoczony przez dwie grupy nieprzyjacielskich wojowników. Ich przywódcy, w obu

przypadkach mali, pokręceni ze starości starcy, zaczęli się sprzeczać. Mowa w niczym nie przypominała dialektu, którym porozumiewali się lowcy głów. Zauważyłem, że wśród wojowników plemienia, do jakiego należał mężczyzna, który zniechęcił mnie do ucieczki, są również kobiety. Też były prawie nagie, brakowało im tylko owych „czapeczek”. Rozmowa naczelników się skończyła. Zrozumiałem, że jedna grupa weźmie martwego de Glowa, a druga mnie. Naczelnik, któremu przypadłem, przez chwilę mi się przyglądał. Jego twarz przypominała łupinę starego kokosa, sylwetkę miał pokręconą przez krzywicę czy inną chorobę. Mimo

starości miał białe zęby bez żadnej skazy. Coś rozkazał, część wojowników spoczęła. Później wskazał kierunek i gestem zachęcił mnie do marszu. Lekko się rozluźniłem. Nie zamierzali mnie zabić, przynajmniej nie od razu. Odwróciłem się do okrutnika, żeby sprawdzić, czy przypadkiem on nie ma nic przeciwko. Zobaczyłem tylko jego grymas, w powietrzu mignęło coś czerwonego, na twarzy poczułem ukłucie. Ugięły mi się kolana i upadłem jak szmaciana kukielka. Leżałem na plecach, między czubkami drzew prześwitywały niebieskie plamy nieba. Ciężko dyszałem, ale do płuc nie docierało ani trochę powietrza. Dusilem się. Kontury w polu widzenia stopniowo się rozmazywały, rozpaczliwie starałem się oddychać, ale wciąż nie dawałem rady. Przestałem czuć własne ciało. Nagle pojawiła się nade mną kobieca twarz. Próbowałem wytłumaczyć, że się duszę. Była coraz bliżej. Zaczynałem tracić świadomość. Przed wpadnięciem do czarnego tunelu nieświadomości uratował mnie przyływ gorącego powietrza. Na wargach poczułem usta kobiety, zrozumiałem, że pomaga mi oddychać. Później świat szerniał.

Świat wciąż był ciemny, ale dźwięki wróciły. Szelest, chrobot, wrzask drapieżników, odgłosy nocnej dżungli. Kobieta wciąż pochylała się nade mną i za każdym razem, kiedy podnosiła głowę, a życiodajny prąd powietrza ustawał, walczyłem z panicznym strachem, że pozwoli mi umrzeć.

Nadszedł poranek. Wdech, wydech. I znów. Moja klatka piersiowa poruszała się powoli i niechętnie, prawie niezależnie od mojej woli. Mimo że starałem się głęboko odetchnąć i pozbyć nieustannego poczucia połowicznego przyduszenia, nie udawało się. Dziewczyna siedziała opodal, plecami oparta o palmę, przyglądała mi się wyczerpana.

–Wszystko ze mną w porządku – zaskrzeczałem.

Mój własny głos brzmiał obco. Wstała z trudem i pokazała w tym samym kierunku, co wczoraj jej naczelnik. Kiwnąłem głową, próbując wstać. I nagle upadłem. Coś było ze mną nie w porządku.

Podpierała mnie na każdym kroku, momentami prawie niosła. Była mała, na pierwszy rzut oka delikatna, ale skrywała się w niej nieprawdopodobna ilość energii i woli. Pod wieczór doszliśmy do tubylczej wsi. Byłem tak wyczerpany, że nie miałem siły się rozglądać. Doprowadziła mnie do chaty z lian i palmowych liści, usiadła na macie i powiedziała tylko dwa słowa:

–Cho vuana.

Później dowiedziałem się, że to znaczy: „nigdzie nie chodź”.

Zostałem przymusowym gościem plemienia leśnych dzikusów. Przez pierwsze dwa dni nie byłem zdolny w ogóle do niczego. Na zewnątrz nie wychodziłem, wciąż tylko leżałem i rozmyślałem. Nie rozumiałem swojej fizycznej niesprawności, nie miałem pojęcia, co się właściwie stało na piramidzie, dlaczego jedna grupa zadowolili się trupem, dlaczego ten człowiek do mnie strzelił, nie wiedziałem, z jakiego powodu tubylcza dziewczyna tak się troszczyła, żeby mnie uratować. Miała na imię Aelin. Znaczną część myśli poświęcałem właśnie jej. Spała ze mną w chacie i zupełnie bez wstydu przede mną chodziła naga. Obserwując ludzi przez plecione ściany chaty, zrozumiałem, że przepaski na biodra są dla nich ubraniem na specjalne okazje i w codziennym życiu wolą pełną nagość. Mężczyźni mieli oczywiście swoje ochraniacze penisów. Niektórzy przywiązywali je do uda, inni na brzuchu. Aelin nie miała więcej niż sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, lecz była dojrzałą młodą kobietą. Miała małe

jędrne piersi, krągłe biodra, a pod aksamitną czekoladową skórą rysowały się twarde mięśnie. Nie zauważyłem ani jednego włoska na jej ciele, nawet na łonie. Z pewnością miało to związek z przystosowaniem się do życia w gorącej i wilgotnej dżungli. Długie, kasztanowo-brązowe włosy zaś były gęste. Dziewczyny w ogóle nie peszyło, że tak otwarcie jej się przyglądam. Była bardzo piękna i dziwiło mnie, że wcale nie wzbudzała we mnie pożądania. Nawet kiedy kładliśmy się obok siebie spać. Albo było to spowodowane kompletnie nieskrywaną nagością, albo moim złym stanem fizycznym. Urodę Aelin psuła tylko duża zygzakowata blizna po wewnętrznej stronie lewego uda. Zgadywałem, że rana może mieć pięć, sześć lat. Nogę z pewnością rozharatało jakieś zwierzę. Nie miało ostrych pazurów, ponieważ te by rozcięły skórę. Tutaj tkanka została z wielką siłą rozerwana, a później zrosła się w szeroką bliznę.

Trzeciego dnia zdołałem sam usiąść i równocześnie poczułem głód. Aelin musiała wiedzieć, jak się czuję, ponieważ po raz pierwszy przyniosła mi coś do jedzenia. Przedtem dostawałem tylko wodę.

–Dziękuję – powiedziałem, kiedy podała mi miskę z jakąś kaszą.

W oczach błysnęło jej wesolo i wyrzuciła z siebie długie zdanie, z którego nie zrozumiałem ani jednego słowa.

–Nie rozumiem cię – rzekłem głośno i próbowałem powtórzyć to, co powiedziała. Potem wzruszyłem ramionami.

Uśmiechnęła się. Miała w oczach coś szelmowskiego. Nie potrafiłem tego nazwać, ale podobało mi się.

–Dziękuję, nie rozumiem cię – dokładnie powtórzyła moje słowa, też wzruszyła ramionami i pokazała na siebie i na mnie. Tak stałem się uczniem i nauczycielem jednocześnie.

W ciągu kilku dni ku swemu zdumieniu stwierdziłem, że ich mowa jest nader skomplikowana i ma wiele reguł gramatycznych. Zdziwiło mnie również, że Aelin uczy się o wiele szybciej niż ja. Mówię czterema językami, kolejnych pięć rozumiem, ale w porównaniu z dziewczyną byłem zupełnym antytalentem. A mnie jeszcze nakręcała chęć dowiedzenia się o wszystkim wokół jak najwięcej.

Nauka mnie bawiła i wydawało się, że ją również. Jednak wciąż byłem uwięziony w chacie i to mnie złościło. Nie byłem więźniem Aelin, lecz więźniem własnego ciała. Wystarczył jeden gwałtowniejszy ruch i strasznie brakowało mi powietrza. Nigdy nie słyszałem o truciznie, która działałaby w podobny sposób. Nie umiałem sobie nawet wyobrazić całego procesu, ponieważ żeby trucizna mogła działać tak długo, musiałaby być wciąż dostarczana do organizmu. Albo musiałoby to być długotrwałe zatrucie.

Aelin nie spędzała ze mną w chacie całych dni, zazwyczaj wychodziła, kiedy jeszcze spałem, i wracała wczesnym południem. Uczyliśmy się tak długo, dopóki byłem w stanie mówić.

–Dlaczego ty mnie uratować? – Brzmiało pierwsze pytanie, które jej zadałem. Przez chwilę mi się przyglądała.

–Naczelnik Kyrizma chce ty żywy – odpowiedziała w moim własnym języku. Wierzyłem jej, ponieważ ten starzec pokazywał mi drogę do wsi. Nie była to jednak odpowiedź na moje pytanie.

–Dlaczego mężczyzna strzelić ja? – kontynuowałem w jej języku ojczystym.

–Może on nie słyszeć rozkaz, albo myśleć ty uciekać gdzie indziej.

Byliśmy jak dwa barany, każdy mówił językiem tego drugiego. Tym razem jednak nie uwierzyłem Aelin.

–To nieprawda, kłamstwo. – Odpowiedź poparłem gestem i to był błąd.

Natychmiast pociemniało mi w oczach, przez długie minuty w zupełnym bezruchu starałem się oddychać jak najgłębiej, żeby dostarczyć ciału tlenu, którego tak okropnie mu brakowało. Płuca jeszcze mnie nie słuchały. Aelin siedziała obok i obserwowała.

–Tak, to nieprawda – powiedziała, kiedy trochę przyszedłem do siebie. – Ryok zły człowiek, lubić zabijać.

Mimo że na razie nie opuściłem chaty, poznałem dwóch tubylców. Naczelnika ludzi dżungli, których po swoich doświadczeniach z Aelin nie odważyłem się dalej nazywać dzikusami. Musiał być rozumnym człowiekiem, ponieważ podczas sprzeczki z obcym plemieniem wybrał ugodę, a nie walkę, i ponadto coś planował – chciał mnie do czegoś wykorzystać. Ryok był mężczyzną, który kochał śmierć. To właśnie powinien mi zdradzić jego grymas, z którym posyłał mnie na tamten świat.

W nocy miałem erotyczny sen. Kochałem się z Aelin. Leżałem na plecach, ona okrakiem siedziała na moim brzuchu. Byłem w niej, rytmicznie poruszała się z góry na dół i z podnieceniem coś mruzczała. Nie widziałem twarzy dziewczyny, ponieważ zasłaniały ją długie włosy. Kiedy podnieciła mnie aż do orgazmu, znieruchomiała i popatrzyła z uwagą. Wyglądała na zadowoloną – jak kobieta, która dopięła swego, ale z seksem nie miało to nic wspólnego. Rano obudziłem się pierwszy, leżeliśmy obok siebie na matach tak samo jak każdego innego dnia. Była piękna, tak, podobała mi się, ale znów nie czułem żadnej żądzy. Usiadłem. Uświadomiłem sobie, że nie oddycham tak ciężko jak wcześniej. Wstałem. Poczulem się trochę gorzej i potrzebowałem chwili, zanim doszedłem do siebie, ale jakoś poszło. Wyglądało na to, że zaczynam zdrowieć. Swymi próbami przestępowania z nogi na nogę obudziłem Aelin. Przyglądała mi się z uśmiechem.

–Dlaczego ty śmiać? – spytałem.

–Ponieważ patrzeć na kogoś, kto się tak cieszy jak ty, być bardzo przyjemnie. Skrzywiłem się w odpowiedzi. Wieczorem wytłumaczyłem Aelin zasady odmiany czasownika „być”, a ona natychmiast zaczęła mówić o klasę lepiej. Ja systemu ich fleksji w ogóle nie pojmowałem. Zapewne byłem o wiele lepszym nauczycielem niż studentem.

–Wieczorem pójdziemy odwiedzić Kyrizmę – powiedziała. – Chce mówić z ty... z tobą – poprawiła się.

Odważyłem się na krótką przechadzkę. Aelin nie protestowała, ale zauważyłem, że towarzyszy mi z oddali. Z pewnością nie dlatego, że obawiała się mojej ucieczki. Wieś stała na małym wzniesieniu w dżungli. Widziałem pień przewróconego leśnego olbrzyma, leżący opodal. Wiedziałem, że podobne polany, gdzie docierają promienie słońca, w krótkim czasie zarastają wieloma młodymi drzewkami, które rywalizują o to, które z nich stanie się kolejnym drzewem olbrzymem. Tutaj ktoś zadał sobie wielki trud, żeby tak się nie stało i – wręcz przeciwnie – systematycznie polany poszerzał. Naliczyłem trzydzieści cztery maleńkie chatki, ale stwierdziłem, że mali ludzie żyją w mniejszych grupkach pod gołym niebem. Odkryłem prostą zagrodę z kilkoma prosiętami i grupę palm, które ktoś z pewnością posadził. Nie miałem pojęcia, jaki miał z nich pożytek. Spotkałem tylko paru ludzi. Byli to albo starcy, którzy z pewnością nie mieli siły na poszukiwanie pożywienia w dżungli, albo małe dzieci. Przyglądały mi

się przez chwilę, a później zbiegły się wokół i wciąż mnie dotykały. Najbardziej fascynował je zarost i blizny. W ich szczebiotaniu przeważały słowa „duży” i „włochaty”. Naliczyłem ośmioro dzieci. Jak na osadę o trzydziestu czterech domach wydawało mi się to dość niewiele.

Zostałem na zewnątrz, chociaż dorośli zaczęli już powracać z dżungli. W większości tylko mi się przyglądali, nikt mnie bezpośrednio nie zagadnął. Ja nie zaczynałem rozmowy, żeby z faktu, że ich trochę rozumiem, a oni o tym nie wiedzą, wyciągnąć jak najwięcej. Uważali mnie za wojownika i często używali słowa, którego nie znałem. Od czasu do czasu ktoś rzucał półgłosem niezrozumiałą uwagę i pokazywał w kierunku chaty Aelin. Później się dowiedziałem, że słowo, które w związku ze mną wypowiadali, oznaczało przepowiednię.

Wieczorem usiadłem w domu Kyrizmy. Chaty były zbudowane z łożyny i liści palmowych odstraszających owady, dlatego w środku było o wiele przyjemniej niż na zewnątrz. Starzec przyglądał mi się w milczeniu.

–Szybko wróciłeś do zdrowia – przywitał mnie starszą wersją języka urzędowego obowiązującego na większości terenów imperium crambijskiego. Trochę mnie tym zaskoczył.

–Nie spodziewałem się, że mówisz wieloma językami – powiedziałem. Wzruszył ramionami.

–Więcej rzeczy jest niespodziewanych. Chciałem pogwarzyć z tobą o drugim mężczyźnie, któryż Lovinom przypadł.

Ktokolwiek go uczył języka, zadał sobie wiele trudu, żeby naprawdę był to archaiczny wariant. Tak się nie mówiło nawet przed stu laty.

–Masz na myśli de Glowa? Nie rozumiem, dlaczego zadowolili się martwym. Musisz być dobrym negocjatorem.

Zbył moją uwagę machnięciem ręki.

–On z mocnego rodu pochodził, powiedziałbym. Silny mąż on?

Skinąłem głową i dokładnie mu opisałem, kim był de Glow. Ani razu mi nie przerwał.

–A ty? – spytał, kiedy skończyłem.

–Nazywam się Koniasz i tułam się po świecie. To, jak się dostałem aż tutaj, to zabawna historia, ale ponieważ nie przydaje mi honoru, nie będę cię nią obarczać.

Kyrizma uśmiechnął się z rozbawieniem. Wnioskując z tego, jak niechętnie jego pomarszczona skóra układała się w zmarszczki, nie robił tego już od dawna.

–Mężczyźni twego pokroju jeno z powodu kobiet niedorzeczności popełniają, a ci, którzy mądrość w sobie naprawdę mają, wiek, kiedy z powodu kobiet głupot nie poczynią, osiągną.

Przez chwilę wydawało mi się, że chętnie by do tego czasu wrócił.

–To wszystko, co od ciebie wiedzieć chciałem, było. Nie zapomnij, że jeśli o ucieczkę się pokusisz, moi wojownicy dościgną cię i zabiją. Oni dżunglę dużo lepiej niż ty znają.

Nie skomentowałem tego. W stanie, w jakim się znajdowałem, dałoby mi radę nawet tych ośmioro dzieci, z którymi spotkałem się przed południem. Gdy wychodziłem, Kyrizma wyglądał na zamyślonego. Coś z pewnością go niepokoiło i miało to jakiś związek ze mną. Zdecydowałem się, że swoją niewolą zacznę się zajmować, kiedy będzie to miało sens, kiedy będę zdrowy.

Z każdym dniem wracały mi siły. Kontynuowałem naukę języka z Aelin i pomagałem w

niektórych pracach. Nauczyłem się przy tym wielu rzeczy i poznałem pozostałych ludzi. Największą opieką otaczali specjalny gatunek palmy rodzącej wielkie owoce z tłustym miąższem przypominającym mięso. Sadzili je wszędzie wokół. W niedalekiej dżungli było kilka miejsc, gdzie uprawiali pataty i inne rośliny, których nazw nie znałem. Nie można było tego uznać za poletka we właściwym znaczeniu tego słowa. Raczej wykorzystywali to, że dana roślina gdzieś występuje i dostosowywali okolicę tak, żeby lepiej rosła. Stwierdziłem, że cała wieś co jakiś czas się przemieszcza.

Początkowo myślałem, że jest to spowodowane szybką utratą urodzajności ich minipoletek, ale później się dowiedziałem, że cel i termin nowej przeprowadzki wyznacza Kyrizma i nikt nie ma pojęcia, czym się kieruje. Wszyscy jednak swego naczelnika poważali. Wszyscy, z wyjątkiem Ryoka. Jego nie spotkałem. Podobno był samotnikiem i czasem przez długie tygodnie włóczył się po dżungli. Z tonu, jakim wszyscy o nim mówili, zrozumiałem, że mam właściwie szczęście.

Po kilku dniach znów miałem erotyczny sen. Był podobny do poprzedniego, lecz o wiele bardziej wyrazisty. Pamiętałem z niego zapach Aelin i żar jej aksamitnej skóry. W pewnej chwili próbowałem przesunąć ją pod siebie, ale nie pozwoliła na to. We śnie była o wiele silniejsza niż ja.

Byłem już w tak dobrej kondycji, że wybierałem się z Aelin na długie wyprawy. Nauczyła mnie przyglądać się dżungli w sposób, którego wcześniej nie znałem. Tam, gdzie z armią de Głowa pracowicie przebijaliśmy się przez poszycie, ona znajdowała wygodną drogę. Wystarczyło znać właściwe rośliny, żeby człowiek zdołał odpędzić znaczną część wszechobecnych owadów. Niektóre liany dostarczały smacznego płynu świetnie gaszącego pragnienie. Ale najwspanialej było, kiedy wspięliśmy się na górę. Gałęzie, rośliny pnące, liany, bromelie, figowce, napowietrzne korzenie drzew, po prostu wszystkie rośliny tworzyły na wysokości czterdziestu, pięćdziesięciu metrów zielony świat, który zamieszkiwały niezliczone rzesze zwierząt i ptaków. Jeśli na ziemi Aelin umiała biegać, na wysokości koron drzew latała. Z nieomylną precyzją znajdowała drogę z drzewa na drzewo, huśtała się na lianach, a tam, gdzie ich nie było, pomagała sobie własną cienką i elastyczną linką albo po prostu skakała. Początkowo trzymałem się z tyłu i wspinałem bardzo ostrożnie. Byłem jednak cięższy niż Aelin i brakowało mi jej nieprawdopodobnej oceny odległości i kociego refleksu. Pewnego razu pokazała mi mały krzaczek z nieciekawymi na pierwszy rzut oka owocami, przypominającymi małe, niedojrzałe gruszki.

–Bardzo smaczne – powiedziała.

Popelnilem błąd, że nie patrzyłem jej przy tym w oczy. Za każdym razem, kiedy robiła któryś ze swoich psikusów, oczy jej błyszczały. Miałem w zwyczaju próbowanie wszystkiego, co było do jedzenia, i Aelin to wiedziała. Zjadłem jedną gruszczkę i naprawdę nie była zła. Zapachem przypominała jagody, smakiem orzechy. Specyficzna kombinacja. Sięgnąłem po drugą, ale dziewczyna mnie powstrzymała.

–Powinniśmy iść, czeka nas długa droga.

Wspinaliśmy się na wysokość koron drzew po pustym pniu figowca, potem skakaliśmy w powietrzu. Posuwaliśmy się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej i do celu, jeziora w dżungli, dotarliśmy jeszcze przed południem. Uświadomiłem sobie, że stoję na skalistym brzegu i śmieję się do całego świata. To mnie zdziwiło, zazwyczaj mam raczej chmurną minę. Później

przypomniałem sobie, jak beztrąsko skakałem przez ośmiometrowe przepaści, wlałem na korony drzew wznoszących się wysoko nad zielonym morzem listowia, rozkoszowałem się rozległymi widokami, a później zjeżdżałem w dół z samobójczą szybkością. Podejrzliwie zerknąłem na Aelin:

–Te gruszki?

Przytaknęła, a w oczach jej błysnęło. Była piękna, żywiołowa, pełna energii i szalonych pomysłów, które natychmiast realizowała. Przyszło mi do głowy, jakby to było kochać się z nią tutaj, na brzegu jeziora.

–Bardzo silny narkotyk. Pomaga w dokładnej ocenie odległości, człowiek jest również przez chwilę silniejszy i w ogóle pobudza na wiele sposobów.

Potocznym językiem mówiła wprost doskonale i nieustannie ze mnie drwiła. Zrozumiałem, że doskonale wie, co teraz czuję.

–Że też nie wzięłaś i ty... Zrobiła skruszoną minę.

–Ja się nie boję skakać z drzewa na drzewo.

–Już nigdy tego nie spróbuję, a wspinać się będę powoli jak żółw – odgrażałem się.

–Zobaczymy – ucięła rozmowę i rzuciła się do wody.

Miałem nadzieję, że wie, co robi. W niektórych wodach może się ukrywać mnóstwo potworów z ostrymi zębami.

W drodze powrotnej początkowo trzymałem się z tyłu, lecz później stwierdziłem, że nawet bez gruszek ryzykuję bardziej niż to miało miejsce wcześniej. Było to oszalamiające uczucie pędzić w powietrzu pięćdziesiąt metrów nad ziemią i polegać tylko na swojej spostrzegawczości i sile.

Po powrocie nieopodal wsi spotkaliśmy Kyrizmę. Z jednym pomocnikiem mierzył coś w lasku gęsto rosnących palm.

–Już jestem zdrów – powiedziałem. Natychmiast zrozumiał, do czego zmierzam.

–Tobie się nie podoba, że stąd odejść nie możesz.

–Mogę stąd odejść i ty o tym wiesz – sprzeciwiłem się.

–W dżungli nie możesz się z wojownikami mymi mierzyć. Umrzesz.

–Ale odejść mogę.

Stał naprzeciw mnie, stary, pokrzywiony szaman z dżungli i badawczo mi się przyglądał. Mimo że był prawie nagi, tylko zupełny głupiec mógłby uznać go za dzikusa.

–Tak, każdy mężczyzna może zrobić wszystko, co wolał jego jest – zgodził się w końcu. – Nie chcesz jednak na uroczystość, młodzieńcze, poczekać i więcej się dowiedzieć?

Zgodziłem się. Miałem wrażenie, że chce zrobić ze mną jakiś interes i czułem, że wszystko będzie korzystniejsze niż ucieczka ze zgrają ludzi z dmuchawkami za plecami. Aelin przysłuchiwała się naszej rozmowie w milczeniu.

–Większość wojowników szybciej skacze po drzewach niż ja. A ja jestem szybsza niż ty – powiedziała, kiedy wracaliśmy do jej chaty. Dłużej nie trzeba się było nad tym rozwodzić. Nie wierzyłem, że Aelin dąży do tego samego celu co Kyrizma.

Według mnie miała jakieś inne ukryte intencje.

–Nie jesteś przypadkiem jego córką? – spytałem. Popatrzyła na mnie i przez chwilę nie rozumiała, o czym mówię.

–Nie wiem. Dziecko ma matkę, a jego ojcem są wszyscy mężczyźni z plemienia. Widać bardzo sobie uprościli sprawę ojcostwa – z pewnością dla dobra wszystkich.

Znów śniło mi się, że kocham się z Aelin, ale tym razem miałem świadomość, że to sen. Czulem gorąco jej ud i wilgoć łona. Dłońmi gładziłem ją po biodrach i wspomagałem rytmiczny ruch, który doprowadzał mnie do ekstazy. Spróbowałem przesunąć ją pod siebie, lecz z góry zakładałem, że to się nie uda. A jednak! Przeturlaliśmy się po macie i znalazłem się na górze. Po raz pierwszy ujrzałem jej twarz. Była podniecona, ale nie tak bardzo, jakbym pragnął.

–Udało się – powiedziała z ulgą.

Tak mnie to zdziwiło, że zamarłem. Wyśliznąłem się z Aelin. Nic nie rozumiałem. Ściana chaty zatrzeszczała, kiedy nieostrożnie się o nią oparłem, światło księżycy przechodzące przez lożinę rysowało na piersiach dziewczyny chaotyczną sieć bladych nitek.

–To nie jest sen – usłyszałem swój głos.

–Nie – przytaknęła.

Usiadłem obok Aelin, czując się głupio. Jeśli do tej pory nagość dziewczyny mnie nie podniecała, teraz było zupełnie odwrotnie. Uważałem jednak, żeby jej nie dotknąć.

–Strzałka, którą Ryok cię trafił, była nasmarowana jadem malej żaby drzewnej. Trucizna powoduje, że ofiara, człowiek lub zwierzę, dusi się. Nie dlatego, że paraliżuje mu płuca lub zatrzuwa krew. Po prostu przestajesz oddychać, nie potrafisz zmusić płuc, żeby nabierały powietrza, a klatka piersiowa poruszała się w górę i w dół. Dlatego musiałam pomagać ci oddychać. Lecz trucizna w tobie pozostała, płuca pracowały bardzo słabo i płytko. Najgorzej było w nocy, kiedy spałeś. Czasem przestawiałeś oddychać zupełnie. Pomóc mogło tylko podniecenie, które przebudza śpiący mózg. Dla mężczyzny najlepszy jest seks.

–Kochaliśmy się każdej nocy? – spytałem.

–Czasem wystarczyło ci popieścić i zaczynałeś oddychać regularnie.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Chyba żaden mężczyzna tego by nie wiedział.

–Dlaczego tak się poświęcałaś? – powtórzyłem pytanie, które niedawno jej zadałem.

–Dlatego, że czegoś od ciebie chcę.

To brzmiało logicznie. Z jednymi mężczyznami kobiety kochają się tak po prostu, od drugich czegoś za to chcą. Zazwyczaj pieniędzy, czasem czegoś innego. Jestem najbrzydszym facetem, jakiego widziałem: pokryty bliznami, chudy, wysoki, z twarzą pełną szram. Zawsze musiałem płacić za miłość. A Aelin ponadto uratowała mi życie.

–A czego chcesz? – zapytałem najbardziej handlowym tonem, na jaki mogłem się zdobyć.

Spojrzała na mnie, nie widziałem jej oczu, tonęły w cieniu.

–Chcę, żebyś kogoś zabił.

Milczałem. Zabijałem wielokrotnie, ale zawsze tylko wtedy, gdy ktoś nastawał na moje życie. Nigdy nie zabijałem na zlecenie innych. Było to dla mnie jeszcze za trudne.

–Ty się boisz – źle sobie wytłumaczyła moje wahanie.

Potrząsnąłem głową.

–Boję się, że będę musiał odmówić. Ocaliłaś mi życie, jestem ci winien więcej niż będę w stanie kiedykolwiek spłacić. Lecz nie zabiję tak po prostu kogoś, kogo mi

pokażesz, ponieważ krzywo na ciebie spojrzal.

–Tylko spojrzal? – wybuchnęła. Rozsunęła nogi i pokazała bliznę.

Nagle ta ohydna szrama nabrała dla mnie zupełnie innego znaczenia. Wolalem patrzeć Aelin w twarz.

–Tego nie zrobil mi wzrokiem. Bawilismy sie razem juz jako dzieci. W dzungli pracowal najrzeczniej, lubilam go, a on byl szczesliwy, kiedy z nim przebywalam. Wiedzielismy, ze gdy przejdzie wtajemniczenie, zbudujemy wspolnie chatę. Tylko ze on, dorastajac, zaczal sie zmieniać. Juz jako chlopiec byl silniejszy od wielu mezczyzn, a jego sila wraz z wiekiem zaczela jeszcze rosnać. Stal sie zly i porywczy. Wszyscy sie go bali. Byl najlepszym lowca, najlepszym wojownikiem, potrafil mieszac trucizny jak Kyrizma. Ale podobalo mu sie, kiedy zadawal innym cierpienie. Powiedzialam mu, ze go nie chce, ze go nie kocham i ze nigdy nie bede z nim spac. Wzial mnie przemoca i bardzo przy tym skrzywdzil. Te ranę zrobil mi jednym ruchem tak latwo, jak ty zabijasz muchę. Chodz, cos ci pokaże. – Podniosla sie i podala mi reke.

Szedlem za nia w ciemnosć dzungli. Potykajac sie, uszlimy prawie pol mili.

–Jesteśmy teraz w palmowym lasku, gdzie przeszedl wtajemniczenie i stal sie mezczyzna. Chlopcy tańcza między mlodymi palmami i musza uderzac w pnie golymi rekami w rytm bębna. Kto uderza zbyt slabo, nie jest gotowy, zeby byc doroslym.

Poloz tutaj reke – pokazala.

W grubym pniu palmy namacalem glębokie na dlon zagłebienie.

–I tutaj. – Podeszla do innego drzewa. Znalazlem pieć glębokich dziur, które wygladaly jakby ktos jednym ruchem wcisnal palce w kore.

–Boi sie tylko Kyrizmy, ale kiedyś i tak go zabije. A to bedzie nasz koniec, poniewaz Kyrizma jest nasa pamiecia, zna rzeczy, o których wszyscy pozostali dawno zapomnieli i tylko dzieki niemu nie stalismy sie zupelnymi dzikusami, jakimi sa lowcy glów.

–Zapomnialas mi powiedziec, o kim mowisz – zachecilem ja, choc z gory znalem odpowiedz.

–O Ryoku.

–Jak zareaguja mieszkancy wioski, jesli go zabije?

Watpliwosci zostawilem dla siebie. Jeszcze nigdy nie spotkalem faceta, który zamiast dloni mial szczeki krokodyla.

–Nikt nie powie ani slowa.

Wrocilismy w milczeniu do chaty i poszlimy spac. Po raz pierwszy nie moglem usnac i, co dziwne, nie myslalem o walce, która mnie czeka, ale o Aelin.

Rano czulem sie zadziwiajaco dobrze. Wydarzenia minionej nocy wydawaly mi sie tak odlegle, jakby nigdy sie nie zdarzily.

–Zrobisz to? – spytala Aelin.

Przygladala mi sie, a w oczach nie miala nawet iskiereki wesolosci.

–Wyzwe Ryoka na pojedynek. Mezczyzna jego pokroju nie przegapi takiej mozliwosci.

Skinela glowa.

Slonce bylo jeszcze nisko, lecz ptaki i owady juz rozpoczely swój ogluszajacy koncert na powitanie nowego dnia, kolejnej perly na pozornie niekonczajacym sie naszym życiu wiecznosci.

Szedłem do wsi, żeby się rozejrzeć i przypomnieć Kyrizmie o jego obietnicy. Aelin szła obok. Ludzie powoli się budzili, na ich ospale twarze wracało życie. Lubię poranki – są wspaniałe czyste.

Nagle cały dobry nastrój minął jak ręką odjął. Wszyscy stanęli w gotowości i patrzyli w jednym kierunku. Z zielonej ściany deszczowego lasu wyszedł Ryok. Miał minę, jakby mnie nie zauważył, wiedziałem jednak, że widzi mnie tak samo dobrze jak ja jego. Zmierzał w naszym kierunku, szedł luźno, swobodnie. Nie miał więcej niż metr osiemdziesiąt, ale w porównaniu z innymi tubylcami wyglądał niczym olbrzym. Nie był nadmiernie umięśniony, siła, której natura mu nie poskąpiła, nie spoczywała w potężnych i twardych mięśniach, jak u niektórych zapaśników, lecz tkwiła gdzieś wewnątrz. Jego ciało musiało działać inaczej, lepiej niż ciała pozostałych. Już był tylko o kilka kroków od nas. Byliśmy jak dwa koguty. On to wiedział, ja to wiedziałem, wszyscy wkóło to wiedzieli.

–Nie będziesz go musiał wyzywać – szepnęła Aelin, przytuliła się do mnie i namiętnie pocałowała.

Mogła mnie ostrzec choć chwilę wcześniej. Ryok natychmiast rzucił się w naszym kierunku, Aelin odskoczyła. Ryok stawiał na swoją sławę – zakładał, że ustąpię. Zamiast tego zaatakowałem lewą ręką i zadałem mu mocny cios w dół brzucha. Wzdrygnął się. Jeszcze podwójnym sierpowym trafilem go w twarz, lecz zaraz sprężył się do walki. Jego pięść ześliznęła się po moim przedramieniu. Poczulem, jakby zamiast kości miał kamienie. Wiedziałem, że nie mogę dopuścić do zwania, nie miałbym wówczas żadnych szans. Dał do zrozumienia, że zaatakuję pięściami w głowę. Zrobiłem unik, odchylając się, i spróbowałem lewą ręką znów

trafić Ryoka w brzuch. Błyskawicznie uniósł kolano aż pod brodę i prostym kopnięciem trafił mnie w pierś. Zupełnie straciłem oddech, ręce mi osłabły. Rzucił się na mnie, instynktownie podciąłem go stopą, a kiedy upadał, uderzyłem piętą w skroń. Ta chwila odpoczynku uratowała mnie i pozwoliła trochę przyjść do siebie.

Krążyliśmy wokół siebie jak dwa drapieżniki. Odrobinę uwagi poświęciłem otoczeniu – widziałem ludzi w wielkim kręgu wokół nas, ich napięte i wystraszone twarze. Zaatakował mnie ciosem pięści, lecz miał zbyt niskie krycie. Lewym sierpowym trafilem go mocno w brodę. Takie uderzenie każdego innego faceta powaliłoby na ziemię, ale Ryoka nawet nie spowolniło. Uskoczył, lewy nadgarstek ścisnął mi niczym kleszczami. Dalej biłem, trafilem go łokciem w skroń. Ścisnął mocniej, jakby chciał oderwać mi dłoń. Uderzyłem Ryoka czołem w podstawę nosa, ale nawet to go nie powstrzymało. Drugą ręką chwycił mnie za ramię. Zanim zdążył mnie zmiażdżyć w uścisku, schyliłem się i przerzuciłem przez biodro na ziemię. Upadając, pociągnął mnie za sobą.

Przewalaliśmy się w tę i z powrotem, raz widziałem niebo, raz ziemię. Byłem bardziej doświadczonym zapaśnikiem niż on, lecz jego nadludzka siła sprawiała, że miał mnie tam, gdzie chciał. Wysmyknąłem się spod Ryoka i w ostatniej chwili uniknąłem złamania łokcia. Lewą ręką unieruchomił mi tuż przy tułowiu. Prawą próbowałem wykluczyć mu oko, ale był szybszy – złapał dłoń przed swoją twarzą. Więc i drugą ręką miałem w stalowym uchwycie. Czulem, jak miażdży mi przedramiona, kości mało nie pękły, rzęziłem z bólu. On nawet się nie zadyszał, był tak silny, że mógł mnie połamać bez wysiłku. Przypomniały mi się wgniecenia na pniach palm. Zgiąłem się pod Ryokiem. W chwili, kiedy zmieniał punkt ciężkości, żebym mu się nie wyrwał z uchwytu,

przestał uważać i zbliżył do mnie swoją głowę.

Zaatakowałem niczym pies bliski śmierci, zacisnąłem szczęki i szarpałem. Ryok zwiotczał, zmiękł i bezwładnie się na mnie osunął.

Wygrzebałem się spod niego. Ranek nie był już jasny i czysty, miałem wrażenie, że zaraz umrę. Ale żyłem, a Ryok leżał na ziemi z rozszarpanym gardłem. Krwawiłem z wielu ran. Miałem poszarpaną skórę, ponadrywane mięśnie, wgniecenia po palcach w kościach przedramienia, gdzie mnie chwycił za pierwszym razem. Nie czułem radości ze zwycięstwa, byłem jedynie bardzo zmęczony.

* * *

Siedziałem pod drzewem na skraju dżungli i obserwowałem wieś. Wciąż jeszcze nie odzyskałem wszystkich sił, które rano utraciłem. Ściemniało się. W tropikach zmierzch nadchodzi szybko. Uświadomiłem sobie, że przed kilkoma miesiącami, kiedy wszedłem do dżungli, bałbym się odpoczywać bez ochronnej sieci nad ziemią, w bezpośrednim sąsiedztwie jadowitych pajaków, węży i robaków. Zmieniłem się i nauczyłem wielu nowych rzeczy. Z półmroku wyłoniła się Aelin. Niosła miskę z jedzeniem. Taką samą kaszę, jaką dostałem za pierwszym razem. Dziewczyna była piękna i było w niej coś, co wydobywało ze mnie lepszą stronę mego charakteru. Albo gorszą – zależy, jak potraktować skakanie z drzewa na drzewo, kąpanie się z krokodylami i inne szalone zabawy. Moim zdaniem to była ta lepsza strona. Przy Aelin często się śmiałem. Kochać się z taką dziewczyną i traktować to jak sen, może się przydarzyć chyba tylko mnie. Kiedy stawiała miskę na ziemi, chwyciłem jej głowę w dłonie i pocałowałem. Pachniała dżunglą, ziołami, których nie znałem, i sobą. Ostrożnie odwzajemniła mój pocałunek. Całowaliśmy się długo i niespiesznie, a kiedy skończyliśmy, serce mi biło jak po sporym wysiłku.

–Dlaczego to robisz? – spytałem.

–Z tego samego powodu co ty. Ponieważ chcę.

Kochając się, wystraszyliśmy stado kalongów gnieźdzących się w dziupli drzewa nad nami, wypłoszyliśmy jaszczurki łowiące owady i narobiliśmy innym nocnym mieszkańcom dżungli sporo problemów. One na szczęście zostawiły nas w spokoju. W Aelin skrywało się kilka zupełnie różnych kobiet. Umiała być niewyobrażalnie czuła i dzika jednocześnie. Na plecach, po jej namiętnych objęciach, zostało mi wiele zadrapań.

Po północy po prostu leżeliśmy i odpoczywaliśmy.

–Teraz będą ci nadskakiwać wszystkie kobiety we wsi – powiedziała w zamyśleniu.

–Co? – spytałem, ponieważ byłem pewien, że źle ją zrozumiałem.

–No, od czasu, kiedy po raz pierwszy wyszedłeś z chaty i tak wszystkie mówią tylko o tobie.

Byłem jednym wielkim znakiem zapytania. Gdy Aelin upewniła się, że nie robię sobie z niej żartów, kontynuowała:

–Przecież musisz to widzieć. Zapewne wiele kobiet mówiło ci, że jesteś pięknym mężczyzną.

Nie znajdowałem słów. Potrząsnęła głową.

–Zdobi cię tyle blizn, wszyscy nasi mężczyźni razem wzięci tyłu nie mają, i nie brakuje ci ani jednego członka! To świadczy, że jesteś silny, szybki, odważny i mądry

jednocześnie. Zakochałam się w tobie w chwili, kiedy cię zobaczyłam.

Na urodę patrzyli tutaj trochę inaczej niż w cywilizowanym świecie.

–Ale wtedy – zrobiłem nieokreślony ruch ręką – mówiłaś coś innego. A o ile pamiętam nasze wcześniejsze noce, wyglądałaś, jakby niezbyt ci się to podobało. Nie było to przyjemne wspomnienie.

–W każdej chwili mogłeś przestać oddychać i umrzeć. Musiałam bardzo uważać. A nic ci nie powiedziałam, ponieważ w ten sposób spłaciłeś dług i nie jesteśmy sobie nic winni.

Pomału zaczynałem zasypiać.

–Będę musiała odganiać inne kobiety – wyznała w zamyśleniu.

–Jesteś zazdrosna?

–Nie – odpowiedziała, w jej głosie zabrzmiała wesołość. – Obawiam się tylko, że gdybym musiała się tobą z którąś dzielić, nie wystarczyłoby ci na nas sił.

Wybuchnąłem śmiechem. Przytuliła się do mnie, na piersi poczułem jej ciepłe dłonie i wargi. Nie byłem aż tak śpiący, jak mi się przed chwilą wydawało.

*** * ***

Po uroczystym przyjęciu chłopców do grona mężczyzn znalazłem Kyrizmę w jego chacie.- My wzięliśmy cię do niewoli, a kiedy ty chory byłeś, żywiliśmy cię – zaczął wprost.

To, że „zachorowałem” z powodu jednego z jego ludzi, pominął. Ale miał rację, wzięli mnie do niewoli.

–Za to, że odejść ci pozwolę, od ciebie chcę jedną rzecz będę. Pierwotnie o czymś innym ja myślałem, ale sytuacja zmieniła się.

–Jaką rzecz?

Podsunął mi podłużny przedmiot zawinięty w matę.

–Popatrz.

W zawiniątku znalazłem wspaniały chaabski miecz z delikatnie skrzywionym i długim ostrzem. Jelec był bogato wysadzany drogocennymi kamieniami i ozdobiony srebrnymi okuciami. Matę nasączono olejem, więc na ostrzu nie znalazłem ani śladu rdzy. Po zdobieniu rozpoznałem, że broń ma co najmniej sto lat. Nie rozumiałem, jak się znalazła aż tutaj. Podniosłem wzrok na Kyrizmę.

–Tylko nie mów, że chcesz, abym kogoś zabił.

Uśmiechnął się, choć jego oczy zostały poważne.

–Nie. Wystarczy, jeśli jutro ten miecz weźmiesz i ze mną pójdziesz. Na miejsce jedno zaprowadzę cię. Co zrobisz tam, tylko od ciebie zależeć będzie.

Cała jego przemowa wydawała mi się mocno skomplikowana, ale zgodziłem się. Miałem wrażenie, że zgoda jest rozsądniejsza niż odmowa.

Następnego dnia wyruszyliśmy wcześnie rano i, o ile dobrze pamiętałem drogę, zmierzaliśmy w stronę piramidy. Towarzyszyło nam jeszcze dziesięciu mężczyzn. Minęliśmy miejsce, gdzie ludzie Kyrizmy wzięli mnie do niewoli i szliśmy dalej w kierunku szczytu. Wraz z wysokością dżungla przerzedzała się, było więcej krzewów niż drzew, potem przekształcała się w sawannę. To było wyjątkowe uczucie, brodzić w wysokiej trawie i co chwila pokonywać wysoki pionowy stopień. W końcu kroczyliśmy po kamiennym podłożu, gdzie nie zakorzeniły się

żadne rośliny, a nienaturalność terenu była widoczna na pierwszy rzut oka. Około stu metrów pod szczytem czekało na nas wielu ludzi. Wśród nich już z daleka ujrzałem mężczyznę w dumnej pozie, trzymającego w ręce miecz.

–Więc znów się widzimy – przywitał mnie de Glow.

W ciągu miesięcy spędzonych w dżungli stracił ostatnią resztkę swojej szlacheckiej garderoby, ale zdołał skądś zdobyć materiał i był stosunkowo dobrze ubrany. Włosy miał niedawno ostrzyżone, wąs starannie utrzymany. Ja od tubylców różniłem się tylko tym, że moja przepaska na biodra była troszkę szersza i nie nosiłem ochraniacza na penisie – z nim czułbym się zbyt dziwnie.

–Myślałem, że zginąłeś – powiedziałem zamiast przywitania.

Skrzywił się.

–Ta strzałka była tylko usypiająca. Wiesz, dlaczego jesteśmy tutaj? Z powodu legendy! Jest prawdziwa! – krzyknął i głośno się roześmiał.

Nie wydawał mi się ani trochę bardziej poczytalny niż poprzednio. Oczy mu błyszczały – może częściej, niż to było dobre dla zdrowia, częstował się którymś z licznych narkotyków, w jakie obfitowała dżungla.

–Wystarczy, jeśli wejdiesz na szczyt i ci wszyscy głupcy – pokazał na ludzi wokół – uznają cię za swego władcę. Spotkali się tutaj przedstawiciele większości plemion, które wegetują w tym zielonym piekle. A wiesz, co jest najlepszym dowcipem?

Jego głośny śmiech zmienił się w charkot. Plemienni wojownicy i ich wodzowie przyglądali się nam bez emocji.

–Ich szamani rozpuścili pogłoskę, że na górę wejdzie biały wojownik. Więc chodź, sprawdzimy, kto zostanie władcą tej hołoty! – Wykonał mieczem jednoznaczny gest, ludzie się rozstąpili, żeby utorować mi drogę.

Nie chciałem się bić z de Glowem. Nawet nie musiałem, ponieważ, jak twierdził Kyrizma, decyzja należała tylko do mnie.

–Nie ma problemu, wejdź na szczyt, ja ci bronić nie będę – zachęciłem de Glowa.

Pokręcił głową.

–Nie. Chcę cię zabić. Zdradziłem ci największą tajemnicę pod słońcem. Musi umrzeć wraz z tobą. – W jednej chwili przeszedł od głośnego krzyku do szeptu.

–Masz na myśli tę dziewczynę, którą kochałeś, a później zostawiłeś na pastwę jej rozpustnego ojca? Myślisz, że jej się z nim spodobało? – rzuciłem zaczepnym tonem.

–Milcz! – krzyknął i z trzymanym oburącz mieczem, skierowanym ukośnie w górę, ruszył na mnie. Postawił wszystko na jedną kartę, na atak. Nieoczekiwanie wydłużył ostatni krok, z ruchu jego łokcia wywnioskowałem, że zaatakuje poziomo, ale zamiast tego uderzył z góry. Był szybszy niż pamiętałem. Zasloniłem się w ostatniej chwili, zadźwięczała stal, na kamieniu brzęknęło złamane ostrze. Niemal krzyknąłem z wściekłości. Taka rzecz nie mogła się dwukrotnie przydarzyć w taki sam sposób! Dopiero później uświadomiłem sobie jedną małą różnicę: dziś złamał się miecz de Glowa. Hrabia przyglądał się resztce broni w swoich rękach w milczącym zdumieniu.

Sieknałem czysto, przecinając szyję – nawet nie zauważył świszczącego ostrza.

Zorientowałem się, że uwaga pozostałych skoncentrowana jest na mnie. Nie zdołałem wyczytać z ich twarzy, czego właściwie chcą. Popatrzyłem w kierunku szczytu. Wystarczyło przejść sto metrów i stałbym się królem mieszkańców dżungli. Prymitywnych rolników, dzikich łowców głów i grup, którym przewodzili podejrzani szamani o dziwnych umiejętnościach, w typie Kyrizmy. Wśród widzów dostrzegłem ich więcej, a wszyscy mieli śmiertelnie poważne miny. Oparłem miecz na ramieniu, odwróciłem się i zacząłem schodzić.

Kyrizma dogonił mnie po kilku metrach, pozostali wojownicy trzymali się z tyłu.

–Jesteśmy potomkami starego narodu, który żył na tym terenie już przed ponad tysiącem lat – zaczął opowiadać, co dziwne, bez tego archaicznego dialektu. – Dziś już nie jest ważne, co spowodowało jego upadek, czy rozrastająca się dżungla, czy coś innego. Nasze państwo rozpadło się na wiele małych państweczek. Wciąż jednak mieliśmy gdzie żyć, było dość miejsca dla wszystkich. Jednak po jakimś czasie poszerzające swoje terytoria imperium crambijskie zepchnęło nas znów do centrum pierwszego państwa, gdzie tymczasem rozpanoszyła się dżungla. Niektórzy z nas nie zapomnieli jeszcze całej kultury przodków i wiedzą, że jeśli się nie zjednoczymy i nie zdobędziemy lepszego miejsca na ziemi, szybko wyginie albo zostaniemy wytrzebieni. Albo zniżymy się do poziomu zwierząt. Już nam do tego niewiele brakuje. W ciągu tych lat naród podzielił się na wiele plemion i teraz ich zjednoczenie jest praktycznie niemożliwe. Dlatego ja razem z innymi...

–Co to znaczy: ja razem z innymi? – przerwałem mu.

–Mówię o ostatnich pamiętających kulturę naszych przodków. Rozprzestrzenili legendę o mężczyźnie, który wejdzie na szczyt piramidy, a w jego rękach będzie spoczywał los nas wszystkich. Po kilku niepowodzeniach stwierdziliśmy, że plemiona nigdy nie uznają za przywódcę członka obcego plemienia. Ten, kto nas zjednoczy, musi być obcej krwi.

–A dlaczego właśnie de Glow albo ja?

–Ponieważ jesteście cudzoziemcami, którzy dostali się do samego środka dżungli. Niektóre plemiona zabijają przybyszy właśnie z powodu legendy, bo nie chcą mieć obcego władcy, inne już zapomniały o legendzie i zabijają, bo to jest w zgodzie z ich naturą, wszak dzikie zwierzęta walczą z intruzami.

–W takim wypadku moja decyzja zbytnio was nie ucieszyła.

–To nie ma znaczenia. Gdybyś wszedł na szczyt, byłoby dobrze. Ale zdecydowałeś inaczej. Idę tą drogą już długo i dam radę zrobić jeszcze parę kroków więcej.

–Nie rozumiem, jak tak nieliczni, jak wy, mogli zachować świadomość waszej historii i umiejętności – powiedziałem po chwili milczenia.

Kyrizma uniósł w uśmiechu jeden kącik ust.

–Jak myślisz, młodszy, ile mam lat?

Nagle zrozumiałem. Połączyłem jego archaiczny język z mieczem zdobionym starymi wzorami.

–Byłeś już kiedyś w cesarstwie, prawda? – zapytałem.

Przytaknął.

–Ten miecz przyniosłeś właśnie ty?

–Z mojej ostatniej wyprawy.

–Ile właściwie masz lat?

–Wiele rzeczy ukrytych jest, ty do końca życia dumać o tym możesz. – Wrócił do archaicznego języka, jakim posługiwał się na początku, i znów wyglądał jak podstępny szaman dzikiego plemienia.

Nie wydobyłem z niego już ani słowa więcej.

* * *

Przed nami lśniła powierzchnia FewGhaki. Lekki wiatr głaskał zielony dywan wysokiej trawy, za nami wznosiła się nieprzystępna, jaskrawozielona ściana deszczowego lasu. Niedaleko widniały na poły zburzone budynki bazy de Głowa. Nikt się nimi oczywiście nie zajmował, po kilku miesiącach obóz wyglądał na zapuszczony. Dzień się kończył, siedzieliśmy z Aelin przy wieczornym ognisku i czekaliśmy, aż jedzenie będzie gotowe.–Poznasz zupełnie inny świat, obce miasta, morze, inne zwyczaje i obiecuję, że

w chwili, kiedy będziesz sobie życzyła, odprowadzę cię aż tutaj, żebyś bez problemu wróciła do domu – zaproponowałem ponownie.

Zależało mi na jej towarzystwie, na jej śmiechu, błysku w oczach i namiętnych nocach. Tylko że nie mogłem całe życie pozostać w dżungli. Istniało jeszcze wiele miejsc, których nie znałem i nie odwiedziłem. Miałem nadzieję, że namówię ją na wycieczkę do świata innego niż wieczny upał i duchota dżungli, i zdziwiło mnie, że odmawia. Była ciekawa i mądra, miałem pewność, że pomyśli się jej spodoba. Odmówiła z zawziętością, której nie rozumiałem. Jakby zarazem chciała i nie mogła, ponieważ ma jakieś nieznane mi zobowiązania gdzie indziej.

–Za chwilę nie będę biegać jak kiedyś, byłabym dla ciebie ciężarem – powiedziała.

Nie rozumiałem jej uwagi. Żyła dniem dzisiejszym i rzadko kiedy przejmowała się przyszłością, tym bardziej tak odległą jak starość.

–Wszyscy kiedyś będziemy wolniejsi i słabsi – wzruszyłem ramionami. Roześmiała się i przesiadła, żeby oprzeć się o mnie plecami.

–Tobie to się nigdy nie przydarzy.

W oczach miała iskierki. Wiedziałem, że powie jakiś żart, ale jak zawsze dałem jej okazję:

–Dlaczego?

–Dlatego, że przy twoim trybie życia będziesz już dawno martwy! – roześmiała się łobuzersko.

Wycelowałem w nią wskazującym palcem.

–Punkt dla ciebie. – Zacząłem serwować kolację na liściach palmowych.

Zdecydowałem się, że tym razem ja będę bardziej uparty i rano spróbuję przekonać Aelin jeszcze raz. Postanowiłem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Kochaliśmy się delikatnie i długo. Tym razem nie obudził się w niej tygrys, została małym kociątkiem z aksamitnym futerkiem. Mimo że nie miała futerka.

Rano obudziłem się późno, byłem sam. Trawa w miejscu, gdzie Aelin miała rozłożoną matę, zaczynała się już podnosić. Zrozumiałem, że decyzję podjęła już dawno i nie chciała, żebym ją przekonywał. Może się bała, że mi się uda? Była bardzo dumna ze swojego uporu. Na wypadek, gdyby mnie skądś obserwowała, napisałem w popiele krótką wiadomość i przykryłem ją połową przedartego liścia palmowego, drugą połowę zabrałem.

W popiele pojawiło się:

Gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała, zanieś do banku Horowitza w Hyaszu ten liść.

Powiedzą ci, gdzie mnie szukać.

Czulem, że już nigdy nie zobaczę Aelin, ale zostawiłem sobie maleńką otwartą furtkę. Z nie do końca rozkradzionego magazynu zabrałem całkiem dobrze zachowany mundur i bez dalszej zwłoki przepравиłem się przez FewGhakę. Wykorzystałem do tego jedną z mniejszych tratw, które zostały tutaj po armii de Glowa.

Na drugim brzegu przystanąłem tylko na moment. Kiedy obejrzałem się za siebie, zdawało mi się, że widzę małą figurkę, która znika właśnie w zielonej ścianie lasu. Sprawilo mi to radość.

*** * ***

Dwadzieścia kilometrów do Hyaszu przeszedłem w niecałe trzy godziny. Najpierw załatwiłem sprawę w banku. Do skrytki wynajętej na nazwisko Koniasz włożyłem połowę palmowego liścia z odpowiednimi instrukcjami. Miałem u Horowitza ulokowaną niezłą kwotę, poszło mi więc łatwo. Gdyby ktoś przyszedł z drugą połową

liścia, miał dostać wszystkie pieniądze, które były na rachunku, i w skomplikowany sposób, przez kurierów bankowych, mógł mnie odnaleźć lub przesłać wiadomość.

Po długim pobycie w dżungli musiałem przyzwycząić się do ludzi. Zakwaterowałem się w pensjonacie w ruchliwej części miasta i bez celu włóczyłem po okolicy. Rozkoszowałem się smakiem piwa, wina, jedzenia i obserwowałem ruch. Najwięcej czasu zajęło mi przywyknięcie, że kobiety już się do mnie nie uśmiechają. Któregoś dnia jedna, nawet niezbyt przechodzona dziwka, zaoferowała mi swe usługi, ale odmówiłem. Wspomnienie Aelin było jeszcze zbyt żywe i przyjemne, nie chciałem go psuć. Na razie.

Mniej więcej po tygodniu zdecydowałem, że kupię konia i pojadę zobaczyć, co się dzieje wewnątrz kraju, na Kujbyjskich Stepach. Spacerowałem po końskim targu, kiedy ujrzałem znajomą twarz. Chwilę się wahalem, ale wystarczyło, że odezwała się do ulicznego sprzedawcy – wtedy ją rozpoznałem. Mała bezczelna brunetka z piegowatą twarzą, dziewczyna, która wpackowała mnie w tę okropną przygodę.

–Pani, na słówko – zwróciłem się do niej i zaszedłem jej drogę. Tylko chwilę zajęło dziewczynie skojarzenie, kim jestem.

–Więc wróciłeś, żołnierzu!

Twarz jej pojaśniała ze szczerej radości.

–Mówiono, że wszyscy umarli w dżungli! A ty wyglądasz dobrze, lepiej niż kiedyś, chociaż może jesteś trochę chudszy – stwierdziła, obrzuciwszy mnie na pozór krytycznym spojrzeniem. Była doskonała.

–Musimy sobie porozmawiać – powiedziałem poważnie. Wyczarowała na twarzy wspaniały uśmiech.

–Bardzo chętnie. Ostatni wieczór tak nam się udał! Bez ceregieli uwiesiła się na moim ramieniu.

–A może zjemy coś „U Valheda”? Ostatnio dobrze tam gotują i mają takie przytulne pokoiki.

Przytaknałem.

*** * ***

Była mgła, a świat kołysał się na obie strony. Rozległ się dźwięk bębna. Już przy

pierwszym uderzeniu pałeczki uświadomiłem sobie, że bardzo mnie boli głowa. Ognista kula nad moją głową tańczyła w szaleńczym rytmie. Przez chwilę miałem

silne uczucie déjà vu i Bóg jeden wie, dlaczego byłem pewien, że to, co nastąpi, nie będzie ani trochę przyjemne.

Otworzyłem oczy szerzej. Leżałem na koi w kajucie statku, przez otwarte okienko przenikało do środka słońce, lampa zawieszona na łańcuchu kołysała się, kreśląc nieregularne luki, kiedy statek podskakiwał na falach. Mój miecz był zawieszony na przeciwległej ścianie, przy koi ktoś postawił wiadro wody. To mi przypomniało, że piekielnie chce mi się pić. Napilem się, jedną chochlę wylałem sobie na głowę i z mieczem przy boku pokuśtykałem na pokład. Kiedyś czytałem, że mądrzy ludzie uczą się na błędach innych, sprytni na swoich własnych. Nie wiedziałem, do której kategorii powinienem się zaliczyć.

*** * ***

Wiał silny wiatr, paru ludzi zajmowało się linami, przy sterze stał olbrzymi mężczyzna z zadowoloną miną. Był niewiele niższy ode mnie, ale z pewnością o trzydzieści kilogramów cięższy, jego umięśnione ramiona były tak grube jak moje uda.-Obudziłeś się w dobrym momencie! – krzyknął głosem, który w mojej głowie wywołał całą kakofonię bólu, klucia i trzasków.

Zauważyłem, że na tylnym maszcie powiewa czarna flaga.

–To nie jest statek handlowy – skonstatowałem.

Sternik roześmiał się na całe gardło.

Załoga była ustrojona w złote bransoletki i uzbrojona w broń wszelkiego autoramentu, w zależności od osobistych upodobań.

–Ani wojskowy – kontynuowałem.

–Masz rację, brachu! – Olbrzym wciąż rechotał. – Jesteśmy najuczciwszymi łupieżcami morskimi, jakich mogłeś spotkać, a ten statek przed nami to nasz łup.

Byłem na morzu pierwszy raz, ale już na pierwszy rzut oka „łup” wydawał się ogromny.

–Jest większy niż nasz i będzie na nim znacznie więcej ludzi, prawdopodobnie również żołnierzy – powiedziałem głośno.

–Dokładnie tak – zgodził się olbrzym – i dałbym sobie głowę uciąć, że jest tam również szalona ilość drogocennych towarów. Jednak zanim się do nich dostaniemy, będziesz musiał porządnie opędzać się tym swoim kijkiem.

–Ile za mnie zapłaciliście? – zapytałem.

–Twierdziła, że jako jedyny wróciłeś z tej głupiej wyprawy de Głowa do dżungli.

To prawda?

Przytaknąłem.

–No to nie jest mi szkoda tych dwudziestu złociszy. Potrącę ci to z zysku.

Przez chwilę obserwowałem zbliżający się statek. Mogli mieć mniej więcej dwukrotną przewagę i już z daleka rozpoznawałem błysk zbroi.

–Mam nadzieję, że nie masz tego za złe tej dziewczynie. Niektórzy faceci ją lubią i mają do niej słabość. Ja nie, wolę bardziej piersiaste.

Pokręciłem głową i sprawdziłem, czy miecz dobrze wychodzi z pochwy.

–Nie, nie mam jej tego za złe. Każdy zarabia na życie, jak umie.

PIEKIELNE SZCZĘŚCIE

Oficer przyglądał mi się podejrzliwie i wciąż porównywał moją twarz z portretami naklejonymi na przenośnej drewnianej tablicy. Dłoń opierał na wysadzanej kamieniami półszlachetnymi rękojeści miecza i nerwowo postukiwał palcami o osłonę. Towarzyszyło mu tylko dwóch żołnierzy. Dowódca nie chciał okazać strachu i wołać pozostałych, chrapiących gdzieś w najlepsze. Poklepałem zmęczonego konia po boku, żeby jeszcze chwilę pode mną wytrzymał, i wykorzystałem uśmiech numer pięć. Uważam, że jest przyjacielski i wzbudza zaufanie, choć przy moim dwukrotnie złamanym nosie i bliźnie na szczęcie można tego nie zauważyć od razu.

–Poruczniku, jeśli znajdzie mnie pan na tej liście, zdziwi mnie to jeszcze bardziej niż pana.

Z wartowni wyszli dwaj kolejni żołnierze i stanęli przy swoim dowódcy. Widać było, jak mu ulżyło, wyprostował się, podniósł ramiona i zrobił krok w moim kierunku.

–Czego pan szuka w mieście?

Chciałem jak najszybciej znaleźć Umberta i z tego powodu zgoniłem dwa konie, ale nie miałem pojęcia, dlaczego miałbym się tłumaczyć jakiemuś oficerskiemu młokosowi. Uśmiech numer pięć zastąpiłem swoją normalną miną.

–A co panu do tego, poruczniku? Gdzieś słyszałem, że nadmierna ciekawość szkodzi zdrowiu.

Zaskoczony, przełknął ślinę. Downdown było drugim co do wielkości miastem imperium, a cesarski namiestnik trzymał tu wszystko w ręku mocniej niż sam cesarz. Straże żołnierskie utrzymywały porządek nawet w najdzikszych dzielnicach, słowo oficera równało się prawu, sądy rozstrzygały szybko i bez zbytecznego ociągania. Szubienice stojące wzdłuż dróg, aż na odległość dwóch godzin szybkiej jazdy w siodle, pełne były morderców, złodziei i żebraków. Tak, tak, uczciwe żebractwo było tutaj niezgodne z prawem. Człowiek mógł zawisnąć na sznurze nawet za najdrobniejszą

obrazę cesarskiego majestatu. Krótko mówiąc, Downdown nie było miastem dla mnie. Umberto był mi jednak winien mój udział, a ponieważ starał się przede mną ukryć właśnie tutaj, musiałem przybyć do jaskini lwa.

–Coście powiedzieli, panie?

Głos porucznika zabrzmiał o oktawę wyżej, mocno ścisnął rękojeść, ale zaraz się powstrzymał. Już zapadł zmrok, a na drodze nie było żywej duszy. Właściwe miasto było oddalone o ponad dwa kilometry i oficer nie mógł liczyć, że na zawołanie przybyłyby posiłki. Był uzbrojony w oficerską mutację standardowego żołnierskiego miecza z potężną osłoną i ciężkim, szerokim na cztery centymetry ostrzem. Jego ludziom jeszcze ciekło po brodzie rekruckie mleko. Ja miałem przy siodle doskonały chaabski miecz z ostrzem jak brzytwa, cienkim jak gęsie pióro. Nie kupiłby go za roczny kapitański żołd. Może był pyszałkowaty, ale nie głupi – zdawał sobie sprawę z tego, że potyczka mogłaby się zakończyć dla niego nieszczęśliwie.

–Poruczniku, nie ma mnie na waszej liście i pan o tym dobrze wie. Łapówki pan ode mnie nie dostanie, po co więc, do diabła, takie podchody? A może chce pan z tymi młokosami trochę powalczyć? Wypróbować aresztowanie niebezpiecznego indywiduum w praktyce?

Zabarwiłem swój głos radosnym oczekiwaniem i popatrzyłem na żołnierzy, którzy trzymali

się z boku i udawali, że wcale ich tutaj nie ma.

–Niech pan jedzie. Ale z powrotem, o ile pana wcześniej nie powieszają, proszę raczej wybrać inną drogę!

Popędziłem konia, wyczerpany ogier, mimo znużenia, usłuchał. Nie zamierzałem skończyć na szubienicy. Chciałem znaleźć Umberta, wyciągnąć z niego, gdzie ukrył mój udział, i wynosić się stąd, najszybciej jak się uda. Znam kilka gwarantowanych sposobów, żeby zmusić człowieka do gadania, nawet gdy tego nie chce. Kiedyś wypróbowali je na mnie i gdyby mieli trochę więcej czasu, też bym zaczął gadać.

Straż przy bramie zamkowej pozwoliła mi przejechać bez problemów. Jej dowódca był starym weteranem, któremu nie zależało na niepotrzebnych kłopotach. Nigdy nie zawitałem do Dardown, przypuszczałem, że Umberto także nie. Facetom, takim jak my dwaj, nie będzie tutaj łatwo. Umberto był piratem, najbardziej nieokrzesanym siepaczem, jakiego spotkałem na morzu. Potrafił umknąć wojskowym trójmasztowcom, przepłynąć przez mieliznę, gdzie utknęłoby nawet płytkie kanoe, podczas abordażu rzucał się na statek w pierwszej kolejności i walczył dwoma

mieczami jednocześnie. Nie bał się burzy, nie bał się cesarza, nie bał się czarowników i, niestety, nie bał się też mnie. Ale popełnił błąd. Zostaliśmy współnikami. Namówiłem go, żebyśmy nie napadali na statki kupców, którzy wożą wiele tanich towarów, ale zajęli się tymi, którzy wykonali najcięższą pracę za nas – żebyśmy okradali samych piratów. On załatwił statek, ja załogę. To był krwawy sezon, lecz żniwa udane. Nie chcieliśmy prowokować szczęścia zbyt długo i gdy tylko stwierdziliśmy, że nasz zysk jest stosowny do włożonego wysiłku, zakończyliśmy proceder. Ja miałem w Orinoport zapłacić załozce, on miał sprzedać złoto i wymienić je na kamienie szlachetne, które łatwiej przewozić. O ile udało mi się stwierdzić, nawet to zrobił, tylko jakoś zapomniał przekazać mi moją połowę. Teraz próbował się przede mną ukrywać w najporządniejszym miejscu na świecie. W mieście, w którym, jak sądził, nie będę miał żadnych przyjaciół i znajomych, którzy mogliby mi pomóc go wytropić. Umberto był prawdziwym morskim geniuszem i w zasadzie dobrze sobie radził również w innych sytuacjach, jednak ograniczało go jego pochodzenie. Nie miał uniwersyteckiego wykształcenia, jak ja, i sądziłem, że również tutaj będzie próbował ukryć się wśród ludzi, których zna i gdzie dobrze się czuje.

O dziesiątej wieczorem stałem przed gospodą w dzielnicy, gdzie uczciwy człowiek trafia się tak często jak perłopław wśród ostryg. Zaprowadziłem konia do ogólnodostępnej stajni i wytarłem do sucha. Był dobrym zwierzęciem, więc zasłużył na trochę opieki. Mówiąc prawdę, myślałem, że zdechnie w polowie drogi. Wszedłem do karczmy. Izba jak każda inna: powierzchnie otynkowane ściany, proste ławy i stoły. Przepchnąłem się do szynkwasu. Na ścianie nad nim wisiały trzy pozwolenia na rozlewanie piwa, rozlewanie wina i gorzalki oraz potwierdzenie zapłacenia podatku za wyszynk na ten rok. Było pouczające zobaczyć jeden z dopływów złotej rzeki, której potrzebował cesarz, żeby wyżywić armię swoich urzędników i najemników.

–Co będzie? – zapytał oberżysta.

Był mały, twarz miał usianą dziobami po ospie.

–Piwo – zamówiłem i położyłem na stole srebrnego.

Postawił przede mną obtłuczony kamionkowy dzban i ruchem, który dzięki wielokrotnemu

powtarzaniu miał wyćwiczony do perfekcji, zmiotł monetę do kieszeni przywieszzonej do paska.

–Za srebrnego są dwa piwa, drobnych nie zwracam.

–No to nieźle – przytaknąłem i splukałem z gardła kurz po długiej podróży. Bez pytania podsunął mi drugi dzban.

–A to po co? – Wskazałem na klepsydrę zawieszoną na linie pod sufitem.

Koniec liny sięgał szynkwasu. Większość piasku zdążyła już się przesypać do dolnego naczynia.

–Żołnierze lubią porządek i przychodzą na regularną kontrolę. Kiedy piasek się przesypie, będą tutaj. Uprzejmość dla gości.

–Aha – przytaknąłem ze zrozumieniem.

Zanim zdążyłem zapytać o Umberta, oberżysta przeszedł na drugi koniec lady i jakby cudem wyczarował na tacce tuzin kolorowych kieliszków. Upiłem piwa. Po ugaszeniu pierwszego pragnienia nie smakowało już tak dobrze. Było mętne i słabo przefermentowane, ale wciąż wzbudzało we mnie większe zaufanie niż wesola gorzalka, którą wlewało w siebie towarzystwo przy stole. Rozejrzałem się po karczmie. Szukałem faceta, który nie zarabia na życie mięśniami, lecz tym, że dużo widzi i dużo słyszy. Nie znalazłem ich wielu, większość gości wyglądała na ludzi wynajmowanych do bójek, a paru na prawdziwych siepaczy. Ale o parapet okna opierał się przygnębiony, wychudły człowieczek, w lewej ręce trzymał piwo i nieobecny wzrokiem błędził po sali. To był mój człowiek. Zapłaciłem za następne dwa piwa, oderwałem się od lady i z oboma dzbanami w jednej ręce precyzyjnie przecisnąłem między stolami aż do niego.

–Chce pan piwa?

–Piwa nigdy nie odmówię.

Napił się i czekał, z czym jeszcze wyskoczę.

–Rozglądam się za jednym człowiekiem. Nazywa się Umberto, jest o głowę niższy ode mnie, ale ciut cięższy, nieokrzesaniec z ogromnymi dłońmi.

Zanim mężczyzna zdążył odpowiedzieć, z boku odezwał się człowiek czarniejszy od węgla.

–Umberto to mój kompan i nie lubi, gdy ktoś za nim węszy!

Mój potencjalny informator zniknął jak śnieg na wiosnę.

Murzyn wstał. Mierzę metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a dziewczęta, które za złocista was obejmą, za dwa wezmą do siebie na całą noc, naliczają mi podwójną stawkę, ponieważ mam podobno tak kanciaste i ciężkie kości, że są całe w siniakach i następnej nocy nie mogą normalnie pracować. Ten człowiek patrzył na mnie z góry, więc dziwki powinny mu naliczać stawkę potrójną. Pod hebanową skórą grały twarde i sprężyste mięśnie, nie było na nim nawet grama zbędnego tłuszczu. Murzyn z wysp,

profesjonalista, którego bogaci handlowcy wynajmują jako osobistego ochroniarza.

Słyszałem o nich, że są naprawdę dobrzy, a najlepiej podobno posługują się nożami.

–Umberto zostawił mi wiadomość, że gdzieś tutaj go spotkam.

–Kłamiesz, z tobą na pewno nie chciałby gadać. I ja się postaram, żebyś nie zawracał mu głowy – odpowiedział drwiąco i odsunął krzesło, z którego się podniósł.

Kłamaliśmy obaj, lecz on, w odróżnieniu ode mnie, dobrze się przy tym bawił. Znałem takich typków: wierzą, że są dobrzy w bijatykach i gdy się napiją, lubią czasem kogoś załatwić. Z Umbertem nigdy się nie spotkał, ponieważ jeden z nich już byłby martwy. Umberto nie znosił ludzi, którzy wyglądali na silniejszych od niego, więc ich zabijał. Mnie uważał za wysokiego,

chudego strachaję. Dla dobra nas obu pozwalałem mu tak myśleć. Murzyna za strachaję uważać jednak nie mógł, a gdybym miał postawić na pojedynek między nimi, powiedziałbym: jeden do jednego. Murzyn skrzywił się i leniwie przeciągnął.

–Zawsze chętnie pomogę koledze. Wystartował do mnie jak czarna puma.

Schyliłem się, złapałem go za nadgarstek i pociągnąłem w swoją stronę. Nie zdołałem jednak wytrącić noża, który jakimś cudem znalazł się w jego ręku. Gdybym nie miał pod rękawem koszuli podbitego żelazem ochraniacza przedramienia, przeciąłby mi ścięgna jak sznurki. Cios w szyję odepchnąłem łokciem, ręką złapałem Murzyna w kroku i podniosłem nad głowę. Wykorzystałem jego siłę bezwładu i szerokim łukiem rzuciłem nim o podłogę. Nie zdążył się odwrócić, upadł na plecy, huknął czerepem o podłogę, z półotwartych ust wyciekała mu cienka strużka krwi. Mój nauczyciel walki zawsze mówił, że to ziemia zabija. I miał rację. Otworzyły się drzwi, wszechobecny hałas ucichł. Skrzypienie skórzanych butów z cholewami i brzęk metalowych, przepisowo wypolerowanych sprzączek w naglej ciszy zabrzmiały jak głośna muzyka. Zerknąłem w kierunku sufitu. Piasek w klepsydrze właśnie się przesypał, żołnierze byli niestety przysłowiowo punktualni. Przez okno widziałem dziesięciu mężczyzn pilnujących wyjścia z karczmy, do środka weszło tylko sześciu. Żadne gołowąsy, tylko doświadczeni ludzie, którzy prawdopodobnie zaprowadzili prawo i porządek w niejednej knajpie. Wszyscy niewysocy, lecz krępi i barczyści, przy pasach nosili krótkie miecze, każdy miał na prawej ręce kastet, w lewej ciężki bijak. Ich dowódca, szczupły, sprężysty mężczyzna, stanął przede mną i oszacował krótkim spojrzeniem, martwemu poświęcił znacznie więcej uwagi.

–Przybył pan z wybrzeża?

Nie wiedziałem, po czym to poznał. Mówił stylem ludzi wykształconych, wyraźnie artykułował słowa.

–Tak.

–Wie pan, że w Downdown obowiązuje specjalne prawo o ochronie obywateli i każde zabójstwo traktuje się jak śmiertelne przestępstwo?

–Tak.

Przez chwilę wyglądał na zdziwionego.

–Zatem pan wie, że muszę pana aresztować. O pana winie lub niewinności zdecyduje sąd.

Sytuacja szła w złym kierunku. Może z cesarskiego więzienia w końcu bym się wydostał, ale Umberto bezpowrotnie by mi przepadł.

–Był to niesprovokowany atak, tylko się broniłem.

Cisza. Nie podobałem się straży. Obróciłem się bokiem do oficera i prawą ręką nieznacznie poklepałem sakiewkę przy pasie.

–Czy ktoś poświadczy, że tylko się broniłem?

–Ja.

Mój potencjalny informator wynurzył się z zapomnienia. Rzeczywiście był zorientowany.

–Pańskie imię, adres, narodowość i podpisze pan oświadczenie. – Oficer zaczął innym tonem.

Idealny przedstawiciel prawa. Wypisanie dokumentów trwało dziesięć minut, dodatkowo

przy podpisie odcisnęliśmy nasze kciuki, a oficer zatwierdził wszystko cesarską pieczęcią. Nikt w gospodzie przez cały czas nie pisał ani słówka.

–Dziesięć złotych za przeprowadzenie działań urzędniczych na miejscu.

Cesarz i jego ludzie coraz bardziej zaczynali mi działać na nerwy, jednak na szczęście tym razem nie płaciłem swoimi pieniędzmi. Podąłem mu z sakiewki odpowiednią liczbę monet. Informatora to nie zdenerwowało – wysnuł dobry wniosek, że tam, gdzie raz się znalazło dziesięć złotych, będzie ich jeszcze więcej. Oficer schował pieniądze, podał mi glejt i zasalutował.

–Życzę szczęścia, panie, i proszę uważać, następnym razem może pan nie znaleźć świadka.

Podejrzliwym spojrzeniem zmierzył informatora.

–Jeszcze krwawi – powiedziałem.

–Kto? – Oficer spojrział na mnie niedomyślnie.

Murzynowi wciąż wyciekała z ust strużka jaskrawoczerwonej krwi i nie wydawało się, żeby miała przestać.

–Co pan ma na myśli?

–Zaczyna się od zaburzeń krzepliwości krwi, później następują drobne i coraz poważniejsze krwotoki wewnętrzne, kruchość żył i całkowite uszkodzenie układu krążenia. Widocznymi objawami są liczne siniaki, niegojące się rany, przekrwione oczy, a u niektórych ludzi ślepotą.

–Szkarłatna plaga – wyszeptał ze strachem żołnierz.

Rzeczywiście był wykształcony.

Zapanowało niewyobrażalne zamieszanie: ludzie jeden przez drugiego wybiegali drzwiami i oknami, przednia ściana domu trzasnęła i nagle cała runęła. W ciągu minuty zostałem w sali sam na sam z martwym Murzynem. Powoli i z uczuciem recytowałem dalszą część definicji, którą znalazłem kiedyś w encyklopedii caarbridskiej pod hasłem „szkarłatna plaga”:

–Okres wylęgania dwa dni, od drugiego dnia choroba jest wysoce zakaźna i przenosi się drogą powietrzną w łuskach obumarłego naskórka. Według wiarygodnych źródeł w ciągu ostatnich dwustu lat przeżyło jedynie sześć zakażonych osób.

Przemieściłem się w stronę baru i nałamałem sobie kieliszek najbardziej jadowicie wyglądającej gorzałki. Gdybym się z Murzynem nie szarpał, nie ryzykowałbym i wziął nogi za pas. Teraz było to zbyteczne, ponieważ go dotykałem. Szkarłatna plaga pojawiała się od czasu do czasu na największych wyspach równikowych na Oceanie Błędym. Epidemia pustoszyła dziesiątki tamtejszych wsi, a później, na przykład przez dwadzieścia lat, nie było po niej śladu. Niektórzy moralisci twierdzili, że bogowie karzą w ten sposób dzikie ludy za grzeszne obcowanie z samicami małp człekokształtnych, ale była to oczywista niedorzeczność. Przebywałem przez pewien czas wśród plemion z wysp i nigdzie nie spotkałem piękniejszych kobiet. Przypuszczałbym raczej, że plaga to jedno z niemiłych wspomnień Wielkiej Wojny magów. Epidemie wybuchały tylko wtedy, kiedy panowało gorące i jednocześnie bardzo wilgotne lato. Według mnie taka pogoda wyganiała z wnętrza dżungli nieznaną zwierzętą, które roznosiły zarazę wśród ludzi. Kontynent przed katastrofą chroniła właśnie okrutność szkarłatnej plagi – kto się zaraził, umierał i nie mógł roznosić zarazy, bo od czwartego dnia

chorzy byli unieruchomieni. Dlatego większość epidemii na Kontynencie miała miejsce jedynie w wąskim przybrzeżnym pasie.

Oderwałem się od rozważań i wróciłem do Umberta. Właśnie on mógł przywlec zarazę aż tutaj, ponieważ podróżował bardzo szybko. Odstawiłem gorzałkę, wolałem sobie nalać piwa. Może za siedem dni umrę, nie miało więc sensu niszczyć sobie ostatnich chwil życia takim cienkuszem. Opanował mnie melancholijny nastrój. Siedziałem i piłem, i jednocześnie rozmawiałem głośno z ludźmi, których kiedyś spotkałem. Nie był to znów taki zły wieczór.

Rano obudziłem się otępiały, w głowie mi szumiało, jak to zwykle bywa po większej ilości piwa. Byłem głodny, ale ucieszyło mnie to – nie mogłem być bardzo chory. Gdzieś w środku rosła nadzieja, że właśnie ja jestem jednym z tych szczęśliwców, którzy są odporni na plagę. Nigdy nie byłem nawet przeziębiony, rany się na mnie goją dwa razy szybciej niż na innych, potrafię zagonić konia i przenieść na plecach wielbłąda przez pół pustyni. Dlaczego nie mógłbym to być właśnie ja? A mój głód jeszcze wzmagal tę nadzieję. W spiżarni znalazłem dziesięć jajek, wielki kawał słoniny i resztkę czerstwego chleba. Śniadanie tak mi smakowało, że pozwoliłem sobie jeszcze na jedno danie serowe. Jedząc, rozmyślałem, co dalej. Zdecydowałem spróbować znaleźć Umberta. Nie powinien umierać ze świadomością, że udało mu się mnie przechytryć. Wyszedłem na zewnątrz, w powietrzu unosiły się dymy pożarów, na ulicy panował totalny chaos. Jeden obok drugiego stały wozy handlowe, lekkie bryczki, luksusowe powozy, między nimi przedzierali się ludzie z tobołkami na plecach. Wszyscy starali się jak najszybciej opuścić miasto, ale wyraźnie nikomu się nie udawało. Po dachach dostałem się aż do murów obronnych i przekonałem się, dlaczego. Maszynaria cesarskiej administracji wciąż działała. Żołnierze nie pozwalali nikomu się wydostać, na placu rosła sterta ciał śmialków, którzy próbowali wyjść na siłę. Poszukiwanie Umberta w takim chaosie nie wchodziło w grę. Znalazłem opuszczony dom z wieżyczką, z której miałem widok na główną bramę. Pokój, który wybrałem jako punkt obserwacyjny, należał do kobiety. Przytulny i ozdobnie umeblowany, na ścianach trzy lustra, lekkie, rzeźbione meble. Ułożyłem się wygodnie na łóżku i czekałem. Po południu ludzie zmęczeni się i porozbijali obozy bezpośrednio na ulicach, tylko kilka mądrzejszych osób wróciło do domów. Czekano, aż się ściemni. Jeśli w nocy tłum ruszy żołnierze nie będą mieli szans. Przed wieczornym nabożeństwem spokój zakłócił mi nieoczekiwany gość. Najpierw myślałem, że wraca prawowity właściciel, ale ostrożne kroki i ukradkowe otwieranie drzwi wskazywały na złodzieja. Z pewnością więcej było takich, którzy, wykorzystując panikę, okradali mieszkania. Nie lubiłem takich hien, ale to nie był mój dom. Szperacz doszedł w

końcu do mojego pokoju. Był już pewien, że dom jest pusty, więc się nie pilnował. Nie sprawdzając, otworzył drzwi i wszedł. Wychudły, wyniszczony przez krzywicę mężczyzna na plecach niósł wielki worek. W chwili, kiedy mnie zauważył, skamieniał, ale później szybko sięgnął po nóż.

–Zostaw, co masz i spadaj stąd – powiedziałem.

Zawahał się na chwilę, lecz potem wzrokiem ześliznął się na drewnianą szkatułkę na kosztowności stojącą na nocnym stoliku przy lustrze. Były w niej dwie pary kolczyków, jeden naszyjnik z kutego srebra i pierścień. Oprócz brylantowych kolczyków biżuteria nie miała wielkiej wartości, ale była bardzo ładna.

–Podaj mi tę szkatułkę i pójdę – powiedział wyczekująco, zrzucając

jednocześnie tobolek na podłogę. Rozbieganym spojrzeniem omiótł pomieszczenie. Szukał mojego łupu. Lewą rękę pomalą przesuwiał w stronę pasa. Wyciągnąłem miecz.

–Spadaj.

–Ostry z ciebie facet. Dobrze.

Nagle machnął dłonią w moją stronę i prawie jednocześnie rzucił się na mnie. Kryłem się mieczem, nóż zachrząścił na ostrzu. Odskokczyłem, żeby utrzymać odstęp i sieknąłem złodzieja przez brzuch. Zdażył w ostatniej chwili zasłonić się przedramieniem. Upadł na ziemię, z ręki i piersi kapiała mu krew. Był szybszy i bardziej gibki niż oczekiwałem. Klęczał, ciężko oddychał i przyglądał mi się z nienawiścią. Jego rana była ciężka, ale wytrzymały mężczyzna by sobie z tym poradził. –

–Znikaj – powtórzyłem swoją radę. – Obwiąż sobie rękę i znikaj.

Starał się, ale im bardziej uciskał ranę, tym bardziej krwawiła. Krew wydawała się rzadka i jasna, w końcu zaczęła podchodzić czerwienią również nienaruszona skóra. Uszkodzenie układu tętniczego.

Umarł od razu w tym pokoju. Aż do końca klęczał w powiększającej się kałuży krwi i lamentował, że nie chce umierać. Nie zdało się to na nic. Nagle nie czułem się już tak zdrowy jak wcześniej. Stałem przed lustrem i uważnie obejrzałem swoje oczy. Dawno temu pewna ładna dziewczyna powiedziała mi, że są błękitne, parę lat później kobieta, która powoli przestawała być piękna, uznała je za twardsze niż agaty. Teraz niebieski kolor usiany był czerwoną siecią żyłek.

Wziąłem koldrę i przespąłem się na dachu budynku. Noc była chłodna i brudna. Dym z tłących się pogorzeliści przykrył miasto jak ciężki welon i unosił się w nim nieporównywalny do niczego odór palonego mięsa. W końcu usnąłem, albo

raczej straciłem przytomność. Rano obudził mnie lament. Nikt już nie próbował wydostać się z miasta. Ci, którzy zostali na zewnątrz, starali się teraz dostać do domów. Blade, snujące się cienie, często zostawiające krwawe ślady. Ktoś oślepl, ktoś szlochął z wyдутym brzuchem napelnionym krwią. Na skrajach ulic leżeli pierwsi martwi, przed południem poniewierali się już wszędzie. Zaczęło padać, a deszcz podkreślił tylko odór szerzającej się śmierci. Jeszcze przed dwoma dniami miasto tętniło życiem, teraz zaczynało przypominać przepelniony grobowiec. Nie chciałem umierać. Zabijałem wielokrotnie i zasłużyłem na śmierć, ale zawsze zakładałem, że to będzie miecz, nóż, strzała w gardle, ewentualnie pętla na szyi. Ale szkarłatna plaga? Pod nogami chlupotała mi rozmiękła breja, deszcz chłodził i zacinał w oczy. Nadjechał wóz. Dwóch mnichów układało na nim martwych, trzeci siedział na koźle. Zakon arghotów. Kiedyś czarownicy, dziś raczej zakonnicy. Bogaci, ale tylko ze wspomnieniem niegdysiejszej mocy. Mimo wszystko zachowywali godną podziwu dyscyplinę. Było tylko kwestią czasu, kiedy i oni staną się tymi, których układają.

W czasie swojej włóczęgi dotarłem aż do luksusowej dzielnicy cesarskich prominentów. Moją uwagę przyciągnął duży szyld. Kolorowa linia liter, w szarości dnia pełnego wilgoci, biła po oczach. Raj dla smakoszy. W brzuchu zaczynałem czuć krew, która zebrała się z drobnych ranek, ale mimo to wszedłem do środka. Był to luksusowy lokal specjalizujący się w zaspokajaniu dekadentkich zachcianek najbogatszych smakoszy. Ruchome przegrody dzieliły salę jadalną na oddzielne pomieszczenia, które zapewniały gościom podczas biesiadowania wystarczającą prywatność. Z tyłu ktoś pobrzękiwał naczyniami. Ostrożnie się tam zbliżyłem.

Mały, wysuszony z powodu sędziwego wieku starzec oparł właśnie o sięgający aż pod sufit regał z butelkami drabinę i chwiejnie po niej się wspinał. Na stole stała już cała bateria pustych butelek.

–Dopadnę cię, nie myśl sobie, że mi się tam na górze schowasz – paplał pijacko do siebie. Właściwie podczas wchodzenia powinien przynajmniej z dziesięć razy spaść, ale w końcu chwycił butelkę, której szukał, i bez problemu zszedł na ziemię.

–Zdrowie, młodzieńcze – zaskrzeczał. Odkorkował butelkę, nalał sobie do kieliszka i z rozkoszą się napił.

–Nie boi się pan, że umrze? – spytałem.

–Ja? – rozejrzał się, ale nikogo innego nie znalazł, a po kolejnym kieliszku doszedł do wniosku, że pytanie rzeczywiście było skierowane do niego.

–Już raz to przeżyłem, ja jestem od... odpór...

Po raz ostatni spróbował ruszyć językiem, a później zwałił się na ziemię. Sprawdziłem. Dopadł go tylko pijacki sen. Zdecydowałem, że wrócę tutaj później. Nie było obawy, że w ciągu kilku najbliższych godzin gdzieś mi ucieknie.

Znów spacerowałem po mieście. Chorzy, umierający i martwi. Niektórzy ludzie wyglądali jeszcze zupełnie normalnie, tylko trochę niepewnie się poruszali, a ich twarze były chorobliwie białe, albo przeciwnie – czerwone. Inni tylko pełzali lub bezsilnie leżeli w miejscu, gdzie pokonała ich ostatnia słabość. Poczulem wściekłość. Na Umberta, ponieważ z jego powodu znalazłem się tutaj. Wściekłość dodała mi sił. Nigdy nie byłem skłonny do pozytywnych emocji, nie było okazji. Negatywne uczucia, jak złość, nienawiść, furia, pomagały mi w nadludzkich wyczynach. Spotkałem kolejny wóz arghockich mnichów. Znów układali ciała, lecz tym razem wydawało mi się, że starannie wybierają trupy. Wyprzedził mnie szczupły mężczyzna, wnioskując z odzienia – grabarz. Dokąś się spieszył, a energii mogłem mu tylko pozazdrościć. Nagle pośliznął się w kałuży i upadł. Usłyszałem jego wściekły okrzyk, potem zaklął po raz drugi, jakby z niedowierzaniem. Podeszedłem do niego. Siedział na ziemi, z łokcia, który podczas upadku otarł, sączyła się krew. Umarł w ciągu pięciu minut. Zacząłem uważnie patrzeć, gdzie stąпам. Nie chciałem, żeby koniec nadszedł wcześniej, niż to będzie absolutnie konieczne. Uświadomiłem sobie, że słowa pijanego wzbudziły we mnie jakąś nadzieję. Nawymyślałem sobie, lecz na próżno. Zawsze robiłem sobie jakieś nieuzasadnione nadzieje.

Wróciłem do rajy dla smakoszy. Dziadka obudziłem zimną wodą i zaserwowałem mu gorącą zupę.

–Powiedział pan, że nie boi się plagi – zacząłem rozmowę.

–Bo się nie boję. Jestem odporny.

Był dumny, że udało mu się wypowiedzieć to słowo.

–Skąd pan to wie?

–Już raz miałem szkarlatną plagę i wyleczyli mnie. Powiedzieli, że ponownie już nie zachoruję.

–Kto, dziadku, kto pana wyleczył? Spojrzał na mnie chytrze.

–Panu jakoś specjalnie na tym zależy, młodzieńcze. Dlaczego?

Nie był zupełnie stetryczały, ale nie wydawało mi się sensowne tłumaczyć mu, że pozostały mi jeszcze maksymalnie trzy dni życia, a tak jestem do niego przywiązany, że jestem gotowy zrobić wszystko, żeby je sobie przedłużyć.

–Tak po prostu, dziadku. Kiedy mi pan opowie tę historię, zdejmę z regału dziesięć flaszek, które sobie pan wybierze.

Przyjrzał mi się podejrzliwie.

–Da pan słowo?

Słowa nie dałem nikomu już od dziesięciu lat. Wówczas jednemu człowiekowi obiecałem, że go zabiję.

–Ma je pan.

Dziadek chwycił niedopity kielich i zaczął opowiadać.

–Osiemdziesiąt sześć lat temu wybuchła epidemia w Dardown. Identyczna jak dziś. Tylko wtedy było to o wiele mniejsze miasto. Byłem jubilerem, diabelnie dobrym jubilerem, i chciałem się spakować, ale też mnie dopadło... Młodzieńcze, od tego mówienia jakoś wyszło mi w gardle, zdejmij mi tych moich dziesięć flaszek. Nie dał sobie tego wyperswadować, więc usłuchałem, a dziadek natychmiast jedną otworzył,

–Kiedy już dogorywałem, przyszedł do mnie taki jeden w czarnym płaszczu i spytał mnie, czy umiem szlifować duże diamenty. Znaczą się, chodziło o to, żeby diamentowi, który był już wcześniej oszlifowany, nadać nową formę. Byłem wtedy młody i nigdy tak naprawdę nie zajmowałem się dużymi kamieniami, ale umiałem wszystko. Powiedziałem mu, że jeśli wyzdrowieję, przeszlifuję mu diament nawet wielkości strusiego jaja.

Dziadek pił jak szewc – otworzył już sobie następną butelkę. Zaczynałem się bać, że nie zdąży mi opowiedzieć całej historii.

–Zabrali mnie do siebie na zamek i naprawdę wyleczyli. Dwa lata przerabiałem im kamienie, a często rozbierałem klejnoty na surowy materiał. Później wróciłem do Dardown. Dostałem od nich nawet niezłe pieniądze i założyłem sobie warsztat. Stałem się znanym w mieście jubilerem. Najlepszym. Znaczą, do czasu, kiedy zacząłem dużo pić. Teraz nie mogę szlifować, trzęsą mi się ręce. Ale dożyłem tylu lat, ilu nie dożył nikt z mego rodu. Myślę, że dzięki tamtej kuracji.

–A kim byli ci w czarnych płaszczach?

–Cały ten dzień pamiętam, jakby to było wczoraj. Myślę, że wtedy po raz drugi się urodziłem. Mieli takie...

Dziadek znieruchomiał w połowie zdania i zwałił się na stół. Kiedy go odwróciłem, był już martwy. I to nie z powodu szkarłatnej plagi. Może to apopleksja, może serce, może alkohol, którego nadmiar w końcu dał o sobie znać. Nie zdziwiłbym

się, ponieważ pił w taki sposób, który w krótkim czasie mógł zabić trzech silnych mężczyzn. Chociaż nie za bardzo wierzyłem w jego historię – pijacy czasem sporo wymyślają – zdecydowałem się zajrzeć w bibliotece uniwersyteckiej do kronik.

Biblioteka uniwersytecka była piękna. Dwóch martwych w środku w żaden sposób nie naruszało majestatycznej dostojności ksiąg, na dębowych półkach wznoszących się aż pod wysoki sufit. Granitowe ściany nie miały niepotrzebnych ozdób, a wielkie świetliki nawet pochmurnego dnia przepuszczały wystarczającą ilość światła. Musiało tu być przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy tomów. Lubię książki i kilka razy zaczynałem urządzać własną bibliotekę. Jednak za każdym razem musiałem dość szybko wyjeżdżać i nie liczę na to, że kiedykolwiek

wrócę po swoje zbiory. W Hompeton, największym porcie na wschodnim wybrzeżu, mam przynajmniej znajomego pasera, a ten przechowuje dla mnie egzemplarze, które wpadną mu w ręce. Po godzinie studiowania zrozumiałem, według jakiego klucza ułożone są księgi, a po dalszej półgodzinie znalazłem trzy kroniki miasta. Dwie z nich mnie nie interesowały, ponieważ zaczynały się dopiero w roku 304, czyli dziesięć lat po epidemii wspomnianej przez staruszka. Trzecia kronika napomykała już o założeniu miasta pięćset lat temu. Przestudiowałem ją szczegółowo, a nie była to przyjemna lektura, ponieważ nagle zaczęła mi z nosa lecieć krew i ustawicznie brudziła strony. Jasna i rzadka. Początkowo ocierałem ją rękawem, jednak później przestało mi to wystarczać, wziąłem małą miskę na świece i w nią łapałem kapiącą krew. Kronika nie pomijała również epidemii szkarłatnej plagi. Rzeczywiście było to osiemdziesiąt lat temu, jak mówił dziadek, ale w odróżnieniu od niego zapis mówił, że miasto było kompletnie opustoszałe, nie przeżył nikt. Nowi osadnicy przyjechali dopiero sześć lat później. Nie miało to jednak sensu, ponieważ właśnie od tego czasu datowany był znaczny rozkwit Dardown. Czyżby przyjechali wtedy ludzie, którzy wiedzieli, jak sobie radzić? Do dalszych poszukiwań musiałem znaleźć świece, ponieważ zapadł zmrok. Ciągle przenosiłem małą drabinkę z miejsca na miejsce i biegałem po niej w górę i w dół. W końcu mój upór się opłacił, chociaż kosztowało mnie to mnóstwo wysiłku. Krew z miski wylałem do sopluchy i zacząłem studiować „Historię zakonów duchownych” Flauberta. Flaubert był znany z tego, że nigdy niczego nie wymyślał, a kiedy czegoś nie wiedział, po prostu pisał, że nie wie. Miałem szczęście – wspominał również o Dardown. Zakon arghocki przebywał w nim już dwieście lat. Do roku 250 należał do średnio silnych klanów czarowników, potem jednak został pokonany w jednej z magicznych wojen. Jego przywódcy, za cenę wielkiego wykupnego, ocalili

przynajmniej swoje istnienie, a klan został przekształcony w kontrolowany zakon mnichów. Musieli się zrzec całego swojego bogactwa i magicznych artefaktów. Po pięćdziesięciu latach nie kontrolowano ich tak drobiazgowo i było prawdopodobne, że spróbowali odzyskać stare umiejętności w posługiwaniu się magią. Niewątpliwie bez większych sukcesów, ponieważ arghoci nigdy nie brali udziału w sprzeczkach czarowników i nie oferowali swoich usług w czasie wojen. Z drugiej strony, w ciągu pięćdziesięciu lat bardzo się wzbogacili i mieli dobrą opinię w zakresie lecznictwa. To wszystko oczywiście nie pojawiło się bezpośrednio w księgach, ale doświadczony człowiek bez problemu potrafi te najważniejsze rzeczy wyczytać między wierszami.

Flaubert również pisał o epidemii w roku 294. Wszyscy członkowie zakonu arghotów w Dardown podobno umarli wtedy na szkarłatną plagę i dopiero później ich klasztor został odbudowany przez wspólną misję odłamów zakonu. Szkopuł jednak tkwił w tym, że właśnie od roku 294 lub 304 datowany jest rozwój zakonu i jego droga do bogactwa. Według innych źródeł odłamy zakonu arghockiego zostały założone dopiero po roku 312.

Ostrożnie, chwając się, wyszedłem z biblioteki. Byłem na tropie, ale nie miałem pojęcia, czy będę miał dość sił, żeby nim iść. W ciągu nocy straciłem wiele krwi, huczało mi w uszach i kręciło się w głowie. Chociaż nie jadłem cały dzień, nie potrafiłem nawet myśleć o jedzeniu. Brzuch bolał, kiedy go dotykałem, był wydęty jak po fasolowej uczcie. Najgorzej działo się z oczami – na prawe nie widziałem wcale, lewe pokazywało mi świat przez gęstniejący czerwony woal. W nocy jeszcze bardziej się ochłodziło i ciągle padało. Ulice były zapelnione ciałami, jakby ludzie w nadziei na ratunek zdecydowali się umrzeć na zewnątrz. Okna czarno

spoglądały w mrok, drzwi domów skrzypiały w sporadycznych porywach wiatru. Miasto umierało. Spotkałem paru przechodniów, lecz wszyscy trzymali się tuż przy ścianach i zataczali się jeszcze bardziej niż ja. Potężny mężczyzna z rudymi włosami spróbował przejść przez ulicę, na środku stracił równowagę, upadł i natychmiast zmienił się w nasiąkający krwią, jęczący worek. Szedłem jeszcze ostrożniej. Po godzinie ujrzałem arghockich mnichów układających trupy. Przekradałem się wzdłuż ściany i starałem się udawać, że jest ze mną jeszcze gorzej niż w rzeczywistości. Dobrze mi szło. Mnisi tym razem pracowali we czterech, a jeden pilnował. Ostrożnie oglądali ciała i czasem dyskutowali ze sobą, czy danego człowieka brać, czy nie. Na dziesięciu, których oglądali, brali jednego. Z wozu rozległo się krótkie jęknięcie. Nie układali więc martwych, ale umierających. Czyżby chcieli im pomóc?

Poczekalem, aż na chwilę odwróca się w innym kierunku,

podkradłem się z tyłu wozu i przetoczyłem przez boczną burtę skrzyni ładunkowej. Człowiek pode mną zajęczał. Przytulilem się do desek, ostrożne kroki zabrzmiały głośniejsze.

–Raz, dwa, trzy. Uff! – odezwał się zniechęcony głos.

–Ciężki bastard.

Ciało przeleciało nade mną i upadło na tego samego biedaka, którego uszkodziłem również ja. Nie jestem mięczakiem, ale takie traktowanie chorych wydawało mi się jednak zbyt ostre. Leżałem zalany rzadką krwią i czekałem. Po godzinie zdecydowali, że mają dość i ruszyli. Uniosłem się i ostrożnie rozejrzałem. W rękę trzymałem sztylet i byłem gotowy do ataku. Może śmierć zaglądała mi w oczy, ale z co najmniej trójką mnichów z pewnością dalbym sobie radę. Jechaliśmy przez leżące na uboczu dziełnice miasta, obok murów obronnych, aż do wzgórza, na którym się znajdował arghocki klasztor. Twierdza byłaby lepszym określeniem. Strażnicy w szarych sutannach otworzyli bramę i wjechaliśmy do środka.

–Co wieziecie? – odezwał się zachrypnięty głos przyzwyczajony do wydawania poleceń.

–Czwórki, mistrzu.

Wóz się przechylił, kiedy ktoś wskoczył na stopień. Leżałem twarzą w górę, a dla pewności jeszcze bardziej wymazałem się krwią. W ręce wzdłuż ciała ukrywałem sztylet. Mężczyzna szybko przyjrzał się ładunkowi. Kanciasta twarz z czarną, przyszczyżoną na okrągło bródką, mocny nos i oczy osadzone pod potężnymi łukami brwiowymi. Nie tak wyobrażałem sobie mnicha.

–Idioci, to są raczej piątki. Podjedźcie do Matewa i zwalcie ich u niego.

Podjechaliśmy jeszcze kawalek, na wóz wskoczyło dwóch mnichów i zaczęli podawać ciała. Miecz wsunąłem pod boczną deskę, miałem nadzieję, że go nie zauważą. Kiedy mnie podnosili i zrzucali z wozu, błagałem cicho wszystkich bogów, żebym nie upadł na bruk. Po drewnianej pochylni zjechałem gdzieś w dół i leżałem u podnóża piramidy ciał. Ostrożnie się rozejrzałem. Znajdowałem się w podziemiach klasztoru, w prosektorium. Trzy rzędy prostych kamiennych stołów, na ścianach porozwieszane dziesiątki błyszczących narzędzi chirurgicznych, podłogę z polerowanego granitu pokrywała regularna sieć kanalików ściekowych. Rzadka krew przesiąkała przez stos i brudziła jasny granit. Trzech grubych nowicjuszy w białych, zachlapanych krwią albach siedziało wokół małego stolika i jadło z jednej miski wypełnionej kapustą i wieprzowiną. Zrobiło mi się niedobrze. Zamknąłem oczy, żeby uspokoić żołądek. Gdybym zaczął wymiotować, prawdopodobnie zwymiotowałbym wszystkie wnętrzności razem z tą krwią, która mi jeszcze pozostała. Najbardziej otyły

mężczyzna wstał i powoli, kolebiąc się, podszedł do sterty ciał. W ręce trzymał kość, ogryzał z niej resztki mięsa, po brodzie ściekał mu tłuszcz.

–Wygląda na to, że znów nam przywieźli robotę. Ale są już nieźle wycieńczeni, powinniśmy zaczynać.

Leżałem na ziemi tuż przed nim. Nachylił się i szturchnął mnie w kość.

–Ten jeszcze nie jest taki miękki.

–Ale zaraz będzie, jeśli nie ruszycie swoich tłustych tyłków! Rozpoznałem głos czarnobrodego, lecz nie odważyłem się ruszyć i na niego spojrzeć,

–Dlaczego nie zachowujecie diety?! Myślicie, że będę na was marnować skoncentrowane wyciągi? Osobiście się postaram, żebyście nic nie dostali i zdechli jak ludzie wmieście.

Mężczyzna się wściekał, a kamienna piwnica odbijała echem jego głos.

–Tutaj macie wasze tygodniowe wyżywienie. A jeśli jeszcze raz przyłapię was na jedzeniu czegoś innego, pójdziecie do miasta bez lekarstwa!

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Grubasek, który mnie uklął, zrobił pogardliwą minę.

–Postara się albo się nie postara, mam odlane cztery skoncentrowane dawki.

Lepiej jednak weźmy się do pracy, żeby naprawdę nie zaczął podskakiwać.

Jak widać, z dyscypliną mają problemy wszędzie, nawet w zakonach mnichów. Ogryzł do końca swoją kość, wyrzucił ją, a później złapał mnie za nogę i pociągnął do najbliższego stołu.

–Pomóżcie mi go podnieść.

Stękając, położyli mnie na stole. Grubas wybrał nóż, który przypominał przyrząd do ściągania skóry i w zamyśleniu wypróbował ostrze.

–To wielki mężczyzna. Zrobię go sam, wy możecie zająć się innymi.

Zdecydował się zacząć od głowy. Może miał większe doświadczenie, ja jednak zwierzęta z reguły oprawiam od odbytu. W skupieniu wydał wargi i przyłożył mi ostrze do czoła. Sztylet, który przez cały czas ukrywałem przy ciele, wepchnąłem mu od spodu pod brodę aż po rękojęść. Przez chwilę stał z półotwartymi ustami, ujrzałem błysk ostrza, które przebiło jamę ustną, i podniebienie i doszło aż do mózgu. Niestety, nie udało mi się wyciągnąć sztyletu. Leżałem nieruchomo. Kiedy indziej pozostałych

młokosów załatwiłbym bez problemu, teraz jednak nie byłem w zbyt dobrej kondycji, a ponadto musiałem to zrobić po cichu.

–Fornei? Co ci się stało? Towarzysze pospieszyli w jego stronę.

–Co to... – wyrzucił z siebie jeden, kiedy ujrzał sztylet. Zsunąłem się ze stołu. Natychmiast byli w gotowości.

–He, ożywiony trup. Już dawno tego nie było – rzucił mnich z lewej i starał się mnie dopaść.

–I jeszcze nigdy u piątek.

Nie byli zupełnie niedoświadczeni, ale przyzwyczajeni do przeciwników, których tylko krok dzieli od śmierci. Mnie, jak na razie, dzieliło więcej. Mimo to musiałem uważać. Trochę się zataczałem, a kiedy stałem, zacząłem gorzej widzieć. I czułem się słabo. Zła forma jak na bójkę dwóch przeciw jednemu. Zanim zdążyli się na mnie równocześnie rzucić, wyszedłem temu

z lewej naprzeciw. Spróbował dosięgnąć pięścią mojej twarzy. Zrobiłem skłon, cios ześliznął się po czole, chrupnął nadgarstek mnicha. Jeszcze bardziej się przybliżyłem i wierzchem stopy kopnąłem go pod kolanem. Odwróciłem się, robiąc krok w bok, ale jednocześnie poczułem rękę owiniętą wokół szyi. Schyliłem się, lewą ręką przez prawe ramię złapałem napastnika za włosy, obniżyłem punkt ciężkości i przerzuciłem go za siebie. W chwili, kiedy upadł, kopnąłem go piętą w zębra. i jeszcze raz. Jęknął i już się nie poruszył. Uświadomiłem sobie, że zbyt dużo czasu mu poświęciłem i zapomniałem o tym pierwszym. Odwróciłem się i łokciem na ślepo osłoniłem nerki. Nóż odepchnąłem, ale ostrze trafiło w rękę. Staliśmy naprzeciw siebie i ciężko oddychaliśmy. Mnich twarz miał wykrzywioną z bólu, prawą dłoń, złamaną w nadgarstku, trzymał ostrożnie z dala od ciała, na jedną nogę utykał, w lewej ręce ścisnął zakrwawiony nóż. Krople mojej jasnoczerwonej krwi rozbryzgiwały się na płytach, tworząc abstrakcyjne figury.

Bał się, ale nie zamierzał poddać.

–Twój kolega nie żyje.

Spojrzał na ciało za mną i ocenił, że mam rację.

–Szybko się wykrwawisz – odpowiedział mi. On też miał rację.

–Ale wcześniej cię zabiję. Nie dasz rady się obronić i dobrze o tym wiesz.

Nie spuszczał ze mnie wzroku. Grałem w pokera, w ręce miałem tylko parę dwójek i blefowaniem starałem się rozbić bank. Wiedziałem, że nie utrzymam się na nogach. W głowie mi huczało, byłem słaby i cały się trząsałem, ale miałem nadzieję, że mnich tego nie widzi.

–Ten nóż ci nie pomoże. Złamię ci drugą rękę i wgniotę oczy. Na początku było was trzech, teraz mamy dwóch martwych, a i z tobą nie jest najlepiej.

Musiałem zamilknąć, ponieważ szybko ubywało mi sił.

–Umrzemy obaj – powiedział, obserwując rosnącą kałużę krwi, w której stałem. Gdybym czuł się choć trochę lepiej, zaryzykowałbym i skoczył na niego.

–Ale jest jedno rozwiązanie. Popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

–Opatrzysz mnie, dasz mi lek, o którym była mowa, a ja później zniknę. Nikt się niczego nie dowie.

–A co zrobię z tymi tam? – zapytał.

–To, co z innymi trupami. Powiesz, że bali się gniewu przełożonego i uciekli. Wahał się. Ale ja już nie mogłem czekać.

–Jeśli natychmiast nie opatrzysz mi ręki, zabiję cię.

Nie miałem nic do stracenia, a on to zrozumiał. Posypał mi ranę proszkiem, później nasmarował ją maścią i obwiązał. Z malej szafki wyciągnął kryształową buteleczkę z przezroczystą cieczą i dał do wypicia. Miał to być ów leczniczy koncentrat. Zawahałem się, lecz nie pozostało mi nic innego niż wierzyć mężczyźnie.

Kiedy usiadłem, trochę mi ulżyło. Po odrobinie popijałem piwo, które zostało na stole po wieczery.

–Teraz powinieneś zająć się nimi – pokazałem na martwych.

–A jaką mam gwarancję, że mnie nie zabijesz, jak ich będę obrabiał? Wzruszyłem ramionami

–Chcę się stąd wydostać. To leży w moim i twoim interesie, a bez twojej pomocy nie dam rady.

Dalej nie pytał i zabrał się do pracy. Nawet jedną ręką pracował szybko i zręcznie. Dobrze mu szło, ponieważ miał do dyspozycji wspaniałe przyrządy. Byłby z niego świetny felczer, rzeźnik albo lekarz.

–Jak się nazywasz?

–Matew.

O moje imię nie spytał. Zręcznie ściągnął z ciała skórę, poszczególne organy wewnętrzne porozdzielał i wrzucił do kadzi z nasolonym lodem. Później z pomieszczenia na tyłach przyciągnął zbiornik na kółkach wypełniony lepką cieczą i

zanurzył w nim kości z resztkami tkanki mięśniowej. Tymczasem trochę doszedłem do siebie i zacząłem wypytywać.

–Dlaczego to robicie?

Skrzywił się.

–Jestem zwyczajnym nowicjuszem, kupionym kiedyś niewolnikiem. Myślę, że z martwych wytwarza się lek na szkarlatną plagę. Potrzebują ciał w różnych stadiach choroby, a słyszałem nawet, że zginie także paru zdrowych. W tym celu rozglądają się za niewolnikami, jak kiedyś za mną. Ale teraz już dużo umiem i jestem bezpieczny. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Cynicznie się zaśmiał. Nie wyglądało, żeby był lojalny wobec arghotów.

–A dlaczego nie leczycie ludzi w mieście?

Wyszczерzył zęby.

–Zgadnij. Myślę, że mają jakieś doświadczenia w tym temacie. Podczas ostatniej epidemii przez przypadek wynaleźli lek, ale dla mieszkańców miasta już było za późno. Poczekali, aż będzie po wszystkim, splądrowali domy i zabrali najcenniejsze rzeczy. Z wielkim humbugiem pomogli przy ponownym zasiedleniu miasta i jednocześnie włączyli się w zarządzanie imperium. Jestem tutaj już dziesięć lat i dlatego tyle wiem. Jest paru ludzi, których leczymy. Przychylnie nastawioną arystokrację, handlowców, których potrzebujemy i rodzinę namiestnika cesarskiego. Oni oczywiście nie mają pojęcia, jak się wyrabia leki.

–Czy epidemia to przypadek?

Matew na chwilę przerwał pracę i otarł pot z czoła.

–Dobre pytanie. Myślę, że to nie przypadek. Zakon ostatnimi czasy narobił sobie nieprzyjaciół wśród wpływowych ludzi i popadł w tarapaty finansowe. Jesteśmy dość daleko od morza, a nie ma za dużej szansy, żeby zaraza dotarła aż tutaj. Siedem dni temu przyjechał mężczyzna na świetnym, ale bardzo zgonionym koniu. Typ, który normalnie do klasztoru by nie przyszedł. Może przywiózł przesyłkę.

–O głowę niższy ode mnie, szerokie bary długie ręce, uzbrojony w dwa miecze. Matew przytaknął.

–To on.

W zamyśleniu przyglądałem się opatrunkowi na ręce. Krew wciąż przesiąkała, ale już tylko trochę. Zatem Umberto nie przybył tu przypadkiem. Nigdy nie pogardzał możliwością dorobienia, a za doręczenie przesyłki zapewne szczerze mu zapłacono. A w dodatku zaraził się szkarlatną plagą.

–Jak działają leki? – spytałem.

–Koncentrat, który ci dałem, potrafi zatrzymać postępującą chorobę. To – wskazał trzy pakunki, które przyniósł czarnobrody – sprawi, że staniesz się odporny. Musisz to jeść przez cały tydzień, ponieważ nosisz w sobie chorobę i mógłbyś później sam się zarazić.

–Jak na rozmowę z nieproszonym gościem zadziwiająco dobrze współpracujesz.

–Jestem niewolnikiem, teraz już właściwie nowicjuszem. Łatwo mnie zastąpić. Gdybym mógł, uciekłbym. Ale oni znają wiele sposobów, jak do siebie człowieka przywiązać.

Piwo i leki działały. Nie czułem się lepiej, ale także nie gorzej.

–Myślę, że najwyższy czas, żebym stąd poszedł – powiedziałem i ostrożnie wstałem.

Matew zapakował do małego worka trzy pakunki, dodał do tego jeszcze dwie buteleczki koncentratu i wszystko mi podał.

–To ci powinno wystarczyć i nie zapominaj, że nie wolno ci jeść nic innego.

Teraz skup się i słuchaj mnie uważnie. Nie chcę, żeby nas razem złapali.

Z jego pomocą jeszcze przed świtem wydostałem się na zewnątrz i udało mi się zabrać z wozu miecz, którego nikt nie zauważył.

Rozwidniło się. Zataczających się ludzi ubyło, na ulicach pojawiły się pierwsze szczury. Sfory psów domowych, które już od kilku dni nie dostały nic do jedzenia, dołączały się do gryzoni. Większość ludzi nie była jeszcze całkiem martwa. Jeśli człowiek się nie ruszał, śmierć przychodziła do niego powoli, mógł więc cierpienia stopniowej agonii posmakować w pełni.

Zrezygnowałem z poszukiwania Umberta. Straciłem, co prawda, mnóstwo pieniędzy, ale sprzyściło mi się przeciw mnie zbyt wiele okoliczności i o mało nie umarłem. Pomału spacerowałem ulicami i kierowałem się do głównej bramy. W końcu przestało padać, zaświeciło słońce i ociepliło się. Nasilił się odór rozkładających się ciał. Za chwilę zrobi się tu nie do wytrzymania. Nie podobało mi się, że ktoś zabił sto tysięcy ludzi, ale nie był to mój problem, ponadto ledwo powłóczyłem nogami. Na małym placu zatrzymałem się, żeby odpocząć. Z kramu, który nad drzwiami miał wywieszony znaczek uzdrowiciela, wykuśtykał chłopak. Był zmęczony; idąc, zostawiał za sobą krwawe ślady. W objęciach niósł pełno worków i pudełek z maściami i innymi lekami. Zataczał się z boku na bok, potknął o kamień, rozsypały się jego pakunki. Z zawzięciem klęknął i zaczął je zbierać. Miał poobcieraną twarz, przez uszkodzoną tkankę przesączały się kropelki różowej krwi. Mógł mieć szesnaście, siedemnaście lat.

–Co tam masz?

Dopiero teraz mnie zauważył.

–Leki, leki na wszystkie znane choroby. Mogłyby pomóc. Przeczytałem w jednej księdze, że istnieją również leki na szkarlatną plagę.

–Ty umiesz czytać?

–Trochę,

–Jak się nazywała ta książka?

–Lekarski brewiarz A... Atho...

–Ahopolda – uzupełniłem za niego.

–No.

Ta książka była największym zbiorem bzdur i kłamstw, jakie kiedykolwiek czytałem. A chłopaczkę z niej czerpał nadzieję na ratunek. W końcu udało mu się pozbiierać pakuneczki. Przestałem dla niego istnieć i szedł dalej. Swoim uporem i nieustępliwością przypominał mnie. Jakbym patrzył na siebie, kiedy byłem młodszy.

–Hej, poczekaj. Ja mam lek.

Nie wiedziałem, dlaczego to robię. Może byłem zbyt blisko śmierci i stałem się trochę sentymentalny. Może miałem zbyt ciężki worek i nie chciało mi się go niepotrzebnie tachać. Chłopak odwrócił się i zerknął na mnie badawczo. Powoli i w skupieniu studiował moją twarz, jakby próbował ocenić, czy nie kłamię.

–A dasz mi go?

Podąłem mu jedną paczuszkę i buteleczkę.

–To wypij, a to jedz przez tydzień. Tylko to i nic innego. Musisz stąd odejść, inaczej znów się zarazisz.

–Dlaczego? – spytał. – Dlaczego mi to dajesz? Zaskoczył mnie.

–Nie wiem. Bierz albo daj mi spokój.

Wziął. Spodziewałem się, że wypije eliksir na miejscu i zje przynajmniej kawałek masy z paczki, ale po prostu, zataczając się, poszedł dalej. Śledziłem go. To było łatwe, ponieważ nie zauważał już otoczenia. Dokuśtykał do małego domku na rogu ulicy i wszedł w drzwi.

Zajrzałem do środka przez okno. Na łóżku leżała dziewczyna, chyba w jego wieku. Miała długie włosy, które z natury jasnobrązowe,

teraz jednak miały czerwony odcień – krwawiła z cebulek. Mogła to być jego siostra, ale równie dobrze nie. Delikatnie pocałował ją w usta i zmusił do wypicia zawartości buteleczki.

–Coś ci przyniosłem. Nie będzie ci smakować, ale to nie szkodzi.

Rozpakował pakunek, nożem odkroił cienki plaster i karmił ją po kawałku.

–Jeszcze dzisiaj razem stąd odejdziemy. Rozbijemy obóz daleko od miasta i tam poczekasz, aż wyzdrowiejesz. Ja muszę wrócić.

Drugą paczuszkę i fiolkę zostawiłem mu na przyzbie. I tak ich nie potrzebowałem.

W chwili, kiedy wychodziłem przez bramę z miasta, wpadłem na pomysł. Szalony pomysł, jak spróbować odzyskać pieniądze; załatwić to z ludźmi, którzy w najmniejszy sposób nie przypadli mi do gustu, a ponadto zrobiłbym również dobry uczynek. Tyle pieczeni na jednym ogniu rzadko kiedy udawało mi się upiec.

Zawróciłem do miasta. Ostrożnie, żeby nikt mnie nie widział, doszedłem do twierdzy arghotów. Mury nie były tu zbyt dobrze utrzymane i wspiały się na nie nawet zręczniejszy dziesięcioletni chłopak. Tylko że arghoci byli kiedyś magami, a ci chronili swoje fortyfikacje lepiej niż tylko samymi murami. Siedziałem w wylomie zburzonego muru przykryty burą płachtą znaną na ulicy i obserwowałem twierdzę. Każdy mnich uważałby mnie za szczątki człowieka, który wybrał sobie niezbyt wygodne miejsce na ostatni odpoczynek. Twierdza mogła być założona pięćset lat temu, raczej czterysta siedemdziesiąt. Wygrzebywałem z pamięci wydarzenia historyczne, które jeszcze zostały mi w głowie. Czterysta siedemdziesiąt lat temu wśród klanów zapanowała moda na zaklęcia magiczne na dużą skalę, które potrafiły chronić całe wielkie obszary. Chociaż to dziwne, nawet czarownicy ulegają najróżniejszym trendom mody i często robią rzeczy nadmiernie skomplikowane, żeby tylko być modnymi. Po

pięćdziesięciu latach ktoś odkrył sztuczkę, która zdołała zniszczyć ogromne zakłęcie tak łatwo, jak dziecko niszczy tamę na strumyczku. Wielkich zaklęć, co prawda, przestano używać, ale nikt nie zadał sobie trudu, żeby je odczynić. Jeśli twierdzą chronił jakiś czar, powinien być właśnie taki, ponieważ później arghoci stracili moc. Uważnie przyglądałem się muirom obronnym. Po chwili koncentracji na uszkodzonej powierzchni cegiel potrafiłem rozpoznać nieprzerwane nitki tworzące linie diagramu czaru. Przechodzenie przez mury nie było więc najlepszym pomysłem. Przesunąłem się na drugą stronę i zobaczyłem parę bramek, które służyły celom gospodarczym. Wszystkie były niedawno wymienione, a

wnioskując ze zdobień nitów, rzemieślnik pochodził z południa. Zadałem sobie trud i znalazłem na kołatce jego znak. Stylizowana pięść zwrócona w kierunku pioruna. Ten cech często współpracował z klanem augupów, który był znany ze swoich skutecznych czarów ochronnych. Postanowiłem nie ryzykować i wykorzystać najbardziej tradycyjny sposób. Po zmroku wypatrzyłem samotnego mnicha wracającego do twierdzy i „wypożyczyłem” jego odzienie. Ciało przykryłem płachtą i zostawiłem w miejscu, gdzie wcześniej siedziałem. Przez bramę przeszedłem bez problemów i tą samą rynną, co ostatnio, ześliznąłem się do prosekatorium. Mój stary znajomy był tam, na szczęście, sam. Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

–Oszalałeś?

Zamiast odpowiedzi wyszczerzyłem się w uśmiechu.

–Nie. Zdecydowałem, że uratuję to nędzne miasto. A przynajmniej to, co z niego zostało.

Nie musiałem Matewa za bardzo przekonywać, chętnie naszkicował mi plan głównego budynku, ponadto dał stary rozkaz, który uprawniał do wejścia do komnat wielkiego mistrza i powiedział mi, jak mają na imię członkowie rady zakonu,

–Mam nadzieję, że podczas tortur nie będą cię o nic wypytywać – wyraził nadzieję na pożegnanie.

–Dla roztropnego człowieka już najwyższy czas, żeby opuścił to posępne miejsce. Nie wróżę arghotom zbyt radosnej przyszłości – odplaciłem mu radą.

Ze sztyletem w jednej ręce i pożyczonym nożem w drugiej, owinięty w szary roboczy habit, skradałem się po korytarzach. Zgodnie ze starymi wojskowymi zasadami były wąskie, ale dobrze oświetlone kagankami, aż mnie to denerwowało. Kamiennie mury wydawały się bardziej przytulne dzięki aksamitnym gobelinom, nawet na podłodze leżał dywan tłumiący kroki. Od drugiego piętra wzwyż wszystkie pary drzwi wyglądały jak piękne prace artystyczne, klamki błyszczały złotem. Arghoci naprawdę się wzbogacili, a w ich siedzibie nie było miejsca na ascetyzm. Byli też cudownie niefrasobliwi. Wstrzymując oddech, z przygotowaną bronią ukrytą w rękawach minąłem mnicha w takiej samej albie jak moja. Na szczęście, w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Na czwartym piętrze przy otwartych drzwiach stróżowało dwóch mężczyzn. Znudzeni opierali się o ścianę i o czymś dyskutowali. Obok stał duży dzban z winem. Przez ten moment, kiedy ich obserwowałem, każdy zeń się napił. Powoli do nich podszedłem, nóż schowałem, ukryty sztylet trzymałem w prawej ręce.

–Dokąd zmierzasz, bracie? – spytał dobrodusznie jeden z nich.

–Aluh po mnie posłał. Podobno chce przyprowadzić kogoś z zewnątrz.

Aluh był dostojnikiem kościelnym, formalnie wielkim mistrzem zakonu. Ten, który mnie zaczepił, poklepał teraz po ramieniu.

–Jesteś łowcą, co? No, duży jesteś wystarczająco. A rozkaz masz? Bez niego nie możemy cię wpuścić.

Pokazałem mu papier, który dał mi Matew. Przelotnie na niego spojrział i skinął głową.

–Wchodź. Wszyscy są w środku. Przeszedłem przez długi korytarz, drzwi, pusty przedsionek i chwilę nasłuchiwałem przy następnych drzwiach. Sztylet przerzuciłem do lewej ręki i wyciągnąłem miecz. Ktoś mówił o zasadach działania podczas ponownego zasiedlania miasta. Zrozumiałem, co znaczyło owo „wszyscy” strażnika, ale nie mogłem wrócić. Ostrożnie nacisnąłem klamkę, odczekałem dwa uderzenia serca, błyskawicznie otworzyłem i wsunąłem się do środka. Siedzieli wokół długiego stołu, na pierwszy rzut oka było ich około tuzina. Moje rozważniejsze ja uznało mnie za szaleńca. Stałem naprzeciwko dwunastu mężczyzn, niektórzy z nich byli magami. Może nie najlepszymi, ale wystarczyliby nawet ci drugorzędni. Gdybym teraz odwrócił się i uciekł, może miałbym szansę. Moje gorsze ja promieniało entuzjazmem. Zanim zdążyli się odwrócić, machnąłem szerokim łukiem mieczem i uciałem głowę mężczyźnie, który siedział tyłem do mnie. Uderzeniem rękojeścią powaliłem na ziemię następnego i stanąłem przy dłuższym boku stołu za plecami pięciu mężczyzn.

–Panowie, proszę o spokój. Kto się ruszy, zostanie zabity.

Mężczyzna po drugiej stronie spróbował wstać. Bez wypadu, samym pchnięciem dosięgłem jego szyi. Głowa zadudniła na stole.

–Wystarczy jakikolwiek ruch, mrugnięcie, które wyda mi się podejrzane.

Jasne?

Grubas, za którym stałem, skinął głową. Wsadziłem mu sztylet w nerki i przekręciłem ostrze. Na chwilę zeszywniałem z bólu, kiedy przeniknął przeze mnie jeszcze nie do końca ukształtowany czar. Prawie mu się udało. Gdyby byli prawdziwymi magami, potrafiliby czarować siłą woli bez przygotowania, a ze mnie już dawno zostałaby tylko tłusta plama. Tylko że czary wymagają ascezy, wyrzeczeń, studiowania i treningu. Ci tutaj wszyscy, co do jednego, byli zbyt zniewieściali. Mieli okrągłe twarze, w większości czerwone pijackie nosy, na dłoniach mnóstwo zwyczajnych niemagicznych pierścieni. Z wyjątkiem czarnobrodego, którego widziałem już wcześniej. Jeśli umieli czarować, potrzebowali do tego głosu, gestu albo rekwizytów pomagających w skoncentrowaniu woli. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

–Odpowiadajcie tylko „tak” lub „nie”. Ty jesteś wielkim mistrzem? – zwróciłem się do mężczyzny u szczytu stołu.

–Nie.

Chciał, żebym myślał, iż wielkiego mistrza zabiłem jako pierwszego, ale zdziwienie w oczach innego mnicha przekonało mnie, że kłamię. Wpatrywałem się w środek stołu i starałem się nie patrzeć na nikogo konkretnego. Kątem oka musiałem rejestrować każdy ruch, wszystko, co robili. Serce nagle zaczęło mi walić, uderzało coraz szybciej, puls czułem jak walenie młota. Ujrzałem opuszczoną chwiejącą się rękę. Odciąłem ją przy ramieniu. Upadła na ziemię, z kurczowo zaciśniętych palców wysunął się łańcuszek z żywym kamieniem szlachetnym. Natychmiast mi ulżyło. Były właściciel ręki siedział wykrzywiony bólem w swoim fotelu. Nikt nie próbował mu pomóc.

–Chcę przepis na wyrób leku przeciwko pladze. Natychmiast.

Wystarczyły dwa krótkie dotknięcia zaklęć i czułem się, jakbym miał za chwilę zemdleć. Starąłem się nie dać tego po sobie poznać, ale musiałem być blady jak ściana. Jesteś głupkiem,

więc umrzesz, krzyczało moje rozsądne ja, lecz to drugie dodawało moim ruchom precyzji i wyostrzało zmysły. Czekalem na następny czar, jednak nic się nie działo. Dwa razy spróbowali, dwa razy zabilem. Może myśleli, że jestem pod ochroną zaklęcia ostrzegania w odpowiednim czasie.

–Jeśli nie dacie mi receptury, zapytam każdego oddzielnie. A pytać umiem bardzo wyraźnie.

–Cały proces produkcji znają tylko trzy osoby. Ja, zastępca wielkiego mistrza i bibliotekarz – przerwał mi wielki mistrz.

–Ty jesteś zastępcą? – zapytałem mężczyznę po jego prawicy.

–T... tak – udalo mu się wyjąkać po chwili starań. Niewymuszonym ruchem odciąłem Aluhowi głowę.

–Teraz jesteś wielkim mistrzem. Masz ochotę dać mi recepturę?

–T... t... tak.

Tym razem zajęło mu to więcej czasu, ale odpowiedział właściwie. Chwiejnie się do niego przybliżyłem. Świat przede mną pływał, miałem podejrzenie, że działa na mnie jakiś rozproszony czar, lecz nie zdołałem rozpoznać, kto jest jego twórcą. W pomieszczeniu zostało już tylko sześciu żywych. Musiałem przejść koło

czarnobrodego, jednak nie zwróciłem na niego uwagi. Był szybki – zaatakował sztyletem, zdążyłem tylko ugiąć się w pasie. Ugodził mnie w bok i w następnej chwili wytrącił mi z ręki miecz. Zgiąłem się z bólu, ale zdołałem go chwycić za głowę. Wyciągnął sztylet z rany, na chwilę pociemniało mi w oczach, kiedy stal otarła się o kość miednicy. Zanim dźgnął mnie po raz drugi, złamałem mu kark. Wychudły mnich wstał i w gniewnym geście wyciągnął w moją stronę obie ręce. Podniosłem czarnobrodego przed siebie jak tarczę, uderzenie energii rozerwało go na pół. Jedna połowa spadła na ziemię, drugą rzuciłem w czarownika i powaliłem go na ziemię. W lewej ręce wciąż trzymałem sztylet, w prawą wziąłem teraz nóż do patroszenia. Rana nieznośnie bolała, lecz nie odważyłem się sprawdzić, jak bardzo krwawiłem.

–Nie ruszajcie się!

Zobaczyłem, że człowiek za stołem naprzeciwko mnie jest skupiony i ma zamknięte oczy. Ciało przestawało mnie słuchać, czułem, że zapadam się w siebie. Rzuciłem w niego sztyletem. Celowałem w pierś, ale trafiłem w prawe oko.

–Rzucam dobrze – usłyszałem swój głos. – Zostało was trzech, a mam jeszcze nóż.

Działanie czaru minęło, jednak jeszcze bardziej poczułem ranę w boku. Drzwi się otworzyły. Zakląłem. Strażnicy z pewnością zdecydowali się w końcu wejść do środka.

Cały świat tonął w oparach bólu.

–Jestem późno, choć jednocześnie w samą porę – poznałem głos Matewa. –

Strażnicy nie przyjdą.

Podał mi mój miecz.

–Na razie ich pilnuj, ja ci trochę pomogę.

Nie upilnowałbym nawet krowy z cielęciem, lecz ci trzech, którzy zostali, bali się tak bardzo, że niczego już nie próbowali.

Matew opatrzył mi ranę i dał do wypicia narkotyk, po którym byłem w stanie znów widzieć. Dalej wszystko poszło jak po maśle. Chyba czarowników denerwowało otoczenie,

ponieważ przez cały czas, kiedy toczyły się rozmowy, siedzieliśmy w pracowni z martwymi. Dostałem recepturę, a kiedy chciałem, żeby mnisi zaczęli rozwozić po mieście przygotowane leki, nikt nie zaprotestował. Arghoci nie mogli nosić swoich habitów, ponieważ nie chciałem, żeby mieszkańcy byli im wdzięczni za ratunek. Matew wynegocjował wydanie małego kamyczka, który umożliwiał zakonowi wymuszenie na nim, w razie potrzeby, absolutnego posłuszeństwa. Wieczorem, w

towarzystwie świeżo upieczonego, wbrew własnej woli, wielkiego mistrza wróciłem do miasta. Zapewniłem go, że zostanę tu jeszcze przez jakiś czas i przekonam się, czy doprowadzi miasto do porządku, jak zapewniał. Obiecałem mu, że jeśli nie będę zadowolony, osobiście go odwiedzę i wtedy sobie porozmawiamy. Później się pożegnaliśmy. Znalazłem pusty dom i zwałem się na pierwsze łóżko, jakie ujrzałem. Byłem u kresu sił i przestawiałem się kontrolować. Rano przez chwilę myślałem, że jestem już martwy. Plaga, czary, zranienie. Czulem się bardzo źle, ale nie wierzyłem, że umrę. Wiele wytrzymam. Ranę regularnie czyściłem, a maść, którą dostałem od Matewa, pomagała wprost cudownie. Następnego dnia przynajmniej na chwilę wyjrzałem przez okno. Mnisi wciąż pilnie pracowali. Na ulicach zostali już tylko martwi, wszyscy żywi zostali odniesieni do domów. Szacowałem, że prawie połowa mieszkańców przeżyła.

Gdy tylko byłem w stanie się ruszyć, przeniosłem się z domu do dobrej oberży. Wciąż nikt tu nie obsługiwał, więc sam wpisałem się do księgi gości i przy swoim imieniu dopisałem uwagę: „Zapłacono z góry za czternaście dni”. Później przyszedł nawrót choroby i tydzień przeleżałem bez przytomności. Jeśli Umberto przeżył plagę, właśnie teraz zniknął gdzieś w dali. Po trzech tygodniach w końcu wziąłem się w garść. Straciłem co najmniej piętnaście kilogramów, w boku ciągle mnie klęło. Zdecydowałem, że wyjeżdżam. Nie miałem już nic do roboty. Miastu daleko było jeszcze do dawnego Dardown, lecz życie wracało do starego rytmu i niedługo znów pewnie zacznie obowiązywać tu prawo. Za pieniądze, które wziąłem od arghotów jako odszkodowanie, kupiłem sobie nowe ubranie i dobrego konia.

W drogę wyruszyłem wcześnie rano. Leniwie przejechałem przez bramę i rozkoszowałem się świeżym wietrzykiem. Wschodzące słońce zapowiadało piękny dzień, a ponieważ w nocy spadł deszcz, nie kurzyło się. Mniej więcej milę za miastem dogoniłem grupę dwudziestu żołnierzy, którzy eskortowali więźnia w klatce. Niedźwiedzią figurę rozpoznałem na pierwszy rzut oka. To był Umberto. On mnie nie poznał, ponieważ wyglądałem dwadzieścia lat starzej. Dołączyłem do oficera i spytałem, co planują zrobić z więźniem. Umberto miał być stracony za obrazę cesarza. Popelnił to przestępstwo jeszcze przed plagą i całą epidemię spędził w najgłębszej celi więziennej. Co dziwne, nie zaraził się. Gdybym był mądrzejszy, od razu zajrzałbym do więzienia. Żołnierze pilnowali klatki dość niedbale i nie mieli nic przeciwko, żebym z więźniem porozmawiał.

–Umberto – powiedziałem.

Trwało chwilę, zanim skojarzył, kim jestem.

–Więc mnie znalazłeś – powiedział i się skrzywił.

–Znalazłem.

–I nie wyglądasz za dobrze. Jakby śmierć zaglądała ci w oczy.

–Mnie w oczy, a tobie siedzi na karku. Niedługo cię powieszają. Wzruszył ramionami.

–Może nie.

Był silny, szybki i niebezpieczny, jednocześnie jednak miał więzy na rękach i nogach. Według mnie zbyt w siebie wierzył. Ci żołnierze z pewnością powiesili już niejednego twardego zabijakę.

Obserwował mnie i czekał, kiedy zacznę mówić o swoim udziale.

–Nie przywiozłeś przypadkiem do Dardown jakiegoś pakunku?

–Skąd o tym wiesz? Przywiozłem, wielki mistrz arghotów dobrze mi zapłacił za dostawę.

Podobno im się spieszyło.

–A widziałeś, co było w środku?

–Nie, chciał to rozpakować przede mną, ale zwinąłem pieniądze i zniknąłem. Do czarowników lepiej za bardzo się nie wtrącać.

Dotknąłem rany w boku. Miał rację.

–Jeśli mi powiesz, gdzie jest skarb, dam ci nóż i przetnę więzy na nogach.

Długo mi się przyglądał. Powóz z klatką turkotał po nierównej drodze, mijaliśmy drzewa z wisielcami. W końcu pokręcił głową.

–Nie, nie wierzę ci. Powiem ci, gdzie są drogocenne kamienie, a ty i tak mi nie pomożesz.

Popelniał błąd. Nie kłamałem. Kłamię rzadko i niechętnie.

Patrzyłem, jak go wieszali. W chwili, kiedy wyprowadzili go z klatki, starał się swoją zwierzęcą siłą wyswobodzić z więzów. Pierwszych dwóch mężczyzn zabił z łatwością, ale zanim zabrał trzeciemu miecz, trafili go w ramię i to Umberta spowolniło. Później nie miał już szans, chociaż pociągnął za sobą jeszcze dwóch. Gdyby od początku miał nóż, wierzę, że by uciekł. Popędziłem konia i kontynuowałem podróż. Poranek wciąż jeszcze był rześki.

Po przebyciu mili natknąłem się na tę samą straż, co przy wjeździe do Dardown. Porucznik przez chwilę podejrzliwie mi się przyglądał, ale nie poznał. Obawiam się, że teraz będę musiał płacić dziewczynom potrójną stawkę.

–Jak wygląda dziś sytuacja w mieście? – spytał.

–Nieźle. Ludzie już się wzięli w garść. Zaczynają organizować sklepy i inne rzeczy.

Porucznik pokiwał głową.

–To dobrze. Wszyscy mieliśmy piekielne szczęście.

Piekielne szczęście, trafne określenie. Czasem mam poczucie, że żyję w piekle.

–A co znaczy ten słup dymu? – spytał i pokazał w kierunku miasta.

Odwróciłem się.

–To tylko jakiś dowcipniś rozgłosił, że plagę do miasta przywlekli arghoci i ludzie w to uwierzyli. Myślę, że niewiele zostało z ich klasztoru.

Porucznik splunął.

–Nie szkodzi. To była banda łobuzów. Szczęśliwej drogi.

–Dzięki.

Kiwnąłem mu na pożegnanie i popatrzyłem przed siebie. Droga zniknęła za horyzontem.

Łowcy nagród

Stałem plecami do wykrzywionego pnia starej sosny, w ręce trzymałem naciągniętą kuszę. Ramieniem zakrywałem łuczysko, żeby od lśniącego metalu nie odbił się nawet najmniejszy promień słońca, i starałem się oddychać powoli i bezgłośnie. Piętnaście metrów przede mną, w

lesie, cicho poruszał się górski goryl. Szedł na dwóch łapach, głęboko pochylony, czasem przednimi łapami dotykał ziemi, kiedy indziej zawieszał się na gałęzi jakiegoś drzewa. Nawet zgarbiony był mojego wzrostu. Gdyby się wyprostował – gdyby mógł się wyprostować, ponieważ niektórzy przyrodnicy twierdzą, że te w połowie mityczne stworzenia nie mogą chodzić wyprostowane -musiałby być tak wysoki jak niedźwiedź kodiak. Nagle zainteresowało go coś w gałęziach olbrzymiego wiązu tuż nad nim. Wspiął się na palce, prawą ręką chwycił jedną z grubszych gałęzi i podciągnął się w górę. Chwilę później był pięć metrów wyżej, mignął mi tylko wśród liści i nagle znów stał na ziemi. Za skórę na grzbiecie, jakby to był zwyczajny mały kot, trzymał wielkiego rysia. Zwierzę próbowało go podrapać, ale nie mogło dosięgnąć. Drugim ramieniem goryl uderzył rysia z boku w głowę i drapieżnik natychmiast zwiotczał. Goryl odwrócił się tyłem, nie widziałem więc, czy pożera swoją zdobycz całą, czy jest bardziej wybredny. Na czole czułem krople potu, wątpilem, czy jeden mój belt zatrzymałby tę ogromną małpę. To był prawdziwy władca gór, przed którym uciekały nawet groźne srebrne pumy. Na szczęście górskich goryli nie było wiele i żyły tylko w najbardziej niedostępnych obszarach Gór Niebieskich, w głębokich dolinach między masywami górkami pokrytymi wiecznym lodem. Ostatni egzemplarz został złapany mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu, a Gitberg opisał go w swojej „Wielkiej księdze ciekawostek przyrodniczych”.

Małpa nagle się zatrzymała, opadła na cztery łapy i wnet już tylko na podstawie falującej roślinności zgadywałem, dokąd biegnie. Stłumiłem przekleństwo, ale od drzewa nie odważyłem się oderwać. Mój koń zarżał ze strachu, usłyszałem tępe uderzenie i następujący po nim trzask kości.

Wiele razy już płaciłem za swoją ciekawość. Wprawdzie na własne oczy zobaczyłem stworzenie z przyrodniczych legend, widziałem, że chodzi na tylnych łapach, umie się wyprostować i że pogłoski o straszliwej sile i szybkości nie są przesadzone, mogłem też obalić bajki o rzekomej inteligencji tych stworzeń, którym przypisywano wiele ludzkich cech, łącznie ze znajomością ognia i wykorzystywaniem narzędzi. Dalej jednak musiałem iść pieszo.

Małpa przy koniu spędziła zaledwie godzinę, a później kontynuowała swoją samotną wędrówkę. Była wybredna. Zżarła wnętrności i najlepsze mięso przy kręgosłupie. Nie złamała wierzchowcowi karku, jak początkowo myślałem, lecz uderzeniem z góry przetrąciła mu grzbiat. Ponieważ moje zapasy zaczynały się kurczyć, a podróż nagle wydłużyła, wyciąłem parę kilogramów mięsa, zawinałem je w liście i dorzuciłem do ładunku. Wieczór był blisko, ale przy padlinie nie chciałem rozbijać obozu. Przewiesiłem jeździeckie torby przez jedno ramię, chlebak i siodło przez drugie, pochwę zawiesiłem na popręgu, żeby nie uderzyć się podczas ewentualnego upadku i obladowany niczym juczne zwierzę wyruszyłem w dalszą drogę. Po wydarzeniach w Downdown, gdzie pośrednio sprowokowałem ludzi do spalania cytadeli czarowników, chciałem za sobą zatrzeć ślady i teraz musiałem płacić za to, że wybrałem drogę przez góry jako idealny i najprostszy sposób zrealizowania swoich zamiarów. Nie przemyślałem wszystkiego zbyt dokładnie, ale to też przydarzyło mi się nie po raz pierwszy.

Do Brambag dotarłem dopiero po czterech dniach. Wtedy już cała wściekłość spowodowana utratą konia ze mnie wyparowała i podróżowałem bez pośpiechu. Mięśnie ramion od noszenia tylu rzeczy były jednym wielkim kamieniem, ale nie wyrzuciłem nawet siodła, ponieważ na nowe po prostu nie było mnie stać.

Brambag okazało się miastem, gdzie krzyżowały się szlaki handlowe. Drogi kupieckie

zbaczały tutaj w kierunku północno-wschodnim lub południowo-wschodnim wzdłuż podnóża Gór Niebieskich. Główną arterię komunikacyjną była jednak Utana, rzeka, która dzięki pracy niewolników stała się splawna na prawie całej długości jej biegu. Tworzyła jedną z głównych dróg handlowych cesarstwa. Obwarowań, jak w większości nowszych miast wewnątrz imperium, nie było. Zamiast nich miasto otaczał wysoki, mniej więcej dwumetrowy mur. Nie służył on do obrony, ale do rozdzielenia gruntów na tańsze i droższe. Droższe grunty wewnątrz zapewniały

również przywileje handlowe i oczywiście prestiż. To wszystko wiedziałem z książek. Nigdy jednak nie wspomniano w nich, że ceny w Brambag są prawie takie same jak w stolicy Saxpolis. W banku Horowitza miałem ulokowanych sporo niezbyt honorowo zdobytych pieniędzy, ale bank leżał daleko na południu od wschodniego wybrzeża. Może po jakimś czasie zdołałbym się do nich dostać, jednak chciałem się najeść, umyć i wyspać już teraz. Wizyta w domu publicznym również warta była rozważenia.

Po chwili włóczenia się po zakurzonych uliczkach i omijania woźniców, którzy myśleli, że swymi powozami wjadą dosłownie wszędzie, dotarłem do surowego budynku miejscowego zarządcy miejskiego. Było oczywiste, że to miejsce nie znajduje się w szlacheckich rękach, ponieważ budynek w takim przypadku wyglądałby bardziej okazale, a strażnicy mieliby epolety zdobione co najmniej srebrem. Zainteresowała mnie stara znajoma, drewniana tablica z daszkiem chroniącym przed wiatrem, oblepiona portretami złoczyńców. Ani tutaj, ani w okolicy jeszcze nigdy nie byłem, mało prawdopodobne więc, że znajdę tam swój wizerunek. Portretów z napisami „Poszukiwany żywy” lub „Żywy albo martwy” było mnóstwo, ale na większości z nich widniał stempel, że urzędy przestały się już pewnymi ludźmi interesować. Tylko trzy z nich wyglądały obiecująco. Najbardziej przypadł mi do gustu plakacik pewnego Ramireza Lekata ściganego za niepłacenie podatków. Nagrodą było dwieście złotych, o ile przyprowadzi się go żywego, albo pięć srebrnych w przypadku dostarczenia martwego. Widocznie chcieli coś jeszcze z niego wydusić.

Poprawiłem siodło na ramieniu i ruszyłem w kierunku drzwi, przy których stali strażnicy.

–Dokąd to, młody? – Barczysty mężczyzna oparł mi dłoń na piersi.

Nie lubię, kiedy ktoś mnie dotyka, a młodym już dawno nikt mnie nie nazwał. Blizny, dwukrotnie złamany nos i to coś w oczach, co mi zostało po latach ucieczki przed ludźmi ojca i po innych brzydkich rzeczach, w które się mieszałem, sprawiają, że wyglądam na starszego niż jestem w rzeczywistości.

Przyglądaliśmy się sobie nawzajem, ja byłem wyższy, ale on czuł się mocniejszy, dzięki obecności kolegi. Może jednak wykonywał tylko swoją pracę. Cofnąłem się o krok, żeby nie mógł mnie dosięgnąć.

–Idę zapytać, jakie są zasady, jeśli będę chciał zainkasować nagrodę za schwytanie złoczyńcy – powiedziałem zgodnie z prawdą.

–Z tym żelastwem do środka cię nie wpuszczę, chłopcze – wskazał na mój miecz. – A kuszę raczej wyrzucić, szlachcice niezbyt je lubią – polecił mi.

Widocznie krok w tył uznał za oznakę słabości. Najgorsze, że i ja tak czułem. Znów sobie przypomniałem, że strażnik wykonuje tylko swoją pracę.

Oparłem kuszę o ścianę, wyciągnąłem miecz z pochwy i pokazałem mu ostrze. Była to chaabska broń, którą dostałem od pewnego tubylczego szamana. Nawet głupcy, którzy z

ledwością odróżniają miecz od szabli, znają charakterystyczną barwę chaabskiej stali i prosty wzór, którym ozdabiają swoje wyroby tamtejsi miecznicy.

–Jak myślisz, ile ta broń kosztuje? – zapytałem.

Milczał i wytrzeszczał na nią oczy.

–Pewnie więcej niż niezła farma. Idę teraz, żeby się dowiedzieć, jak dopaść lub zabić człowieka, żeby mi za to zapłacili pieniędzmi. Pilnuj dobrze tego miecza, za chwilę jestem z powrotem.

Prawie siłą wcisnąłem mu rękojęść w dłoń i zostawiłem go przed drzwiami. Może z czasem stanę się dyplomata.

Wewnątrz dom był tak samo surowy jak na zewnątrz. Żadnych dywanów, otynkowane na białe ściany bez ozdób i duże okna wpuszczające sporo światła. W kącie skromnie chował się kafłowy piec. Ciekawiło mnie, co robią zimą, ponieważ piec był dość mały. Może nie ogrzewali wcale, a każdy pracownik dostawał jedną parę rękawic dodatkowo.

Od urzędnika, który dokądś się spieszył, dowiedziałem się, gdzie urzęduje zarządca. Zanim jednak zapukałem do właściwych drzwi, o mało mnie nie przewrócił jakiś krępy mężczyzna w satynowym płaszczu z kamizelką wyszywaną złotem. Na lewej ręce miał dwa masywne pierścienie. Jeden wyglądał na sygnet, ale wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie byłem pewien.

Zatrzymał się w drzwiach i badawczo mnie zlustrował od stóp do głów. Nie rozumiałem, co go tak interesuje w wysokim, chudym mężczyźnie, po którym było widać, że dopiero co wyszedł z głuszy po kilkudniowym pobycie. Pewnie chodziło o noże w butach, w futerałach na nadgarstkach i bandolecie na piersi. Zasłoniłem się płaszczem, żeby nie wyglądać jak chodzący sklepik z żelazem.

–Szuka pan pracy? – spytał wprost.

Miał energiczny i pewny siebie głos człowieka sukcesu, stawiałem, że to miejscowy zarządca.

–Tak. Zorientowałem się, że za Ramireza Lekata dajecie dwieście złotych nagrody. Chcę spytać, jakie są warunki jej zdobycia – powiedziałem.

–Nie jestem zarządcą, ale potrzebuję takiego człowieka jak pan. Nasi urzędnicy –odwrócił głowę w bok, żeby było go słychać również w pomieszczeniu za nim – nie są bowiem w stanie złapać paru złoczyńców i zapewnić bezpieczeństwa na handlowych szlakach! Jeśli weźmie pan tę pracę, dam pięćdziesiąt złotych zaliczki i jeszcze trzysta, jeśli się panu uda – powiedział tym razem tylko do mnie.

Trzysta pięćdziesiąt to więcej niż dwieście. Żeby to zrozumieć, nie trzeba studiować na uniwersytecie, poza tym wysłuchanie jego propozycji nic mnie nie kosztowało.

Na zewnątrz przed tablicą z poszukiwanymi złoczyńcami stał przysadzisty mężczyzna średniego wzrostu. Mógł być w moim wieku i wyglądał, jakby był zbudowany z samych graniastosłupów. Szerokie ramiona, mocny tułów z szeroką pierśią, mocne ramiona i nogi. Nawet twarz miał kanciastą, ale zadziwiająco przystojną. Długą brodę równoważył duży nos i wyraźne brwi. Uzbrojony był w dwa krótkie, zaledwie sześćdziesięciocentymetrowe miecze z lekko zakrzywionymi ostrzami. Nosił je wysoko po bokach, tak żeby mógł jednocześnie wyciągnąć na krzyż. Mimo że nie spojrzał na mnie wprost, poświęcił mi zbyt wiele uwagi.

Pół godziny później siedziałem w gabinecie Jeliga Nada i przyglądałem się aksamitnie

czerwonemu winu z kroczkich winnic w kieliszku. Najlepsze, jakie piliem w ciągu ostatnich miesięcy. W moim przypadku to jednak nie oznaczało wiele. W górach nie napotkałem ani jednego wyszynku czy karczmy, o lepszych lokalach nie wspominając.

–Resztki drugiej karawany odkryliśmy tuż przed Przełęczą Taumską. Ktoś na nią napadł, towary były rozkradzione, wszyscy moi ludzie wymordowani. Od czasu do czasu to się zdarza, złoczyńcy są wszędzie. Ale napadnięto mnie drugi raz z rzędu, ponadto wynająłem większą liczbę zbrojnych niż zwykle – opisywał sytuację Jelig Nad. Ktoś zapukał i prawie jednocześnie drzwi się otworzyły

–Panie Nad? Chcę się upewnić, czy w pozycji dotyczącej jedwabiu nie doszło do błędu. Ilość jest trzy razy większa niż zazwyczaj.

Do gabinetu wśliznął się mężczyzna w szarym płaszczu, ze szczeciniastą bródką i oczami osadzonymi blisko nosa.

Jelig Nad ledwie rzucił okiem na kartkę.

–Jedwab jest w porządku, ale chciałem dwadzieścia pięć metrów kwadratowych drewna budulcowego, a nie pięć. Proszę do mnie przysłać pisarza i powiedzieć mu, żeby poczekał na zewnątrz, sprowadźcie także Yalega.

Nad znalazł się naprawdę na swoim handlu.

–Moja trzecia karawana jest jeszcze lepiej chroniona. Jestem pewien, że taka liczba ludzi zniechęci każdą bandę złodziei – wrócił do tematu, gdy tylko za księgowym zamknęły się drzwi.

–Nie rozumiem więc, dlaczego chce pan wydać trzysta złotych na moje usługi - powiedziałem.

–Ponieważ nie wierzę w teorię przypadkowych ataków złodziei, jak stara mi się wmówić zarządca. Powiedziałem to też pozostałym handlowcom. Myślę, że to sprawka Kiba Belize, mojego głównego konkurenta. Chcę, żeby pan to udowodnił.

Jego ugrzeczniiony ton zniknął, w głosie słychać było wściekłość.

–Za to dostanę trzysta – rozważałem dalej. – Co będzie, kiedy odkryję, że na pana karawany naprawdę napada dobrze zorganizowana banda albo macza w tym palce ktoś zupełnie inny?

Jelig Nad pstryknął palcami. Drugi pierścień rzeczywiście był sygnetem, już na pierwszy rzut oka widać było doskonale dzieło najlepszego grawera. Zgadywałem, że musiał go zrobić w Saxpolis. Tam pracowali mistrzowie w swoim fachu.

–Zdziwiłoby mnie to, ale wynagrodzenie dostanie pan oczywiście również w takim przypadku. A ja będę zadowolony, ponieważ ataki nie będą się powtarzać. Kosztuje mnie to ogromną ilość pieniędzy.

Wierzyłem mu. Spisaliśmy umowę i z czterema dziesiątkami za paskiem i dziesięcioma okrągłymi w sakiewce wyszedłem na zewnątrz. Na schodach spotkałem wysokiego mężczyznę w koszuli bez rękawów i kurtce podbitej żelaznymi łuskami. Spieszył się do gabinetu Nada. Ponieważ ważył ponad kwintal i przy pasku miał myśliwski nóż, zgadywałem, że najpewniej nie jest to księgowy, ale Valeg. Każdy z bogatych ludzi musi zatrudniać podobne typy. Dzięki temu pracę dostałem także ja.

Co prawda dzień już dawno był w pełnym rozkwicie, ale gospody ziały pustką -ludzie wciąż jeszcze gonili za pracą i pieniędzmi, a nie za rozrywką. Pierwszy człowiek, którego spytałem, gdzie znajdzie Kiba Belize, szybko zwał, drugi odparł tylko, że i tak mnie do niego nie wpuszczą,

i dopiero trzeci opisał drogę do jego domu.

Rezydencja Belize pod względem rozległości i okazałości w niczym nie ustępowała siedzibie Nada. Do środka, jak się spodziewałem, mnie nie wpuścili, ale, co dziwne, oznajmili mi, gdzie pan Kib Belize właśnie przebywa – prowadził rozmowy w porcie. Mój plan był prosty. Zanim zacznę śledztwo, chciałem go zapytać wprost, czy napada na karawany Nada. Nie spodziewałem się, że się wygada. Miałem jednak

nadzieję, że jego reakcja mi podpowie, czy podczas śledztwa koncentrować się na nim, czy nie.

Port rzeczny od morskiego różni się już na pierwszy rzut oka tym, że statki kotwiczą w nim ściśnięte jeden przy drugim. Mogą sobie na to pozwolić, ponieważ przypyływy, odpływy, przybój i fale, powstające pod wpływem wiatru, mają niewielki wpływ na życie marynarzy pływających po rzekach. Tutaj nie wyglądało to inaczej: płataninę łodzi – żaglowych, wiosłowych, wielkich promów z płaskim dnem – tylko sporadycznie dzieliły wąskie kładki na drewnianych palach sięgające daleko od brzegu. Powietrze cuchnęło rybami i stęchlizną, woda była mętna i pełna odpadków. Dopiero dalej od portu czyścił ją silny prąd, a przeciwny brzeg ginał we mgle. Tutaj, w pobliżu gór, Utana miała dużo wody, znaczną jej część straci dopiero w dolnym biegu, w górskich stepach crambijskiego lądu.

Kiba Belize rozpoznałem od razu po władczym głosie i tonie, jakim wydawał polecenia wszystkim wokół. Był niski, koło pięćdziesiątki, twarz miał pomarszczoną i chudą. Ubrany w długi czarny płaszcz, na szyi nosił masywny złoty łańcuch. Stał na długiej wąskiej łódce, otoczony swoimi ludźmi, i pertraktował z załogą. Wyglądało tak, jakby chciał coś kupić. Po chwili zrozumiałem, że do jego floty należą jeszcze trzy inne łodzie. Ludzie Belize otaczali swego szefa, jakby obawiali się natychmiastowego ataku. Nie wyglądało to najlepiej, ale przebić się przez szereg odźwiernych, strażników i majordomusów byłoby z pewnością o wiele trudniej. Wbiegłem na sąsiedni mostek, doszedłem do ostatniego stateczku, a później przeskakiwałem z jednego na drugi. Zbliżałem się do nich od strony wody, skąd nikogo się nie spodziewali. Wszyscy byli tak przejęci rozmową przypominającą zwyczajną kłótnię, że zauważyli mnie dopiero, kiedy przechyliłem się przez poręcz tuż przy nich.

–Panie Belize – zwróciłem się do kupca – pan Nad twierdzi, że napada pan na jego karawany. Czy to prawda?

Belize zacisnął zęby, aż pod cienką jak pergamin skórą pojawiły się zarysy mięśni szczęk.

–To nie jest nikt od nas – oznajmił mężczyzna reprezentujący drugą stronę zatargu i patrzył na mnie jakbym spadł z księżycy.

–Podobno kazał pan zniszczyć dwie karawany! – kulem żelazo.

–Zabijcie go! – wycharczał Belize.

Ochrona aż się paliła do wykonania rozkazu. Chudzielec z przedziałkiem podniósł kuszę. Machnąłem dłonią, broń mu wypadła, a on upadł z nożem w

ramieniu. Niezły rzezimieszek z wygoloną łysiną z minimalnym opóźnieniem rąbnął mnie mieczem z góry, ustąpiłem, złapałem go za nadgarstek atakującej ręki, lewą dłonią nacisnąłem na łokieć i okręciłem wokół siebie. Jego własna siła bezwładu i ból szybko założonej dźwigni sprawiły, że wykonał salto, przeleciał przez burtę i zniknął pod wodą. Teraz stałem twarzą w twarz z Belize z kolejnym nożem w ręce. Ostrze opierałem o jego gardło.

–Zróbcie mi drogę! Wystarczy jeden szybki ruch i wasz szef jest załatwiony! –

powiedziałem bardziej nerwowo niż chciałem. Takiej reakcji ze strony kupca się nie spodziewałem.

–Posłuchajcie go, do licha! – skrzypiącym głosem wrzasnął Belize. – Jak myślicie, kto wam będzie tak dobrze płacił, gdy mnie zabije? Jeśli coś mi zrobi, obetnę wam pensje, powolne bydlaki! – wściekał się.

Twardy facet. Powoli, z Belize jako tarczą, wycofywałem się, a później w ten sam sposób poszedłem dalej. Ochroniarze szli za nami w odległości kilku kroków.

O ile widziałem, nie mieli innego strzelca i kuszę zostawili tam, gdzie upadła. Naprawdę partacze.

–Umie pan pływać? – spytałem cicho, kiedy od brzegu dzieliło nas już tylko kilka kroków.

–Tak – odpowiedział mrukliwie.

–Wasz szef nie umie pływać. Pamiętajcie o swojej pensji! – krzyknąłem i wrzuciłem Belize do wody.

Po trzech ostrożnych krokach zacząłem uciekać. Nie zwracali na mnie uwagi, interesował ich tylko szef. Że też złoto dla wszystkich ludzi jest tak atrakcyjne.

Szybko przeszedłem na drugi koniec miasta i wybrałem sobie tymczasową gospodę. Nie sądziłem, żeby zapamiętali dokładnie mój wygląd, ponieważ wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Ale ostrożności nigdy dosyć. Zwłaszcza po tym, jak popełniłem takie głupstwo. Mało brakowało, uratował mnie tylko refleks.

Zamówiłem coś do jedzenia i picia. Wina nie ryzykowałem i na początek zadowolilem się piwem. Po wchłonięciu drugiej porcji wieprzowiny drugiego dzbana piwa i drugiej miski pszenicznych placków stwierdziłem, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Gospoda była nie tylko jadalnią, ale również tancbudą i domem publicznym w jednym. Wymarzone miejsce dla mnie. Zamieniłem piwo na wino, po dwóch wcześniejszych dzbanach nawet nieźle smakowało. Zacząłem ukradkiem przyglądać się pracującym dziewczynom, żeby zorientować się, ile wynosi

miejscowa stawka. Już dawno pogodziłem się z tym, że z powodu mojej fizjonomii muszę płacić trzy razy tyle, ile pozostali mężczyźni, ale więcej dawać nie chciałem. Jedna z dziewczyn za ladą całkiem mi się podobała. Do sali wszedł kolejny gość. Wielu innych nawet nie spostrzegłem, ale tego zauważyłem od razu. To był mój znajomy widziany przed południem, człowiek „słup”.

Wmieszal się między gości, prawie z szacunkiem wykręcił się paniątkom przygotowującym miejsca do tańca na parkiecie i skierował prosto do mnie. Na ławę przy stole wśliznął się tak, jakby odstęp między nimi był przygotowany dokładnie dla niego. Przyglądałem się gościowi w milczeniu. Z bliska było widać, że miał złamany nos, ale zrosł się dobrze – pozostało tylko nieznaczne wybrzuszenie. Wokół lewego oka parę małych blizn. Takich, które powstają po mocnym trafieniu pięścią. Na lewym policzku szrama, która ciągnęła się nad granicą jego wąsów. Zrozumiałem, że zarost utrzymany jest właśnie po to, żeby z powodzeniem ją maskować. Życie zdążyło już wycisnąć na nim piętno, ale ciągle był przystojnym mężczyzną. Nie podobał mi się i nawet nie wiedziałem, dlaczego.

–Trochę mi zajęło, zanim cię znalazłem – powiedział.

Miał przyjemny melodyjny głos, jeśli miał słuch muzyczny, mógłby zarabiać na życie jako

śpiewak. W Saxpolis i innych dużych miastach imperium nie było takich mało.

–Spokojnie mogłeś zostać tam, gdzie byłeś – odpowiedziałem wściekle, ponieważ dziewczyna, która mi się podobała, wychodziła z jakimś mężczyzną. Wnioskując z ich wcześniejszej rozmowy, dziś już tu nie wróca.

–Podobno mówisz, że Kib Belize zabija ludzi Nada i kradnie jego towary – kontynuował rozmowę tak, jakbym właśnie postawił przed nim dzban piwa.

–Może. Czemu cię to interesuje?

Trzech muzyków, dobosz, skrzypek i cymbalista, zaczęło stroić instrumenty, a w sali nie pozostało ani jednej wolnej kobiety. Dopiero teraz się zorientowałem, że nie wszystkie są dziewczynami pracującymi. Było tu wiele profesjonalnych tancerek i może również samotnych kobiet. Zacząłem nienawidzić „słupa”. Mogłem zatańczyć, skorzystać z towarzystwa kobiety, pogadać, zjeść kolację w miłym towarzystwie, po prostu zabawić się bez beznadziejnego poczucia, że to wszystko dzięki kilku monetom, które przypadkiem mam w kieszeni. Nie pomogłoby, nawet gdybym drania natychmiast zabił. O ile bym zdołał – nie wyglądał na niedojdę.

–Pomogę ci w śledztwie. Bez roszczeń co do wynagrodzenia – z trudem zarejestrowałem jego odpowiedź.

–Dlaczego? – spytałem ponownie, tym razem słuchając uważnie.

–Ponieważ nazywam się Ryam Belize – odpowiedział.

Gdyby tylko się poruszył, miałbym w ręce nóż. A on siedział nieruchomo jak skała i bacznie mi się przyglądał.

–Jeszcze raz: dlaczego? – powiedziałem.

Zabrzmiała muzyka i entuzjastyczne oklaski, więc nie usłyszałem ani słowa. Obaj zgodnie skierowaliśmy się w stronę drzwi.

–Znam dobry lokal, gdzie możemy porozmawiać i gdzie – roześmiał się – ludzie mojego ojca nie będą cię szukać.

Dobry lokal był tak dobry, że w swoim ubraniu i z pięćdziesięcioma złotymi nawet bym tam nie wstąpił. Od czasu, kiedy jadłem ze srebrnych mis, a sługa lub niewolnik towarzyszył mi prawie że i w toalecie, przebyłem rzeczywiście znaczny kawał drogi. Drogi w dół.

–Jadłeś kolację? Zapraszam cię. Chcę się wygadać i potrzebuję słuchacza.

Potraktuj to jako zapłatę za twój czas – powiedział.

–Nie jadłem. Jestem głodny jak wilk – skłamałem. Zjedzony posiłek to rzecz, której nikt nie zabierze. A nawet jeśli, i użyje do tego ostrej stali, wam i tak już nie będzie to przeszkadzać.

Zamówiłem marynowaną wołowinę duszoną w zielonych liściach, zapieczoną w ziemniaczanym cieście, saxpolskie muchomory, a na koniec słodkie racuchy ze śmietaną. Ryam zadowolił się prostym jedzeniem. Ja też bym tak zrobił, gdybym musiał płacić.

–Dlaczego miałbyś mi pomagać pogrążyć twego ojca? I, wybaczyć, ty wcale nie wyglądasz na syna jednego z najbogatszych kupców w mieście. Dlaczego miałbym wierzyć choćby w jedno twoje słowo? – spytałem i ukroilem sobie pierwszy kęs wykwintnej strawy.

Już zapomniałem, jak to jest być bogatym. Miało to pewne zalety.

–Siedem lat temu powiedziałem swemu ojcu, że jest złoczyńcą i ma na

sumieniu śmierć wielu ludzi, dlatego nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Jest porywczy i natychmiast się mnie wyrzekł. Później, co prawda, posłał za mną paru ludzi z informacją, że wystarczy przeprosić i będę nadal jego synem i dziedzicem, ale ja nigdy tego nie zrobiłem – zaczął Ryam.

Mimo woli zainteresowało mnie to, co powiedział.

–A co właściwie zrobił twój ojciec, że go oskarżyłeś o takie rzeczy? – zapytałem.

–Mój ojciec handluje z każdym. Wszystko mu jedno, jak jego partner zdobył towar. Może być piratem albo złodziejem. On po prostu kupuje i sprzedaje. Sprzedaje też każdemu. Jesteś zabójcą? Potrzebujesz broni dla swoich ludzi? Zwróć się do mego ojca. Ma na sumieniu życie wielu ludzi.

Przez chwilę nie wiedziałem, co mam na to powiedzieć. Mój ojciec, co prawda, bezpośrednio ze złodziejami, piratami i mordercami nie handlował, ale był tak bogaty, że do krwawej roboty wynajmował innych. W zasadzie działali identycznie. Sądziłem, że Ryam ma rację, lecz świat był taki, jaki był, bez względu na to, czy nam się to podoba, czy nie.

–A jaki jest powód twojego kategorycznego pojmowania moralności? – Z przejęcia zapomniałem o miejscowym stylu mówienia i wróciłem do języka, jakiego uczyli mnie w szkołach i jakim mówiło się u mnie w domu.

Ryam na szczęście niczego nie zauważył.

–Kiedyś ojciec dużo podróżował, a ponieważ nie chciał nigdy na dłużej rozstawać się z rodziną, zabierał nas ze sobą. Na statek napadli piraci. Matkę wzięli na pokład, a z nas chcieli zrobić niewolników. Ojcu jeszcze tego samego dnia udało się uwolnić siebie i załogę, zaatakowali i zwyciężyli. Tylko że matka była już martwa.

Przez chwilę wydawał się bardzo smutny, lecz ten smutek szybko się rozwił. Ryam znowu był uprzejmym człowiekiem z nieprzeniknioną miną.

–Jednak nie wyglądasz na syna odnoszącego sukcesy handlowca – powiedziałem. – Broń, blizny, to jak się poruszasz. Spokojnie mógłbyś zostać profesjonalnym gladiatorem.

–Miałem brata. Od urodzenia był słaby i chorowity. Po śmierci matki ojciec wychowywał każdego z nas inaczej. Ja miałem bronić rodzinnego majątku, dowodzić ludźmi, rozumieć walkę i być żołnierzem. Brat miał pomnażać fortunę. Umarł pięć lat temu. Na suchoty.

Mógł mnie okłamywać, ale wszystko, co mówił, miało sens.

–A dlaczego chcesz mi pomóc w szukaniu dowodów przeciwko twemu ojcu? – zadałem ostatnie pytanie.

–Ponieważ według mnie one nie istnieją. Mój ojciec może i kupuje splamione krwią towary, ale nigdy nikogo nie zabił, ani nie dał takiego rozkazu.

–Dziś nakazał, żeby jego ludzie mnie zabili – sprzeciwiłem się.

–Prowadził rozmowy z piratami. Myślał, że jesteś prowokatorem, a oni próbują jakiegoś podstępu. Ponadto poruszyłeś temat, na który od czasu, kiedy się rozstaliśmy, reaguje prawie histerycznie.

Milczałem i rozmyślałem.

–Nie znasz jakiegoś dobrego domu publicznego? Zdrowe i życzliwe dziewczyny, uprzejmy barman i tak dalej? – zmieniłem temat.

–To niestosowne chodzić do burdelu – odpowiedział.

–Jesteś dziwny, a do tego jeszcze niebezpieczny idealista – oznajmiłem mu.

–Ojciec też mi to mówił – odpowiedział.

–A te wszystkie blizny i rany?

–Z powodu forsowania idealizmu. – Skrzywił się.

Czasem więc prowadził grę naprawdę ostro.

W naszą stronę kierowała się wspaniała kobieta. Miała długie jasne włosy ściągnięte w koński ogon, delikatnie różowe wargi, długie rzęsy i zamaszyste brwi, których chyba nawet nie potrzebowała podkreślać. I biust taki, aż mi zaparło dech i musiałem użyć całej siły woli, żeby oderwać wzrok od jej dekoltu. Podeszła do naszego stołu, uśmiechnęła się do mnie, Ryamowi szepnęła coś do ucha. Wyczarowała skądś butelkę wina, którą postawiła przed nim. Pocałowała młodego Belize, raz jeszcze uśmiechnęła się – tym razem do nas obu – i odeszła.

Była wspaniała... A ten uśmiech... Zrobiłbym dla niego wszystko.

–Ile kosztuje taka dziewczyna? – spytałem cicho.

Popatrzył na mnie, jakbym miał atak epilepsji.

–To jest Vila, moja – zawahał się – przyjaciółka. Chociaż nie wiem, jak długo jeszcze. Odrzuciła moją propozycję małżeństwa, ponieważ według niej zarabiam na życie w zbyt ryzykowny sposób i szybko by owdowiała. Mam dziś urodziny, a to jest prezent dla mnie.

Odwrócił butelkę w moją stronę. Na kawałku pergaminu przyczepionym do pieczęci wykaligrafowano nazwę winnicy, datę zbioru i nazwę piwniczki, gdzie wino leżało przez ostatnich trzydzieści lat. Mój ojciec chciał kiedyś kupić takie wino od tego samego winiarza, ale mimo wszystkich swoich koneksji mu się nie udało.

–Lubisz wino? – spytałem.

–Tak. To jeden z wielu moich nałogów. – Uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni korkociąg.

–Musi cię bardzo kochać – powiedziałem z trudem stłumioną nienawiścią.

–Nie wiem, nie jestem pewien – wyraził zwątpienie.

Ale ja byłem pewien. Już prawie zapomniałem, że kobiety kochają mężczyzn, mężczyźni kochają kobiety, a kochają się nie z powodu pieniędzy, lecz ponieważ chcą. Chyba chciałem zapomnieć.

–Nie będziesz przecież tego wina pił ze mną! – wybuchnąłem, kiedy zdałem sobie sprawę, że naprawdę je otwiera.

–Dlaczego nie? – nie rozumiał.

Pokręciłem głową i poszedłem do baru po stosowne kieliszki. Byłbym największym głupcem na świecie, gdybym starał się Ryama powstrzymać.

Następnego dnia rano opuściliśmy miasto i szlakiem handlowym wyruszyliśmy na północny zachód. Wierzyłem Ryamowi, choć nie byłem pewien, czy nasza wyprawa ma jakiś sens. Z drugiej strony, sam nie zdołałem wymyślić nic mądrzejszego niż dokładne przeszukanie miejsca, gdzie napadnięto na karawany. Nie nieśliśmy ze sobą żadnych zbędnych rzeczy i podróżowaliśmy zupełnie bez obciążenia, ale i tak posuwaliśmy się dość powoli. Przełęcz Taumska leżała tysiąc pięćset metrów wyżej niż Brambag i leniwe gorąco doliny rzeki stopniowo zastępowało ostre górskie powietrze, przesycone żywicznym zapachem sosen. Czwartego dnia podróży, gdy dołożyliśmy do ognia i układaliśmy się spać, zapytałem Ryama:

–Co będziesz robił, kiedy stwierdzimy, że twój ojciec naprawdę zniszczył dwie karawany Nada?

Odpowiedziała mi tylko cisza. Leżałem zawinięty w koce, patrzyłem w gwiazdy nad sobą. Im głębsza była noc, tym gwiazd pojawiała się więcej, a ich majestatyczne zimne piękno wypalało mi duszę. Wiele razy starałem się nauczyć nazw gwiazdozbiorów, ale podczas podróży odkryłem, że niebo z każdego miejsca wygląda inaczej. Według mnie uczeni, którzy twierdzą, że Ziemia jest okrągła, mają rację. To by tłumaczyło, dlaczego niebo się zmienia.

–Nie wierzę w to, ale gdyby rzeczywiście napadł na karawany, próbowałbym postawić go przed sądem – odpowiedział Ryam w chwili, kiedy usypiałem. Prawie chciałem, żeby Kib Belize nie maczał w tym palców.

Od rana zacząłem sobie uświadamiać wzrastającą wysokość nad poziomem morza, gdyż przy każdym szybszym ruchu nie mogłem złapać tchu. Mimo że znajdowaliśmy się bardzo wysoko, dolina była głęboka, a stoki strome. Mniej więcej w południe dotarliśmy na miejsce napadu. Las rozciągał się wszędzie wokół nas, przejście między wysokimi drzewami, kosodrzewiną a niegościnnymi skałami,

porośniętymi jedynie porostami, było niezwykle trudne. Właśnie otoczenie głębokich dolin przesuwało granicę wiecznego lodu w górę i umożliwiało lasowi i jego mieszkańcom życie tak wysoko.

–Hej, przyjdź tu się rozejrzeć! – wyrwał mnie z zamyślenia Ryam.

Psuł mi krew swoimi zasadami, moralizowaniem, spojrzeniem na świat, ale niestety miał rację. Nie przyszliśmy tutaj podziwiać piękna gór, lecz sprawdzić, co się właściwie stało. Zacząłem przeszukiwać resztki wozów. Szlak kupiecki nie prowadził dokładnie po dnie doliny, kręcił się jak wąż i wybierał najłatwiej przejezdny teren. Dlatego ruiny obu karawan leżały stosunkowo daleko od siebie.

Podszedłem do wozów. Na szkieletach ludzi i zwierząt pociągowych zostały resztki tkanki, które już nawet nie przypominały mięsa, raczej jakąś twardą, ciemną substancję. Wyglądało na to, że w chwili ataku ludzie spanikowali i zaczęli uciekać. To mnie zdziwiło, ponieważ Nad z pewnością werbował profesjonalistów. Na ile zdołałem ocenić, martwych nikt nie okradł, zabrano im tylko miecze. Kusze, łuki ani noże napastników nie interesowały. Więcej ze starych resztek nie zdołałem rozpoznać.

–To była pierwsza karawana – na poły zapytałem, na poły oznajmiłem Ryamowi.

Milcząco skinął głową. Szliśmy dalej do miejsca, gdzie napadnięto drugą. Tam czekała nas niespodzianka. Najpierw wypłoszyliśmy stado kruków i sforę małych kojotów. Ci padlinożercy z reguły nie interesują się tak starymi trupami. Później, wśród na wpół zgniłych i ogryzionych trupów, znaleźliśmy świeże ciała. Karawana numer trzy została zmasakrowana w tym samym miejscu co poprzednia.

Popatrzyłem w górę, jakbym w zielonych ścianach, wznoszących się wszędzie wokół nas, mógł znaleźć ewentualnych napastników. Stłumiłem strach – jeśli zabili kilkadziesiąt osób, dwóch samotnych żołnierzy nie miało z nimi najmniejszych szans. Ale może szkoda by im było fadygi. Ryam przeglądał jeden wóz za drugim, ja zatrzymałem się przy częściowo ogryzionej padlinie konia. Odór był straszny i powodował mdłości, lecz musiałem popatrzeć. Oczekiwałem poniekąd, że odkryję obrażenia podobne do tych, jakie górski goryl zrobił mojemu ogierowi.

Nie potrafiłem inaczej wytłumaczyć, dlaczego ktoś mógłby zabijać pożyteczne zwierzęta. Tylko że rzeczywistość była inna: koński tułów był przepołowiony jednym, czystym, pionowym cięciem. Później znalazłem ludzi, których ktoś zabił w identyczny sposób – cięciem rozdzielił na dwie połowy. To była nedorzeczność. Albo w grę wchodziły jakieś czary, albo zawodził mnie wzrok. Musiałem się przekonać, czy coś takiego jest możliwe.

Jestem szermierzem, świetnym szermierzem. Ponieważ ciągle żyję, mogę powiedzieć: najlepszym szermierzem. Ale coś takiego...?

Za pomocą sznura odciągnąłem bezgłowe ciało nad koryto potoku, przygotowałem się i rąbnąłem. Dostałem, co prawda, porcją trupiego gazu prosto w twarz, ale tułów przeciąłem. Później niespiesznie wypróbowałem końską padlinę. Przeciąć ją jednym ruchem było po prostu ponad moje siły. Sądziłem, że również ponad siły jakiegokolwiek innego szermierza.

–Oszalałeś? – zapytał ostrożnie Ryam, kiedy mnie przyłapał na perwersyjnych zabawach z trupami i mieczem.

–Tej masakry nie mogą mieć na sumieniu ludzie. Nikt się nie bronił, wszyscy od razu uciekali. Już się spotkałem z czarami, a to mi je bardzo przypomina... Noc się zbliża, nie byłoby rozsądne z naszej strony rozbijać obóz tutaj, chodźmy gdzieś dalej -zaproponowałem.

Nie sądziłem, że będzie się sprzeciwiał.

Znów obserwowałem gwiazdy, a ognisko się dopalało. Powietrze było jeszcze rzadsze, bolały mnie płuca. Nie mogłem się uwolnić od minionych przeżyć i na gwiezdym polu wciąż przewijały się obrazy okaleczonych ciał oraz mojego własnego miecza uwięzionego w gnijących tkankach. Nawet czyste niebo, ten aksamitny pas usiany najwspanialszymi diamentami, w porównaniu z którymi bledną wyroby najlepszych pracowni jubilerskich, nie zdołał wygnać z moich myśli odoru gnijącego mięsa i grymasu przerażenia na twarzach martwych ludzi. Tych twarzach, których miękkie mięso rozdziobywały gawrony, kanie, rozgryzały kojoty i lisy. Rozmyślałem, obserwowałem meteoryty krążące po niebie i nie usypiałem.

–Przeszukałem wszystkie wozy – przerwał nocną ciszę Ryam.

Jego głos brzmiał tak samo energicznie jak zawsze. Mnie wysokość nad poziomem morza powoli, ale skutecznie wyczerpywała, a ten twardogłowy facet wyglądał wciąż tak samo świeżo.

–I do czego doszedłeś? – spytałem i już zadając pytanie, zrozumiałem, dlaczego mnie tak złości, dlaczego tak go nie lubię.

On swoje wygnanie wybrał sam, dobrowolnie. Ja na krwawą drogę samotnego banity zostałem wypędzony. On wciąż wierzył w ideały, ja już tylko w siłę swoich ramion i ostrze miecza. A jeszcze zachowywał się, jakby był we wszystkim najlepszy.

–Wszystkie wozy były puste, zupełnie puste – powiedział po długiej pauzie.

–Ukradli towary? – nie rozumiałem.

Czerń nieba przecięła ognista linia meteorytu i na chwilę przyćmiła zimny blask gwiazd.

–Ani ziarna zboża, szczypty przypraw, po prostu nic – kontynuował Ryam.

Wydawało mi się, że w ciszy słyszę, jak pracuje jego mózg i szuka rozwiązania.

Już nie obserwowałem nieba, coś w jego słowach naprowadziło mnie na ślad i mój umysł ruszył tym tropem niezależnie od woli.

–A wiesz, co miała wieźć ta karawana? – zapytałem.

–Wiem. Dzięki swemu pochodzeniu mam o wiele łatwiejszy dostęp do niektórych informacji. Przyprawy, jedwab i zboże. Głównie jedwab. Przynajmniej

według danych z dokumentów celnych. Jeśli płacisz cło z góry, jest niższe –
odpowiedział.

–Gdybyś był złodziejem, miał dobrze zorganizowanych ludzi i się nie bał, gdzie byś napadł na karawanę? – spytałem.

–O wiele niżej. Zaoszczędziłbym sobie drogi, trudu i zdrowia, ponieważ tutaj niektórzy ludzie dostają gorączki wysokogórskiej.

Uspokoił mnie. Przynajmniej wiedziałem, dlaczego tak źle się czuję.

–Jelig Nad pięć dni temu kupił na targu trzy razy większą ilość jedwabiu niż zwykle. Zupełnie niezwykle posunięcie, jeśli planował dowieźć do miasta wielki ładunek jedwabiu – oznajmiłem.

–A ja się założę, że na tych wozach nie było ani szczypty przypraw –
odpowiedział.

Obaj wiedzieliśmy, co to znaczy – Nad sam złupił swoje karawany.

–Co by z tego miał? – zadałem pytanie, nie precyzując dokładnie, o co mi chodzi.

–Zniesławienie i izolację handlową mojego ojca. Ponadto, jeśli ubezpieczył ładunki, wiele nie stracił. Przy odrobinie szachrajstwa mógł nawet zarobić – powiedział Ryam.

–Gdybym pogrywał tak ostro, raczej bym tu nikogo nie posyłał, żeby się przekonać, iż wszystko zakończyło się tak, jak planowałem – uzupełniłem.

–I zabiłbym człowieka, którego wynająłem, żeby przed pozostałymi kupcami być w porządku. Popatrzcie, przecież nawet opłaciłem łowcę nagród, żeby odnalazł sprawcę... –
Ryam kontynuował spostrzeżenia.

–Łowcę nagród znikąd, człowieka, którego nikomu nie będzie brakować.

Pasuje. Wędrowaliśmy bardzo szybko, nie wierzę, że w nocy jakieś miejskie lalusie nas dościgną. Jutro też jest dzień – ziewnąłem.

–Ja też jestem miejskim lalusiem – mruknął ospale Ryam.

Tuż przed zaśnięciem uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie dobrze odgadliśmy przyczynę zniszczenia karawan, ale wciąż nie mamy pojęcia, jakie siły Jelig Nad wykorzystał do zmasakrowania ludzi.

Obudziliśmy się o świcie. Roznieciliśmy ogień, który z ledwością rozgrzał kubek kawy dla każdego, a później bez słowa porozumienia sprawdziliśmy wyposażenie, jakbyśmy rzeczywiście mieli na dziś umówiony pojedynek. W duchu nieustannie rozmyślałem o zagładzie na szlaku pod nami. Już się spotkałem z czarami. I choć mało kto w to wierzył, przekonałem się, że ich niszczycielska siła przerasta ludzkie pojmovanie. Wiedziałem jednak, jak się bronić – czarownicy, przynajmniej na razie, byli śmiertelni, a solidna stal wysyłała ich na drogę do jednookiego przewoźnika tak samo, jak każdego innego zwyczajnego człowieka. Tylko jak zabić czarownika, który potrafi popsuć ostrze, główną broń przeciwnika? Nie miałem najbledszego pojęcia, ale ponieważ Ryam był spokojny, nie pozostawało mi nic innego niż zachowywać się tak samo. Zaczynał mnie naprawdę irytować.

Wróciliśmy do miejsca masakry i znaleźliśmy kryjówki, z których mieliśmy widok na drogę pod nami i moglibyśmy zobaczyć nadchodzących. Wśród szczątków znalazłem znośną kuszę. Ze swoich zapasów wymieniłem cięciwę i naciągnąłem ją. Z dwoma beltami gotowymi do strzału czułem się trochę lepiej.

Dzień mijał, trupy się starzały, a powietrze w okolicy gęstniało. Po południu moje

wczorajsze myśli wydawały mi się mdłe i bezsensowne, ale doświadczenie podpowiadało, że oplaca się czekać. Ryama przez cały dzień nie widziałem, wiedziałem tylko, że ukrywa się na lewo ode mnie, trochę wyżej na stoku.

Byli lepsi niż myślałem – szli w ciszy, bez zbędnych rozmów. Na szczęście mieli ze sobą lekki wozik, którego koła, podczas jazdy na zniszczonym szlaku, wydawały na tyle nienaturalny dźwięk, że mnie rozbudziły. Na przedzie malej drużyny maszerował ciężki Valeg. Miał dwadzieścia kilo nadwagi, ale oddychał powoli i głęboko, że się męczy, zdradzały tylko ciemne plamy potu na piersi. Pozostałych mężczyzn nie znałem. Na dwukółce wieźli trzy kobiety. Wszystkie związane, z kneblami w ustach. Wyglądały nędznie, jakby całą drogę były spętane. Żadnej z nich nigdy wcześniej nie widziałem, ale wnioskując z resztek makijażu i stroju, wyglądały na prostytutki.

Wstałem i pokazałem się nadjeżdżającym. Jedną kuszę trzymałem na widoku, drugą za sobą.

–Hej, wy tam, co tu robicie? I odpowiadajcie szybko, bo inaczej... – zamiast dokończyć, wycelowałem kuszę w Valega.

Przez chwilę wyglądał na zdziwionego i niepewnego, nagle szeroko się uśmiechnął. Wyglądał przy tym całkiem sympatycznie.

–My dwaj pracujemy przecież dla jednego szefa. Spotkaliśmy się na schodach, kiedy szedłem stłuc tego tępego pisarza! – starał mi się przypomnieć.

Jednocześnie jednak niepostrzeżenie skinął na swoich ludzi, żeby się rozstąpili.

–Ten powód? – zachęciłem go.

–Nie zastrzelilbyś mnie tak po prostu. – Zrobił przyjazną minę.

–Ależ oczywiście – odpowiedziałem w tym samym tonie i nacisnąłem spust. Nie spodziewali się ataku i ten moment zaskoczenia dał mi szansę do strzelenia

w nieruchomy cel jeszcze raz. Pozostali wyciągnęli broń i ruszyli na mnie.

–Ryam! – wrzasnąłem.

Wyciągnąłem z bandoletu dwa noże i bez wahania rzuciłem nimi z obu rąk jednocześnie. Mężczyzna z lewej osunął się na ziemię, tego po prawej ostrze trafiło pod złym kątem i odbiło się od zbroi. Jego kompan szedł kilka kroków za nim. Wydobyłem miecz, on uderzył z góry, zablokowałem i z niskiej kwinty przeszedłem do ataku, nagle przesunąłem się o krok na zewnętrzną, niewygodną dla mnie stronę i jednocześnie, napierając, odrzuciłem go w tył na jego kolegę. Nie wziął pod uwagę nachylenia stoku i stracił równowagę; na chwilę przestał się kryć, moje ostrze ześliznęło się po jego mieczu i przecięło mu brzuch. Rozpostarł ręce, odbiłem się i kopnąłem go w pierś. Upadając, przewrócił na ziemię mężczyznę za sobą. Byłem przy nim szybciej niż zdążył się wyswobodzić i dźgnąłem go w twarz. Coup de grâce.

Ciężko oddychając, odwróciłem się, żeby sprawdzić, gdzie się schował ten tchórzliwy bękart Ryam. Wreszcie go zobaczyłem. Właśnie przekłuł jednego mężczyznę, a drugiemu, którego używał jako tarczy, podciął gardło. Kolejni dwaj leżeli na ziemi. Nie rozumiałem, jak zdołał ich załatwić tak szybko i cicho.

–Ludzie Nada – splunąłem.

W płucach mnie paliło i dyszałem niczym po zbyt długim biegu.

–Tę grę wygraliśmy! – oceniłem widok dziewięciu martwych.

Ryam pokręcił głową i nagle zrobił się błydy jak ściana. Powoli pokazał swoim

zakrwawionym palcem za mnie. Odwróciłem się.

Z lasu wychodziła właśnie grupa górskich goryli. Zbliżały się po dwa w regularnym szyku. Były jeszcze całkiem daleko, ale ja pamiętałem dokładnie, jak szybkie potrafią być, kiedy chcą. Tylko że te wyglądały trochę inaczej niż zwierzę, które zabiło mi konia. Przyrodzenia miały zakryte przepaskami na biodrach, każdy w ręku trzymał miecz. Miecz to nie było dobre słowo – raczej olbrzymią maczetę, której masywne ostrze potrafiło wytrzymać straszną siłę uderzeń. Już wiedziałem, w jaki sposób zostały przepołowione konie i ludzie. Goryle zbliżały się powoli, stał w ich łapach groźnie błyszcząca. Największy z nich stanął przed nami i oparł się na swojej broni jak na lasce. To nie było zwierzę, lecz istota myśląca. Na pierwszy rzut oka arogancki i dumny naczelnik plemienia.

Oczami ukrytymi pod potężnymi łukami brwiowymi bystro przyglądał się otoczeniu. Na chwilę zatrzymał wzrok na trupach, później skoncentrował się na nas, a następnie szukał naszych ewentualnych towarzyszy. Nigdzie ich nie widział, więc dobrze wywnioskował że jesteśmy sami.

–Ty kobieta. Dać nam kobieta, a my pozwolić iść mężczyzna – odezwał się w końcu głębokim chrapliwym głosem. Trwało chwilę, żebym zrozumiał, że naprawdę mówi i że nie jest to belkot.

–Dlaczego my dać kobieta? – naśladowałem jego sposób mówienia.

–My zabić wiele małych ludzi na słowo mały mężczyzna ze stał na palec – wymownie pokazał kształt pierścienia. – On obiecać za każda banda ludzi stał i kobieta. My mieć mało kobieta. Plemię słabe i umierać. Potrzebować kobieta. My mieć mało kobieta, a żywi uciekać.

Mity przerosły oczekiwania. Gdzieś w głębi gór, w dolinach, gdzie nigdy nie stanęła noga cywilizowanego człowieka, naprawdę żyły inteligentne małpy, które dopiero wkroczyły na ścieżkę prowadzącą do cywilizacji. I zaraz na jej początku spotkały się z nami, stojącymi parę szczebli wyżej. Natychmiast zdołaliśmy wykorzystać je do własnych intryg. Teraz jednak ich siła wielokrotnie przewyższała moją i Ryama. Wszystkie atuty były po ich stronie. Przypomniałem sobie rzenie ogiera i trzask łamanych kości. Mróz przebiegł mi po plecach.

–Znasz te dziewczyny? – spytałem Ryama, jednocześnie nie odwracałem wzroku od naczelnika goryli.

–Nie – odpowiedział.

Jego głos brzmiał wciąż dźwięcznie, mój przypominał pisk wystraszonego kurczęcia. Ale ja już widziałem goryla w akcji, a on nie.

–To dziwki z Brambag – powiedziałem.

–Chyba tak – potwierdził.

–Nikommu na nich nie zależy – mówiłem dalej.

Naczelnik goryli spokojnie nas obserwował. Opierał się na swojej olbrzymiej maczecie i nie dało się rozpoznać, czy rozumie nasze słowa, czy nie. Z pewnością kiedyś złapali jakiegoś człowieka, który nauczył ich naszego języka, a może nawet nakłonił do przebadania świata wewnątrz ich górskich dolin.

–Chyba nie zależy – zgodził się znów Ryam.

–Ale nie możemy ich tak zostawić – powiedziałem cicho i zaklinałem go, żeby przypomnieli sobie swoją piękną przyjaciółkę, ojca, który zgromadził dla niego wielki majątek, i życie, które

na niego tam na dole czeka.

–Nie możemy – powiedział. – My nie dać kobiety, my walczyć o nie! – obwieścił tak, żeby wszyscy słyszeli.

Balem się tych słów i jednocześnie mi ulżyło. Decyzja została podjęta i wiedziałem, że nie będę się musiał za nią wstydzić aż do śmierci. Nawet gdyby śmierć miała przyjść natychmiast.

Goryle pokiwały głowami, jakby nasza odpowiedź ich nie zdziwiła, lecz się jej spodziewały.

–Szkoa zabić tak wiele wojowników! Naczelnicy bić jeden drugiego! Kto zwycięzca, wziąć kobiety! – zaproponowałem.

Ich dowódca znów popatrzył na trupy wokół, na mój smukły miecz. Wyglądał jak goryl, był gorylem, ale myślał. Rozumiał, że ostrze zdoła przeniknąć nawet przez największe mięśnie.

–Dobra słowo. – Obnażył swoje kły, co miało być chyba triumfalnym uśmiechem. – Bić goła ręka, zwycięzca wziąć kobieta!

Był lepszym dyplomatą niż ja i mnie przechytrzył.

–Ty wielki. My dwa bić z tobą. Zwycięzca mieć kobieta! – wtrącił się do debaty Ryam.

Był głupcem. Mógł przeżyć, a tak umrzemy obaj. Ale językiem goryli posługiwał się tak samo dobrze jak ja.

Bez dalszej zwłoki odłożyliśmy miecze i stanęliśmy naprzeciw gorylego naczelnika. Jego wojownicy otoczyli nas dużym półokręgiem. Jeśli byli świadomi, że mieliśmy noże, nie dali tego po sobie poznać. Czulem się tak, jakbym miał zamiar

ruszyć na siedmiometrowej grubości mur, a przyglądającym się wmawiał, że na pewno przebiję go głową.

–Założę się, że umrzesz wcześniej niż ja! – skrzywiłem się do Ryama.

–Zobaczmy – odpowiedział i zaczął się przesuwac na bok, żebyśmy mogli zaatakować człekokształtną małpę każdy z innej strony.

Zbliżyłem się i zaatakowałem w tym samym momencie co Ryam. Mocno uderzyłem w miejsce, gdzie goryl powinien mieć splot słoneczny i odskoczyłem gwałtownie w bok. Włochatych rąk, które z powodu szybkości wydawały mi się rozmazane, nie udało mi się całkiem ominąć i miałem wrażenie, że zdarłem sobie skórę z połowy twarzy; o złapaniu goryla i nałożeniu dźwigni mogłem tylko marzyć.

Ryam na chwilę ściągnął jego uwagę na siebie, a ja zaatakowałem, bijąc w szyję, w skroń, w szczękę. Jakbym walił w ścianę. Od spodu mignął łokieć i wcisnął mi brzuch w kręgosłup. Instynktownie odchyliłem głowę w bok, gigantyczna pięść tylko liznęła mój policzek, ale błyskawiczny sierpowy od spodu podrzucił mnie w górę. Słońce, niebo i zieleń lasu mignęły niczym jedna rozmazana smuga, upadek na ziemię pozbawił mnie świadomości.

Otworzyłem oczy. Goryl klęczał na Ryamie, który miał wolną tylko jedną rękę. Wiedziałem, że na przedramieniu ma nóż tak jak ja.

–Dźgnij go! – wrzeszczałem.

Pięść opadła, Ryam skulił się, próbując osłonić. Wstałem, ziemia ugięła się pod moimi nogami i natychmiast upadłem.

Kolejnego uderzenia w kamień małpa nie ryzykowała i próbowała Ryamowi urwać głowę. Tylko że on wciąż jakimś cudem się opierał.

–Dźgnij go! – charczałem, ale już biegłem.

Odbiłem się i kopnąłem. Lewa noga, prawa, lewa.

Skroń, nos, skroń. Później w locie złapała mnie czarna łapa, powalając na ziemię.

Przestałem widzieć na jedno oko. Ryam kopnął goryla w kolano, wśliznął się pod jego łapę i doskonałym chwytem tomoinage uderzył nim o ziemię. Zanim zdążył zrobić unik, małpa zdołała podciągnąć olbrzymią stopę pod jego klatkę piersiową i kopnięciem odrzuciła gdzieś w dal.

Doskoczyłem, udało mi się podciąć goryla, a później piętą kopnąć w skroń. Zaraz się jednak podniósł, a ja już nie byłem w stanie uskoczyć. Złapał mnie swoimi olbrzymimi ramionami. Nie starał się zmiażdżyć mi głowy, podniósł mnie w górę i zaczął ścisnąć. Moje żebra zaprotestowały, zalała mnie fala bólu, na chwilę osłabłem.

W wielkich oczach rozpoznałem triumf. Złączyłem ręce, robiąc z nich młot, i od spodu uderzyłem w jego przedramiona. Ścisnął mocniej, słyszałem wyraźny trzask kości, nogami na próżno starałem się dotknąć ziemi.

–Dźgnij go, dźgnij go! – krzyczał ktoś.

Uderzyłem po raz drugi. Goryl zaczął się uśmiechać, w ustach poczułem krew. Jeszcze raz, jeszcze raz. Walilem z całych sił i starałem się trafić wciąż w to samo miejsce. Trzasnęła następna kość – tym razem nie moja. Małpa schyliła się, żeby rzucić mną o ziemię, w tym momencie w powietrzu mignął rozmazany cień i uderzył goryla w bok. Wszyscy trzej rozplaszczyliśmy się na ziemi.

Oprzytomniałem. Polykałem krew, w głowie mi huczało. Ryam leżał tuż obok mnie. Miał otwarte oczy ale się nie ruszał. Nasz rywal niepewnie wstał, lewe ramię bezwładnie zwisało mu wzdłuż ciała.

–Zabiję cię – wycharczałem, ale musiałem zamilknąć, ponieważ dusiła mnie moja własna krew.

Nie zdołałem się podnieść. Goryl rozejrzał się, z wyrazem triumfu złapał maczetę, stanął nade mną i zamachnął się do uderzenia.

–Ty parszywa małpo! Nie dotrzymujesz słowa! – plulem na niego krwią.

Zamarł w połowie ruchu, z piersi sterczał mu oszczep, który jego olbrzymie ciało przebił na wylot. Mimo to zacisnął szczęki i starał się dokończyć uderzenie. Kolejny oszczep trafił go w brzuch, a ostatni przebił szyję. Maczeta wypadła mu ręki i uderzyła o kamień, goryl powoli i niechętnie, jakby nie chciał przyjąć do wiadomości swojej śmierci, upadł na plecy. Popatrzyłem w kierunku, skąd nadeszło wybawienie. Stały tam tylko górskie goryle ze swoją bronią, trzech rzucających oszczepami jeszcze w pozycji do ataku.

–Słowo, człowiek dotrzymywać słowo – powiedział jeden z nich, odwrócił się i odszedł w las.

Reszta poszła w jego ślady.

Ostatkiem sił rozwiązaliśmy kobiety i poprosiliśmy je, żeby zwozły nas na dół, na bardziej cywilizowane tereny. Obaj pilnie potrzebowaliśmy lekarza.

Leżałem na trzęsącym się wózku, patrzyłem na zachmurzone niebo nad sobą i głośno rozmyślałem. Było to lepsze niż milczenie.

–Złamał ci nos – oznajmiłem Ryamowi złośliwie.

–Tobie też – odplacił mi.

–Wyglądasz, jakby po twarzy przebiegło ci stado koni – drwiłem z niego dalej.

Wszystko było lepsze niż milczenie. Bałem się, że mógłbym usnąć i już nigdy się nie obudzić.

–Za to tobie z twarzy nie zostało nic – ripostował, uśmiechając się jak idiota.

Wychyliłem się przez boczną deskę, żeby zwymiotować. Mój mózg po tych wszystkich uderzeniach miał po prostu dość.

–Mają pecha. Są zbyt honorowi, żeby wytrzymać walkę z nami – wróciłem do spotkania z naszymi zwierzęcymi bratankami. – Jeśli chcą przeżyć, muszą nas unikać. To ich jedyna szansa. Słyszysz? Co ty na to? – spytałem Ryama, ale nie odpowiedział.

–Wiedziałem, że nie wytrzymasz, już jesteś nieprzytomny, mięczaku! – podśmiewałem się z niego.

–Panie, ale to pan zemdlął pierwszy i już zdążył pan dojść do siebie! – oznajmiła trochę nie po mojej myśli jedna z kobiet.

–Parę ciosów i przespałem cały dzień? Straszne! Wytrzeszczyłem na nią gały. –

Ja to jestem spryciarz!

Dbalem o rozrywkę przez całą drogę i dopiero przed bramami Brambag uwierzyłem, że obaj przeżyjemy.

Powrót do zdrowia zajął nam mniej więcej czternaście dni. Ryam wyzdrowiał dzięki pełnej miłości opiece jego przyjaciółki, a ja dzięki swej zwierzęcej zawziętości. Kiedy razem obwieściliśmy, że jesteśmy zdrowi, oznajmił mi, że będzie się żenił.

–Mówiłeś, że nie aprobuję twojego stylu życia! – nie rozumiałem naglej zmiany.

–Spodziewa się mojego dziecka – wytłumaczył sucho.

–Tego bym się po tobie nie spodziewał! Taki człowiek z zasadami jak ty... -włożyłem w to zdanie całe faryzeuszostwo, na jakie mogłem się zdobyć, i zostawiłem je niedokończone.

–Cel uświęca środki – wzruszył ramionami, uśmiechając się ze szczęścia. – Po ślubie się ustatkuję – obiecał.

Nawet zaprosił mnie na uroczystość, ale podejrzewam, iż zrobił to tylko dlatego, żeby jego przyszła żona widziała, że istnieją brzydsi mężczyźni niż on, ponieważ walka z gorylem nie dodała mi urody. Dziękując, odrzuciłem jego zaproszenie. Wiedziałem, że tam nie pasuję. Kibowi Belize sprzedałem informację o działaniach Nada, a z samego Nada miałem zamiar wycisnąć trzysta złotych za to, co mu przekażę. Miałem na to umowę.

A później na tablicy przed siedzibą zarządcy pojawiły się nowe plakaty: „Poszukiwany żywy lub martwy. Za zabicie i spalenie nagroda trzysta złotych...”. To był mój świat, a nie udział w rodzinnej uroczystości.

GRA ŁOTRÓW

Przezołgałem się jeszcze kawalek i wydostałem z krzewów malin. Zarośla były gęstsze niż się początkowo wydawało, a strome zbocze niewiarygodnie zdradliwe. Na szyi miałem ślady wielu zadrapań, niektóre bardzo głębokie, lewe przedramię otarłem sobie do kości podczas niekontrolowanego obsunięcia. Ale z prawą ręką wszystko było w porządku, a wysoki mężczyzna w kolczudze stał tyłem w odległości zaledwie piętnastu kroków. Właściwie tylko dlatego podjąłem się go podejść. Pilnował drogi przed sobą i czekał na mnie. Wziąłem dwa głębokie wdechy. Chmura muszek nade mną zgęstniała, czułem, jak owady siadają na moją podrapaną skórę i coraz bardziej gryzą. Piętnaście kroków to dużo, a mężczyzna miał kuszę. Jego kompani piekielnie dobrze posługiwali się bronią, nie miałem więc powodów sądzić, że on jest wyjątkiem. Przy piętnastu krokach w terenie, gdzie nie było dobrej kryjówki, jedyną sprzyjającą rzeczą było słońce za moimi plecami. Wstałem, wyjąłem z bandoletu największy nóż. Pierwszy krok był najtrudniejszy jak zawsze, strach przed śmiercią był niczym kneidel ze zbyt rzadkiego ciasta, którego nie można przełknąć. Drugi krok. Przy trzecim zauważyłem zagłębienie, gdzie w razie potrzeby mógłbym się schować, przy piątym – kciukiem i palcem wskazującym mocniej chwyciłem ostrze.

I nagle, choć nie było ku temu najmniejszej przyczyny, mężczyzna się odwrócił. Zamarłem z wyciągniętą ręką. Wystrzelił z biodra bez celowania, belt minął mnie z metalowym brzękiem. Odrzucił kuszę, lewa noga, prawa, lewa, mój przydługi zamach. Rzuciłem w momencie, kiedy już biegł w moją stronę, trzymając nisko miecz.

Włożyłem w rzut całą siłę. Nóż trafił go zbyt wysoko w ramię, ale przez zbroję przeszedł. Gość na chwilę zwolnił, prawie się zatrzymał, następnie zdecydował się kontynuować atak. Drugi nóż trafił go w udo i powalił na ziemię, miecz wypadł mu z rąk. Klęczał, chrapliwie oddychając, jedną rękę przyciskał do ramienia, drugą trzymał trzonek noża w nodze.

Ostrożnie się do niego zbliżyłem. Oddychałem prawie tak samo głośno jak on.

–To nie było w porządku – powiedział ochryple, podnosząc głowę. Surowa twarz, ze śladami słońca i wiatru, wydatne wargi.

–Nie było – zgodziłem się.

Zaatakował moim własnym nożem, zdążyłem zrobić krok w bok. Zamiast w krocze, dziabnął mnie w prawe biodro. Złapałem go za rękę w nadgarstku i szarpnięciem powaliłem na brzuch. Po nodze ściekała mi gorąca krew, a chmura much zgęstniała i poczerniała. Klęknąłem na nim i wykręciłem mu ramiona za plecami. Przy upadku nóż wbił się mu głębiej w ramię i teraz mężczyzna cicho jęczał.

–Dokąd ją wieziecie? Dla kogo pracujecie? – spytałem.

–Żebyś zdechl, gnojku – zachrypiał.

Był twardy, twardszy niż sądziłem, że to możliwe.

–Chcę tylko tej dziewczyny, na tobie mi nie zależy, puszczyć cię – wciąż próbowałem.

–Zdychaj!

Sięgnąłem po nóż, w tym momencie, pomimo bólu, facet spróbował się przekręcić, w zranionej ręce błysnęło ostrze. Wykręciłem mu rękę jeszcze mocniej, zgiał ją w łokciu, mimo to jeszcze raz zdołał dźgnąć mnie w udo. Nieprzytomny z wściekłości wyciągnąłem z jego ramienia nóż i podciąłem mu gardło.

To drugie dźgnięcie było o wiele gorsze niż dziabnięcie w biodro, doszło do kości. Pochyliłem się i oparłem ręce o uda, żeby poradzić sobie z osłabieniem, jakie nagle poczułem. Nie chciałem siadać, ponieważ bardzo źle by mi się wstawało. Wiedziałem, że niedaleko za parowem, na końcu którego czyhał na mnie napastnik, płynie potok. Zostawiłem tam swego konia, ponadto woda i cień były właśnie tym, czego potrzebowałem.

Dokużytkalem na polanę między roslymi świerkami i, zaciskając zęby, zdjąłem spodnie. Rana wciąż krwawiła. Na opatrunek zużyłem całe swoje zapasy aloesu, pudru i bandaża. Mogłem sobie tego wszystkiego zaoszczędzić, gdybym zabił go od razu. Tylko że ja musiałem się dowiedzieć, dokąd wiozą Monikę Schwarten. Była to córka jednego z niżej postawionych szlachciców w Hrabstwie Karckim. Hrabia nadał lenno sir Schwartenowi w zamian za ochronę granic przed wojowniczymi sąsiadami. Sir Schwarten wynajął mnie, żebym ocalił jego porwaną córkę. Sam teraz walczył z najeźdźcami na południowej granicy swego państwa. Przeczuwałem, że wszystko jakoś się wiąże z siecią miejscowych intryg, ale niestety Schwarten nie mógł albo nie

chciał mi powiedzieć, który z jego nieprzyjaciół za tym stoi. Właściwie było mi wszystko jedno, miałem tylko sprowadzić młodą damę do domu.

Kiedy trochę wzięłem się w garść, nabierałem chrustu na ognisko i przygotowałem na kolację kawał pieczonego mięsa. Dziś już nie nadawałem się do dalszej podróży. Kręciło mi się w głowie, a rana szarpała tak, że miałem wrażenie, że od tego zwariuję.

Wnioskując ze śladów, porywaczy było sześciu, z czego trzech już zabiłem. Niestety, również porządnie za to zapłaciłem. Jeden przez drugiego byli twardsi niż podeszwa, dobrzy, niczym weterani walk partyzanckich i... Wtem zatrzymałem natłok myśli.

Walki partyzanckie, ten termin coś mi mówił. Leżałem zawinięty w koc przy dogasającym ognisku i przypominałem sobie, co wiem o małych rodach szlacheckich w okolicy. Kilka z nich brało udział w walkach z górskimi plemionami, które stawiały opór regularnej armii imperium. Za swoje usługi uzyskali lenna bezpośrednio od cesarza na dzikich terenach na południowy zachód od Hrabstwa Karckiego. Mężczyźni ci walczyli, zachowywali się i wyglądali dokładnie tak, jak weterani krwawych walk, które skończyły się ponad pięć lat temu. Wiedziałem już, że na skrzyżowaniu szlaków kupieckich, mniej więcej dwadzieścia kilometrów niżej na południe, skrzęć w prawo na wschód. Później nie pozostanie mi już nic innego, niż dalej tropić lub wypytywać.

Usypiałem, zastanawiając się, czy pozostali trzej mężczyźni nie będą dla mnie zbyt poważnymi przeciwnikami. Najlepiej byłoby uniknąć walki z nimi, ale wątpilem, czy uda mi się ich przekonać, żeby zrezygnowali ze zdobyczy, za którą ktoś z pewnością hojnie ich wynagrodzi. Nie byłem dość przekonujący. Ale ja także potrzebowałem pieniędzy i wzięłem zaliczkę za to, że sprowadzę do domu Monikę Schwarten całą i tak zdrową, jak tylko się da. Właściwie między mną a porywaczami nie było aż tak dużej różnicy, wszyscy tylko zarabialiśmy na życie, a środkiem do celu była młoda kobieta, której nigdy nie widziałem.

Wstałem o świcie, ze stękaniami wdrapałem się na siodło i ścieżką ruszyłem dalej na południe. Dojechałem do skrzyżowania szlaków handlowych w ciągu jednego dnia. W kierunku wschodnim poruszałem się w tempie człowieka, który za każdym zakrętem spodziewa się kolejnej pułapki. Zdziwiłbym się, gdyby naprawdę tak było.

Trzech z nich zabezpieczało drogę powrotną, pozostali mieli chyba za zadanie dostarczyć

towar. Z drugiej strony, ostatnich siedem lat nauczyło mnie nie pozwalać się zaskakiwać.

Po południu na miękkim brzegu potoku, ciągnącym się parę kilometrów wzdłuż drogi, znalazłem ślady kopyt czterech koni, które wydawały mi się znajome: jeden koń stąpał niezwykle szeroko, a niedawno kował wymienił mu jedną podkowę, pozostałe zaś miał bardzo zniszczone. Wnioskując z mapy, w okolicy były tylko takie osady, gdzie nawet diabeł nie mówił dobranoc. Z nich można było jechać już tylko w prawdziwą dzicz. Porywacze musieli poruszać się blisko cywilizacji, gdzie mogli spotkać się z klientami, żeby później znów zniknąć. A najbliższą prawdziwą wsią, której mieszkańcy choć trochę przywykli do obcych, był Arnabruck, na mapie oznaczony czterema małymi domkami. Oznaczało to, że jakiś odważniejszy diabeł być może już nie bałby się tam pojawić.

Wieczorem znów oczyściłem i obwiązałem ranę. Miałem szczęście, nie ropiała, zaczynała już nawet zarastać delikatną skórą. Dla takiego fajtlapy jak ja, to dobrze, że goi się tak szybko.

Godzinę po świcie z łagodnego pagórka ujrzałem Arnabruck. Wielkością odpowiadał oznaczeniu na mapie. Ważniejsze było jednak to, że droga się w nim nie kończyła, przeciwnie – rozchodziła w dwóch kierunkach. Objechałem osadę szerokim łukiem, żeby nikt mnie nie widział, i wjechałem do niej z drugiej strony. Nie był to żaden wyrafinowany podstęp, ale mogłem zyskać trochę czasu, żeby się rozejrzeć.

Jechałem główną, właściwie jedyną ulicą, przyglądając się okolicy. Arnabruck okazał się typową osadą hodowców bydła, z gospodą, budynkiem administracyjnym, sklepem i kilkoma stajniami. Sądząc po tym wszystkim, musiały się zapelniać, zwłaszcza kiedy okoliczni poganiacze zjeżdżali się, żeby uzupełnić zapasy i wydać zarobione pieniądze. Człowiek mógł tutaj spędzić całe życie w siodle, zanim zaoszczędziłby jednego srebrnika. Co zarobił, przepił, a później znów odjeżdżał na pustkowie zajmować się bydłem, które swym właścicielom przynosiło pokaźne zyski ze sprzedaży mięsa i skór. Lepsze to niż umieranie podczas pracy w kopalni. Tam podobało mi się o wiele mniej. Jak w każdej tego typu wsi, również tutaj cmentarz znajdował się tylko parę metrów za ostatnimi domami. Osiemnaście grobów w trzech rzędach, z tego ostatnich pięć wyglądało na świeże, a szósty właśnie zagrzebywał młodzieniec z garbem. Oprócz garbu miał nieforemną twarz i nie widział na jedno oko.

–Dużo nowych grobów – rzuciłem, zatrzymując konia.

Wsparł się na łopacie i przyglądał mi się w milczeniu.

W momencie, kiedy pomyślałem, że mnie nie rozumie, skrzywił się:

–No, no. Dostanę trzy butelki gorzalki! Wczoraj miałem szczęście! – krzyknął, pokazując mi rząd pięknych zębów.

Sześciu martwych może dla kogoś oznaczać szczęście, czemu nie.

–Co się stało? – chciałem wiedzieć.

–Obcy ludzie, nie nasi od bydła. Pobili się, a ja miałem szczęście. – Machnął ręką na groby.

–Dzięki. – Skinąłem mu na pożegnanie i popędziłem konia.

Wyglądało mi to na kolejną małą wojnę hodowców bydła. Oficjalnie nikt o nich nic nie wiedział, ale w knajpach na całym południowym zachodzie od czasu do czasu mówiło się o spalonych osadach i farmach, czasem z tego powodu stawiali się w imperialnym sądzie również szlachcice, dla których poganiacze pracowali. W zasadzie jednak nie było to nic ważnego i

wielkiego.

Jechałem ulicą aż do gospody. Na zewnątrz nie widziałem ani jednego człowieka, tylko za oknami kilku domów zauważyłem ruch. Przed budynkiem ze szlacheckim herbem w połowie zmytym, gdzie mieszkał zarządca, o ile raz na pół roku się tu pojawił, leżało martwe prosię. Nie mogło znajdować się tam długo, ponieważ jeszcze nie śmierdziało. Za zakopywanie zwierząt chyba garbatemu nie płacili.

W stajni dla gości znalazłem ostatnie wolne miejsce dla konia. W sumie naliczyłem trzynaście wierzchowców. Wśród nich znalazłem także tego z szerokim chodem. Wałach po wewnętrznej stronie uda tylnej nogi miał narośl po źle zagojonej ranie. Stąd te dziwne ślady.

Może ktoś z miejscowych obchodzi urodziny i zaprosił gości, przyszło mi do głowy. Może.

Wszedłem do sali, przywitało mnie fałszywe brzdąkanie na lutni, hałas i dzwonięcie kufli. W innym miejscu podobne pomieszczenie byłoby za małe nawet na kuchnię, tutaj służyło jako lokal i bar jednocześnie. Siedmiu mężczyzn z oberżystą prawie go zapełniało. I trzy kobiety. Dwie dziwki ostatniej kategorii. Ze swoim wyglądem mogły zarobić tylko tutaj, gdzie pewnie połowa kobył była zarażona syfilisem. Trzecią kobietą, przywiązaną do belki nośnej, musiała być Monika Schwarten. Suknię miała brudną po długiej podróży, na twarzy ślad po niedawnym policzku. Kasztanowe włosy lepiły się jej do czoła, kąciki ust otaczały zbyt głębokie

kreski zmarszczek. Parę dni cierpienia i niepewności sprawiły, że w oczach dziewczyny pojawiły się strach i obawa, których już chyba nigdy się nie pozbędzie. O ile przeżyje, oczywiście. W sumie wyglądała o wiele starszej niż na swoje osiemnaście lat.

Mężczyźni upijający się przy barze zaledwie obrzucili mnie spojrzeniem, trójka przy kartach przerwała grę i obserwowała z uwagą.

–Piwo i coś do jedzenia. Przejeżdżam tędy i spieszę się do Karcka, jutro rano pojedę dalej – powiedziałem głośno. – Do kogo należy? – spytałem, pokazując Monikę Schwarten.

Ci trzej popatrzyli po sobie, mężczyzna z opadającymi kącikami ust, którego ktoś kiedyś uderzył w twarz w taki sposób, że wyglądała niczym zlepek niepasujących kawałków, odłożył karty.

–Do nas. Dlaczego pytasz? Hałas powoli cichł.

–Podoba mi się, kupię ją – rozpocząłem grę.

Ani jeden z karciarzy nie pasował do tych trzech, których zabiłem po drodze. Ci należeli do innej kategorii. Najbardziej przypominali bandę zdziczałych poganiaczy, którym pijaństwo rzuciło się na mózg, którzy mają na sumieniu parę zabójstw, a przed sobą szybką drogę na szafot.

–To brzmi interesująco – zaśmiał się Gęba, a jego towarzysze poszli za przykładem.

Szczur i Goryl, ochrzciłem ich tak na podstawie wyglądu. Pierwszy miał oczy tak blisko siebie, że wyglądało, jakby nie miał nasady nosa, drugi był duży i gruby, podbródek wylewał mu się aż na pierś. Mięśnie i tłuszcz obrośnięte na szkieletcie potężnym jak u rzeźnika. Może jego matka naprawdę puściła się z gorylem?

–Za taką niewolnicę na wybrzeżu dostaniecie jakieś dwadzieścia złotych, dam wam pięć więcej – zaproponowałem.

Oczy się im zaświeciły, pozostali przestali rozmawiać i nadstawili uszu. Zgodnie z ich

logiką byłem wariatem, ponieważ zdradziłem, ile mam przy sobie. Z pewnością zabijali już za mniej niż ćwierć setki złociszy. Prawdopodobnie nigdy nie widzieli tyłu pieniędzy naraz.

–Nie jesteśmy na wybrzeżu, chłopcze – wykrzywił się Szczur.

Gdyby jeszcze trochę ulepszył swój grymas, mógłby nieźle zarobić jako kat. Wystarczyło pokazać go skazańcowi, a zaoszczędzono by na konopiach.

–To prawda – zgodziłem się. – Może więc trzydzieści?

I byłem jeszcze większym wariatem. Gęba odnalazł wzrokiem jednego z mężczyzn przy barze. Wrażenie, że wszystkich coś łączy, potwierdziło się.

–Problem w tym, czy masz przy sobie tyle forsy – kontynuował pertraktacje Szczur, pozostali czekali w milczeniu.

Nie doceniłem go. Potrafił nieźle zorganizować swoją bandę. Przypuszczałem, że kilku z nich niepostrzeżenie wyjdzie na zewnątrz, żeby przygotować na mnie zasadzkę. Najlepszym miejscem na zabójczą pułapkę była stajnia.

–A może zagramy w karty? Ja postawię pieniądze, wy ją. Zwycięzca bierze wszystko – zaproponowałem, żeby zyskać na czasie.

–Dlaczego nie! – zgodził się Gęba.

Głos miał entuzjastyczny, jakby mój pomysł mu się podobał, ale twarz miał wciąż taką samą, bez jakiegokolwiek mimiki. Irytował mnie.

Zanim zdążyli się przesiąść, przysunąłem krzesło od stołu obok i dołączyłem do nich. Ścianę miałem skośnie za plecami. Nie było najlepiej, ale wszystkich miałem przed sobą albo z boku. Tak dobrego miejsca sami dobrowolnie by mi nie zaproponowali.

Szczur się zachmurzył, ale Goryl uspokajająco położył mu rękę na przedramieniu. Wierzył w siebie.

–Kto będzie trzymał bank? – spytałem.

–Kłady będzie bankierem. – Gęba wskazał na Szczura. – Zakładem będzie srebrnik, pułapem pięćdziesiąt złotych, to cena tej dziewczyny – zdecydował.

Na chwilę pozwoliłem sobie spojrzeć na Monikę Schwarten, później na mężczyzn wokół. Jak już wielokrotnie wcześniej, ponownie ugryzłem zbyt rzadkie ciasto, które po przełknięciu splywa do żołądka, choć jednocześnie zostaje też w ustach, a kiedy naprawdę nie jest dobrze, ten największy kawałek zostaje na łyżce. A później człowiek się coraz bardziej dusi, dopóki nie wyzionie ducha. Jak to się stało, że siedzę w knajpie pełnej mężczyzn i gram w grę, której nie da się wygrać? Może dlatego, że działałem szybciej niż myślę.

Szczur rozdał. Umiał się obchodzić z kartami, a gdy zobaczył wyraz mojej twarzy, uśmiechnął się z zadowoleniem. Nie musiał zachęcać jelenia do gry. Sam się w to wkopałem i nie było drogi powrotnej.

Słyszałem tłumione śmiechy mężczyzn, cieszyli się, że oskubią mnie do zera. Coraz bardziej utwierdzałem ich w mniemaniu, że jestem wariatem albo głupcem. Ewentualnie jednym i drugim naraz.

Monika Schwarten wyglądała na wystraszoną i bezradną jednocześnie, od czasu do czasu spoglądała w kierunku schodów na piętro, jakby chciała tamtędy uciec. Rzadkie ciasto z powodu Moniki Schwarten. W ogóle jej nie znałem. Rzadkie ciasto z powodu pieniędzy, to miało większy sens.

Po pięciu rundach przegrywałem sześć złotych, goście przy stole wyraźnie się rozkręcali,

gra zaczynała ich cieszyć. Podczas siódmej rundy byłem pewien, że Szczur oszukuje. Goryl miał fula, trzy damy i dwie dwójki. Przedtem każdą damę miał kto inny i nie mogły tak szybko znaleźć się razem.

Przegrałem kolejne dwa złote. Wszyscy pozostali mężczyźni stali wokół nas, obserwowali grę, popijali swoje piwo i bawili się moim kosztem.

–Znałem człowieka, którego powiesili za oszukiwanie w pokerze – rzuciłem, wyłożyłem karty i przegrałem kolejnego złocisza. Trzy walety przeciwko królom.

–Oskarżasz nas? – powiedział groźnie Gęba, pochylając się w moją stronę. Rozmowa ucichła. Wariat i głupek, który prowokuje ludzi mających w ręce wszystkie atuty.

–Ależ nie, panowie, wystarczy, iż wszyscy się zgodzimy, że uczciwi ludzie nigdy nie oszukują w karty, a my wszyscy jesteśmy uczciwymi ludźmi, prawda? –

Rozłożyłem ręce.

Gęba wybuchnął dzikim śmiechem, jego poplecznicy również.

–Więc dlaczego nasz bankier ma pod ręką piątą damę? – wrzasnąłem, a Szczur zawył z bólu.

Przyspiliłem mu dłoń do stołu razem z kartą, którą właśnie chował. Śmiech ucichł jak nożem uciął, Szczur popiskiwał niczym prawdziwy szczur i cały się trząśł. Krew poplamiała karty wokół, w prawej ręce wciąż trzymałem rękojeść noża.

–Nam, uczciwym ludziom, psuje grę! A my przecież chcemy zagrać, czyż nie? – wyrzuciłem z siebie w podnieceniu, stukając jednocześnie paznokciami w trzonek noża.

Nie miałem pojęcia, co myślał Gęba, ale Goryl odchylił się w tył, żeby być ode mnie jak najdalej, jakbym naprawdę stracił rozum. – To był zły pomysł ze strony mego przyjaciela, dokończymy grę bez niego, jak mówisz – zaproponował po chwili Gęba.

W jego głosie było słyhać wahanie, widocznie zmienił o mnie zdanie. Jego ludzie jednak, w tym momencie zastraszeni, potrzebowali czasu, żeby dojść do siebie i zaatakować na jego rozkaz.

Wyciągnąłem nóż z dłoni Szczura i położyłem obok siebie na stole. Bez pytania wziąłem sobie talię kart i graliśmy dalej.

Podczas kolejnego rozdania razem mieli w obiegu cztery pary królów i dam. Kwestią czasu było, kiedy znajdą się razem. Następnie Gęba wymienił trzy karty, Goryl jedną, ja miałem karete króli. Szczur na swoim krześle jęczał z zamkniętymi oczami i nie obserwował gry. Dorzucaliśmy aż do pięćdziesięciu złotych. Wtedy już byłem pewien, że Gęba również ma karete, na strita nie wystarczyło kart.

–Więc wykładamy? – powiedziałem, kiedy nasze niepotrzebne przebijanie się skończyło.

Triumfalnie pokazał mi swoje cztery damy, a ja przebiłem je królami. Goryl zbladł z przerażenia, Gęba pokręcił głową.

–Czy naprawdę myślisz, że to ważne, że wygrałeś?

–Nie, jest mi zupełnie wszystko jedno – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Po raz pierwszy miałem wrażenie, że twarz Gęby miała jakiś wyraz. Moja ręka leżała zaledwie w odległości cala od rękojeści noża. Rzuciłem lukiem, oczy Gęby załazy się krwią,

uderzeniem łokciem zatrzymałem Goryla, przeciągnąłem ostrzem po jego piersi. Od razu też rzuciłem się na dwóch najbliższych mężczyzn przy stole. Jeden upadł w tył, drugiego trafiłem w przedramię, którym się zasłaniał, krew połała się jak z prosięcia. Wąsacz sięgnął po siekiere, ale nie zdążył. Podczas trzech kroków nóż przekręci się akurat o pół obrotu. Rzuciłem go jednym ruchem prosto z bandoletu.

Upadek wąsacza sprawił, że wszyscy się zatrzymali. Widziałem ich oczy, patrzyli na przemian to na mnie, to na swoich kompanów i broń. Goryl trzymał się za brzuch i ze strachem przyglądał się czerwieni przeciekającej między palcami.

–Więc jak będzie? – spytałem cicho.

Było ich wystarczająco dużo, żeby zgnieść mnie w ciasnym pomieszczeniu.

–Bierzcie go! – wycharczał Gęba, starając się ręką zatamować krwawienie.

Siedział o krok ode mnie. Nawet na niego nie patrząc, dźgnąłem go w pierś i zostawiłem nóż w ranie. Jednak przeciwników wciąż było wystarczająco dużo.

Pierwszy rzucił się do drzwi, pozostali natychmiast poszli za jego przykładem. Zostałem w sali z dwoma martwymi i jednym ciężko rannym. Nie licząc dziwek stłoczonych w kącie.

Przelknąłem ślinę, wyglądało na to, że ponownie przegryzłem się przez rzadkie ciasto. Utykając, podszedłem do Moniki Schwarten i przeciąłem więzy, Kiedy opadło podniecenie, świeże rany zaczęły mnie nagle boleć o wiele bardziej i znów kręciło mi się w głowie. Poker jest czasem trudniejszą grą niż może się na pierwszy rzut oka wydawać.

–Kim pan jest, na Boga? – spytała ze strachem w oczach.

Nie znałem odpowiedzi na jej pytanie.

–Wynajął mnie pani ojciec. Za to, że panią uratowałem, dostanę tysiąc złotych – powiedziałem.

Wzdrygnęła się, jakby zrobiło jej się zimno, przymknęła oczy, aż zaczęły przypominać ciemnoszare szparki.

–Właściwie nie było ważne, czy pan wygra, czy przegra – odparła cicho.

–Dokładnie tak. Nawet o tym nie wiedzieli, że graliśmy w tę samą grę, ale byłem o krok do przodu – potwierdziłem jej przypuszczenia.

Może jednak jej odpowiedź miała jeszcze inny sens.

–Mógłbym panią prosić o piwo albo wodę do picia – poprosiłem i oparłem się o słup, do którego wcześniej była przywiązana.

Musiałem dojsć do siebie, ta bójka naprawdę nie wpłynęła na mnie dobrze.

–Ci tutaj – pokazałem dwa trupy – to nie są ludzie, którzy panią porwali.

–Nie – przytaknęła. – Spotkaliśmy ich tutaj, a w nocy napadli na nas w pokojach. Moi porywacze czterech z nich dopadli, ale i tak... – Wzruszyła ramionami.

Przypomniałem sobie rząd świeżych grobów, to miało sens. Nawet najlepszy zabijaka ma pecha, gdy spotka się ze zbyt wielką przewagą, albo gdy wezmą go z zaskoczenia.

–W drogę powrotną wyruszymy jak najszybciej, nie chcę, żeby doszli do siebie i zaczęli się na nas za miastem – powiedziałem w nadziei, że będę w stanie to zrobić.

–A co by pan powiedział na to, że nie chcę wracać do domu? Że boję się swego ojca, że wolę zostać w tej dziurze niż ponownie stać się jedyną córką sir Schwartena?

Imię ojca prawie wypluła.

Zamiast wrócić do rodowej siedziby, chciała zostać wśród bydła, wydana na pastwę

surowego życia, którego nie znała? Samotna kobieta?

Patrzyłem na nią, jak drży, mimowolnie wciąż kręcąc głową, i zrozumiałem. Zmarszczki na jej twarzy nie powstały podczas kilku dni wędrówki z porywaczami, ale wiele lat wcześniej. Podróż w nieznane z oprawcami była dla niej lepszym życiem niż przebywanie z własnym ojcem pod jednym dachem.

–Zatem nie odprowadzę pani do domu – odpowiedziałem cicho. – Ale bez mężczyzny będzie pani ciężko, może skończyć pani jeszcze gorzej niż teraz wydaje się to pani możliwe.

Nagle przypomniałem sobie groby. Powiedziała, że jej porywacze zabili czterech morderców, a grobów było sześć. Sześć odjąć cztery to dwóch martwych -dwóch martwych z trzech, których śledziłem. To oznaczało, że jeden...

Powoli odwróciłem się w stronę schodów na piętro. Stał tam barczysty mężczyzna z zabandażowanym ramieniem i przepaską na oku. Ledwo stał na nogach, ale w ręku trzymał kuszę i celował we mnie.

Doskoczyła do niego i podparła ramieniem.

–Kromberg nas wynajął, żebyśmy porwali córkę sir Schwartena. Obiecał nam pięćset złotych – odezwał się chrapliwie.

Oczy błyszczały mu od gorączki, jednak grot beltu wciąż był skierowany w moją pierś.

–Nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ona. Brat zrzekł się udziału, pozostałym obiecałem, że zapłacę im ze swojej połowy. Zgodzili się. Chciałem... – popatrzył na Monikę Swarten – chcieliśmy razem osiąść gdzieś daleko, żeby mieć spokój.

Patrzyłem, jak ona go podpira, a on ją obejmuje. Dziewczyna wycierpiała więcej niż jakakolwiek kobieta w ogóle powinna, a starzejący się mężczyzna, mający na sumieniu wiele grzechów, potrafi sobie to wyobrazić.

Odwróciłem się, żeby odejść.

–Tych pieniędzy dla swoich kompanów i brata chyba nie muszę odkładać – rzucił jeszcze.

–Nie – odpowiedziałem i nie odwracając się, zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Straciłem tysiąc złotych. Bywają gorsze rzeczy.

Pasjonat

Gospoda znajdowała się na samym skraju miasta i już na pierwszy rzut oka wyglądała na zaniedbaną i źle utrzymaną. Dokładnie taki lokal, jakiego szukałem, ponieważ na lepszy nie mogłem sobie pozwolić. W kieszeni brzęczało mi kilka ostatnich srebrnych. Lagrossi, drugie co do wielkości miasto Wielkiego Księstwa Glewańskiego, było jednym z droższych miejsc w kraju, a może nawet w całym Imperium Crambijskim. Jedną z przyczyn wygórowanych cen mógł być fakt, że Lagrossi za swoją główną siedzibę obrał Lobelin, najstarszy syn arcyksięcia. Złe języki twierdziły, że wprowadza tutaj trochę dziwne rządy, ale jako przyszły członek Imperialnej Rady Patrycjuszowskiej, na której opierał się sam cesarz, mógł sobie na nieco więcej pozwolić. Jediną osobą, która „mogła cokolwiek powiedzieć o sposobie, w jaki zarządzał przydzielonym terytorium, był jego ojciec, arcyksiążę Glewan. Według niektórych podobno nawet on nie dorównywał synowi. Żadna z tych plotek mnie nie interesowała. W mieście, gdzie jest drogo, zazwyczaj gra się o duże pieniądze, a ja przyjechałem przynajmniej

trochę zapelnąć swoje puste sakiewki.

Odrzuciłem pomoc parobka i sam umieściłem konia w stajni. Starannie wyczyściłem go zgrzeblem, do koryta naląłem czystej wody, do siana, które było wliczone w cenę, dokupiłem woreczek owsa. Dopiero później skierowałem się do szynku.

Pomieszczenie było pełne ludzi. Niektórzy opierali się o ściany, dzbany z piwem odstawiali na wąskie deski zawieszane przy ceglanych ścianach, wokół szynkwasu klębił się tłum, a wszystkie stoły, z wyjątkiem jednego, były zajęte. Bez wahania skierowałem się do tego wolnego. Z ulgą usiadłem na solidnym drewnianym krześle, miecz oparłem o krawędź stołu. Byłem zmęczony, brudny i głodny, a do tego wszystkiego jeszcze piekielnie chciało mi się pić. Od mojej ucieczki z domu upłynęły już ponad cztery lata, wspomnienia luksusowego życia w wygodnym rodzinnym pałacu stopniowo się zacierają. Dziś już nikt nie rozpoznałby we mnie szlachcica.

–Naprawdę będzie pan siedział przy tym stole, panie? – zwrócił się do mnie pomocnik oberżysty z powątpiewaniem.

–Tak. Dzban wina, dzban wody i jedzenie – zamówiłem.

Chłopak na chwilę zablądził wzrokiem w kierunku drzwi, później ocenił moją pokrytą bliznami twarz i z rezygnacją wzruszył ramionami. Z pewnością zamierzał mnie przed czymś ostrzec, ale mój niezbyt pociągający wygląd sprawił, że z zamiaru zrezygnował. Nie miałem mu tego za złe. Nigdy nie byłem zbyt przystojny, a blizny sprawiały, że ludzie się mnie bali.

–Jak pan sobie życzy, ale zapłaci pan z góry. Srebrnego albo dwanaście miedziaków.

Położyłem na brudny blat błyszczącą monetę. Chłopak zręcznie ją podniósł, sprawdził bicie i skinął głową.

–Za chwilę jestem z powrotem – powiedział i odszedł.

Z zadowoleniem wyciągnąłem swoje długie nogi i rozluźniłem się. W rozmowach ludzi kilkakrotnie usłyszałem słowo „turniej”. Zrozumiałem, że pierwsze walki rozpoczną się już jutro. To oznaczało, że będę musiał wstać wcześniej rano, żebym zdążył się zgłosić. Właśnie turniej, który Lobelin organizował raz w roku, wydawał mi się najłatwiejszym sposobem zdobycia pieniędzy. Nie musiałem wygrać. Wystarczyło przejść przez eliminacje, które odbywały się pod gołym niebem, do kolejnego etapu, a później postawić na siebie podczas pierwszego pojedynku na prawdziwej arenie. I oczywiście wygrać. Reszta zależała od tego, jak się sprawy potoczą. W żadnym przypadku nie chciałem się dać posiekać na kawałki jakiemuś profesjonalnemu gladiatorowi. Krążyły pogłoski, że w końcowych etapach turnieju nie zwraca się już tak uwagi na oficjalne zasady, a liczba martwych jest o wiele wyższa niż gdziekolwiek indziej w imperium podczas podobnych okazji.

Wreszcie przyniesiono moje zamówienie. Rzuciłem się na jedzenie wygłodzony. Pomiędzy jednym a drugim kęsem zauważyłem, że posiwiały mężczyzna z zarostem jeszcze bardziej srebrnym niż włosy, w zamyśleniu mi się przygląda. Na pierwszy rzut oka wyglądał znajomo, ale kiedy zacząłem szukać w pamięci, uczucie, że go znam, rozplynęło się. Zdałem sobie sprawę, że podczas jedzenia rozpięła mi się kurtka i każdy może zobaczyć bandolet z nożami na piersi. Poprawiłem ubranie i znów spojrzałem na brodacza. Całą uwagę skoncentrował na swoim kuflu, ale byłem pewien, że skrycie mi się przygląda. Wiedziałem to dzięki szóstemu zmysłowi, który ma każdy banita – każdy banita, który przeżyje prześladowania. Ja przed

ludźmi ojca

uciekalem całe trzy lata, zanim w końcu udało mi się zatrzeć ślady. Zdecydowałem się, że zniknę stąd, gdy tylko skończę jeść. Nie chciałem żadnych problemów. Potrzebowałem jedynie paru złotych, żeby wyposażyć się na zimę i móc podróżować dalej.

Skrzypnęły drzwi i głośnie rozmowy zmieniły się nagle w szept. Podniosłem wzrok znad zupy. Z tego, jakie miny mieli wszyscy wokół, zrozumiałem, że zmiana atmosfery ma coś wspólnego ze mną. Do szynku weszło trzech mężczyzn. Barczysty rzezimieszek ze skórzanymi, podbitymi żelaznymi łuskami ochroniaczami na obu przedramionach, za nim grubas z nienaturalnie długimi i potężnymi rękoma, a jako ostatni chudy dryblas z cienkim wąsikiem. Mógł być mojego wzrostu, ale ważył kilka kilogramów mniej. Ci trzej oznaczali kłopoty.

–To jest nasz stół – zwrócił się do mnie barczysty.

Skinąłem głową i odsunąłem talerz z zupą. Najrozsądniej było oczyścić pole. Grubas stanął w przejściu, którym najłatwiej byłoby mi odejść. Nie zauważyłem, kiedy na jego prawej ręce pojawił się połyskujący złotem kastet. Nie wyglądało na to, że pozwoli mi tak po prostu opuścić towarzystwo. Wciąż jednak mogłem wycofać się w kierunku szynkwasy. Dryblas obserwował kierunek mojego spojrzenia, robiąc rozbawioną minę. Ramiona miał luźno opuszczone wzdłuż ciała, dłonie pod blatem stołu. Mógł je mieć puste, ale mógł też trzymać nóż czy cokolwiek innego.

–Tylko po dobroci, panowie. Już idę. Nie miałem pojęcia, że ten stół jest zarezerwowany dla was – powiedziałem, miskę z mięsem i ziemniakami chwyciłem w jedną rękę, miecz w pochwie w drugą.

–To ci nie pomoże, obsrańcu. Po prostu nie powinieneś tu siadać – powiedział groźnie barczysty i sięgnął do pasa.

Ci trzej z pewnością chcieli się zabawić moim kosztem. A rozrywka, jaką lubili, należała do tych ostrzejszych. Grubas zrobił gest w moją stronę i spróbował zadać cios okutą pięścią w dół brzucha. Odepchnąłem jego ramię tak mocno, że się odchylił, szybko wsunąłem mu brzeg miski między zęby. Przednie zęby brzęknęły o kamionkę i wypadły na ziemię. Jego usta nabrały nagle koloru dojrzałych czereśni. Barczysty uderzył prosto z biodra, po skosie w górę, długim sztyletem. Zrobiłem unik, krok w bok i bez przygotowania dźgnąłem go końcem pochwy w kark. Zacharczał i osunął się na ziemię. Grubas trzymał się na nogach, ręce przyciskał do twarzy i kołysał się z boku na bok. Mężczyzna z wąsikiem wciąż się uśmiechał, ale jego oczy były poważne. Wyciągnął ręce spod blatu i pokazał mi, że są puste.

–Nic nie mam przeciw tobie. Moi kompani źle cię ocenili, zdarza się. Spokojnie dokończ swoją zupę.

Wszyscy w sali w milczeniu przyglądali się nam z ukosa. Tylko siwowłosa mężczyzna z brodą powoli kiwał głową z boku na bok, wzrokiem pokazywał drzwi i na zmianę zginał i prostował wskazujący palec prawej ręki. Wyglądało, jakby naciskał spust kuszy.

–Nic się nie stało – odpowiedziałem. – Ale myślę, że jednak pójdę. Czar tej sympatycznej restauracyjki prysł.

Żeby wydostać się na zewnątrz, musiałem przejść obok dryblasa. Napięcie wciąż rosło. Przeszedłem nad wciąż jeszcze charczącym osilkim, okrążyłem stół i z mieczem w pochwie, w lewej ręce, kroczyłem między szpalerem stołów do wyjścia. Dryblas, w rzeczywistości wyższy ode mnie, przez cały czas stał bokiem, nieruchomy jak skała.

–Hej, nieznamy! – krzyknął, kiedy sięgałem do klamki w drzwiach.

Odwróciliśmy się obaj równocześnie. Nawet mnie nie zdziwiło, gdy w jego ręce ujrzałem małą stalową kuszę. Była to niepewna zabawka, działająca co najwyżej na odległość pięciu metrów, nas dzieliły zaledwie trzy. Popelniał błąd. Powinien wycelować, zanim się odezwał. Wykorzystałem fakt, że wciąż się odwracam, i wykonałem szybki ruch prawą ręką. Nóż do rzucania wbił się w pierś dryblasza. Jeszcze przez chwilę starał się wystrzelić, ale nie dał rady. Szybko przeszedłem przez drzwi i skierowałem się do stajni.

Jak to powiedziałem? Żadnych problemów? Zarobić jakieś pieniądze i ruszyć dalej? Pech nie odstępował mnie ani na krok. Może miałem to we krwi, jakieś fluidy, które zachęcały ludzi do tego, żeby próbowali mnie zabić. Zakładałem właśnie siodło na koński grzbiet, gdy podszedł do mnie siwowłosy brodac.

–Odjeżdża pan? Wzruszyłem ramionami.

–Wolałbym nie zapoznawać się bliżej z miejscowym więzieniem.

–Nie sądzę, żeby sprawa zaszła aż tak daleko. Goście tej knajpy nie mają najlepszych kontaktów z sądami i nie będą zbyt rozmowni.

Znów wróciło mgliste uczucie, że go znam. Była to jednak tylko chwila.

–Ten grubas żyje, będzie chciał się zemścić – powiedziałem.

–Możliwe. Ale pan da mu radę. Gdyby przypadkiem sprawa trafiła do sądu, będę świadkiem, że pan się bronił. Nazywam się Donil Juber i jestem przedstawicielem cechu bukmacherów, certyfikowanych bukmacherów uczciwie płacących podatki – podkreślił. – Miałbym dla pana dobrze płatną pracę. Potrzebuje pan przecież pieniędzy, czyż nie?

Uważnie na niego spojrzałem. Nie wyglądał na człowieka posiadającego kolekturę. Był zbyt pewny siebie, a jego ubranie, chociaż proste i naturalne, nie straciło pewnej subtelnej elegancji. Albo na jego styl i poziom wpływała postawa ciała i całe zachowanie.

–Zależy jaką i za ile – odparłem.

Ostrożność mi podpowiadała, że bym raczej wsiadł na konia i odjechał, jednak zacząłem być ciekawy. Wielu ludzi zginęło z powodu ciekawości. No to co?

–Może powinniśmy znaleźć jakiś pensjonat, gdzie pan zamieszka, a później porozmawiamy w bardziej przyjemnym otoczeniu niż ta stajnia – zaproponował.

–Dlaczego nie – zgodziłem się. – Ale nawet jeśli nie dojdziemy do porozumienia, rachunek za nocleg zapłaci pan.

Skinął głową na znak, że się zgadza.

* * *

Rozmyślałem o szczęściu, które mnie spotkało. W pasku miałem ukrytych sto pięćdziesiąt złotych, a następnych sto pięćdziesiąt czekało na mnie, gdy wykonam swoją robotę, Juber chciał, żebym dostał się do grupy najlepszych zawodników i szczegółowo go informował o wszystkim, co się będzie działo. Jubera interesowały nielegalne zakłady i imiona ludzi, którzy je zawierają. Chciał również wiedzieć, który z urzędników na zamku, odpowiedzialnych za turnieje, przymyka na to wszystko oko. Zdradził mi, że na ślad oszustwa naprowadziła cech niezwykle duża liczba martwych, znacznie przewyższająca liczbę zabitych na wszystkich innych turniejach organizowanych w cesarstwie. Trawiasty placyk, otoczony drewnianą poręczą, tworzył arenę, gdzie miałem walczyć. Sędziowie siedzieli na prostej trybunie,

widzowie tłoczyli się tłumnie dookoła. Zasady były standardowe jak w całym imperium, na inne nie pozwalał nawet edykt cesarza dotyczący pojedynków. Wojownicy używali broni i zbroi według własnego uznania, walka trwała do momentu pierwszego trafienia, które sędziowie uznali za rozstrzygające. Jeśli uczestnicy nie mieli właściwego wyposażenia, taki cios oznaczał mniejsze lub większe zranienie, a czasem nawet śmierć. Każdy walczący mógł się oczywiście w każdej chwili wycofać.

Główny sędzia ogłosił początek następnego pojedynku. Dwóch umięśnionych mężczyzn ruszyło na siebie z rotellą – okrągłą tarczą i szerokim mieczem. Bili się zaciekle, ale za bardzo walili w tarcze i było tylko kwestią czasu, kiedy jeden z nich straci broń. Od czasu, gdy się uczyłem, nie walczyłem z tarczą. W podróży była niepotrzebnym obciążeniem i wolałem długi, wyważony miecz. Najbardziej lubiłem chaabską broń – lekką i bardziej wytrzymałą niż inne, ale kosztowała ciężkie pieniądze, a ponadto była prawie niemożliwa do kupienia. Miałem nadzieję, że dogadam się z moim przeciwnikiem w kwestii innej kombinacji. Mój miecz był tylko imitacją chaabskiego oręża, z długim ostrzem i dużą osłoną, ale i tak wolałbym go nie stracić.

Jeden z wojowników złamał miecz na krawędzi tarczy przeciwnika, ten drugi rąbnął w jego rękę tuż nad łokciem, przeciągnął zbyt gwałtownym ukośnym ciosem po ramieniu. Wystarczyło teraz powalić pierwszego i walka była wygrana.

Z westchnieniem skierowałem się do jednego z licznych stanowisk płatnerzy.

–Czego będziesz potrzebował? – zwrócił się do mnie krępy mężczyzna z wachlarzem zmarszczek wokół oczu i ze zdeformowanymi uszami. Było oczywiste, że zanim zajął się płatnerstwem, załatwił na ringu niejednego przeciwnika.

–Miecz o standardowej szerokości, tarczę, lekkie nagolenice i kolczugę do połowy ud – zamówiłem.

W normalnym starciu zadowolilibym się wzmocnioną stalowymi prętami kurtką z byczej skóry, nawet teraz nie zamierzałem się ubierać w żelazne płyty – poza tym ich nie miałem. Na arenie chciałem mieć jednak większą ochronę.

–Jaką tarczę? Targę, rotellę ze stalową ramą? – burknął.

–Rotellę bez ramy z małym umbo pośrodku, żeby była jak najlżejsza.

–No, to najlepsza kombinacja dla kogoś, kto umie i nie boi się walczyć –

przytaknął i zaczął wśród wyrobów szukać czegoś, co by spełniało moje wymagania.

Miał rację. Tarcza obramowana dookoła stalą była dużo wytrzymałsza, poza tym miecz przeciwnika mógł się czasem złamać przy niezręcznym uderzeniu. Z drugiej strony, w tarczę z drewnianym brzegiem ostrze czasem wbijało się głęboko i dopóki właściciel miecza go nie uwolnił, był bezbronny. Uderzenia można było kryć tylko wzmocnionym środkiem.

–Taka? – Położył przede mną klasyczną rotellę z umbo z brązu i wzmocnionym spodnim lukiem.

Skinąłem głową. Kiedy za swoje nowe wyposażenie zapłaciłem siedemdziesiąt złotych, wróciło poczucie, że robota nie będzie aż tak łatwa, jak sobie wyobrażałem.

Z wszystkimi rzeczami w płóciennym worku na ramieniu wracałem w kierunku areny, kiedy ujrzałem interesującą scenę.

Olbrzymi mężczyzna, kilka centymetrów wyższy ode mnie, a w ramionach szeroki jak wóz, ze zdenerwowaniem gestykułował podczas rozmowy z sędzią głównym. Jego przyszyły

przeciwnik stał opodal i patrzył w bok, jakby wynik debaty w ogóle go nie interesował. Najpierw myślałem, że nosi zbroję, lecz później zdałem sobie sprawę, że ma na sobie tylko płócienną bluzę. Cała reszta to mięśnie. Byczy mięsień czworoboczny sprawiał, że głowa wyrastała jakby bezpośrednio z ramion, wiejący od czasu do czasu wiatr przyciskał luźny materiał do budzących strach deltoidów. Mięśnie na piersiach, rozwinięte do rozmiarów prawie monstrualnych, sterczały przed nim jak prawdziwy stalowy pancerz. Do tego wszystkiego ogólny zarys figury deformowała masa zbyt muskularnych ud. Mężczyzna wydawał się mały i wręcz rozłożysty na wszystkie strony. Ponieważ człowiek rzadko kiedy spotyka dwa takie monstra, zatrzymałem się i przyglądałem z uwagą.

Zrozumiałem, że olbrzym chce walczyć dwuręcznym mieczem, a sędziowie starają się mu to wyperswadować. W walce taką bronią, bez ciężkiej zbroi, nie ma rannych, są martwi. Sędzia główny zrezygnował z klótni i obwieścił pojedynek miecza dwuręcznego przeciw normalnemu. Z tablicy wyczytałem, że niższy mężczyzna nazywa się Bakly, olbrzym – Esprio Montevedi. Bakly nie wziął ze sobą nawet tarczy, zamiast tego uzbroił się w drugi szeroki miecz.

Rozpoczęła się walka. Przez chwilę obaj wyczekiwali, później Bakly zmniejszył odległość i sprowokował przeciwnika do ataku. Montevedi umiał dobrze władać dużym mieczem. Zakładałem, że jest żołnierzem. Bakly uciekł przed zdrażliwym zamachem, uginając tułów, i szybko wycofał się na bezpieczniejszą odległość. Praca jego nóg była wspaniała. Wtem znów się zbliżył, budzący grozę cios częściowo zablokował, a częściowo zmienił jego kierunek. Nagle dosięgnął ciała Montevediego, skontrolował lewym mieczem, prawym jednocześnie płasko trzasnął olbrzyma w bok. Sędzia główny natychmiast obwieścił koniec pojedynku i przysądził zwycięstwo Bakly'emu.

Wściekły Montevedi przez chwilę patrzył z góry na Bakly'ego i nagle się na niego rzucił. Uderzył poziomo, Bakly zrobił unik półprzysiadem, Montevedi

błyskawicznie zmienił taktykę i spróbował kontynuować atak głownią, tylko że Bakly odtańczył w bok. Momentalnie przeciągnął obok długiego ostrza szarszuna swoje miecze i dźgnął Montevediego w bok. Olbrzymi żołnierz upuścił broń, chwilę trzymał się prosto, przestępując z nogi na nogę. Niechętnie, jakby nie mógł w to uwierzyć, opadł na kolana i skonał. Sędziowie powtórnie ogłosili zwycięstwo Bakly'ego, na arenę wbiegli dwaj pomocnicy, odciągnęli ciało olbrzyma i posypali zakrwawioną ziemię piaskiem.

Z walki wyniosłem jedną naukę: z Baklym, umięśnionym monstrum, za żadne skarby nie chciałem się spotkać. Wolalbym już potajemnie zniknąć i przeboleć nawet obiecaną dopłatę do wynagrodzenia.

Niedługo potem również ja rozpocząłem potyczkę. Naprzeciw mnie stał pelen zapалу młodzieniec, wnioskując z entuzjazmu widzów, pochodził z pobliskiej wioski. Może się nie bał walczyć i w swojej okolicy to on był postrachem, ale o szermierce zbyt dużo nie wiedział. Dwukrotnie pozwoliłem, żeby jego broń ześliznęła się po tarczy, za trzecim razem podstawilem krawędź i kiedy ostrze wbiło się w drewno, szarpnięciem wytrąciłem mu miecz z ręki. Przez chwilę spoglądał ze zdziwieniem, a później całkiem rozumnie się poddał. Tak samo skończył się mój kolejny pojedynek. Więcej razy pierwszego dnia nie wystąpiłem.

Siedziałem na twardej drewnianej ławce pod gołym niebem i napychałem się wieprzowiną. Wokół mnie podobnie zachowywało się wielu innych mężczyzn. Wszyscy rozgadani, dzielili się przeżyciami z minionych walk. W ciągu dnia niewielu było rannych i tylko jeden zabity. Dla

wszystkich turniej stanowił doskonałą okazję do zarobienia pieniędzy i korzystali z atmosfery przyjacielskiego współzawodnictwa. Kilku z nich postawiło na siebie, więc chwalili się, że zarobili na zakładach pięć, dziesięć czy piętnaście złotych. O wyższej kwocie nie mówił nikt. Nie byłem młodszy niż większość z zawodników, ale miałem wrażenie, że do nich nie należę. Nie rozumiałem, co im wszystkim tak się w tym podoba. Rozmyślałem o Juberze: czy zapłacił mi tyle pieniędzy tylko z powodu zakładów i skąd go znam. Miałem wrażenie, że musiało to być bardzo dawno. Myślałem też o Baklym – wyobrażenie, że miałbym stanąć naprzeciw niego, budziło we mnie obawy. Można powiedzieć, że nawet strach, gdybym tego typu uczucie do siebie dopuścił.

–Lobelin podwyższył nagrodę dla zwycięzcy na pięćdziesiąt tysięcy! – zarejestrowałem informację obiegającą poszczególne stoły.

–To oznacza więcej krwi, a w walkach na dziedzińcu będzie się umierać – prorokował mężczyzna z łysiną i kwadratową szczęką, siedzący na ławie obok.

–Skąd to wiesz? Reguły przecież są wciąż takie same – zwróciłem się do niego. Wzruszył ramionami, sięgnął po tacę z mięsem ze środka stołu i nałożył sobie nową porcję.

–Biorę udział w turnieju już po raz piąty. To świetna zabawa, zarobię parę groszy. Trzy razy doszedłem do walk na dziedzińcach, ale nigdy nie wziąłem w nich udziału. Za bardzo lubię swoją skórę. Ludzie czują tam duże pieniądze, a w powietrzu unosi się śmierć. Mówią, że zawiera się tu różne zakłady.

Zamilkł, jakby się zorientował, że powiedział za dużo.

–Jakie zakłady? – spróbowałem dowiedzieć się od niego czegoś jeszcze.

–Przecież zobaczysz, o ile się tam dostaniesz, młody – odpowiedział, a później skoncentrował się już tylko na swojej misie.

Skończyłem jeść i poszedłem kupić jakieś wino. Nie było nic warte, ale chciało mi się pić i jednemu dzbanowi dałem radę. Zatrzymałem się też przy bukmacherach. Walka Bakly'ego na wszystkich wywarła wrażenie, ale lepszego kursu niż jeden do dwunastu nie widziałem. Na mnie stawiano jeden do dwóch i jeden do trzech. Złożyłem się u trzech różnych bukmacherów na sześćdziesiąt złotych. Na następnej wygranej walce miałem zarobić trzy dziesiątki. Nie brzmiało to źle, może uda mi się odzyskać pieniądze wydane na broń. Później przyszło mi do głowy, żeby popatrzeć na kursy innych walczących. Najwyższe po pierwszym dniu były na sir Henvissa, jeden do dwudziestu, i Esprida Nooda – jeden do siedemnastu. Zdecydowałem, że jutro popatrzę, kim są ci dwaj tak budzący strach szermierze.

Zmierzchało. Miałem co prawda opłacony pokój w pensjonacie, ale nie chciało mi się wracać do miasta. Tobolek z kocem i derą na noc przewidująco przyniosłem ze sobą. Znalazłem wygodne miejsce niedaleko jednego z licznych ognisk, wokół których gromadzili się zawodnicy i ich towarzystwo, i z dzbanem wina przysłuchiwałem się rozmowom. W większości mówiono o wcześniejszych zwycięzcach turniejów. Zrozumiałem, że do tej pory odbyło się dziesięć zjazdów. Zwycięzca za każdym razem inkasował znaczną sumę i do końca życia nie musiał już dla pieniędzy nadstawiać głowy na arenie. Stało się to nawet swego rodzaju zasadą, że zwycięzcy odchodzili na turniejową emeryturę. W ostatnich latach, pewnie również z powodu ostro rosnących nagród, turniej zyskał znaczną sławę i zaczęli w nim brać udział również szlachcice. W

zeszłym roku zwyciężył sir Amersen, członek starego szlacheckiego rodu. Wciąż jednak w pojedynkach brali udział nie tylko szlachetnie urodzeni.

Poszedłem po następny dzbanek wina i właśnie kiedy wchodziłem do namiotu, przyplątał się do mnie mężczyzna w płaszczu, kładąc rękę na moim ramieniu.

–Chcę z panem porozmawiać.

Rozejrzałem się. W pobliżu stało trzech mężczyzn. Początkowo uważałem ich za przypadkowych gapiów, ale teraz, wnioskując z postawy ciała i pełnego napięcia oczekiwania, zrozumiałem, że są razem. Wyglądali jak żołnierze, dwóch z nich dyskretnie trzymało w rękach małe kusze.

–Jak pan sobie życzy – zgodziłem się.

Rozbroili mnie i zaprowadzili do zamku. Strażnicy, gdy tylko rozpoznali mego przewodnika, nie zadali sobie nawet trudu postawienia jakichkolwiek pytań. Wreszcie znalazłem się w prostym, acz wygodnie umeblowanym pomieszczeniu podzielonym na dwie części – do pracy i mieszkalną. W gabinecie znajdował się duży stół, ściany pokrywały mapy miasta i okolicy, dwie wielkie półki zapelniały książki i jakieś papiery. Zrozumiałem, że mam przed sobą któregoś z wyższych oficerów osobistej gwardii Lobelina.

–Kapitan Heinrich – przedstawił się, potwierdzając w ten sposób moje przypuszczenia. – Pańskie imię?

–Koniasz – wybrałem jeden ze swoich pseudonimów. – Nie rozumiem, dlaczego kazał mnie pan tu przyprowadzić, kapitanie.

Heinrich badawczo mi się przyglądał. Gdyby nie miał czoła pokrytego głębokimi zmarszczkami, które w świetle świeczek wyglądały, jakby sięgały głęboko pod skórę, byłby całkiem przystojnym mężczyzną. Właściwie nawet nie wyglądał staro. Raczej jakby nie potrafił unieść ciężaru problemów, które do dręczyły.

–Pan Koniasz nie będzie sprawiał problemów, możecie iść – zwolnił swoich podwładnych.

Żołnierze w milczeniu odeszli, nie tracąc czasu na oddanie honorów.

–Dostałem zadanie, żeby pana znaleźć i oskarżyć o podwójne zabójstwo – przeszedł z niechęcią do rzeczy.

Głęboko westchnąłem – sytuacja rozwijała się dokładnie tak, jak się tego obawiałem.

–Mam świadka, który potwierdzi, że chodziło o obronę własną – odparłem, mając nadzieję, że to prawda.

Heinrich posępnie skinął głową.

–Wierzę panu, ale prawdopodobnie na nic się to panu nie zda. Służę Jego Ekscelencji Lobelinowi i – zawahał się – słowa pewnych ludzi mają dla niego większe znaczenie niż moje. Jednakże jestem mu winien lojalność. Jest to przyszły władca całego Wielkiego Księstwa.

Zastanawiałem się, jakie relacje łączyły trzech ulicznych zawadiaków i Jego Ekscelencję. Prawdopodobnie bardzo wyjątkowe.

Nocną ciszę zakłóciły szybkie kroki, krótkie zdanie, głośny cios; nagle otworzyły się drzwi i do środka wpadł grubas, którego już kiedyś spotkałem. W ręce trzymał bijak z brązu, a oczy mu płonęły.

–Tu jeszcze, ty gnoju zaszrany! – wyseplenił i rzucił się na mnie.

Musiał jednocześnie wyminąć Heinricha. Ten, nie podnosząc się ze stolka, szpicem buta zahaczył o stopę grubasa, podcinając go. Grubas, jeszcze upadając, machnął bijakiem, trafił kapitana w kolano i zdołał przewrócić go w tył. Do pomieszczenia wszedł ktoś jeszcze, lecz grubas już stał na nogach, a ja zdążyłem się na nim skoncentrować. Był zaskakująco szybki. Opędził się ode mnie bijakiem, uskoczyłem i kopnąłem mu pod nogi krzesło. Zachwiał się, ale i tak zamierzył do następnego ciosu. Trafił w ścianę i wydrążył w tynku porządną dziurę. Wykorzystałem, że stracił równowagę, błyskawicznie się przysunąłem, zaczepiłem o jego uzbrojone ramię i klasycznym kouchi-gari podciąłem mu nogę, na której opierał ciężar ciała. Pociągnął mnie na siebie, a ja się nie bronilem. Włożyłem ręce pod kołnierz jego koszuli, złapałem i opasałem jego byczy kark duszącym uściskiem. Rękę z bijakiem zablokowałem tułowiem, kanciasta główka uciskała mi brzuch, ale nie robiła większej krzywdy. Podduszałem grubasa jeszcze kilka chwil, żeby być pewien, że brak dopływu krwi do mózgu odpowiednio go osłabi. Kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem Heinricha stojącego z kamienną twarzą. Patrzył w stronę drzwi. Stał w nich niski, niezmiernie otyły człowiek. Ubrany był w białą szatę, na szyi kołysał mu się masywny złoty łańcuch. Jego oczy zatopione w fałdach tłuszczu miały jakiś pożądlivy wyraz, który stopniowo znikał.

–Imponujące – mruknął dziwnie zachrypłym głosem. – Jest pan uczestnikiem turnieju? – wrzasnął po chwili milczenia w moim kierunku.

Powoli podnosiłem się z ziemi. Zupełnie nic nie rozumiałem.

–Tak – przytaknąłem.

–W porządku. Zatrzymajcie go jedynie w przypadku, gdyby chciał zrezygnować z walki – powiedział otyły, patrząc na Heinricha.

Następnie odwrócił się i odszedł. Dokładnie mówiąc, odtoczył się, trzęsąc tłustym ciałem.

Gdyby przytył jeszcze parę kilo, mógłby pelzać po korytarzach jak gigantyczna ameba.

–Co to wszystko znaczy? – spytałem Heinricha.

Kapitan rozcierał stłuczone kolano.

–Właśnie uzyskał pan warunkowo łaskę Jego Ekscelencji Lobelina Glewana, przyszłego arcyksięcia – wytłumaczył mi, a właściwie wycedził przez zaciśnięte zęby niczym jakieś ordynarne przekleństwo.

Nie zwlekając, wróciłem między zawodników i położyłem się spać.

Już pierwszy pojedynek następnego dnia pokazał, że ziarno zostało oddzielone od plew. Zostali tylko dobrzy i jeszcze lepsi. W wyrównanych pojedynkach wszyscy zawodnicy musieli wykorzystywać wszystkie swoje siły i umiejętności, przybywało rannych. Dwóch zmarło przed obiadem. Wylimitowałem niskiego, acz zwinnego mężczyznę, który miał pecha, ponieważ pośliznął się w błocie, a ja dosięgnąłem go sfingowanym ciosem w twarz. Później prawie doprowadziłem do kalectwa siłacza, który chciał najpierw rozsiekać moją tarczę, a potem mnie. Na szczęście nie umiał porządnie kryć nóg i poddał się, kiedy rozprułem mu udo. Nie chciałbym się z nim jednak spotkać gdzieś w wąskim korytarzu, gdzie nie ma miejsca na manewrowanie. Obstawiając siebie, zarobiłem następnych trzysta złotych, ale później jeden z bukmacherów rozgłosił, że jestem naprawdę dobry i kurs nieprzyjemnie się obniżył. Z powodu paru złociszy, które zdołałbym zarobić ze swoim kapitałem, nie opłacało się dalej zakładać.

Dopiero po południu znalazłem czas, żeby zapoznać się z faworytami: sir Henvissem i Espridem Noodem. Z Bakłym miałem już przyjemność.

Jako pierwszego zobaczyłem w akcji sir Henvissa. Nie miał więcej niż metr siedemdziesiąt pięć, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że jest śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem. Stał na arenie naprzeciw wyższego o głowę mężczyzny w kolczudze z płóciennymi karwaszami i w nagolenicach. W jedwabnej koszuli ściągniętej szerokim paskiem i obcisłych spodniach, bardziej przypominał eleganta na deptaku niż wojownika na arenie. Za broń służył mu smukły, ostro zwężający się miecz. Był to lekki, zgrabny przedmiocik, idealny do zadawania ciosów,

ale wystarczyło, żeby Henviss choć raz krył się końcem odciążonego ostrza, a przeciwnik bardzo łatwo złamałby je swoim wojskowym mieczem.

Sędziowie dali znak do rozpoczęcia walki. Obaj przez chwilę wyczekiwali, krążąc wokół siebie niczym czujne psy. Następnie ten w kolczudze wyskoczył ostrym wypadem, który miał jednak tylko zmylić następny atak. Henviss, jakby się tego spodziewał, elegancko uniknął ostrza. Po raz drugi nie zrobił uniku, ale krył się swoją wyważoną bronią. Poruszał się spokojnie, bez zbędnych emocji, jakby nic się nie działo. Kiedy przeciwnik naparł po raz trzeci, Henviss od razu kontrował krótkim cięciem, prowadzonym bardziej nadgarstkiem niż przedramieniem czy całą ręką, a uzbrojony przeciwnik zwałił się na ziemię z rozrąbaną do kości twarzą. Z areny musieli go wynieść.

Henviss stanął obok mnie i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, stał przy nim sługa z ręcznikiem, z tacą, na której stały karafka z wodą i puchar z winem. Wytarł sobie twarz i ręce, upił wina i spojrzeniem odprawił służącego. Nawet gdyby nie miał przed imieniem przydomku sir, każdy, od pierwszego spojrzenia, wiedziałby, że jest szlachcicem.

–Panie! Panie! – Przyplątał się do niego mały człowiek z lisimi oczami.

Rozpoznałem jednego z bukmacherów.

–W następnej rundzie walczy pan z Vilhelmem. Dam panu trzydzieści złotych, jeśli go pan zabije.

Sir Henviss tylko przymknął oczy. Ten gest do niego nie pasował. Wyglądał jak kobieta, która zgadza się na intymne spotkanie. Ale może tylko odniosłem takie wrażenie.

Zdecydowałem się poczekać. Jeśli sędziowie zabicie przeciwnika uznałyby za umyślne, mogli wykluczyć zawodnika z turnieju, a nie wydawało mi się, że Henviss miał potrzebę ryzykować z powodu marnych trzydziestu złotych. Dla człowieka z jego pozycją nie były to żadne pieniądze.

Nie ryzykował. Jego wysokie roverso tondo, którym z lewej strony na prawą przeciął Vilhelmowi tchawicę, wyglądało jak szczęśliwy wypadek. Szczęśliwy dla zwycięzcy, oczywiście. Zrozumiałem, że do tej pory ze swymi przeciwnikami tylko się bawił. Miecz był częścią jego ciała.

–Oplaca się zabić człowieka za trzydzieści złotych? – rzuciłem półgębkiem, kiedy niewzruszony wrócił na swoje miejsce obok mnie.

Odwrócił się i przez chwilę badawczo mi się przyglądał.

–Jestem sir Henviss Crueger z Homtu, panie – powiedział ostro. – Nie mam żadnego majątku rodowego, tylko swoje pochodzenie. Na wygodne życie, które tak mi się podoba, zarabiam jako morderca. Płatny morderca, jeśli tak pan woli. Zazwyczaj zabijam tylko ludzi ze swojego kręgu. Nie truję ich, nie strzelam z ukrycia, jak to być może robi pan. Swoją ofiarę obrażam, albo daję się obrazić, a później zabijam w honorowym pojedynku. Ten mężczyzna naprzeciw mnie stał z bronią w ręce i miał

taką samą szansę jak ja. Trzydzieści złotych to trzydzieści złotych.

–Ile kosztuje śmierć szlachcica? – spytałem, żeby mu dociąć. Nie przypuszczałem, że odpowie.

–Szlachcice wszyscy są równi. Tysiąc pięćset – powiedział i przestał mnie zauważać.

Za żadną cenę nie chciałem się z nim spotkać. Był to najbardziej zimnokrwisty handlarz śmiercią, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

Czekał mnie kolejny pojedynek, dlatego wróciłem na swoją arenę. Mój przeciwnik nazywał się Sakrot i był o wiele niższy ode mnie, ale mniej więcej tak samo ciężki. Szeroki w ramionach i w biodrach, bez uncji zbędnego tłuszczu. W poprzednich pojedynkach widziałem, że ma bardzo szybkie nogi i walczy w zwarciu. On wiedział, że wolę długi miecz. Dlatego wybrał dużą tarczę i siekiere. Nie chciałem zniszczyć swojej jedynej porządnej broni, więc poszedłem za jego przykładem. Jako tarczę wybrałem czworoboczną targę, wydawała mi się najlepsza do obrony przed siekierą.

Podczas gdy się przygotowywałem i zaciskałem na nadgarstku pętlę od siekiery, odezwał się do mnie cicho jeden z obserwatorów.

–Sakrot jest bardzo dobry, panie, ale nie lepszy niż pan. Utnie mu pan dłoń, to dostanie pan stowę na rękę.

Podniosłem wzrok, odrywając się od pracy.

–Sto pięćdziesiąt, panie. – Człowiek podbił ofertę i zachęcająco na mnie kiwnął.

Nic dziwnego, że na turniejach Lobelina było tak wielu martwych i rannych, jeśli tolerowano nielegalne zakłady o życie. Te pieniądze naprawdę by mi się przydały.

Sędzia główny zawołał, stanąłem na arenie i rozpoczął się nasz pojedynek.

Po pierwszej minucie stwierdziłem, że popełniłem błąd. Powiniennem być wziąć inną broń, ponieważ siekiera i tarcza były najlepszą kombinacją Sakrota. Tarczą osłaniał się doskonale, poruszał niczym zapaśnik, a kiedy kryłem jego ciosy, czułem je aż w kościach. Po dziesięciu minutach z twarzy ściekał mi pot, a hełm wydawał się

nieznośnie ciężki. Następny cios i następny, próbowałem wybić Sakrota z równowagi, uderzając tarczą o tarczę, ale odsunął się łukiem w lewo i natychmiast z boku uderzył. Moja targa była tam co prawda we właściwym momencie, jednak usłyszałem, że coś w niej trzasnęło. Sakrot też to usłyszał. Nie starał się już wycelować we mnie, chciał raczej pociąć tarczę w drzazgi. Kolejny cios. Ostrze siekiery przeszło tuż koło wzmocnionego środka na wylot i rozłupało targę na dwie części. Zanim zdążył wyswobodzić broń, odskoczyłem w bok, zakręciłem się wokół jego ręki i uderzyłem. Moje poziome cięcie zdołał odeprzeć tarczą. Wciąż się obracając, dostałem się za jego plecy i krawędzią resztek targi trafiłem go od spodu w nadgarstek ręki, w której trzymał siekiere. Zaskoczony atakiem na chwilę skamieniał, wykrzywił z bólu twarz, ale wciąż stał i dał mi szansę na kontynuację ataku. Dopiero w ostatniej chwili się opamiętałem i szerokie ostrze minęło jego ramię tylko o parę centymetrów. Dysząc, odskoczyłem i spojrzałem na sędziego. Sakrot podniósł rękę na znak, że się poddaje i upadł na kolana. Zmęczony wróciłem na swoje miejsce.

–Żadnej forsy pan nie dostanie, powiedziałem: uciąć! Przetrącenie łapy nie wystarczy! – odezwał się chmurnie mężczyzna, który złożył mi propozycję przed pojedynkiem. Wściekły, wyciągnąłem rękę, złapałem gościa za kurtkę i przyciągnąłem

do siebie.

–A ile dostanę za złamanie nosa? – krzyknąłem.

–Co? – nie rozumiał.

Wytłumaczyłem mu to dwoma krótkimi uderzeniami, które zmieniły ozdobę jego twarzy w nieforemny, nasiąknięty krwią placek.

–Brawo! To było szybsze niż wszystko, co pan pokazał na arenie. – Usłyszałem znajomy głos.

Wśród gapiów stał Henviss i uśmiechał się rozbawiony.

–Mam to panu pokazać raz jeszcze? – warknąłem.

Henviss rozważył moją propozycję i pokręcił głową.

–Zostawimy to na regulaminowy pojedynek. I dzięki, że mi pan pokazał, jak szybka jest pana prawa ręka – odpowiedział i pożegnał lekkim ukłonem.

Wściekłość opuszczała mnie powoli. Z powodu paru złociszy mało nie odciąłem ręki Sakrotowi. Odniosłem broń na zarezerwowane łóżko i poszedłem popatrzeć, jak sobie radzi Esprid Nood.

Widziałem, jak wygrał dwie walki i zmartwiłem się. Nie miałem pojęcia, co o tym myśleć. Pierwszego przeciwnika okaleczył, drugiego wyeliminował nonszalanckim dotknięciem grotem miecza w szyję. Przez cały czas wydawało mi się, że walka niespecjalnie go interesuje, jakby nie chodziło o życie. Nawet jego technika nie była jakoś specjalnie dobra. Po prostu uderzał, kiedy sądził, że należy, i krył, kiedy nie było już innego wyjścia. I za każdym razem robił wszystko we właściwym czasie, a swoją lekkomyślnością wprawiał swoich przeciwników w zakłopotanie. Zachowywał się jak człowiek, któremu jest wszystko jedno, czy umrze, czy nie. Tacy żyją najdłużej.

Wieczorem została zakończona pierwsza część turnieju i Lobelin zorganizował wielkie przyjęcie pod gołym niebem dla wszystkich uczestników. I oczywiście dla bliżej nieokreślonej liczby walkoni, dziwek i ludzi, którzy wiedzą, o co chodzi. Zawodnicy, którzy nie wierzyli w swoje zwycięstwo, mogli z honorem zrezygnować, ponieważ każdy kto decydował się na dalszy udział w turnieju, musiał zapłacić dziesięć złotych zaliczki na wypadek, gdyby nie stanął do swojego pojedynku. Każdy, kto zrezygnował, dostał od Lobelina list pamiątkowy, a do tego pięć złociszy. Wielu mężczyzn, w większości byłych żołnierzy, mających rodziny i własne gospodarstwa, skorzystało z okazji. To była mądra decyzja, ponieważ czułem w kościach, że następne rundy będą walkami na śmierć i życie.

Siedziałem na ławie i obserwowałem, jak się bawi towarzystwo dokoła. Wino lało się strumieniami, mężczyznom, którzy okazali zainteresowanie, na kolanach siedziały przymilne kociaki z miasta. Istnieje godzina na granicy późnego wieczora i nocy, kiedy zaciera się różnica między świetną zabawą a wyniszczającą popijawą, kiedy nawet najbardziej tandetna kurwa, zbliżająca się do końca swojej pełnej zgrzytot kariery, wydaje się atrakcyjna i pożądana niczym baśniowa syrena. Nigdy nie zdołałem odkryć, co jest tego przyczyną i nawet dziś czułem, jak możliwość dowiedzenia się tego przecieka mi między palcami. Albo między poszczególnymi łykami wina.

–Mogę się przysiąść? – Obok stanął mężczyzna w płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem nałożonym tak, żeby zasłaniał twarz.

Po głosie rozpoznałem kapitana Heinricha. Nie czekając na odpowiedź, usiadł

naprzeciwno.

–Nie wygląda pan na pasjonata turnieju – powiedziałem, żeby nawiązać rozmowę.

–No, nie jestem – odparł.

Jeden z pomocników roznoszących napoje postawił przed nim dzban i kielich. Heinrich zamilkł, nalał sobie i się napił.

–Straszny cienkusz – skrzywił wargi.

–Też woląłem kupić piwo za swoje – zdradziłem mu. – Ale z pewnością nie przyszedł pan, żebyśmy krytykowali jakość podawanych tu napojów.

Heinrich skinął głową, napił się po raz drugi – tym razem porządnie, cienkusz nie cienkusz.

–Nie. Przyszedłem pana ostrzec. Powinien pan spakować tych parę złociszy, które wygrał, i zniknąć.

Jego słowa wydały mi się bezsensowne. Niedawno mało mnie nie zamknął w więzieniu, a teraz leżało mu na sercu moje zdrowie. Machnął ręką, żeby powstrzymać moje zarzuty, i kontynuował:

–Ja wprawdzie dowodzę gwardii arcyksięcia, ale to nie są to jedyne siły wojskowe, które Lobelin utrzymuje. Z morderców, złodziei i awanturników, po prostu ludzi, którzy nie mają nic do stracenia, już parę lat ćwiczy oddziały oddane tylko jemu. Tych trzech, których pan zabił, to byli jego werbownicy i instruktorzy. Pewnie nie potrafi pan sobie wyobrazić, jak bardzo pana kocha.

–A dlaczego pan mi to mówi? Przyszły arcyksiążę Lobelin jest przecież pana chlebobawcą – zdziwiłem się.

–I lennym władcą – dodał i znów porządnie się napił. – Mówię to panu, ponieważ widziałem, jak umiera zbyt wielu ludzi, którzy na to nie zasłużyli. Po tych słowach skinął mi na pożegnanie i odszedł.

Nie chciałem długo wysiadywać, ponieważ z rana czekały mnie kolejne walki, ale jeszcze zanim się podniosłem, przysiadł się do mnie kolejny gość. Donil Juber.

W skrócie poinformowałem go o nielegalnych zakładach o życie i śmierć. Myślałem, że go to zainteresuje, ale tylko machnął ręką.

–To tylko plotki. Od jutra wszystkie pojedynki będą odbywać się bezpośrednio na zamku, na czterech arenach. Wstęp będą mieli tylko licencjonowani bukmacherzy i pójdzie o wiele większe pieniądze. Chcę wiedzieć, co będzie się tam działo – wytłumaczył.

Odniosłem niejasne wrażenie, że Jubera wcale nie interesuje własne zlecenie i że gra toczy się o coś zupełnie innego. Kiedy odchodził, przypomniałem sobie, skąd go znam. Dawno temu kilkakrotnie widziałem go w towarzystwie mego ojca. Prawda, nawet mój czcigodny papa mógł mieć coś wspólnego z zakładami, zwłaszcza kiedy chodziło o duże pieniądze...

Wcześniej rano przyjrzałem się planowi rozpisanych walk. Może to był przypadek, a może nie: ja, Bakly, Henviss i Nood zostaliśmy przydzieleni każdy do innego pola walki. To oznaczało, że razem spotkamy się w samym finale. Oczywiście, jeśli wszyscy przejdziemy dalej. Już odchodziłem, kiedy z jednego namiotu wytoczył się Esprid Nood. Miał głębokie sińce pod oczami i poruszał się zdecydowanie niepewnym krokiem, jakby dopiero niedawno odstawił kielich z winem.

–Dlaczego bierze pan udział w turnieju? – zapytałem go po pięciu minutach ciszy, kiedy pijanym wzrokiem starał się rozszyfrować nazwiska na tablicy.

Odwrócił się. Zmęczenie pijacką nocą pogłębiło jego zmarszczki. Był starszy niż pierwotnie myślałem.

–Przyjechałem, żeby się zemścić. Z powodu dziewczyny.

–To jej panu nie wróci. Może pan sobie znaleźć inną – poradziłem mu.

–Nie mogę. – Pokręcił głową, na jego twarzy pojawił się grymas rezygnacji. – To była moja córka.

–A gdy już ją pan pomści? – pytałem dalej.

–Nie pomszczę. Ten, który doprowadził do jej śmierci, został zabity podczas jednego z pierwszych pojedynków. – Zabrzmiało to niczym żart, który jest zbyt gorzki, żeby mógł się z niego śmiać ktoś inny niż on sam.

–To dlaczego pan tu jeszcze jest?

Przez chwilę rozważał pytanie, jakby nigdy się nad tym nie zastanawiał.

–Żeby umrzeć – odpowiedział w końcu.

* * *

Zamek miał cztery wewnętrzne dziedzińce, na każdym postawiono arenę obudowaną drewnianą trybuną. Lobelin miał łoże honorowe na wszystkich. Dalej od areny były rozłożone namioty lekarzy, drużyn towarzyszących i płatnerzy. Tym razem goście pochodzili przeważnie z wyższych warstw społecznych. Było ich tutaj wielu, mimo że płaciło się znaczną opłatę za wstęp. Zrozumiałem, że wizyta na turnieju należy do miejscowego towarzyskiego bon tonu. Już pierwsza walka pokazała, że będzie ostro. Obaj zawodnicy bili się na śmierć i życie. Zdziwiło mnie to, ponieważ pojedynki, nawet najbardziej zacięte, nie są prawdziwą walką. Nie miałem czasu dłużej się nad tym zastanawiać, gdyż sam musiałem wyjść na arenę. Miecz przeciw mieczowi.

Mój rywal był zdenerwowany, wręcz sparaliżowany strachem. Poruszał się topornie, a miecz trzymał tak mocno, że przy drugiej próbie cięcia, wraz z uderzeniem na moje ostrze, wytrąciłem mu go z ręki. Wystarczyło, żeby stał nieruchomo, a pojedynek, zgodnie z regułami, powinien zostać ukończony. Tylko że on wyciągnął sztylet, który miał przy pasie, i rzucił się na mnie z desperacją w oczach. Bronilem się krótkim saualembtrato i przeciąłem mu klatkę piersiową ukośnie z góry w dół. Kiedy podnosili go z piasku, jeszcze żył. Nie rozumiałem, dlaczego chciał popełnić samobójstwo. Gdy schodziłem z areny, ze swojej łoży bardzo przyjaźnie skinął mi sam Lobelin.

Słońce paliło i było piekielnie gorąco, zwłaszcza pod wzmocnioną metalem kurtką. Odpoczywałem w cieniu, oparty o jedną ze ścian tworzących mury obronne, i sprawdzałem broń. Niedaleko przygotowywał swoje wyposażenie barczysty mężczyzna z długimi, kruczoczarnymi włosami. Wymieniał rzemienie przy kirysie, które przeciwnik rozerwał mu w poprzedniej rundzie.

Zbliżył się do niego przysadzisty człowiek i rozejrzał, czy nikt nie stoi w pobliżu. Mnie w cieniu nie zauważył.

–Stówę na rękę, jeśli go zabijesz. Pięćdziesiąt z góry, pięćdziesiąt później.

–Wszystko od razu – powiedział bez emocji czarnowłosa.

Grubas wahał się tylko przez chwilę, a później bez ociągania podał sakiewkę z pieniędzmi.

Wnioskując z objętości, musiały być w niej tylko dziesięciozłotówki. Czarnowłosa, nie sprawdzając, wrzucił ją do sakwy i razem z wyposażeniem zaniósł do jednej z komórek, których pilnowali ludzie Heinricha. Zawodnicy, którym nikt nie towarzyszył, trzymali w nich swoje rzeczy. Sędzia ogłosił kolejny pojedynek i czarnowłosa pewnym krokiem poszedł w stronę areny. Czekał już tam na niego Nood z długim mieczem. Wciąż jeszcze wyglądał na pijanego. Stał pośrodku dziedzińca, z opuszczoną głową, ręce trzymał luźno zwieszono. Czarnowłosa wykonał kilka zwodniczych wypadów, żeby się upewnić, że Nood niczego nie udaje. Ten się nawet nie poruszył. Potem nastąpiło szybkie cięcie w bok, ale Nood w ostatniej chwili zrobił unik, łącząc wykrok oraz skłon do tyłu i kontrował dokładnym, niedociągniętym dźgnięciem w ramię. Nie czekał, aż sędziowie zakończą pojedynek, i odwrócił się, żeby odejść. Przeciwnik pokonał ból i zamierzył się do finalnego ciosu z góry na dół. Nood ugiął nogi w kolanach, błyskawicznie się odwrócił i poziomym machnięciem wbil swój miecz głęboko w bok rywala. Później ostrożnie uwolnił miecz i opuścił arenę. Krew nie zdążyła jeszcze wsiąknąć w suchy piasek, gdy w komórcie czarnowłosego już szperał

grubas, który wcześniej zapłacił mu stówę. Zajrzał do tobołka i wyciągnął z niego trzy identyczne sakiewki, pogwizdując z zadowoleniem. Zobaczyłem jeszcze, jak zmierza do kolejnego zawodnika i chwilę z nim rozmawia. Tym razem zaproponował dwie sakiewki.

Więcej nie widziałem, ponieważ sam musiałem iść na dziedzińiec. Nie wiem, ile za moją głowę obiecali przeciwnikowi, ale walczył jak szatan, nawet kiedy kilkakrotnie zraniłem go w ramię i udo. W końcu musiałem zabić przeciwnika uderzeniem z obrotu, podczas którego odciałem mu kawałek czaszki.

Publiczność, podniecona krwią i zabijaniem, entuzjastycznie oklaskiwała nietradycyjne coup de grâce, kilka brzydszych kobiet rzuciło mi kwiaty. Te ładne dowody sympatii zostawiały dla przystojniejszych zawodników. Spojrzałem w stronę łoża honorowej. Lobelin klaskał z zapalem, mięsiste usta miał rozciągnięte w szerokim uśmiechu od ucha do ucha. Nurtowało mnie, co jest gorsze: zabijanie dla pieniędzy, czy płacenie, by się zabijaniu przyglądać?

Wyczerpany wróciłem na swoje miejsce odpoczynku, które wciąż zapewniało trochę cienia. Kawałek dalej siedział na kamieniu sir Henviss i grotem sztyletu czyścił sobie paznokcie.

–To ile pan już dziś zarobił? – spytałem go z drwiącym uśmiechem.

–Nic – odparł Henviss bez emocji. – Wiedzą, że wygram, więc nie dostaję specjalnych ofert za głowę.

–Coś tu nieźle śmierdzi – powiedziałem zamyślony.

Oszustwa w zakładach rozumiałem, ale na śmierci poszczególnych zawodników nie mógł zarobić nikt. Nie miało to sensu. Chyba tylko wówczas, gdyby ktoś podjudzał właśnie z powodu krwawego widowiska. Właściwie nie było to nawet jakoś specjalnie kosztowne, ponieważ martwym pieniądze nie zostawały. Przypomniałem sobie klaszczącego Lobelina. On był naprawdę zapalonym pasjonatem.

–Ma pan rację – odpowiedział mi zadziwiająco poważnie Henviss po długim milczeniu i odszedł przygotować się do następnej walki.

Poszedłem jeszcze popatrzeć na oficjalne notowania poszczególnych zawodników. Liczby mówiły jednoznacznie: Bakly, Nood, Henviss i ja uważani byliśmy za faworytów. Według tego, co było napisane, przez resztę tego dnia i połowę następnego kontynuowano eliminacje.

Czterech ostatnich szermierzy miało się spotkać na arenie centralnej, przypominającej ogromny amfiteatr i świątynię w jednym.

Z lektury planu rozpisanych walk wyrwały mnie frenetyczne owacje widzów. Odwróciłem się w kierunku, skąd dochodził hałas, żeby sprawdzić, kogo towarzyska śmietanka tak entuzjastycznie oklaskuje. Na ubitej ziemi leżała dolna część ciała zawodnika, kadłub z rękami i głową wałały się w kurzu kawałek dalej. Zwycięzca pokazywał podnieconym tłumom swój dwuręczny miecz, całował zakrwawione ostrze i bił się w pierś. Zabawa Lobelina o mile odbiegała od rycerskiego ducha turniejów. Wzruszyłem ramionami i poszedłem znaleźć człowieka, z którym miałem się spotkać w następnej rundzie.

Był to krępy, krzepki mężczyzna z jednodniowym zarostem na kwadratowej brodzie. Przylapałem go, kiedy bruskiem przejeżdżał po ostrzu swego miecza. Na stali nie widziałem ani jednej skazy, musiał to robić całymi godzinami.

–Koniasz – przedstawiłem się.

–Wiem. – Skinął posępnie głową.

–Obiecano panu jakieś pieniądze za zabicie mnie? – przeszedłem od razu do rzeczy.

–Nie – odpowiedział po krótkim wahaniu. – Ale powiedzieli mi, że panu bukmacher da trzysta, jeśli utnie mi pan najpierw rękę, a potem nogę.

–Wierzy pan w to? – spytałem. Nie odpowiedział.

–Jestem lepszy i pokonam pana. Milczał.

–Proponuję pojedynek na długie miecze bez tarczy. Do pierwszej krwi. Zgodnie z regulami. Zgodnie z regulaminem, sędzia powinien to uznać – zaproponowałem.

Ciągle cisza. Może mi nie wierzył i miał do tego prawo. Mógł myśleć, że próbuję utorować sobie drogę do łatwego zarobienia trzystu złotych.

Na arenę przybył wcześniej ode mnie, uzbrojony w półtoraręczny miecz, dokładnie taki, jak zaproponowałem. Nie spieszyliśmy się. Długo obserwowaliśmy jeden drugiego, starając się wzajemnie rozgryźć. Miał zmysł równowagi, spostrzegawczość oraz doświadczenie i wiedział, co z tym zrobić. Szczerze mówiąc, nie licząc ojca, którego pokonałem raczej dzięki zbiegowi okoliczności niż dzięki swoim umiejętnościom, był najlepszym szermierzem, z jakim kiedykolwiek walczyłem. Może z powodu stawki, jaką ogłosili bukmacherzy, może dlatego, że miał zły dzień – podczas jednego z naszych wzajemnych ataków i kontrataków ślizgiem przebiłem jego kwartę i zaatakowałem w bok. W oczach mignęła mu świadomość porażki i śmierci, w ostatniej

chwili przekręciłem miecz i trafiłem go płasko. I tak zgiął się z bólu, potem stanął jak sparaliżowany. Rozentuzjasmowani widzowie zaniemówili w oczekiwaniu krwawej masakry, sędzia główny milczał.

–Śmiertelny cios, nawet tylko naznaczony, oznacza zakończenie pojedynku – zacytowałem głośno urywek z cesarskiego regulaminu pojedynków.

Można było usłyszeć pęknięcie strąka lubinu, taka cisza zapadła. Wszyscy czekali na podstępny atak mojego przeciwnika. Sędzia główny się wahał, Lobelin, obserwujący nasz pojedynek ze swej łoży, ścisnął w pięści kryształowy kielich i przygryzał wargi aż do krwi. Ja nasłuchiwałem. Wystarczyło jedno jedyne szurnięcie na wysuszonej ziemi, żebym się odwrócił. Nie uderzałbym mieczem, ale, bez rozmachu potrzebnego do śmiertelnego ciosu, dźgnąłbym

sztyletem przygotowanym w drugiej ręce. Sztylet w boku zatrzyma napastnika tak samo pewnie, jak długie ostrze.

Sędzia główny nie mógł już dłużej czekać.

–Pojedynek został rozstrzygnięty, zwycięża Koniasz! – ogłosił donośnie.

Odwrociłem się. Mój przeciwnik zdążył już dojść do siebie, swoją broń trzymał w dwóch palcach z grotem skierowanym w dół.

Oddaliśmy sobie honory i zanim opuściliśmy arenę, powiedziałem półgłosem, żeby nikt inny nie mógł usłyszeć:

–Na pana miejscu uciekłbym stąd jak najszybciej.

Milcząco skinął głową.

Odwrociłem się do Lobelina. On tymczasem zmiądzzył w pięści swój kryształowy kielich i przyglądał mi się wzrokiem, który nie wróżył nic dobrego.

Kolejne pojedynki miałem mieć dopiero następnego dnia rano.

Odnalazłem Jubera i szczegółowo go poinformowałem o nielegalnych zakładach. Mimo że powiedziałem mu dokładnie to, co chciał wiedzieć, wydawało się, że nie jest tym zbyt zainteresowany.

–Wykonałem swoją część umowy – zakończyłem. – Chcę resztę pieniędzy. Bez protestów dopłacił mi sto pięćdziesiąt złotych.

–Pan Koniasz? – W transakcji przeszkodził posłaniec.

Na błyszczącej tacy przed sobą niósł pergamin z pieczęcią Lobelina. Jego doskonała liberia, srebrna taca – już na pierwszy rzut oka droga, dziwnie kontrastowały z zakurzonym i zakrwawionym tłem areny.

–To ja – zgodziłem się.

–Dla pana. – Posel podał mi pergamin.

Złamałem pieczęć i czytałem. Lobelin zapraszał wszystkich zawodników na uroczystą kolację w wielkiej sali biesiadnej na zamku.

–Pójdzie pan tam? – zapytał Juber szczególnym tonem.

Przytaknąłem. Uciec mogłem w dowolnym momencie w nocy.

Pewnie z powodu minionych czterech lat, kiedy ukrywałem się przed zabijakami swego ojca, na uroczystą ucztę poszedłem w pełni uzbrojony, pod jedwabny płaszcz włożyłem nawet wzmocnioną kurtkę i karwasze.

W chwili, kiedy strażnicy wpuścili mnie do sali biesiadnej, zrozumiałem, że coś jest nie w porządku. Sala była taka rozległa, jakiej można było oczekiwać w siedzibie rozrzutnego szlachcica, ale nie było stołów z jedzeniem i reszty gości. Ściany, wbrew zwyczajom panującym w salach biesiadnych, zdobiła broń przeróżnego pochodzenia. Pośrodku, na wysokim, mniej więcej na trzy metry, podium stał Lobelin. Nie widziałem żadnych schodów, po których wspiął się na górę. Z pewnością były ruchome i zanim przyszedłem, służący je odtoczyli.

–Jest pan pierwszy, panie Koniasz – przywitał mnie.

Złoty łańcuch na jego mięsistej piersi migotliwie połyskiwał. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego miał bardzo zadowoloną minę. Jak dziecko, które dostało wspaniałą smakołyk.

W krótkim czasie przybyli Henviss, Bakly i Nood. Wszyscy natychmiast zauważyli, że coś nie gra. Nieuzbrojony był tylko Bakly, który zamiast oręża niósł w ręce duży, ciężki worek.

–Cieszę się, że przybyliście – zaczął Lobelin. – Z tego względu, że wasza sztuka

walki nie podlega dyskusji i przewyższacie wszystkich innych, zdecydowałem skrócić cały turniej.

Oczy mu się zaświeciły. Podniósł czaszę czerwonego wina, które wyglądało jak świeżo przelana krew. Miałem mocne przeczucie, że wszyscy pozostali uczestnicy turnieju są martwi.

–I właśnie z powodu waszych oczywistych umiejętności chcę, aby końcowe starcie między wami odbyło się właśnie tutaj, na moich oczach.

Prawie się jękał, kiedy to mówił. Dopiero teraz zrozumiałem, że Lobelin nie jest zupełnie normalny. W kącikach jego ust pojawiła się piana, na policzkach wykwitły purpurowe plamy.

–Nie potrzebuję nagrody dla zwycięzcy – oznajmiłem. – Nie będę walczyć, rezygnuję z turnieju. Zgodnie z regulaminem mam prawo.

–C...co?! – zająknął się Lobelin. – Moje słowo jest prawem! Powiedziałem, że będziecie walczyć, więc będziecie walczyć!

Henviss spojrział na niego lekceważąco.

–Obawiam się – powiedział – że nie ma pan wystarczających środków finansowych, żeby zamówić u mnie śmierć tych mężczyzn. Ja również rezygnuję z udziału w turnieju!

Lobelin wściekle wychylił kielich z winem, zalewając sobie białą szatę. Olbrzymia szkoda! Wina, oczywiście.

–Przyszedłem tutaj, żeby zarobić pieniądze. Tylko ja wybieram, kiedy, z kim i czy będę walczył. Nikt nie będzie mnie zmuszać. Ponadto nie jestem głupi i nagroda musi równoważyć ryzyko. Nie będę walczył z Henvissesem, Noodem ani Koniaszem – oznajmił sucho Bakly.

Lobelin wbił zęby w kielich – kryształ trzasnął. Prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Nood popatrzył na mnie, Bakly’ego i Henvissa.

–Nie zależy mi na życiu, ale spokojnie mogę skoczyć w koło młyńskie i nie muszę ciągnąć za sobą nikogo innego. Ja również nie będę walczyć.

–W takim wypadku przeciwko wam staną moi ludzie! – warknął Lobelin, który w końcu opanował wściekłość.

Jak na komendę zaczęły otwierać się ukryte w ścianach drzwi i do sali wmaszerowali jeden za drugim żołnierze. Tarcze, helmy, druciane koszule. Ekwipunek podobny do standardowego wyposażenia cesarskiego. Było ich co najmniej osiemdziesięciu.

Bakly upuścił worek na ziemię i nagle w jednej ręce trzymał kiścień – żelazną kulę pokrytą stalowymi kolcami, przykutą do krótkiego łańcucha, w drugiej – budzący strach bijak z masywną osłoną. Henviss wyciągnął swój wdzięczny miecz, w lewej ręce trzymał smukły sztylet. Nood złapał tarczę i klasyczny miecz. Mnie nie pozostało nic innego niż polegać na swojej imitacji chaabskiego miecza i obronnym leworęcznym sztylecie. Było jasne, że w starciu z murem ze stali nie mamy najmniejszych szans. Nasz koniec był kwestią minut. A raczej sekund.

–Ruszać, chłopcy! – cienkim, wręcz kobiecym głosem krzyknął Lobelin i klasnął.

–Koniasz z Henvissesem kryją boki, Nood pilnuje tyłów – warknął Bakly. –

Musimy dotrzeć do zachodniej ściany i wziąć inną broń. Te wasze zabawki długo nie

wytrzymają.

–Ruszać, ruszać! – radował się Lobelin i klaskał do rytmu, który słyszał tylko on sam.

Polyskujący żelazem śmiertcionośny mur tarcz i mieczy naprzeciw nas ruszył. Bakly w swoim dzikim szale nie czekał i wybiegł im naprzeciw. My, sprzedawczyki śmierci, poszliśmy za jego przykładem.

Bakly niedbale machnął ręką, zębata kula przeleciała tuż ponad pierwszą tarczą, łańcuch zaczepił o jej krawędź, kula gwałtownie zmieniła kierunek lotu i żołnierz zawył z bólu. Wykorzystałem wyrwę w ludzkim murze, uderzyłem, wolny kontratak odwróciłem sztyletem i dźgnąłem. Rozpętało się piekło. Walczyłem jak szalony, atakowałem ręce, nieosłonięte nogi, robiłem uniki przed ostrzami i tarczami, a przy tym wszystkim starałem się nie tracić kontaktu z Baklym, który przy pomocy kiścienia i bijaka przedzierał się przez rzędy ludzi coraz dalej. Był nie do zatrzymania. Większość ciosów odparł, przed większością tych, których nie odparł, uchylił się, a pozostałe za pomocą swego pancerza i mocnej budowy ciała po prostu wytrzymał. Nie musiał brać zamachu – jego ciosy i tak były śmiertelne, kiścień rozdzierał tarcze, napierśniki, stawy pod naramiennikami, żelazna kula z grotami miażdżyła czaszki tak, jak paleczka miażdży jajka w mózdzierzu.

–Wymieńcie broń! – wrzasnął ktoś, a ja uświadomiłem sobie, że przebiliśmy się przez pierwszy oddział ludzi Lobelina i stoimy przy ścianie ozdobionej bronią. Sztyletu nie straciłem, ale z miecza pozostała mi tylko resztką. Pamiętałem, jak rozplątany koniec złamanego ostrza wbitem w twarz jednego z wystraszonych żołnierzy. Na chwilę w sali zapanowała cisza. Na podłodze leżeli pierwsi martwi, marmur szcerwieniał od krwi. Lobelin na swoim podium skakał z radości.

–Dziewiętnaście, dwadzieścia! – wykrzykiwał, Bóg raczy wiedzieć dlaczego z entuzjazmem, klaszcząc swoimi grubymi rączkami.

Wyrzuciłem nieużyteczne resztki broni i zdjąłem ze ściany dwuręczny miecz z dużą osłoną i rękojeścią zakończoną ośmioboczną galką i ostrzem o długości prawie metr pięćdziesiąt. Był zadziwiająco lekki. Mistrzowska sztuka z warsztatu mistrza.

Henviss, którego odciążona broń również nie wytrzymała morderczego naporu, uzbroił się w parę bliźniaczych mieczy. Kiedy wypróbował wyważenie ostrza, na jego twarzy pojawił się uśmiech rozkoszy. Nie wyglądało na to, żeby walka w najmniejszym stopniu go podniecała. Był zimny jak śmierć i tak samo niemiłosierny.

Bakly odrzucił bijak, którego główka tymczasem zmieniła się w obtłuczoną bryłę żelaza i wziął ze ściany nowy. Był uosobieniem boga walki: nie do zatrzymania, niszczący wszystko, co mu stanie na drodze.

Nood wymienił swoją rozłupaną tarczę. On był jak los: nieprzewidywalny, obojętny i śmiertelny. Nie miałem pojęcia, co robię między nimi.

Mur stali znów się zbliżył.

–Ja z Koniaszem biorę lewą stronę, wy dwaj prawą! – rozkazał Bakly i w pozornie samobójczym ataku rzucił się do przodu. Miałem co robić, żeby za nim nadążyć.

Każdy jego cios przeciwnika odrzucał, okaleczał lub zabijał. Ze swoim długim ostrzem uważałem, żeby nie nadziewać na niego zbyt wielu ludzi naraz. Miażdżyłem tarcze,

przetrażałem ręce, rozbijałem czaszki.

–Do mnie, do mnie! Naprzód, naprzód! Wycofać się! – grzmiał na przemian Bakly i starał się nas utrzymać razem,

–Dwadzieścia dziewięć, trzydzieści! – krzyczał ktoś entuzjastycznie kobiecym głosem.

Zepchnąłem czyjąś głowę z ramion, uderzeniem klingi rozciąłem drugiemu mężczyźnie klatkę piersiową, przłożyłem dłonie na rękojeści i człowiekowi, który niespodziewanie pojawił się przede mną, wcisnąłem obramowanie jego własnej tarczy w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą miał nos.

–Trzydzieści trzy, cztery, pięć!

Z lewej strony mignął mi sznur utrzymujący gobelin zdobiący jedną ze ścian. Bez zastanowienia go przeciąłem, materiał przykrył cały rząd naszych przeciwników. Henviss rzucił się do przodu niczym huragan i zabijał bezbronnych nagle ludzi skrępowanych ciężką tkaniną.

–Do mnie! – Z morderczego szaleństwa wyrwał nas ryk Bakly’ego.

Znów wywalczyliśmy trochę miejsca. Zgromadziliśmy się wokół Bakly’ego, tylem do centralnego podium. Podłoga wokół była pokryta szczątkami ciał i poucinanymi kończynami.

–Sześćdziesiąt dziewięć, to więcej niż siedemnaście na jednego! Tyłu nie dał rady nawet Amersen! – weselił się Lobelin nad nami.

Herwiss spróbował otrzeć z twarzy krew jedwabną chusteczką, ale efekt był taki sam, jakby sprzątał wojskową latrynę rękoma. Z obrzydzeniem upuścił chustkę na podłogę. Wyglądało to tak, jakby wyrzucał nasiąkniętą szmatę.

Naprzeciw nam stało nie więcej niż piętnastu ludzi.

–Brawo! Brawo, panowie! – klaskał Lobelin. – Jestem ciekaw jak długo wytrzymacie! Drugi rzut! – rozkazał.

Tajne drzwi znów się otworzyły i do sali wlały się świeże posiłki.

–Tego nie przeżyjemy – odrzekł Nood niechętnie i splunął krwią.

–Chciał pan przecież umrzeć – przypomniał mu Bakly poważnie.

–Ach, zapomniałem – przytaknął Nood bez uśmiechu.

–Zawsze sobie wyobrażałem, że trafię na lepszego szermierza, ale zostać zdeptanym przez hołotę? – cedził niechętnie przez zęby Henviss, starając się przylepić do policzka kawałek odstającej skóry, który mu przeszkadzał przy każdym ruchu.

Bakly przyglądał się żołnierzom badawczym wzrokiem, jakby wciąż szukał szansy na zwycięstwo.

–Co się nie udało Amerseniowi, Lobelinie? – spytałem.

–Wygrał zeszłoroczny turniej, a kiedy wystawiłem go przeciwko moim ludziom, zabił ich tylko siedemnastu! – odpowiedział mi szalony władca. – Wy jesteście lepsi. Do boju, panowie, nagroda czeka! – wykrzyknął.

W jednej chwili wydarzyło się wiele rzeczy. Nowy stalowy mur ruszył, z prawej strony sali pojawili się ciężkozbrojni piesi z klasycznym cesarskim wyposażeniem, w drzwiach naprzeciwko stał samotnie Juber. Nie mieliśmy nic do stracenia. Popatrzyłem w górę. Lobelin nachylał się nad poręczą i entuzjastycznie klaskał, aż całe jego tłuste ciało trzęsło się jak galareta.

–Ruszać! Ruszać! Kocham pojedynki!

Wydawało się, że podczas takich okrzyków łatwo będzie go przewrócić. Znajdował się na

wysokości nie większej niż trzy i pół metra. Nic niemożliwego dla kogoś tak wściekłego jak ja. Odbiłem się, chwyciłem jego złoty łańcuch na szyi i pociągnąłem Lobelina w dół przed siebie. Jednym ruchem okręciłem łańcuch wokół nadgarstka i pociągnąłem. Lobelin zacharczał, a ludzie zbliżający się ze wszystkich stron, stanęli. Zapanowała cisza. Pociągnąłem mocniej, złote ogniwa zanurzały się coraz głębiej w mięsistym karku, aż nie było ich wcale widać w fałdach tłuszczu. Lobelin starał się palcami rozluźnić swoją złotą obrozę, ale łańcuch był zbyt mocny, a on zbyt słaby. Dziesiątki ludzi przyglądały się w przejmującej ciszy jego walce o życie. A ja ciągnąłem i nie luzowałem uchwytu.

–Nigdy nie sądziłem, że również kosztowności mogą szkodzić zdrowiu – skomentował bez emocji Henviss.

W tym momencie Lobelin zacharczał po raz ostatni i osłabł. Masa uzbrojonych ludzi ruszyła, żeby pomścić swego pana.

–Myślę, że w końcu uda ci się umrzeć – rzucił Bakly do Nooda.

–Stójcie, natychmiast stójcie! Mówi pełnomocnik samego cesarza. Arcyksiążę Glewan zlecił mi zbadanie całej sprawy! – krzyknął nagle Juber, wymachując jednocześnie cesarską pieczęcią. Moje przeczucie było właściwe. Nie chodziło o zakłady, ale o coś zupełnie innego. Armia zabójców, rozbójników i zbiegów się zawahała.

–Złapcie ich żywych, a będziecie nagrodzeni za zasługi! – kontynuował Juber. – Już dawno podejrzewano, że Lobelin nie potrafi panować nad swymi morderczymi zapędami. Nasz czcigodny cesarz oraz wasz arcyksiążę starali się iść mu na rękę. Kiedy jednak przestał zabijać niewolników i podniósł rękę na szlachetnie urodzonych, zwłaszcza na sir Amersena, czara się przelała i musiał zostać ukarany. Taka jest sprawiedliwość cesarza! Mordercy Lobelina nie mogą jednak uciec! Muszą być postawieni przed sądem! Złapcie ich żywych, a każdy dostanie dziesięć złotych premii!

Zatem wmieszaliśmy się w wyrównywanie rachunków między szlachcicami.

–Kto natychmiast opuści pomieszczenie, będzie oszczędzony! – rozległ się nagle z drugiej strony sali głos kapitana Heinricha, a jego ludzie, osłaniany przez masywne tarcze, wystąpili w przód.

Rozbójnicy, choćby nie wiadomo jak wyćwiczeni, widząc profesjonalnych żołnierzy, podkulili ogony i prawie się zdeptali, kiedy starali się jak najszybciej uciec.

–Odpowiedź za to! – wściekał się Juber. – Mam pieczęć cesarza! Chcę tych ludzi.

–Pieczęć może być skradziona! Chcę widzieć pana dokumenty, pisemne pełnomocnictwa, list od arcyksięcia. Cesarskie pieczęcie mnie nie interesują! Do czasu, zanim mnie pan przekona o swoim pełnomocnictwie, ci ludzie będą pod moją jurysdykcją – nie dał się wyprowadzić z równowagi Heinrich.

Gdy jego zbrojni prowadzili nas obok niego, tylko cicho syknął:

–Na głównym dziedzińcu stoją przygotowane konie. Więcej niż pół godziny nie mogę wam jednak zagwarantować.

* * *

Cwalem przejeżdżaliśmy przez miejską bramę i pędziliśmy drogą do najbliższych rozstajów. Tam się zatrzymaliśmy, żeby konie choć trochę doszły do siebie. Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, usłyszeliśmy tętent kopyt samotnego jeźdźca. Jak jeden mąż sięgnęliśmy

po broń, ale z ciemności wyłonił się tylko kapitan.-Skąd pan tutaj? – spytałem.

–Jak wam się wydaje, jak długo utrzymałbym głowę na karku po tym, kiedy sprzeciwiłem się rozkazom arcyksięcia? – odpowiedział mi z sarkastycznym grymasem. – Myślę, że jakaś podróż teraz mi się przyda.

–Chce mi się pić, okropnie chce mi się pić – obwieścił Nood.

–Mnie też, zabijanie jest pracą, która wzbudza pragnienie – zgodził się Bakly. Były kapitan Heinrich wyciągnął z torby podróźnej bukłak wina i podał.

–Za co wypijemy? – spytał.

Powąchałem. To było vezelskie i pachniało bardzo dobrze.

–Wypijmy za to, żebyśmy się już nigdy nie spotkali! – zaproponowałem, napiłem się i podałem wino Henvissowi.

Popatrzył na mnie, Nooda, Bakly’ego i skinął głową.

–Za to wypiję naprawdę chętnie. Żebyśmy się już nigdy nie spotkali!

Kiedy dopiliśmy wino, każdy pojechał w swoją stronę.

Dopiero później nad ranem, kiedy byłem pewien, że ewentualnych prześladowców dawno zgubiłem, uświadomiłem sobie, że wszystkie moje ciężko zarobione pieniądze zostały na zamku, a ja nie jestem ani trochę bogatszy niż przed tym krwawym zamieszaniem.

NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

Bez tego chłopaka nigdy nie znalazłbym ścieżki. Wila się po stromym zboczu wysuniętej najbardziej na wschód grani Śnieżnych Gór. Na pełnej szczelin powierzchni skał, poprzątkanej drobnymi kamieniami i osuwającą się ziemią, prawie nie było jej widać. Z mojej lewej strony trzysta metrów niżej falowały urodzajne pagórki pokryte lasami, pastwiskami i polami uprawnymi. Jednak jeszcze przed linią horyzontu zieleń bladła i przechodziła w suchą żółć sawann i półpustyń zajmujących setki tysięcy kilometrów kwadratowych Imperium Crambiskiego.

Zdałem sobie sprawę, że zbyt długo podziwiam krajobraz i nie zwracam uwagi na ślady. Co nie znaczy, że ten chłopak wiele ich za sobą zostawiał. Chłopak? Zatrzymałem się i przez chwilę badałem teren. Przy zewnętrznym skraju ścieżki ześliznęła mu się stopa i kiedy trochę zbyt kurczowo przytulił się do zbocza, rozgarnął sypką powierzchnię i odsłonił kamienie, które przez dłuższy czas nie widziały słońca. Wciąż był przede mną. Znalazłem go w lesie porastającym prawie półkilometrową równinę, wcinającym się w góry niczym jakiś gigantyczny stopień. Wisiał nieprzytomny, przywiązany do drzewa sznurami przewleczonymi pod pasami jego własnej skóry. Wyglądało to na jakieś okrutne i wyrafinowane tortury. Tylko że w okolicy nikogo innego nie znalazłem...

Ścieżka jeszcze bardziej się zwężała, niknęła w oddali. Ostrożnie spojrzałem w dół. Niebieska rzeka, ozdobiona progami skalnymi otaczającymi zbocza gór, wyglądała jak cienka wstążka, a stok, po którym bym się ześliznął w jej stronę, usiany był porozbijanymi głazami i pojawiającymi się co jakiś czas wystającymi skałami. Połowę drogi bym się turlał, drugą połowę przeleciałbym w powietrzu. Na dole zostałaby ze mnie słusna porcja siekanego mięsa. Właściwie – z powodu mojej chudości – raczej słusna porcja roztrzaskanych kości, polana odrobiną tłuszczu. Nie było to nęcące wyobrażenie, ale jeśli przeszedł tędy ten chłopak, ja również mogłem tego dokonać. Jedną ręką lekko oparłem się o stok i zrobiłem pierwszy krok. Zelówka

dobrze się trzymała, tylko głęboko w brzuchu czułem delikatne mrowienie. Drugi krok nie był łatwiejszy.

Szedłem dalej, na czole czułem krople potu. Może wie, że go śledzę i doprowadził tu specjalnie, żeby się mnie pozbyć, przyszło mi do głowy. To nonsens. Skoro przeszedł on...

Gdy upewniłem się wtedy, że oprócz niego nie ma w okolicy nikogo, chciałem mu pomóc. Nagle jednak otworzył oczy, przyjrzał mi się mętным wzrokiem, coś bełkotliwie wymamrotał, wyprostował się, pochylił w przód i szarpnął – jednym ruchem rozerwał własną skórę i upadł w trawę.

Teren przede mną wydawał mi się jeszcze bardziej stromy i jednolity. Nie chciałem iść dalej, to ryzyko już mi się nie podobało. Stałem w miejscu, starałem się nie przenosić ciężaru na jedną lub na drugą nogę i głęboko oddychałem. Zastanawiałem się jednocześnie, czy zdołam wrócić. Potem zauważyłem ledwo widoczną półkę skalną mniej więcej metr nad kończącą się ścieżką, kawalek za nią następną i jeszcze jedną. W odległości dziesięciu kroków łączyły się w karkołomną ścieżkę. Za chwilę byłem na niej i czułem się niczym po wyczerpującym biegu. Z góry było jeszcze bardziej wyraźnie widać, że idąc początkową drogą, znalazłbym się na skraju urwiska i skończył gdzieś w dole. Wie o mnie i stara się pozbyć? Znowu zadałem sobie to samo pytanie.

Kiedy upadł na ziemię, zdałem sobie sprawę, że jestem świadkiem rytuału dorosłości, jaki opisuje van Horten w „Encyklopedii narodów”. Zrozumiałem również słowa, które wypowiedział. Mój ojciec wzięł kiedyś kilku dzikich wojowników plemion tanhockich, pochodzących właśnie z tych terenów. Chłopak mówił coś o widmie. To chyba miałem być ja. Dzikie plemiona tanhockie były jedną z niewielu ras i narodowości, które oparły się urokom cywilizacji i nie dały sobie założyć stalowej uzdy crambijskiego cesarza. Było to spowodowane po części ich niepokorną walecznością. Po części, ponieważ bez pomocy dzikich i nieprzystępnych Śnieżnych Gór na nic by się im ona nie zdała.

* * *

Gruby Chłopiec obejrzał się. Już dawno nie był gruby, ale Gruby Chłopiec było jego imieniem z dzieciństwa. Wiedział, że gdy wróci do obozu, dostanie inne – męskie. Byłoby wspaniale dostać dobre imię wojownika, ponieważ dobre imię przynosi mężczyźnie szczęście. Ale nawet zwykle imię wojownika jest lepsze niż dziecinne, a on

nie chciał należeć do tych, którzy z dziecięcym imieniem żyją aż do śmierci. A teraz wiedział, że los słabych go nie spotka, ponieważ przeszedł próbę dorosłości i chociaż nie odważył się w pełni do tego przyznać, dumnie sądził, że zrobił to dobrze. Lepiej niż wielu innych, których znał. Ale żeby zyskać imię wojownika, musiał wrócić do obozu żywy, a także musiał pozbyć się zabójczego widma, które szło po jego śladach. Gruby Chłopiec nie miał pojęcia, czy stworzenie, które tropi go po ścieżce, jest widmem, które przywołał z zapomnienia swoimi halucynacjami pod koniec próby, czy prawdziwym mężczyzną. Wiedział jednak, że czy to duch, czy stworzenie z krwi i kości, niesie w sobie śmierć. A żaden wojownik nigdy nie sprowadzi nieprzyjaciela do domu, do obozu. A on się stał wojownikiem.

* * *

W Śnieżne Góry nie przybyłem ani z powodu Tanhotów, ani wspaniałych skarbów, które podobno ukryto wśród dzikiej przyrody. Przypadkiem wpadł mi w ręce stary zwój papieru pochodzący z pierwszego wieku po Wielkiej Wojnie. Nieznany autor opisywał w nim lodowe robaki, żyjące właśnie w Śnieżnych Górach. Podobno podczas długich zim wywołanych wojnami magów na niziny schodziły robaki, gdzie wyludniły wiele ludzkich osad, którym udało się przetrwać minione dziesięciolecie spustoszenia i zagłady. Wszyscy współcześni przyrodnicy sądzili, że są to tylko legendy, opisy działania dawno zapomnianych czarów. Notatki w rulonie, który wpadł mi w ręce, były jednak niezwykle konkretne i odnosiły się do wydarzeń potwierdzonych historycznie. A ponieważ niedawno zarobiłem dosyć pieniędzy, żeby przez kilka miesięcy nie martwić się o przeżycie, zdecydowałem się sam obejrzeć miejsce pochodzenia niesamowitych zwierząt.

Chłopak, za którym szedłem, należał do miejscowych. Miałem nadzieję, że po jego śladach przedostanę się przez masywne granie, otaczające górzysty teren jak olbrzymie naturalne mury obronne, łatwiej niż na własną rękę. Ponadto Tanhoci mogli coś wiedzieć o lodowych robakach. Uważano ich za nieprzyjaznych i dzikich, ale uczeni piszący swoje traktaty w wygodnym gabinecie często przesadzali. Tak samo jak żołnierze, którzy dostali rozkaz podbicia dzikich mieszkańców gór. Nie należałem ani do jednych, ani do drugich. Chciałem dostać się najdogodniejszą drogą w góry, a później zamierzałem dać się ponieść wydarzeniom. W ciągu dziesięciu lat, które po ucieczce z domu spędziłem w drodze, nauczyłem się, że często jest to właśnie najlepsze rozwiązanie.

Gruby Chłopiec przysiadł na piętach, żeby odpocząć. Próba kosztowała go wiele sił, których jeszcze nie zdążył nabrać ponownie i wędrówka po Starej Ścieżce go wyczerpała. Było dokładnie tak ciężko, jak mówili członkowie starszyny. Twierdzili oni jednak, że po Starej Ścieżce potrafią poruszać się tylko tanhocy wojownicy. Znał kilka historii opisujących, jak właśnie na niej pokonali i zatrzymali żołnierzy królów z nizin. Albo cesarzy. Gruby Chłopiec, tak jak inni ludzie jego plemienia, nie orientował się, kto sprawował władzę na nizinach. Wiedzieli tylko, że od czasu do czasu nadciągały wielkie armie ludzi z pełnymi twarzami i kośćmi pokrytymi miękkim mięsem. Wtedy szamani zmuszali naczelników, żeby zapomnieli o wszystkich plemiennych sprzeczkach, wojnach i zemstach rodowych, i nadchodził czas wspólnego zabijania. Żołnierze się wycofywali i nastawał spokój. Spokój, nie licząc nieregularnych ataków na mieszkańców nizin, którzy na urodzajnych równinach hodowali bydło i uprawiali zboże. Właśnie podczas takich wypadów mężczyźni zyskiwali sławę i honor, a plemię zapasy, które pomagały przeczekać okres surowych zim, kiedy nie można było polować i wszyscy głodowali. Jednakże zabójcza mara poruszała się po Starej Ścieżce z lekkością, która znieważałaby wielu tanhockich wojowników. Gruby Chłopiec wiedział, że powinien się bać. Z drugiej jednak strony z pewnością w niczym by mu to nie pomogło, ponieważ nie dopuszczał do siebie strachu. Pozwolił, żeby tkwił w brzuchu, żołądku i jelitach, ale nie pozwolił mu osłabić głowy i rozumu. Wiedział, że musi coś wymyślić, ponieważ w walce z marą nie miał szans. Wystarczyło wspomnienie jego noża za pasem, tego, jak się poruszał, jak jego oczy widziały wszystko naraz. Ten człowiek był chodzącą śmiercią. Jeśli rzeczywiście był człowiekiem...

Ścieżka w końcu się poszerzyła. Najwyższy czas, ponieważ zbocze zmieniało się czasem w pionową ścianę i wciąż przybywało gładkich dużych skał, na których człowiek nie miał się czego złapać. Znalazłem miejsce, gdzie chłopak odpoczywał. Albo znalazł teren, albo miał niesamowite wycucie otoczenia. Mały placyk osłonięty od wiatru, wystarczająco dużo miejsca na to, żeby wygodnie położyło się tam czworo ludzi. Załatwił tutaj potrzebę fizjologiczną i tak jak górski puma ją zakrył. Ostrożny na wszystkie sposoby. Znalazłem miejsce, gdzie urwał i przeżuł parę źdźbeł długiej

trawy. Może dlatego, że były wilgotne, albo tylko po to, żeby mieć przyjemny smak w ustach. Ścieżka delikatnie pięła się w górę, zgadywałem, że zbliżamy się do jakiegoś jaru, wąwozu, ukrytego przejścia, którym można się przedostać na drugą stronę gór.

Wykorzystałem osłonięte miejsce, też na chwilę się zatrzymałem i rozejrzałem po okolicy. Widziałem tutaj w okolicy więcej pól uprawnych, farmy – nawet patrząc z wysoka – zbudowane były z rozmachem, ich właściciele z pewnością nie mieli węża w kieszeni. Wodę pode mną co chwila przecinała biel wodospadów i skalnych progów.

Nie chciałem zbyt blisko się zbliżyć do chłopaka, ani też go zgubić. Porzuciłem więc myśl o jedzeniu i szedłem dalej. Miejscami wyglądało tak, jakby ścieżkę wyciosano w skałę. Prawdopodobnie tak właśnie było, tylko w wielu miejscach leżały w poprzek niej płaskie kamienie odłamane ze ścian, gdzieś tam płyty tworzyły prawdziwy tor przeszkód. Kto, po co i kiedy stworzył tę drogę, chyba już nikt się nie dowie. Jej istnienie utwierdzało mnie jednak, że posuwam się we właściwym kierunku.

Ostrożnie zatrzymałem się przed pierwszym dużym głazem leżącym na drodze. Jego

połowa znajdowała się poza granicą ścieżki. Zanim na nim stanąłem, upewniłem się, że leży stabilnie. Ponieważ za głazem mógł się ukryć każdy, sprawdziłem, czy noże łatwo wychodzą z futerałów. Miecz zostawiłem przywiązany do torby. Podczas balansowania na wąskim chodniku był zbyt nieporęczny

Za kamieniem nikt nie czekał, również za drugim, trzecim czy piętnastym. Przestałem je liczyć. Chłopak pozostawiał teraz więcej śladów, jakby się spieszył. Może bał się tego odcinka, kto wie.

Wskoczyłem na płaską płytę metrowej grubości. Wystawała daleko w powietrze, ale ponieważ była duża, względem niej ważyłem tyle co mucha w porównaniu ze słoniem. Wygodnie przechodziłem po niej na drugą stronę, kiedy ostrzegł mnie zapach ludzkiego potu. Odwróciłem się, odruchowo uskoczyłem w bok i uchyliłem przed rzuconym nożem. Czekał na mnie wciśnięty w niszę. Zanim rzuciłem swój własny nóż, zdałem sobie sprawę, że cisnął we mnie zwyczajnym kamieniem. Chyba nie sądził, że mnie tym zabije, a może tak? Skala pod moimi nogami nagle się poruszyła, nóż raczej upuściłem niż rzuciłem i starałem się zeskoczyć z płyty na twardy grunt. Za późno.

Staczałem się razem z wielotonowym głazem, na którym stałem. Próbowałem chwycić krzew, który sterczał na stromym zboczu, na chwilę się złapałem, ale gałęzie nie wytrzymały. Dzięki temu jednak głaz mnie wyprzedził i nie groziło mi, że mnie

zmiążdży. Jeden fikolek, drugi, później ziemia się oddaliła i leciałem w powietrzu. Zmiążdży, nie zmiążdży, wszystko jedno. Uderzenia sprawiały, że brakowało mi tchu, im szybciej spadałem, tym bardziej rozpaczliwie starałem się czegoś złapać. Kolejne fikolki, wpadłem na kamień, coś trzasnęło, chyba moje żebra. Znowu lot w powietrzu, coraz bliżej ziemi, próbowałem zwinąć się w kłębek. Upadek, następne połamane kości, pas karłowatych krzewów – ostatnia szansa. Spowolnił mnie, ale nie zatrzymał. Ziemia znowu gdzieś zniknęła, podczas niekontrolowanego przewrotu zobaczyłem ją niesłychanie daleko pod sobą. Umrę, nagle stało się to dla mnie jasne. Ten chłopak mnie przechytrył. Powierzchnia pełna ostrych kamieni wciąż się zbliżała. Mam nadzieję, że stanie się to szybko, że nie będę z przetrąconym kręgosłupem czekać na koniec całe dni. Wyobrażenie mnie wystraszyło, następnie ktoś kopnął mnie w głowę i strach zniknął tak samo jak wszystko inne.

* * *

Gruby Chłopiec z twarzą wykrzywioną z bólu obserwował lot zabójczej maryl. Już dawno zniknęła mu z oczu, ale fatalny głaz spowodował olbrzymie spustoszenie i sprawił, że w zboczu powstały głębokie wyrwy. Wciąż jeszcze słyszał łoskot kamieni strąconych podczas upadku. Gruby Chłopiec jeszcze raz podziękował starszyźnie, której opowieści pomogły mu zastawić pułapkę. Właśnie z nich dowiedział się o wielkim głazie. Potem ze strachem skierował spojrzenie na lewe ramię. Nóż, którym zabójcza mara w niego rzuciła z nieludzką szybkością, wbił się w ciało aż po zaznaczoną skórzanym paskiem rękojeść. Wydawało się, że nie dosięgnął kości. Gruby Chłopiec zacisnął usta, prawą ręką zręcznie zrobił a sznurka pętlę, którą przeciągnął przez biceps zranionej ręki, zacisnął ją tak mocno, jak tylko się dało, a następnie jednym ruchem wyciągnął nóż z rany. Krew, która wypłynęła, była gęsta i czarna, lecz dzięki uciskowi nie było jej wiele. Ból podczas próby dorosłości wydawał się gorszy. Ta myśl go uspokoiła, więc ze skórzanego worka przywiązanego do pasa zaczął wyciągać rzeczy do opatrunku. Liście, gojący proszek, wszystko potrzebne do wyczyszczenia rany i zatamowania

krwawienia. Wkrótce skończył opatrywanie rany. Kiedy nie starał się używać znacznej siły, ramię nawet zadziwiająco dobrze się sprawowało. Z przyjemnością obejrzał nóż. Wykuty z jednego kawałka stali nie przypominał narzędzi i broni, które z upodobaniem kradli lub kupowali od mieszkańców nizin. To była broń na miarę, wykonana dla właściciela, który mistrzowsko potrafił się z nią obchodzić. Gruby Chłopiec uśmiechnął się z zadowoleniem. Była warta tej rany. To lepszy nóż niż

miał ktokolwiek z plemienia. Dziś był najszczęśliwszy dzień w jego życiu. Drugi najszczęśliwszy, poprawił się. Ponieważ pierwszy to dzień, kiedy człowiek się rodzi.

* * *

Gruby Chłopiec umilkł. Opowiadał już długo i zaschło mu w gardle. Siedział na honorowym miejscu, w najważniejszym kręgu wokół ognia naprzeciw szamana i naczelnika. Pozostali – wojownicy, kobiety, starsi, dzieci – tłoczyli się dalej. To był punkt kulminacyjny jego próby, kiedy opowiadał wszystkim o tym, co przeżył i widział w ciągu miesiąca spędzonego w samotności. Przelknął ślinę, żeby zwilżyć zaschnięte gardło i kontynuował. Wiedział, że wszyscy mu się przyglądają, obserwują jego gesty, mimikę i ruchy. Było prawie niemożliwe kłamać podczas posłuchania plemienia, w którym miał możliwość uczestniczyć, i Gruby Chłopiec nigdy nawet by tego nie próbował. Wolalby raczej umrzeć. Teraz przechodził do tej najcięższej i najmniej wiarygodnej części – do swojego spotkania z zabójczą marą.

–Poczekaj – powstrzymał go szaman zaraz po tym, jak Gruby Chłopiec opisał chwilę, kiedy podczas urojeń z wyczerpania i bólu pojawiła się brzydka, wychudła twarz.

Gruby Chłopiec posłusznie zamilkł i starał się nie pokazywać, że się boi. Jego wizja rozdrażniła Szare Oko do tego stopnia, że chce zakończyć posłuchanie? Nie miał do tego prawa, nawet jeśli był szamanem plemienia!

Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, Szare Oko był z powrotem z miską wyżłobioną z miękkiego kamienia.

Nalał do niej trochę wody z przygotowanego naczynia, z woreczka przy pasie wyciągnął nieciekawie wyglądającą maść i wtarł ją pod oczy, pod język włożył sobie liść szalwii i wbił wzrok w wodę w misce.

–Opowiadaj, opisz marę jeszcze raz, jak najbardziej szczegółowo potrafisz.

Gruby Chłopiec uświadomił sobie, że mężczyźni ze starszyzny plemienia spoglądają na siebie nawzajem i od czasu do czasu wymieniają kilka pełnych niepokoju uwag. Działo się coś, czego Gruby Chłopiec nie rozumiał. Nigdy nie był obecny podczas obrzędu zaglądania do światów przyszłości, a wydawało mu się, że Szare Oko przygotowuje się właśnie do czegoś takiego.

Bez namysłu zaczął opisywać marę jeszcze raz, wracając przy tym do wspomnień. Znow widział przed sobą tego zbyt chudego i jednocześnie zbyt

wysokiego mężczyznę. A także zbyt brzydkiego. Jego brzydota uwidaczniała się nie tylko w nieregularnych rysach twarzy, przypominającej stare samotne wilki włóczące się po górach. Jeszcze bardziej była widoczna w bliznach i ranach, z którymi mara w ciągu swojego życia musiała sobie poradzić. Nie mógł to być człowiek, doszedł do wniosku. Człowiek nigdy nie przeżyłby tylu potyczek.

–Jak wyglądał jego nos? – Szaman przerwał monolog Grubego Chłopca.

Młodzieniec się skoncentrował. Podstawa nosa była zgrubiała – widać ktoś go dawno brzydko złamał. I chrząstka ponownie się zrosła. Później mara musiała dostać jeszcze jeden silny cios. Ślad widniał niżej i można go było zauważyć w zniekształconej lewej połowie nosa.

–Dwukrotnie złamany nos, twarz pokryta bliznami, ruchy drapieżnika i mnóstwo noży – szaman wypowiedział na głos jego myśli. – To on, człowiek urojeń, posłaniec zmian i śmierci.

Wśród przysłuchujących się powoli wypowiedanym słowem Szarego Oka przebiegł szmer, a Gruby Chłopiec się zachwiał. Posłaniec zmian i śmierci występował w wielu legendach plemiennych i zawsze zagrażał w nich dzikim łowcom Śnieżnych Gór. Przynosił im zgubę.

Bez niczyjej zachęty zaczął opisywać drogę po Starej Ścieżce, jak starał się odwrócić uwagę mary, ale nie udawało mu się i był śledzony nawet po tych najniebezpieczniejszych odcinkach drogi. I jak go w końcu szczęśliwie przechytrzył. Na koniec swojego opowiadania pokazał zgromadzonym nóż okupiony własną krwią.

Szaman zaledwie zerknął na broń, pozostali wojownicy jednak obrzucali go oceniającym spojrzeniem.

–Widziałeś jego ciało? Widziałeś je rozerwane, zmiążdżone, połamane?

Widziałeś kojoty jedzące jego mięso? – chciał wiedzieć Szare Oko.

–Nie widziałem, spadł na sam dół, do Zdobionej Rzeki. Nie widziałem aż tak daleko – stwierdził ucziwie Gruby Chłopiec.

Szaman skinął głową, jakby nie spodziewał się innej odpowiedzi.

–Każdy człowiek by umarł, to pewne, a my możemy być dumni, że mamy wśród nas tak młodego i jednocześnie doświadczonego wojownika, jak ten tutaj... –

Szare Oko wskazał na Grubego Chłopca i na chwilę przerwał.

Młodzieniec zrozumiał, że starszy człowiek nie patrzy teraz na niego, ale w jego przyszłość, w świat odległych dni, do których miał dostęp tylko on sam.

–...jak ten tutaj Chłodna Myśl – szaman nadał imię świeżo upieczonemu wojownikowi.

Wśród ludzi po raz kolejny rozległ się szmer. Chłodna Myśl to było dobre imię. Świetne imię. Nie obiecywało sławy w małych rzeczach, potyczkach i pojedynkach. Obiecywało sukces w rzeczach wielkich, ważnych dla całego plemienia.

–Każdy człowiek by umarł, ale nie posłaniec zmian i śmierci. Możliwe, że jest martwy, ale jeśli nie, jeśli przyjdzie, za wszelką cenę musimy go zabić. Obowiązkiem każdego mężczyzny, kobiety i dziecka z plemienia jest próba zabicia zabójczej mary, długiego chudego mężczyzny z dwukrotnie złamanym nosem. Jeśli przyjdzie, nie może odejść. Od tego zależy przyszłość nas wszystkich.

Gruby Chłopiec, a właściwie Chłodna Myśl, czuł się śmiertelnie wyczerpany. Kleiły mu się powieki, ale mimo to miał poczucie, że szaman nie powiedział im wszystkiego. Nie było to niczym dziwnym, Szare Oko zawsze zostawiał coś dla siebie, żeby móc to później wykorzystać. Tylko że Chłodna Myśl miał wrażenie, że na powierzchni wody w misce ujrzał kilka różnych wizji. W niektórych z nich upiorny zabijaka był martwy, w innych widział, jak płonie ogień w obozie Tanhotów, w kolejnych zaś upiorny zabijaka odchodził w towarzystwie i wśród oznak przyjaźni wojowników i jego samego. To było dziwne.

–Zabić, zabić go, jeśli przyjdzie – powtarzał szaman, sycząc.

Następnie zwrócił się do usypiającego młodego mężczyzny i podał mu pakunek.

–Masz tu swoją skórę.

Chłodna Myśl uśmiechnął się szczęśliwy i przyjął ostatnią rzecz, której potrzebował, żeby stać się pełnoprawnym wojownikiem. Jutro, kiedy znów będzie miał siły, zrobi z kwadratowego kawałka skóry woreczek, który napelni ziołami, odłamkiem kości ze szczęki pumy, którą zabił własnymi rękoma, i innymi rzeczami, z którymi się zetknął podczas próby dorosłości. W ten sposób zamknie w woreczku tę najlepszą część swych myśli, a jeśli będzie go nosić na szyi, jego dusza będzie bezpieczna, odporna na wszystkie zasadzki tego i innych światów.

* * *

Ktoś zapukał do drzwi. Chciałem wstać z łóżka i otworzyć, lecz mi się nie udawało. Nie udawało się, ponieważ nie widziałem nad sobą sufitu, ale błękitne niebo z kilkoma białymi chmurkami i nie leżałem w łóżku, a na miełiznie. Pukanie do drzwi było w rzeczywistości regularnym uderzaniem o moją pierś kijka unoszącego się na

powierzchni. Ruch obudził ból, kakofonię bólu, koncert cierpienia, efekt wielu obić po zbyt wielu upadkach. Nie było mi zimno, ale wiedziałem, że jeśli zostanę dłużej w wodzie, chłód szybko pozbawi mnie nawet resztek sił. Pelen obaw odetchnąłem głębiej. Klatka piersiowa bolała, kilka żeber było z pewnością pogruchotanych, ale płuca były w porządku. Ruszyłem lewą nogą, prawa mnie nie słuchała. I, co było pozytywne, kręgosłup również był w całości. Jak chory krab sunąłem na plecach z miełizny na brzeg. Kiedy w rzece zostały tylko nogi, znieruchomiałem wyczerpany. Słońce grzało, a wraz z ciepłem przychodziło zmęczenie.

Gdy drugi raz się przebudziłem, zbliżał się wieczór. Trząsałem się, na zmianę, z powodu napadów zimna i gorączki. Wiedziałem, że w pobliżu gór noc będzie zimna, zbyt zimna dla poturbowanego faceta, jakim byłem. Przewróciłem się na brzuch, ból wyrwał mi jęk z trzewi. Musiałem stracić przytomność, ponieważ cienie stały się nagle głębsze i wydłużyły się ze straszliwą wprost szybkością. Z moim poczuciem czasu coś było nie w porządku. Na czworakach dowlokłem się jak najgłębiej w krzewy rosnące wzdłuż rzeki. W pierwszym suchym miejscu, osłoniętym przed wiatrem, zacząłem zrywać trawę i odcinać witki wierzby, którymi później się obłożyłem. Nic innego nie byłem w stanie zrobić. Noc mijiała niespokojnie, wypełniona umieraniem i majakami z gorączki. Świt, chciałem jeszcze raz ujrzeć świt, o niczym więcej nie marzyłem.

Wczesnie rano, kiedy słońce świeci jeszcze słabo i człowiek może patrzeć na nie bezkarnie, o dwóch laskach kuśtykałem na wschód, oddalając się od rzeki, w stronę pól, farm i drogi, które wcześniej widziałem z góry.

Nie czułem się lepiej niż poprzedniego dnia. Ciało samo radziło sobie z bólem, otarciami, połamanymi żebrami. Dzięki temu mogłem się poruszać.

Wykorzystywałem już jednak ostatnie resztki sił, których potrzebowałem, żeby dojść do siebie. Szukałem pomocy, bez niej prędzej czy później umrę.

Szedłem dalej, nie zważając na zawroty głowy, rozplywający się świat, widma tańczące wokół, obrazy ludzi, których spotkałem i zabiłem, wypływające z podświadomości. Wiedziałem, że muszę, za wszelką cenę muszę iść dalej, jeśli nie chcę umrzeć na skraju pustkowia.

Później, gdy już nie wierzyłem, że mi się uda, znalazłem w końcu drogę. Nogi się pode mną ugięły, moje prowizoryczne kule wypadły z rąk i upadłem w rozjeżdżone koleiny. Leżenie w

stwardniałym błocie nie było wygodniejsze niż wcześniej na trawie w krzakach. Zdałem sobie sprawę, że ratunek wciąż jest jeszcze daleko. Zdobyłem się na wysilek, znów stanąłem na nogi i ruszyłem w przypadkowo wybranym kierunku.

Nie mogło być daleko, pięć, dziesięć kilometrów do najbliższej osady. Może piętnaście, znając mojego pecha. Ale idąc drogą na pewno dam radę, dam radę. Nagle usłyszałem głośnie skrzypienie drewnianych osi wozów używanych przez miejscowych i nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Ktoś nadjeżdżał z naprzeciwka. Zza zakrętu wyjechał ciężki wóz na kołach o średnicy wielkości dorosłego mężczyzny. Rozmazywał mi się w oczach. Wóz ciągnęły cztery konie.

–Halo! – chciałem zawołać, jednak wyschnięte gardło mnie zawiodło.

Stałem między wyjeżdżonymi koleinami, w pionie trzymały mnie bardziej kule niż nogi. Wóz się zbliżał, a ja dziękowałem swemu szczęściu. Jechał coraz szybciej, tak spieszyli się, żeby mi pomóc. Bat strzelił raz, dwa razy później coś smagnęło mnie w twarz, wyrrywając z niej kawałek skóry. Ciężkie konie i wóz nagle były nade mną. Mózg nie potrafił zrozumieć rzeczywistości, ale refleks nie zawiódł. Rzuciłem się w bok, olbrzymie koła, które mogły przeciąć kręgosłup, minęły mnie o parę centymetrów, jak we śnie ujrzałem wykrzywioną z rozbawienia twarz młodego mężczyzny na koźle. Miałem szczęście, upadłem na łagodne zbocze. Wykorzystałem pęd i sturlałem się w dół, jak najdalej od nich. Nie uciekałem, zamiast tego wcisnąłem się w głębszą rozpadlinę i wyciągnąłem z pasa nóż. Nosilem go z tyłu, z ostrzem w futerale wszytym bezpośrednio w rzemień.

Zrozumiałbym, gdyby nie chcieli mi pomóc. Ale tylko tak, dla zabawy, zabić biednego człowieka proszącego o pomoc? Z tym się jeszcze podczas licznych wędrówek nie spotkałem. Człowiek się uczy na błędach, o ile je przeżyje.

Wóz się zatrzymał, słyszałem zbliżające się kroki.

–Nie ma go tu, panie! Musiał mieć więcej sił niż się wydawało!

–Psiakrew – w odpowiedzi padło tylko pełne niechęci przekleństwo. – Rzuć jeszcze okiem, nie potrzebujemy tu żadnych włóczęgów!

Mojej pseudokryjówce daleko było do doskonałości. Gdyby zrobił kilka kroków w moim kierunku, musiałby mnie zobaczyć. Zamiast tego mężczyzna niepewnie przestępował z nogi na nogę.

–Jedziemy! Nie wyglądał, żeby był w najlepszej formie. Zdechnie i bez naszej pomocy – zawołał po chwili jego pan.

Kroki się oddaliły, znów usłyszałem skrzypienie drewna, tym razem powoli cichło.

Szybki unik i czołganie się kosztowały mnie resztę sił. Po prostu nie mogłem już iść dalej. Nie miałyby to sensu, skoro jedyni ludzie w okolicy próbowali mnie zabić.

* * *

Nie czułem zimna, nie byłem głodny, leżało mi się wygodnie. Czyżby umieranie było takie przyjemne? Nagle zakrztusiłem się i zacząłem kasłać.–No, ostrożnie, nikt panu tej zupy nie zje!

Piegowata twarz, włosy w kolorze zmrożonego siana, trochę zbyt mały nos i dwoje orzechowo-brązowych oczu pełnych współczucia. Na kolanach trzymała miskę, z której mnie karmiła. Rosół z kury, uświadomiłem sobie, najlepszy dla rannych i chorych.

Pomieszczenie było małe, za drzwi służył zawieszony koc. Ściany z ociosanych kamieni sprawiały jednak przytulne wrażenie. Ktoś zadał sobie trud i starannie wygładził glinę

uszczelniającą szpary.

Ostrożnie podała mi do ust następną pełną łyżkę. Przelknąłem z przyjemnością i cierpliwie czekałem na kolejną.

–Jak długo już tu jestem? – spytałem,

–Czwarty dzień, już zaczynaliśmy myśleć, że się pan nie obudzi. Przyprawdzą ojca. – Uśmiechnęła się i odbiegła, misę postawiła na małym stoliku obok łóżka.

Może coś tam zostało, przyszło mi do głowy i spróbowałem się poruszyć. Udało się. Każdy kawałek mojego dała bolał, jakby ktoś uderzał weń młotkiem, wbijał igły i przypalał rozpalonym żelazem, ale zdołałem się podeprzeć i sięgnąć po miskę. Niestety, była pusta.

Rozległy się kroki. Ciężkie, zmęczone, do pokoiku wszedł lekko zgarbiony mężczyzna koło pięćdziesiątki. Był wysoki, ale jego zgięta sylwetka sprawiała, że wydawał się niższy. W każdy centymetr twarzy miał wpisana historię dni spędzonych na słońcu, wietrze i w deszczu. Z pewnością przyszedł właśnie z podwórza, ponieważ na spodniach miał przewiązany skórzany fartuch, używany przez koniarzy i poganiaczy bydła.

–Ma pan końskie zdrowie. Wszyscy się cieszymy, że się pan obudził.

–Nazywam się Koniasz – przedstawiłem się. – Jestem wdzięczny, że się mną zaopiekowaliście. Spadłem z grani, kiedy szukałem przejścia na drugą stronę gór.

–Tak właśnie pan wyglądał – przytaknął, przyglądając mi się w zamyśleniu. –

Jestem Row Flem, farmer. Nigdy nie odmówiłem pomocy człowiekowi w potrzebie, dlatego pan tu się znalazł. A teraz proszę wybaczyć, muszę obejrzeć roczniaki, które ludzie dziś przygnali.

Skinął na pożegnanie, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Krótką rozmowa zmęczyła mnie tak bardzo, że natychmiast usnąłem.

* * *

Rano czułem się o wiele silniejszy, ale z łóżka byłem w stanie podnieść się tylko na kilka krótkich chwil. Nogi wciąż mi drżały, każdy krok był prawdziwym piekłem. Jednak wszystko wydawało się lepsze niż pozostawanie na łasce innych. Ponieważ wciąż nie mogłem opuścić pokoju, jak najwięcej wypytywałem. Córka Flema miała na imię Joan, oprócz niej i jej ojca na farmie pracowało jeszcze siedmiu innych mężczyzn. Na niektóre moje pytania odpowiadała wymijająco – zgadywałem, że ojciec przykazał, żeby za wiele nie zdradzała. Ale i tak zrozumiałem, że Flem jest bogatszy niż większość drobnych farmerów w sąsiedztwie, z drugiej zaś strony – o wiele biedniejszy niż wielcy obszarnicy, do których należały olbrzymie tereny wokół Śnieżnych Gór. Wieczorem, zanim przyszła zgasić dymiącą lampę olejową, przyniosła moje ubranie. Było wyprane, a rozdarcia, które powstały podczas upadku, ktoś – chyba ona sama – starannie zaszył. Położyła je na krześle, na nim pas i to, co zostało z mojego ekwipunku: trzy noże do rzucania i duży sztylet, który nosiłem bezpośrednio w pasku.

–Może już jutro będzie pan mógł naprawdę wstać – powiedziała z uśmiechem na dobranoc i zdmuchnęła płomień lampki. – Jest pan jak dziki kot, zdrowieje w oczach.

Słyszałem, jak schodzi na parter – to znaczyło, że ma jeszcze coś do roboty. Jej pokój znajdował się na poddaszu, na dół szło się po stromych schodach. Stromych wnioskując po odgłosach: każdy, kto z nich korzystał, stapał bardzo ostrożnie. Dobiegał mnie stłumiony gwar rozmów, brzęk łyżek, zapach pieczonego mięsa i świeżego chleba. Wiedziałem, że Joan

zajmuje się wszystkimi pracami domowymi, łącząc z gotowaniem dla ludzi Flema. Pielęgnowanie mnie musiało jej zabierać wiele czasu. Przez chwilę starałem się zrozumieć treść rozmów, ale nie udawało mi się. Znow zaskrzypiały schody, tym razem ktoś wchodził na poddasze. Był o wiele cięższy niż Joan i nie poruszał się zbyt ostrożnie. Nic sobie z tego nie robił, może nie musiał

być ostrożny. Spojrzałem na swoje noże, stłumiłem pierwszy impuls sięgnięcia po sztylet, a potem schowałem pod koldrę największy nóż do rzucania. Przymknąłem oczy i czekałem.

Wszedł mężczyzna, którego do tej pory nie widziałem. Czterdziestka, ciężkie ramiona sprawiające wrażenie silnych, lekko zgarbiony, podwinięte rękawy podkreślały mocne przedramiona. Po wewnętrznej stronie lewej ręki miał starą, brzydką, podwójną bliznę. Podeszedł bliżej, patrzył to na mnie, to na kupkę ubrań. Doszedł mnie zapach koni, trawy, oleju i – co mnie zdziwiło – lekki aromat jabłoni. Nie odważyłem się nawet poruszyć, nóż trzymałem w prawej ręce z ostrzem ukrytym pod łokciem. Wiedziałem, co robi za chwilę. Na prawym biodrze miał jakąś większą broń sieczną, prawdopodobnie nóż myśliwski. Nosił go dziwnie, rękojeścią skierowaną w dół.

Potem nagle złapał za bandolet z nożami i ramię ze sztyletem, zabrał je, odwrócił się i zniknął.

Kiedy wrócił na dół do głównego pomieszczenia mieszkalnego, ktoś zwrócił się do niego, posługując się nazwiskiem Bokeli. Już to krótkie spotkanie uświadomiło mi, że Bokeli jest doświadczony – zawsze chodzi uzbrojony, jest przesadnie ostrożny, a o swoją broń bardzo dba. To ostatnie zdradzał zapach oleju.

Sen był dla mnie zbawienny – rano zdołałem stanąć na nogach bez problemów z równowagą. Ubrałem się, z dolnej części koszuli odciąłem cienki pasek materiału, który nawinałem na nóż jako prowizoryczną pochwę, a następnie dwoma rzemykami przymocowałem go pod rękawem do lewego przedramienia. Nie potrafiłem wytrząsnąć noża jednym wyćwiczonym ruchem, jak z wykonanego specjalnie na miarę futerału, który zazwyczaj nosiłem, ale przy pomocy drugiej ręki mogłem sięgnąć po ostrze szybko i nieoczekiwanie.

Zszedłszy na parter, spotkałem się z milczącym towarzystwem przy prostym, acz obfitym śniadaniu. Row Flem siedzący u szczytu stołu spojrzał na mnie, na jego szorstkiej twarzy pojawiło się radosne zdziwienie.

–Ostry z pana facet, wykaraskał się pan szybciej niż się spodziewałem.

–Wiedziałaś, że da radę! – krzyknęła z radością Joan znad kuchni. Mężczyzna, który wczoraj zabrał mi broń, siedział po prawej stronie farmera i

obrzucał mnie taksującym spojrzeniem. Wczoraj dobrze go oceniłem, tylko doświadczenie miał jeszcze większe niż myślałem. Jeśli Flem wyglądał jak farmer,

który w razie potrzeby potrafi nieźle posługiwać się bronią, to Bokeli był wysłużonym żołnierzem, który w razie potrzeby potrafi wymachiwać łopata, lassem i młotkiem.

–Nie wiem, kto z was mnie tu przyprowadził, ale dziękuję wszystkim za dach nad głową i opiekę – oznajmiłem głośno i zdałem sobie sprawę, że moje podziękowania traktuję poważnie.

W ciągu minionych lat przestałem jakoś polegać na ludzkiej życzliwości, a teraz dzięki niej przeżyłem.

Nastąpiła cisza, ale nie nieprzyjazna. Ci ludzie przyglądali mi się, przez chwilę zastanawiali,

kim jestem, a później wrócili do przerwanych czynności. Ktoś powoli przeżuwał, ktoś dołał sobie kawy. Proste śniadanie przed dniem pracy. Joan doniosła na stół kolejną porcję pokrojonego chleba i mnóstwo ugotowanych jajek.

–Proszę usiąść i zjeść z nami – zaproponował Flem.

Zrobiłem to z chęcią i po raz pierwszy od długiego czasu skosztowałem normalnego jedzenia dla zdrowego człowieka. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że prawie skręca mnie z głodu. Nie dlatego, że Joan mnie głodziła, wręcz przeciwnie, ale moje ciało, które już od paru dni starało sobie poradzić z ranami, domagało się swego. Jadłem, przysłuchiwałem się rozmowom i jednocześnie zgadywałem, kto kim jest.

Bokeli był najważniejszy wśród ludzi Flema, farmer mu ufał i radził się go w sprawach, które nie były związane bezpośrednio z farmerstwem, ale dotyczyły kontaktów z sąsiadami, zakupów i tym podobnych rzeczy. Joan miała słabość do Bokeliego. Do mnie właściwie też, ale wiedziałem, że to z powodu minionych dni, kiedy wyciągała mnie spod rąk damy z kosą. Joan miała koło dwudziestki, Bokeli trochę ponad czterdzieści lat. Ona była dziedziczką farmera, który wprawdzie nie był bogaty, ale zatrudniał siedmiu ludzi i należało do niego tyle ziemi, że wystarczyłoby na lenno dla niższego pochodzeniem szlachcica. Tak przynajmniej wynikało z rozmów przy stole podczas śniadania. Flem właściwie nie był typowym farmerem. Jakieś zboże i kukurydzę uprawiał, to fakt, ale bardziej poświęcał się hodowli bydła i koni.

Po śniadaniu mężczyźni rozeszli się do pracy.

* * *

Naczelnik Srebrny Włos nawet najmniejszym gestem nie dawał po sobie poznać, że ciekawia go informacje od wywiadowców. Szare Oko też nie wykazał zainteresowania, podobnie obojętne miny mieli również wszyscy pozostali wojownicy, siedzący na naradzie wokół ogniska. Tylko Chłodna Myśl wyglądał na zaniepokojonego. On mógł,

był najmłodszy, ponadto imię, które zyskał, uprawniało go do niezwykłego zachowania. Czasami, dodał Srebrny Włos w swoich myślach. Tylko Silna Ręka jak zwykle nie szanował obyczajów i podrzucał kamyki, jakby bawił się z dziećmi, a nie siedział przy ognisku z wojownikami. Tylko że Silna Ręka był najsilniejszym, najniebezpieczniejszym wojownikiem plemienia i ustanawiał swoje własne zasady. Niestety, na niekorzyść pozostałych, odmawiał wzięcia na swoje barki brzemienia dowodzenia, wystarczyło mu bycie czołowym wojownikiem i jednym z lepszych łowców.

–Zatem żołnierze, posłuszni cesarzowi, którego nikt z nas nigdy nie widział, odchodzą – Srebrny Włos podsumował słowa dwóch zwiadowców. Nie należeli do Tanhotów, ale do zaprzyjaźnionych ludów z terytoriów na zachodzie.

–Tak – potwierdził grubszy ze zwiadowców. – Widzieliśmy odjeżdżające oddziały, dziesięć, a w każdym dziesięciu ludzi z każdej twierdzy po południowej stronie gór.

–Cesarz czasem wysyła nowych ludzi, żeby wymienili starych, zmęczonych, którzy nauczyli się, że trzeba się nas bać – przypomniał Srebrny Włos.

–No tak, ale zawsze najpierw przychodzą nowi, a dopiero potem odchodzą starzy. Tym razem nikt nie przyszedł. Pilnowaliśmy twierdz cały tydzień – uzupełnił natychmiast zwiadowca, jakby oczekiwał podobnego zarzutu.

Srebrny Włos zastanawiał się, kim jest drugi. Wysoki i wychudzony, do tej pory nie włączył

się do rozmowy ani razu, jednak zachowywał się wyjątkowo dostojnie. Z pewnością był to jeden z tych łowców, którzy mówienie uważają za coś zbytecznego. Naczelnik przypomniał sobie swoje trzy żony. Może milczenie nie było takim złym pomysłem, może ułatwiłoby mu życie. Nie musiałby odpowiadać na niekończące się pytania, uwagi, zarzuty.

–A co z hodowcami bydła i tymi, którzy uprawiają zboże? – chciał wiedzieć Szare Oko.

To było dobre pytanie, zgodził się Srebrny Włos. Kiedyś przeszkadzałoby naczelnikowi, że jemu samemu nie przychodzi to do głowy, dziś nie przejmował się już takimi rzeczami. Ze starym szamanem dobrze się znali i potrafili współpracować dla dobra plemienia i swojego własnego. Chociaż tę ostatnią kobietę, najładniejszą, najmłodszą, ale również najbardziej wymagającą, przyprowadził właśnie ten stary, kuty na cztery łapy czarownik. Może był to rodzaj wyrafinowanej zemsty, z drugiej strony...

–Nie rozumiemy tego – powiedział obcy zwiadowca bez wykrętów. – Niektórzy niewolnicy cesarza odchodzą, niektórzy zostają. Zwykle ze strachu odchodzili wszyscy.

Szare Oko w zamyśleniu skinął głową, a większość mężczyzn okazała zainteresowanie i zaniepokojenie. Źle, jeśli człowiek nie rozumiał zachowania nieprzyjaciół, zwłaszcza jeśli były to masy ludzi z nizin, posiadających dobrą broń i niezliczoną ilość żołnierzy.

Srebrny Włos czekał, czy ktoś nie wypowie jakiejś uwagi, jednak wszyscy milczeli. Gestem pokazał, żeby nie dokładać do ognia i pytając spojrział na szamana.

–Spróbuję zajrzeć do nadchodzących dni i jutro wam powiem, co zdradziła mi woda – starszy mężczyzna odpowiedział na nieme pytanie naczelnika.

Srebrny Włos jednym gestem zakończył oficjalną część posłuchania, mężczyźni na chwilę wstali, a później usiedli tak, żeby mogli pogadać i wypytać przybyszów o inne ciekawe nowiny. Silna Ręka dalej gorliwie ćwiczył podrzucanie kamyków, jakby w tej chwili zabawa była najważniejsza.

–Podobno jakiejś zabójczej marze zabrałeś nóż? To prawda? – Wilkosęp zwrócił się do Chłodnej Myśli.

Naczelnik miał taką minę, jakby nie słyszał pytania, jakby przysłuchiwał się rozmowie szamana z wywiadowcą, jednak nadstawiał uszu.

Wilkosęp był ambitnym i silnym mężczyzną. Jednak to, że większość ludzi go nie lubiła, sprawiało, że nie starał się zostać wodzem. Tak było lepiej, ponieważ Wilkosęp był wprawdzie świetnym wojownikiem i łowcą, ale choć przewyższał pozostałych tymi umiejętnościami, brakowało mu wielu prostych rzeczy, jak na przykład życzliwość, szacunek do innych i skromność. Srebrny Włos już ponad pięćdziesiąt razy widział śnieg topniejący na zboczach gór i doświadczenie nauczyło go, że bez tych cech każdy człowiek jest niepełny. Nawet jeśli sam uważa inaczej.

–Tak właśnie było – potwierdził Chłodna Myśl. – Przebił mi nim rękę, ale spadł w przepaść, zanim zdążył zrobić cokolwiek więcej.

–Więc go nie zabiłeś? – chciał wiedzieć Wilkosęp.

W jego głosie można było rozpoznać pogardę i jakąś ulgę, jakby się cieszył, że młodzieniec nie dostąpił takiego honoru.

–Nie, jego ciała nie znaleźliśmy – zgodził się ze spokojem Chłodna Myśl.

–O tym nie mówię, upadku z takiej wysokości nie mógł przeżyć – przerwał mu

niegrzecznie Wilkosep. – Mam na myśli, że nie ty go zrzuciłeś ze skały.

–Nie – ponownie zgodził się młodzieniec.

–Pokażesz mi ten nóż? Jestem ciekawy, czym walczyła zabójcza mara, którą nas tak chętnie straszą starzy czarownicy. – Wilkosep obrzucił szamana krótkim spojrzeniem.

Srebrny Włos wzruszył ramionami. Chłodna Myśl, jak każdy, musiał swój autorytet zbudować i utrzymać sam. Chociaż Wilkosep wszędzie wnosił tylko niezgodę i nienawiść.

–Proszę. – Chłodna Myśl nagle trzymał w ręce zdobyczny nóż i podawał go wojownikowi.

Wilkosep ostrożnie obejrzał niezwykłą broń, ostrze długie na szerokość półtorej dłoni, trochę krótszą i subtelniejszą rękojeść obwiązaną pasem skóry.

–Jest za mały, do niczego – parsknął, ale wbrew swoim słowom wypróbował ostrze.

Wszyscy wiedzieli, że broń należąca wcześniej do zabójczej mary jest ze świętego materiału, z lepszego stopu niż długie noże żołnierzy niewidzialnego cesarza.

–Jako grot oszczepu może by nie był zły – pomrukiwał dalej porywczy wojownik, w oczach mignęła mu satysfakcja i odwrócił się do Chłodnej Myśli.

Naczelnik i szaman wymienili spojrzenia. Obaj wiedzieli, co teraz nastąpi. Wilkosep stwierdzi, że nóż jest jego, a Chłodna Myśl albo się wycofa i straci honor w oczach wielu ludzi, albo przeciwnie – wyzwie Wilkosepą na pojedynek i plemię straci młodego mężczyznę, który mógł wiele wnieść do życia wszystkich.

–Też bym chętnie obejrzał – odezwał się nagle Silna Ręka i z szerokim uśmiechem popatrzył na Wilkosepą.

Ten znieruchomiał, jednak kiedy najsilniejszy człowiek plemienia wyciągnął rękę po broń, posłusznie mu ją podał.

–Ładny nóż, naprawdę świetny już od pierwszego rzutu oka mi się podoba –stwierdził z uznaniem Silna Ręka i oddał młodzieńcowi.

–Phi, jest do niczego, zabawka dla dzieci – nie chciał pozwolić się znieważać Wilkosep.

Chłodna Myśl podziękował, obrócił swoją zdobycz w palcach, spojrzal w bok, w stronę pała, na którym były zawieszane skóry do wyprawienia i z błyskawicznym rozmachem cisnął nóż w tamtym kierunku. Stał brzęknęła, wszyscy widzieli, że Chłodna Myśl swoim rzutem osiągnął cel. Zdawali sobie także sprawę, że było to bardzo ostre uderzenie.

Silna Ręka bez pośpiechu podszedł do pała i po chwili mocowania udało mu się wyciągnąć ostrze z drewna.

–Zabójcza mara musiał być wielkim wojownikiem, a ty ukradłeś jego sztukę –obwieścił z uznaniem.

Naczelnik, tak żeby nikt nie zauważył, spojrzal na Wilkosepą. Wojownik w zamyśleniu przyglądał się Chłodnej Myśli. Na jego twarzy pogarda mieszała się z urażoną pychą i obawą.

*** * ***

Jeszcze przez następny dzień do niczego się nie nadawałem, co chwila musiałem odpoczywać, bolały mnie stawy, kości, po prostu wszystko. Większość mieszkańców farmy szła rano do pracy i wracała dopiero wieczorem. Żeby Joan była w stanie wykonać wszystkie prace gospodni, przychodził jej pomagać starszy mężczyzna z małego gospodarstwa w okolicy. Sam

nie bardzo znalazłem się na tej pracy, ale starałem się pomagać, jak najwięcej się dało. W drugim tygodniu było już lepiej, utrzymywałem się w siodle i po raz pierwszy pojechałem z pracownikami Flema znakować bydło. Nigdy nie zaliczałem się do najlepszych jeźdźców, ale nie byłem też najgorszy. Ponadto umiejętności jeździeckie, które zdobyłem w młodości, wzięły górę nad moją niechęcią do życia w siodle. To, co potrafili miejscowi ludzie, różniło się od szkoły jazdy popularnej w kręgach szlacheckich tak, jak sztylet z rękojeścią wysadzaną szmaragdami od tasaka wyciągniętego właśnie spod młota kowala. Człowiek jednak nie mógł stwierdzić, co jest lepsze. Zależało to od celu i zastosowania. Pod wieczór czułem się jak zбитy i zupełnie wyczerpany, ale kolejnego poranka było lepiej. Praca mi służyła, a moje ciało szybko radziło sobie z doznanymi obrażeniami. W sobotę wieczorem wszyscy, cała drużyna Flema, wyruszyliśmy na wpół oswojonych koniach z jego hodowli do Vaketimu. Kiedyś była to farma taka jak inne, ale właścicielowi się nie wiodło, ziemię rozprzedał i postawił sobie knajpę, przy niej sklep i w ten sposób na pustkowiu, na skraju suchego stepu i gór, powstał załazek miasteczka. Handlarzom zbożem opłacało się przyjeżdżać właśnie tutaj, gdzie żądni zakupów interesanci mogli ich łatwo znaleźć. To samo dotyczyło pośredników w handlu bydłem czy końmi. Moi towarzysze entuzjastycznie witali się ze znajomymi, których nie widzieli tydzień, dwa, czasami nawet i miesiąc, i dwójkami się rozjeżdżali. Zrozumiałem, że jako gospoda służy tutaj każdy sklep, kram, prowizoryczny namiot. Prawa wyszynku i karczmarzkiego najpewniej się tutaj nie przestrzegало.

Zatrzymałem się przed rozległym piętrowym domem, który był dwa razy większy niż główny budynek na farmie Flema. Z drugiej strony, o wiele gorzej zbudowany. Uwiązałem gniadosza przed wejściem i wszedłem do stajni po trochę owsa. Nabrałem go do worka i zawiesiłem zwierzęciu na szyi. W podobnych miejscach za karmę placiło się razem z własnymi wydatkami.

Kiedy wracałem z wiadrem wody, ujrzałem przy swoim koniu dwóch mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widziałem.

–Bardzo dobre zwierzę, stary Flem przywiózł je tutaj piętnaście lat temu i przez cały ten czas udoskonala hodowlę. Proponowali mu za nie niezłe pieniądze, ale nie chce nikomu dać swoich ogierów.

Cofnąłem się do stajni i czekałem. Obaj mężczyźni wyglądali na koniarzy. Gniadoszowi w żaden sposób nie przeszkadzały ich profesjonalne oględziny.

–I jest sprytnie oznakowany, nie da się tego łatwo przerobić. – Jeden z nich kiwnął na znak.

–Nie radziłbym ci nawet o tym myśleć – zaśmiał się drugi i wskazał ręką w stronę drzwi. – Chodźmy się lepiej napić. Przed laty ktoś ukradł Flemowi parę koni. Nie skończył dobrze. Znaleźli go na pustkowiu, martwego.

Zostawili gniadosza w spokoju i skierowali się do wyszynku.

–To było kiedyś, teraz Flem jest już starszy – oponował ten, który przyglądał się znakowi farmera.

–Ale ma na farmie tego byłego żołnierza. To jeszcze większy gnojek niż sam Flem. A poza tym, nie mów o człowieku, że jest stary, dopóki trzyma się na nogach -usłyszałem jeszcze, zanim weszli do środka.

Zająłem się koniem, myśląc jednocześnie o rozmowie, którą podsłuchałem. W ciągu

czternastu dni, które spędziłem na farmie, zauważyłem, że były żołnierz podoba się Joan, chociaż jest o wiele od niej starszy. Tylko że Joan była dziewczęciem z farmy. Pytanie brzmiało: czy miała jakiś wybór? Jej ojciec udawał, że tego nie widzi, Bokeli zachowywał się podobnie. Ale dlaczego tak długo tam przebywał? Następnie, wiedziony nagłym impulsem, odwiązałem konia i odprowadziłem go na tyły wyszynku. Dopiero później skierowałem się do środka.

W gospodzie panował ruch typowy dla późniejszej godziny, kominek, w którym paliły się olbrzymie polana, marnie ciągnął i salę wypełniał szary dym. Parę osób ciekawie mi się przyglądało, ale większego zainteresowania nie wzbudziłem. Nieznajomi nie byli tu z pewnością nikim wyjątkowym. Zamówiłem dzban wina i z

nim usunąłem się w róg, skąd widziałem całą salę, zaledwie dwa kroki od okna, przez które, przy odrobinie dobrej woli, dałoby się wyskoczyć na zewnątrz.

–Wczoraj byli u mnie ludzie Kilwa – słyszałem rozmowę dwóch mężczyzn przy stole obok. – Chcieli odkupić moją ziemię.

Wino miało taki smak, jakby było przez długi czas przechowywane w otwartej, brudnej beczce. Ale dało się je jeszcze pić – z zatkanym nosem, żeby aż tak bardzo nie przeszkadzał zapach octu.

Powiew świeżego powietrza rozrzedził dym w sali, brzęknęły ostrogi, rozległ się głośny szyderczy śmiech.

–Widzę, że jest pełno, to dobrze! – powiedział ktoś.

Znałem ten głos. Wraz ze wspomnieniem przeszedł mi mróz po plecach, upadek ze ścieżki wysoko w górach miałem zbyt świeżo w pamięci. Siedziałem i czekałem, aż będę mógł dokładniej przyjrzeć się mężczyźnie, który próbował przejechać mnie wozem.

Symetryczna twarz, dłuższe, lekko pofalowane włosy, szeroki w ramionach, wąski w pasie, nogawki spodni modnie rozszerzone u dołu, skórzane rękawice z wołowej skóry. Towarzyszyło mu czterech mężczyzn, którzy mniej lub bardziej starali się naśladować jego styl, ale żaden z nich nie wyglądał jednocześnie na takiego pewnego siebie elegancika, pana tutejszej okolicy albo kogoś, kto się za niego uważał.

Podszedł do szynkwasy, zamówił wódkę dla całej swojej bandy i zaczął rozglądać się po obecnych.

–Hernand, Ficult, Klaven – wymieniał imiona obecnych. – Same plotki. –

Uśmiechnął się i wlał w siebie kieliszek gorzalki.

Nikt nie zareagował na jego obelgi, wszyscy czekali. Elegancik był uzbrojony w miecz jeździecki w zdobionej pochwie, jego ludzie w szable lub zwyczajne noże myśliwskie.

–Kupię od was waszą ziemię. Za sto pięćdziesiąt od każdego, kto tu siedzi.

–To mniej niż połowa rzeczywistej ceny – mruknął ktoś. – Dlaczego miałbym sprzedawać tanio?

Elegancik wzruszył ramionami.

–Jutro zaproponuję mniej.

Wtedy zauważył mnie. Widziałem, jak myśli, jak stara się mnie jakoś skojarzyć i stopniowo w jego oczach zapalają się światełka poznania. Skrzywił się, na poły z

wściekłości na poły z zadowolenia. Rozumiałem ten grymas. Zdobycz mu uciekła, ale teraz mógł to naprawić.

–Ludzie, tutaj jest ten łaźęga, którego goniliśmy – warknął i dał znak barmanowi, żeby nalał mu jeszcze jeden kieliszek. – Kradł u nas w posiadłości i uciekł. Jest mój! – oznajmił w przestrzeń.

–Kłamiesz – odpowiedziałem spokojnie. – Próbowaleś mnie zabić bez powodu, kiedy potrzebowalem pomocy.

Mogłem sobie zaoszczędzić trudu, ponieważ w sali nikt się nawet nie poruszył. Miałem trzy noże przeciwko pięciu dobrze uzbrojonym mężczyznom, wciąż jeszcze nie byłem w najlepszej formie, a teraz, pod koniec męczącego dnia, ledwo trzymałem się na nogach. Nie było to dobre połączenie.

–Zwiążcie go, weźmiemy złodzieja ze sobą – polecił elegancik.

Dwóch jego ludzi się ruszyło, każdy zbliżał się do mnie z innej strony. Wciąż siedziałem i to ich trochę denerwowało. Kamionkowy dzban z winem był mocny i wyglądał, jakby wytrzymał już niejedną ostrzejszą sytuację. W ręce faceta z ostrogami wielkości talerzy pojawił się gruby kij. Rozmowy ucichły już jakiś czas temu, teraz zagościła cisza przerywana tylko trzaskiem polan i skwierczeniem ognia. Krok za krokiem zbliżali się jednocześnie niczym dwaj tancerze. Złapałem dzban w rękę i z całej siły rzuciłem nim w twarz mężczyźnie z kijem. Jego kompan ruszył w moją stronę, z długiego wykroku zamachnął się do bokerskiego sierpowego. Wykorzystałem własny ruch obrotowy, przedramieniem zablokowałem cios, drugą ręką zahaczyłem o jego pachę, wcisnąłem się pod nią i niskim przerzutem przez ramię posłałem go na spotkanie ze ścianą za sobą. Zadudniło, ale nie puściłem rękawa jego kurtki. Zaraz przyciągnąłem człowieka za rękaw do siebie i przyłożyłem mu do szyi nóż. Wszystko razem trwało zaledwie moment, nikt się nawet nie poruszył. Mężczyzna, którym rzuciłem, a teraz trzymałem jako zakładnika, dopiero w tej chwili zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, co mu się przydarzyło. Jego kompan leżał na ziemi z krwawą maską zamiast twarzy, wszędzie leżały mniejsze i większe kawałki dzbana.

–To ci nie pomoże i tak cię dostaniemy – wycedził przez zęby elegancik.

W jego oczach widziałem, że najchętniej rzuciliby się na mnie bez względu na to, co spotka jego ludzi, ale tutaj nie mógł sobie pozwolić na bijatykę. Przeszedłem ze swoją tarczą tyłem do ściany w stronę drzwi, a na zewnątrz pchnąłem mężczyznę z powrotem do karczmy. Zrobił kilka chwiejnych kroków i upadł na ziemię.

Nie ścigali mnie.

–Znajdę cię, nie takie to trudne – krzyknął jeszcze za mną elegancik.

Dlaczego nie?

* * *

Szare Oko siedział przy małym ognisku naprzeciw Srebrnego Włosa i czuł, że naczelnik w zamyśleniu mu się przygląda. –Nadchodzi czas zmian – skonstatował stary wojownik. – Widzisz to w wodzie, ja to czuję w powietrzu. Wola władcy ludzi z nizin znów dotarła aż do nas.

–Jak już wiele razy wcześniej – zgodził się szaman.

–Ty i pozostali czarownicy zagląдалиście w przyszłość i za każdym razem widzieliście, co jest dla naszego ludu, dla wolnych łowców, najlepsze. Jak się obronić przed niezliczonymi żołnierzami, jak pozostać wolnym – kontynuował Srebrny Włos.

Szaman skinął głową, zamiast odpowiedzi mimowolnie dotknął woreczka chroniącego jego duszę, który nosił na szyi tak jak wszyscy mężczyźni plemienia. Pewnie by się dziwili, co w nim

ukrywa. To była jednak największa tajemnica każdego mężczyzny, a szaman nigdy nikomu nie zamierzał mówić, że w jego woreczku jest tylko glina. Ziemia zebrana z dziesięciu miejsc ich gór,

–Teraz nie jesteś pewien – oznajmił po długiej przerwie Srebrny Włos.

Niebo było jasne, obaj starsi mężczyźni czuli, jak do ich ciał, nawet przez skóry, w które się zawinęli, przenika chłód.

Szaman ciągle trzymał w dłoni swój woreczek.

–Nie jestem pewien. Przyszłość to nie płaszczyna, którą łatwo obejrzeć. Jest jak góry, pełna wąwozów, dolin, które otwierają się przez tobą z zaskakującą szybkością, pełna przepaści i podstępnych żlebów. A teraz wydaje mi się, że więcej niż zazwyczaj pozostaje ukryte. Straszliwy zabijaka jest jak posłaniec, posłaniec, który zmienia przyszłość. Naszą, swoją i całego świata.

Szare Oko mocniej owinał się skórą i zamilkł, jakby przemówienie go wyczerpało.

–Wiem tylko, że przyszłość plemienia związana jest z Silną Ręką, Chłodną Myślą, Wilkosepem i oczywiście z nami dwoma – dodał po chwili.

–I twierdzisz, że musimy zniszczyć straszliwego zabijakę za wszelką cenę? – upewniał się naczelnik.

–Widziałem mężczyznę z dwukrotnie złamanym nosem, wysokiego, chudego wojownika, jak przechodzi przez nasz obóz, przygląda się ciałom kobiet i dzieci, nikt z Tanhotów nie został żywy – wyszeptał szaman.

Srebrny Włos był pewien, że szaman widział jeszcze wiele więcej, ale nic nie powiedział.

–Jeśli się pojawi, zabijemy go – zdecydował w końcu.

Albo przynajmniej spróbujemy, dodał w duchu.

* * *

Dłużej już nie zatrzymywałem się w Vaketimie. Kupiłem jedynie parę dobrych noży i potężny tasak z asymetrycznym grotem i delikatnie rozszerzającym się ostrzem. Nie wyglądał na to, ale był dobrze wyważony i nie przeszkadzał w poruszaniu się. Na farmę Flema mimo to nie dotarłem jako pierwszy, Bokeli był już z powrotem i dyskutował o czymś poważnie i posępnie z farmerem. Udałem się do miejscowej kuźni i zacząłem doprowadzać broń do normalnego wyglądu. Oznaczało to długie godziny szlifowania ostrzy. Skończyłem, kiedy zaczęło się ściemniać, miałem obolałe palce i oczy pełne żelaznego pyłu. Wiedziałem, że jutro będę kontynuował. Po drodze do studni, gdzie szedłem się obmyć i napić, ujrzałem dwie postaci przy poręczy ogrodzenia, do którego przywiązywano nieposkromione roczniaki. Bokeli i Joan. On opierał się o ogrodzenie, ona stała przed nim, jej sylwetka w mroku nocy była kobieca i delikatna. Nie widzieli mnie, ani nie słyszeli, bycie niewidzialnym stało się moją drugą naturą. Bokeli wyciągnął rękę, jakby chciał przytulić lub pogłaskać dziewczynę, później zaś przyciągnął ją do siebie.

–Ojciec nie wyjedzie, znam go – powiedziała.

Nie chciałem ich szpiegować czy przeszkadzać, dlatego szedłem w swoją stronę jeszcze ciszej niż poprzednio.

–Tak, nie wyjedzie – zgodził się.

Usłyszałem szelest materiału i skrzypienie skóry, ale nie odwracałem się.

W domu zastałem farmera samego przy stole. Siedział przed talerzem z niedojedzoną

kolacją i w połowie opróżnioną butelką czystej gorzałki. Obok jego dłoni leżał kieliszek, pusty wzrok miał wbity w ścianę przed sobą. Kiedy wszedłem, spojrział na mnie, ale wciąż milczał.

Z misy na stole kuchennym nałożyłem sobie jedzenia i w ciszy zacząłem je pochłaniać. Wypieczona wołowina z kukurydzą i fasolą. Proste, pożywne, dobre. Z milczenia wyrwał nas dźwięk zbliżających się koni.

–Pana ludzie wracają z Vaketimu? – rzuciłem. Gospodarz otrząsnął się z milczenia i pokręcił głową.

–Moje konie mają dłuższy krok.

Odsunąłem talerz, on wstał ze skrzyni służącej jako ława i wyciągnął kuszę. Spojrzeniem sprawdził luzysko, wsunął nogę w strzemię, siłą tułowia naciągnął cięciwę i założył belt. Drugi włożył do kieszeni płaszcz. Na zewnątrz wyszliśmy razem. Nigdzie nie widziałem Joan, Bokeli stał przed bramą, którą teraz ktoś z zewnątrz otwierał. Nieśli ze sobą pochodnie, my tonęliśmy w ciemności. Przesunąłem się w bok, w miejsce zacienione przez ścianę, żeby przybysze nie mogli mnie zobaczyć. Bokeli zaledwie obrzucił mnie spojrzeniem, ale nie powiedział nic. Trzask ognia, migoczące cienie fasady bramy, przestępowanie koni i stłumione szepty mężczyzn. W końcu udało im się odsunąć zasuwę, zawiasy zaskrzypiały.

–Na wizytę trochę za późno, Grahamie – oznajmił głośno Bokeli.

Jeźdźcy tłoczący się przed bramą zamarli. Było ich siedmiu, wśród nich poznałem elegancika. Uprząż jego konia mieniła się srebrem, tak jak i kurtka, której nie miał w gospodzie.

–Trochę późno, ale przyjeżdżam w ważnej sprawie – odpowiedział Graham-elegant i wyjechał przed pozostałych. – Słyszałem, że ma pan u siebie mężczyznę, który uczynił kaleką jednego z moich ludzi, drugiego zranił. Przyłapaliśmy go u nas na farmie na kradzieży. Mój ojciec chce go ukarać.

Wstrzymałem oddech. Ludzie Grahama tym razem byli lepiej uzbrojeni niż w gospodzie. Miecze, siekiery, jeden miał na ramieniu luk. Już wiedzieli, czego mogą się po mnie spodziewać. Flem z Bokelimi nie musieli z mojego powodu ryzykować własnego życia. I życia Joan, na której zależało obu.

–Nikogo takiego, kto by kradł u was na farmie, tutaj nie ma – odpowiedział zdecydowanie Flem.

Kuszę trzymał na przedramieniu, palec wskazujący tuż przy spuście. Koń jednego z jeźdźców nieoczekiwanie postąpił w przód, farmer w niego wycelował, jakby pół życia nic innego nie robił.

–Nikogo z was nie zapraszałem i nie zaproszę dalej. Jeśli chcecie jeszcze coś mi powiedzieć, to z miejsca, gdzie teraz stoicie. Kto wjedzie do środka, dostanie strzałę w pierś.

–Jest nas siedmiu – zwrócił mu uwagę Graham.

–Każdy ma tylko jedno życie – odpowiedział cicho farmer.

Jeźdźcy kroczyli po kroczyku wycofywali się, Graham został teraz sam. Wynajął wprawdzie naprawdę ostrą zgraję, ale nie tak ostrą, żeby po prostu napadła na szanowanego człowieka, który ponadto był zdecydowany się bronić. Tego nauczą się z upływem czasu.

–Mam jeszcze jedną rzecz, którą chciałem omówić. Odkupię twoje grunty. I konie. Za trzy setki wszystko razem – zmienił temat.

Konie prychały, z pochodni skapywała rozżarzona smoła, migoczące płomienie wydobywały

z ciemności zacięte twarze, na których odbijały się żądza i obawa. Twarze mężczyzn stojących na skraju wojny.

–Za tysiąc – zaproponował mu Flem.

Zauważyłem, jak trudno było mu wypowiedzieć te słowa. Nie chciał stąd odchodzić, nie chciał opuścić ziemi, której poświęcił tyle potu i lat życia. – Tysiąc to dobra cena. Nawet bardzo dobra.

Elegancik przysiadł, aż brzęknęły jego ostrogi.

–Może kiedy indziej byłaby to dobra cena. Nie dziś. Żołnierze cesarza odchodzą, jeśli tego jeszcze nie wiesz. Nie będą już chronić małych ziemio Gryzów przed atakami dzikusów z gór. Utrzymają się tylko duzi i silni. A ty taki nie jesteś. Tych siedmiu ludzi, których oplacasz, to mało, ponadto nie masz środków, żeby ich utrzymać przez cały rok. Weź cztery setki albo zostań. Pewnego dnia tu przyjadę i znajdę twój dom spalony, ciebie martwego, a twoją córkę zgwałconą przez tuzin tych drani. W ostatnim zdaniu można było wyczuć tłumione pożądanie.

–Daj mi swą córkę, a znajdzie się dla ciebie, u mnie na farmie, utrzymanie na starość. – Graham wygłosił kolejną propozycję.

To już nie była rozmowa handlowa, Graham dał się ponieść i zażądał więcej niż powinien.

–Spadaj stąd – odpowiedział Flem. – Jeśli zobaczę ciebie albo kogoś z twoich ludzi blisko mojego domu, zabiję.

Graham syknął i sięgnął po miecz przy boku, ale zatrzymał się, kiedy ujrzał grot beltu wymierzony przez farmera prosto w niego.

–Krok w przód i jesteś martwy.

–Zabiję cię i tak cię zabiję – warknął wściekle Graham, zawrócił konia i odjechał cwałem w ciemność razem ze swoją bandą.

*** * ***

Nikt z nas nie wrócił do domu. Bez porozumienia wybraliśmy każdy sobie inne miejsce stróżowania i czekaliśmy, czy przypadkiem banda Grahama nie wróci. Spotkaliśmy się dopiero o świcie, odrętwiali, zmęczeni i jeszcze bardziej milczący niż wieczorem. Czekala na nas gorąca kawa, obfita porcja smażonych jajek i słoniny. Joan wiedziała, czego potrzeba mężczyźnie, który całą noc spędził na dworze.

–Zostanę tutaj – przerwał ciszę Flem. – To niezły kawał ziemi, dobry do hodowli koni. Nie dałbym już rady zaczynać od nowa. Ale ty powinnaś wyjechać – zwrócił się do swej córki. – Jeśli masz z kim – pytanie zawisło w powietrzu.

Myślałem o tym, co usłyszałem w Vaketimie, co powiedział Graham i co sam wiedziałem o sytuacji w pobliżu Śnieżnych Gór. Już od ponad stu lat crambijscy władcy bezskutecznie starali się podbić górskich łowców. Nie udało im się. Później próbowali przynajmniej wykorzystać urodzajną ziemię podgórza do uprawy zboża i hodowli bydła. Również tylko z częściowym sukcesem, ponieważ dzicy z zadziwiającą przezornością niszczyli farmy, niegotowe twierdze, po prostu wszystkie załączki cywilizacji, które mogły być później wykorzystane jako miejsca wypadowe do walki z nimi. Może to był przypadek, może tylko dowód ich wojowniczości i zapалу do walki. Dwadzieścia lat temu cesarz zdecydował się definitywnie ucywilizować teren wokół gór i kazał wybudować twierdze wojskowe chroniące przybywających osadników. Ci, za to, że będą uprawiać i użyźniać tysiące hektarów gruntów leżących odlegiem, na pięć pokoleń

byli zwolnieni z podatków. Teraz jednak coś się zmieniło – armia odchodziła.

–Zostanę z tobą – odpowiedziała Joan i wszystkim nam doląła kawy.

Obserwowałem, jak się krząta wokół kuchni z szelestem sukni. Widziałem, jak przygląda się jej Bokeli, z podziwem i czułością, których nigdy nie spodziewałbym się zobaczyć w jego twardej twarzy. Może był już naprawdę zmęczony życiem, jakie kiedyś prowadził, i chciał tu zostać. Może.

Po pewnym czasie, gdy okazało się, że dzicy z powodu obecności żołnierzy nie są w stanie wymordować wszystkich osadników, po pierwszych odważnych

ryzykujących życie przybyli bogaci kupcy i przedsiębiorcy szlachcice, żeby zagarnąć swoje własne terytoria. Tylko że najlepsze miejsca były już zajęte. A teraz, kiedy armia odejdzie, tylko ci bogaci zdołają obronić się przed najazdami. Zastanawiałem się, czy było to polityczne posunięcie cesarza, czy skomplikowana rozgrywka prowadzona przez niektórych szlachciców. Jedno i drugie mogło być prawdą.

–Na dwóch mężczyzn moglibyśmy pozwolić sobie przez cały rok – powiedział w zamyśleniu Bokeli.

Farmer spojrzał na niego.

–Dwóch to mało. Wszyscy wokół będą mieć dziesiątki jeźdźców, a my jesteśmy najbliżej gór, pierwsi w kolejce. Czasem odnajduję ślady ich zwiadowców nawet teraz.

–To muszą być dobrzy ludzie – odrzekł Bokeli. – Rozejrzę się za nimi.

Milczałem, ponieważ los tej trójki prędzej czy później zostanie przypieczętowany. Będą żyć w ciągłym strachu i pewnego dnia, prawdopodobnie zimą, kiedy życie łowców jest najcięższe, napadnie na nich wyprawa myśliwska Tanhotów i zginą.

* * *

Poranek następnego dnia zastał mnie w górach. Zmierzalem w stronę karkołomnej ścieżki, która o mało nie stała się ostatnią w moim życiu. Byłem wdzięczny Flemowi, Joan i właściwie też Bokeliemu za uratowanie życia. Nie lubię długów. W głowie miałem plan, któremu nie dawałem większych szans niż jeden do dwóch, ale coś jest lepsze niż nic. Było jasno, dzięki rześkim porywom wiatru nie było mi gorąco, nawet kiedy ostrym marszem szybko posuwałem się w górę. Podróżowałem z ekstremalnie lekkim bagażem, miałem ze sobą tylko najpotrzebniejsze zapasy suszonego mięsa pokrojonego w cienkie plastry, jeden koc, noże i tasak, to wszystko.

Drugiego dnia podróży znów znalazłem się na starej ścieżce. Mimo że się spieszyłem i nie oszczędzałem sił, czułem się lepiej niż na początku podróży. Siły mi wracały, jakby wchodziły w żyły wraz z uczuciem samotności, wolności, poczuciem nieba nad głową i nieujarzmionej ziemi pod nogami. To było dobre, ponieważ, jeśli miałem przeżyć, potrzebowałem całej sprężystości i sprytu samotnych wędrownych wilków. Potrzebowałem jej, ponieważ wstąpiłem właśnie na wojenną ścieżkę, chciałem wypowiedzieć wojnę Tanhotom.

* * *

Najgorsze było ponowne wejście na ścieżkę, gdzie przed upadkiem chroniła człowieka tylko przyczepność podeszew mokasynów i siła jego palców. Żołądek zmienił mi się w kawał lodu, po plecach przechodziły zimne ciarki, choć jednocześnie na czole perlił się pot. Czułem strach, bałem się, że znów spadnę... i znów jakimś przerażającym cudem przeżyję. Nie spadłem, szedłem dalej po ścieżce. Obok pamiętnego miejsca przeszedłem obojętnie. Tym razem wiedziałem o możliwości zasadzki, ponadto nie czekała mnie niespodzianka w postaci

indiańskiego wojownika. Albo młodzieńca usiłującego stać się wojownikiem plemienia, jak podpowiadał rytuał dorosłości, który w tym czasie przechodził. Miałem nadzieję, że po tym, jak się mnie pozbył, przestał uważać i zostawił za sobą więcej śladów. Miałem też nadzieję, że je odnajdę po ponad trzech tygodniach, które minęły od naszego spotkania.

Gdyby nadciągnęła burza, miałbym pecha. Teraz, pod koniec babiego lata, pogoda się ustabilizowała, więc przynajmniej miałem szansę. Pomocny okazał się również sam teren. W górach nie było zbyt wiele dróg, zwłaszcza tutaj, coraz bliżej grani. Na pustym zboczu od czasu do czasu zieleniła się kępka wytrzymałych zarośli albo porostów zdobiących głazy całą paletą barw, od jasnozielonej aż po rdzawy kolor uschniętych roślin. Oczywiście jeśli porosty można uważać za rośliny. Kilkakrotnie przechodziłem po rozległych, delikatnych, żywych dywanach, na których chłopak, mimo swych starań, pozostawił dobrze czytelne ślady. Tutaj, w pół drogi między niebem a ziemią, w chmurnym cieniu gór, gdzie deszcz pada tylko od czasu do czasu, a zbyt cienka warstwa gleby zamienia zbocza w skalną pustynię, miną całe lata, zanim ślady znikną.

O zachodzie słońca stałem na grani, właściwie w wąskim przesmyku. Szaleńczy wiatr targał mi włosy, chłodził tak, że aż na skórze szeleścił drobny pył, który wiatr przywiał z oblodzonych szczytów na północy. Przedemną rozciągało się kamieniste pustkowie rozszerzającej się grani, trudna do przejścia powierzchnia pełna głazów, w rozpadlinach nawet teraz, pod koniec cieplej pory roku, bielił się śnieg.

Zszedłem kilkadziesiąt metrów niżej na górski płaskowyż, znalazłem zakątek osłonięty od wiatru, zawinąłem się w koc i pozwoliłem, żeby wycie wiatru kołysało mnie do snu. Wiedziałem, że noc będzie chłodna, ale droga zabrała mi więcej czasu niż zakładałem i musiałem przenocować bezpośrednio na grani.

Drzemalem pod gwiazdami, w pustej przestrzeni, która była jednocześnie pełna życia, sam, opuszczony, stanowiąc jednocześnie nieodłączną część niekończącego się cyklu przyrody. Czulem się tak szczęśliwy, jak tylko może się czuć taki włóczęga jak ja, a w przyszłość, jakakolwiek by miała być, patrzyłem z ufnością.

Przed świtem to podniosłe uczucie mnie opuściło, może była to wina zdrętwiałych z zimna gnatów lub zmęczenie przed czekającym mnie zadaniem. Stałem na głazie, obserwowałem porozrywany płaskowyż pod sobą i czekałem, aż ukośne promienie słońca odkryją rzeczy, których nie widać w pełnym świetle. Można w ten sposób odnaleźć stare, dawno zapomniane, zasypane drogi, podwaliny prastarych grodów lub wodociągi. A także dróżki, jeśli na odpowiednim terenie wydeptywane są przez ludzi przez całe pokolenia. I jedna taka, wiodąca przez trudne do przebycia pustkowie, na której nogi połamałaby sobie nawet górską kozica, pojawiła się przede mną w świetle wschodzącego słońca. Dzicy łowcy chodzili po niej całe dziesiątki lat, za każdym razem w najlepszym do przejścia miejscu, ich ręce wygładziły kamienie tam, gdzie się przytrzymywali, stopy zmieniły strukturę powierzchni skały w miejscach, gdzie odpoczywali i przygotowywali się do kolejnego trudnego kroku. Przyglądałem się tym drobnym śladom i starałem wbić je sobie w pamięć. Później słońce weszło trochę wyżej i zarysy ścieżki się rozplynęły, jakby nigdy nie istniała.

Bez pomocy niskiego słońca nigdy by mi się to nie udało i zgubiłbym się po paru krokach. Po karkołomnej mozolnej wędrówce, kiedy w ciągu trzech godzin przeszedłem co najwyżej pięć kilometrów, dotarłem do krawędzi płaskiej grani. Już pierwszy rzut oka zaparł mi dech.

Jakieś tysiąc metrów pode mną znajdowała się kotlina, o której nie miałem najblidszego pojęcia. Tam, gdzie człowiek znów spodziewał się mnóstwa ostrych skał i kamieni, niegościnnych gór, znajdowała się zielona niecka. Linia gór naprzeciwko oddalona była o około pięćdziesiąt kilometrów, na wschodzie rozciągało się jezioro, którego końca nie mogłem dojrzeć, w kierunku północnego zachodu z jeziora wypływała rzeka, która gubiła się między stożkowatymi górami na zachodzie. Leżałem na krawędzi stromizny i starałem się zapamiętać mapę terenu.

Dolina rzeki stanowiłaby naturalną drogę tutaj, do wnętrza Śnieżnych Gór. Tylko że nic takiego nie istniało. Pokolenia cesarskich oficerów tak łatwą drogę dostępu z pewnością by wykorzystały. W innej sytuacji ucieszyłbym się, że mogę zbadać coś tak szczególnego, ale teraz miałem co innego do roboty. Wojnę z Tanhotami albo przynajmniej jednym z plemion, które żyły w okolicy

Zacząłem przyglądać się terenowi pod sobą innym wzrokiem. Szukałem oznak osiedlenia, dróg, wsi, obozów. Szukałem miejsc, gdzie sam bym się osiedlił. Śnieżne Góry zajmowały powierzchnię kilkudziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, z czego nad większością cesarz nie miał kontroli. Takich dolin mogło być tutaj kilka. Tylko że młody wojownik kierował się właśnie tutaj. Przy trzecich oględzinach to zobaczyłem: niewyraźne skupisko kropek, które mogły być domami, chatami albo dużymi namiotami. Brzeg jeziora wyglądał jakby ktoś przerobił go na swoją modłę. Na podstawie kompasu w rękojeści sztyletu, który odzyskałem od Bokeliego, wyznaczyłem kierunek i zacząłem schodzić.

Z każdym metrem w dół znajdowałem się w innym świecie. Przybywało wilgoci, niskie zarośla kosodrzewiny szybko zmieniły się w niebotycznie zieloną świątynię gigantycznych sekwoi. W dolinie było wystarczająco dużo wilgoci. Sekwojowy las był przestronny, pod nogami czułem miękką dywan opadającej, wiecznie się odnawiającej kory olbrzymich iglaków. Czasem miałem poczucie, że idę obok wież, a nie żywych drzew. Wysoko w koronach śmigały ptaki, których nie umiałem nazwać, czasem widziałem sarnę czy jelenia. Tanhoci z pewnością tutaj nie polowali, być może ten teren był dla nich jakimś świętym miejscem.

Żadnego śladu już nie znalazłem, kierowałem się zgodnie z kompasem do miejsca, gdzie najprawdopodobniej znajdowała się osada myśliwska.

Sekwojowy las skończył się, gdy tylko zszedłem ze zbocza i dotarłem na dno niecki. Olchy rosnące wzdłuż licznych potoków przeplatały się z bukami i jodłami. Tutaj poszycie było gęstsze, poruszałem się wolniej i ostrożniej. Wielokrotnie trafiałem na ścieżki wydeptane przez ludzi lub zwierzyne. Po chwili, kiedy zorientowałem się już w charakterze lasu i wiedziałem, na co mogę sobie pozwolić, a na co nie, znów przyspieszyłem. Po południu dotarłem aż do wody. Tutaj oznaki ludzkiej obecności były bardziej widoczne. Wierzby pozbawione najdłuższych gałęzi, klony i wiązy bez kory, odkryłem miejsca, gdzie myśliwi zastawiali sieci na ryby częściej niż gdzie indziej. Osady jednak wciąż nigdzie nie widziałem. Powoli i ostrożnie poruszałem się wraz z nurtem rzeki wypływającej z jeziora. Przemieszczałem się z kryjówki do kryjówki, nasłuchiwałem i wyczekiwałem. To była ich ziemia, co oznaczało, że w grze, którą planowałem rozegrać, oni będą mieli przewagę.

Osadę ujrzałem w miejscu, gdzie prąd rzeczny zaczął być już dobrze widoczny. Na przeciwległym brzegu, oddalonym o połowę zasięgu strzały dużego łuku, tłoczyły się chaty z drewna, wikliny, kory i gliny – zimowy obóz plemienia myśliwych. Widziałem

kobiety pracujące na brzegu, czasem mignął mi jakiś mężczyzna. Na szczegółową obserwację było jednak za daleko. Musiałem widzieć jak najwięcej, tylko tak mogłem odnieść sukces. To znaczyło, że muszę pokonać rzekę. Tanhoci nie chodzili ubrani w przepaski na biodrach, jak dzicy opisywani zazwyczaj w marnych książkach podróżniczych, ale w normalnej odzieży. Nie udało mi się rozpoznać: ze skóry, czy materiału. Typowałem to pierwsze. Pokonanie rzeki oznaczało zanurzenie się w wodzie, która co najmniej w połowie była zasilana topniejącymi lodowcami, a następnie wysuszenie się bez użycia ognia. To będzie mnie kosztować utratę energii, której mogę potrzebować później. Przesunąłem się jeszcze kawalek dalej z prądem, gdzie nurt rozdzielało kilka wysepek.

Zastanawiałem się, czy leżą wystarczająco wysoko nad powierzchnią rzeki, żeby były suche, i czy z którejs z nich będę miał wystarczająco dobry widok. Nie pozostało nic innego niż spróbować. Czekalem do zmroku w wysokiej ostrej trawie, która za każdym razem, kiedy nie uważałem, zostawiała na mojej skórze ślady w postaci krwawiących zadrapań. Czasem niedaleko mnie coś szeleściło, ale nic nie widziałem. Wąż, bóbr, wydra, mysz, to mogło być cokolwiek. Czekalem, jak wiele razy wcześniej i jak jeszcze wiele razy będę – o ile tę małą wojnę przeżyję.

O zmroku, zanim jeszcze zapanowała zupełna ciemność, rozebrałem się do naga, ubranie i zapasy starannie związałem w węzelek, do gołego ciała przymocowałem tylko rzemień ze sztyletem i trzema nożami do rzucania. Krok po kroku szedłem w trawie do przodu, starałem się nie uszkodzić znieczulonych zimnem palców stóp, wykręcałem się bokiem, żeby jak najłatwiej przedostawać się przez gęstą trawę. W końcu pod stopami zachlupotała mi woda. Jeśli przed chwilą czułem, że robi mi się zimno, byłem w błędzie. Posuwałem się coraz dalej, w pewnej chwili o mało nie zabiłem się o kamień ukryty pod powierzchnią. Ciemność była teraz jeszcze większa, kierunek utrzymywałem tylko na podstawie gwiazd na niebie. Wysepka, którą wybrałem, leżała dokładnie pod czerwonawo świecącym Arkturem i jeszcze przez jakiś czas tak będzie, dopóki sklepienie niebieskie się nie obróci. Straciłem już grunt pod nogami i musiałem płynąć. Rzeka była tutaj jeszcze stosunkowo leniwa, a jej powierzchnia spokojna. Usilnie się starałem, żeby nie zamoczyć ubrania. Ono miało mnie później ogrzać.

Droga na wyspę wydawała się nie mieć końca, byłem pewien, że zgubiłem kierunek, ale nie pozostawało mi nic innego, niż posuwać się wciąż naprzód w

lodowatej wodzie. W najgorszym razie dotrę do przeciwległego brzegu. Nagle boleśnie uderzyłem kolaniem o skałę, a rękoma oparłem się o ostrą kamienistą powierzchnię. Wysepka okazała się olbrzymim, pokrytym gliną głazem wystającym z wody. Wydostałem się na górę, przesunąłem się parę metrów i zacząłem ubierać. Odzież udało mi się uchronić przed wodą mniej więcej w połowie, ale i za to byłem wdzięczny.

Babie lato okazało się dla mnie łaskawe i jeszcze przed południem wyschnąłem i przestało mi być zimno. Miałem już za sobą kilka godzin obserwowania tanhockiego obozu: około piętnastu dorosłych mężczyzn, czterdzieści kobiet i prawie tyle samo dzieci. W ciągu dnia wróciła grupa trzech mężczyzn z ładunkiem suszonego mięsa; ci, którzy byli już w osadzie, zajmowali się rybołówstwem. Był to z pewnością obóz, w którym miało przezimować całe plemię. Zgadywałem, że jedna lub dwie grupy mężczyzn są jeszcze gdzieś na polowaniu i wrócą w najbliższym czasie. W moim planie nic to nie zmieniało.

Kolejna noc była zimniejsza niż poprzednia, ale leżałem w suchym miejscu, a w ciągu dnia

zrobiłem z trawy prowizoryczną kryjówkę, która częściowo chroniła mnie przed chłodem. Odpocząłem lepiej niż się spodziewałem.

Już o brzasku znów zacząłem obserwować obóz. Nie musiałem się do tego zmuszać ani namawiać, dobrze zdawałem sobie sprawę, że od wiedzy, jaką teraz zyskam, będzie zależał mój przyszły los. Między innymi, oczywiście. Również od tego, czy jestem tak dobry, jak mi się wydaje, i od tego, czy szczęście będzie mi sprzyjać. Nie, to właściwie nie było mi potrzebne. Bez szczęścia mogłem się obyć, z drugiej strony pech mógłby mnie zniszczyć, jak każdego innego człowieka.

Obserwowałem, gdzie składają zapasy na zimę, kto mieszka w której chacie, czyje słowo znaczy więcej, a czyje mniej. Trzeciego dnia już z wyglądu poznałem siwowłosego wodza, rozważnego mężczyznę z trzema żonami, które czasem z niego drwiły, ale skórom przeznaczonym do ich wspólnego łoża poświęcały o wiele więcej starań niż wszystkie inne kobiety w osadzie. Po ruchach rozpoznałem potężnego wojownika, który lubił bawić się z dziećmi, i który poza naczelnikiem oraz szamanem, cieszył się największym poważaniem, ale w żaden sposób tego nie wykorzystywał. Najlepszym obserwatorem był młodszy myśliwy z długimi włosami zaplecionymi w warkocz. Ujrzałem także młodzieńca, który stracił mnie ze ścieżki. Co dziwne, nie czułem do niego nienawiści, tylko podziw – poradził sobie ze mną bardzo elegancko i z zimną krwią. Oprócz tego, że w ciągu dwóch dni obserwacji stwierdziłem, kto

lubi, który mężczyzna stara się o którą kobietę, wiedziałem, że nie trzymają wart, ale sen mają lekki niczym dzikie zwierzęta, że naczelnik co wieczór debatuje z chudym szamanem, który później oddaje się dziwnym, z pewnością narkotycznym rytuałom, podczas których tępo wpatruje się w misę z wodą.

Mój plan stopniowo się krystalizował. Trzeciej nocy ponownie wszedłem do wody i podebrałem połów z dwóch sieci na brzegu osady. Były w nich trzy duże, wyglądające na lososie ryby, które przez cały kolejny dzień jadłem kawałek po kawałku na surowo. Już dawno się przyzwyczailem, że jedzenie jest od tego, żeby dodawało sił. Przyjemność smaku była luksusem, na który mogłem pozwolić sobie rzadko. A w niektórych krajach świeżego surowego lososia serwowano tylko na stoły bogaczy. A ja teraz takich delikatesów miałem ile wlezie. Dokładnie mówiąc – aż robiło mi się od nich niedobrze. Wiedziałem jednak, że w ciągu następnych dni będę potrzebował wszystkich swoich sił, więc kęs po kęsie wpychałem w siebie białe, delikatne mięso i starałem się nie zauważać jego nieciekawego mazistego smaku.

* * *

Srebrny Włos usiadł przed szamanem i starał się nie pokazać po sobie swojej niepewności. Chłodna Myśl wraz z dwoma innymi wojownikami po raz kolejny wyrażał niezadowolenie z niejasnych wizji Szarego Oka, z którymi zaznajamiał ich co wieczór na naradzie przy ognisku. Twierdzili, że szaman zataja coś ważnego i stara się skierować uwagę wszystkich na straszliwego zabijakę, który prawdopodobnie już dawno był martwy. Szare Oko po raz pierwszy od czasu, kiedy pełnił funkcję widzącego w plemienu, ustąpił i pozwolił zajrzeć do wody, ukazującej zapowiedzi rzeczy przyszłych, również naczelnikowi. Mimo że ten już wielokrotnie widział Szare Oko, a przed nim szamana, którego imię zatarł czas, wykonującego rytuał, tym razem było to coś innego, tym razem stał się jego częścią. Maść, którą natarł skórę pod oczami, pachniała odurzająco i paliła, jakby ktoś wbijał mu w twarz tysiące drobnych

igielek. Woda z małego woreczka smakowała oleście, miała posmak moczu i przejrziałych czerwonych muchomorów.

–Popatrz do misy – przykazał srogo Szare Oko i Srebrny Włos usłuchał bez wahania.

Teraz znajdował się na terytorium szamana i respektował to.

W spokojnej powierzchni wody, oświetlonej słabnącym medytacyjnym ogniem, jak dwa ciemne jeziora odbijały się oczy naczelnika. Właściwie nie oczy, ale powoli, a później coraz szybciej wirujące w jego kierunku spirale.

Srebrny Włos znalazł się na placu boju pod nienaturalnie ciemnym niebem. Kuczał nisko przy ziemi, jakby był zającem, mimo to zdołał rozpoznać dwie armie szykujące się do walki przeciw sobie na zboczach płytkiej doliny. Jedna była ogromna, tak wielu wojowników nie widział w całym swoim życiu. Druga... Srebrny Włos wstrzymał oddech. Nie miał pojęcia, że na całym świecie może istnieć tylu ludzi. I żelaza, uzupełnił, kiedy zdał sobie sprawę, jak wojownicy są uzbrojeni. A następnie w jasnowidzeniu spowodowanym czarodziejską mocą Szarego Oka rozpoznał pod proporcem mniejszego wojska straszliwego zabijakę. Walka zaczęła się bez ostrzeżenia, bez wyzwania.

Wojownicy ruszyli w swoim kierunku, ale jeszcze zanim spotkały się ich miecze, natknęły się na siebie czary mężczyzn z tyłu: ziemia, powietrze, konie i ludzie palili się, fale zagłady zabijały naraz dziesiątki, setki, tysiące. Ciekła stal mieszała się z gotującą krwią, zwęglonym mięsem.

To tylko złudzenie, złudzenie, uświadomił sobie swoją siłą woli Srebrny Włos, potrząsnął głową i wrócił do realnego świata.

Napotkał spojrzenie Szarego Oka.

–To jest przyszłość straszliwego zabijaki. Nie dziś, nie jutro, nie w przyszłym roku. Może za dziesięć, za dwadzieścia albo i więcej lat, kto wie... – oznajmił szaman chrapliwym głosem.

–Nie widziałem tam żadnych naszych ludzi, żadnych Tanhotów – stwierdził w zamyśleniu naczelnik, kiedy doszedł do siebie. – Los ludzi z nizin jest nam obojętny. Wielu wojowników by powiedziało, że im więcej będzie ich martwych, tym lepiej dla nas.

Szare Oko skinął głową.

–Widziałeś tylko kawałek przyszłości, tylko jedno z możliwych spojrzeń.

Pokażę ci kolejne, dla plemienia Tanhotów o wiele gorsze. Ale przygotuj się, że powrót z wizji będzie bolący. Dwa widzenia jednej nocy to za dużo nawet dla młodego szamana, a co dopiero dla ciebie.

Srebrny Włos skinął głową, szaman opróżnił misę, nabrał świeżej wody i zaproponował naczelnikowi nową dawkę maści i kolejny łyk upajającego, trującego eliksiru.

* * *

Przepłynąłem rzekę z ubraniem i skromnym wyposażeniem w węzełku, na gołym ciele miałem tylko rzemienie i futerały z bronią. Z wody wyszedłem w miejscu, gdzie brzeg był łagodny i bagnisty. Wytarzałem się w błocie, a potem skierowałem się w stronę drzew, na których w zawieszonych siatkach trzymali wysuszone, rozbite, a następnie ponownie zlepione solą i lepkiem sokiem klonowym mięso. W niektórych książkach takie mięso nazywano pennikan, w innych viriga. Podobno niesmaczne i niemożliwe do strawienia, dla dzikich łowców i dla mnie był to skoncentrowany zapas energii na gorsze czasy. Te właśnie się zaczynały. Ukradłem małą siatkę, szybkim i jednocześnie ostrożnym krokiem podążyłem w stronę rzeki,

gdzie na brzegu leżały długie aż na piętnaście stóp kanoe z wikliny i skóry. Na podstawie moich wcześniejszych obserwacji powinny być trzy. Domacałem się czterech. Miałem nadzieję, że żadnego nie pominąłem, ponieważ mogłoby to kosztować mnie życie. Wybrałem sobie jedno, nie najmniejsze i nie największe i krok po kroku, zatrzymując się co jakiś czas, kiedy wydawało mi się, że moje własne serce bije jak dzwon i musi obudzić każdego w okolicy, przeniosłem je do wody. Pozostałe zniszczyłem. Nie tylko podziurawiłem, ale także podciąłem główne pręty szkieletu i kleiste łyko, którym były połączone. Nie miałem pojęcia, że niszczenie czegoś w ciszy jest takie męczące. Kiedy skończyłem, uświadomiłem sobie, że z trudnością tłumię przyspieszony oddech, a na czole w zimnej ciemności perli się pot. Ale najtrudniejsze było jeszcze przede mną.

Od suchego miejsca składowania kanoe pozwoliłem sobie na zrobienie dziesięciu kroków w pozycji wyprostowanej, później położyłem się na brzuchu i czołgałem. Po drodze miałem trzy krzaczki, które w razie potrzeby mogłem wykorzystać jako kryjówkę. Właśnie w tym najmniej stosownym momencie ktoś wyszedł z najbliższej chaty. Zamarłem i siłą woli opanowałem chęć ucieczki. Leżałem na ziemi, mając nadzieję, że nie zauważy ciała wymazanego błotem, że się o mnie nie potknie. Przestałem oddychać... Szedł w moim kierunku. Minał mnie tak blisko, że czułem drganie powietrza poruszanego jego ciałem. Stał na drewnianym moło umacniającym brzeg, słyszałem, jak sika do wody, później dobiegło mnie westchnienie ulgi. W drodze powrotnej minął mnie łukiem. Zgadywałem, że chciał zobaczyć, czy szaman wciąż siedzi w miejscu do medytacji. Miałem nadzieję, że tak, ponieważ od tego zależał sukces mojego planu.

Mężczyzna, którego obudził pełny pęcherz, zniknął w końcu w chacie, więc posuwałem się dalej. W ciągu krótkiej, a jednocześnie męcząco długiej chwili oczekiwania zacząłem trząść się z zimna. Po kolejnych dziesięciu metrach niesłychanie ostrożnego czołgania się, ujrzałem w końcu szamana przy jego ogniu. Wciąż miał towarzystwo – naczelnika plemienia. Nie wiedziałem, czy to szczęście, czy pech, ale szedłem dalej, ponieważ nic innego mi nie pozostało.

* * *

Srebrny Włos się przebudził. Tym razem trwało to długo, jakby wcale nie chciał i nie powinien się budzić. Pierwszą rzeczą, jaką sobie uświadomił, był piekielny ból głowy, drugą – świetlisty pas nieba na wschodzie. Zbliżał się świt. – To było straszne – udało mu się odezwać z ciężko skrywanym przerażeniem. –

Jeśli nie zabijemy straszliwego zabijaki z dwukrotnie złamanym nosem, ukradnie nasze dusze! – powiedział i gestem, który wykonywał tak często, że stał się częścią jego życia tak samo jak oddychanie, jedzenie, wydalanie, złapał za woreczek, który od chwili, kiedy stał się mężczyzną, kołysał mu się na szyi.

Szare Oko obserwował naczelnika i zbliadł razem z nim. Później i on namacał pas skóry na karku i stwierdził, że to najgorsze stało się prawdą. Zapoznał naczelnika z wizją zbyt późno, obaj stracili swoje dusze, a wraz z nimi całe plemię.

Starzy mężczyźni patrzyli na siebie w ciszy. Jeszcze wieczorem przyszłość była świetlana, wspaniała, czekało w niej życie i śmierć, tak jak być powinno. Teraz tylko wieczne potępienie, cierpienie, zguba dla wszystkich, nawet tych nienarodzonych, ponieważ szaman i naczelnik byli odpowiedzialni za całe plemię, kierowali jego losem. I zawiedli.

Srebrny Włos ściągnął z szyi przecięty pas skóry i ścisnął go w dłoni.

– Musimy go dogonić. Dogonić i zabić, żeby odzyskać to, co ukradł. Za wszelką

cenę.

Szaman w milczeniu skinął głową. Zawiódł, teraz przyszła kolej na wojowników.

* * *

Kłęczałem w kanoe, wpatrzony w powierzchnię wody parę metrów przed dziobem. Rozlegało się tylko ciche machnięcie wiosłem, prawie niezauważalne pluśnięcie podczas wyciągania go z wody. Rzeka była na szczęście zbyt szeroka, żeby zacieniały ją

korony okolicznych drzew, dzięki czemu nawet w nocy udawało mi się dostrzec pojawiające się co jakiś czas głązy otoczone białym kołnierzem piany. Już teraz, po godzinie płynięcia, czułem, jak nurt stopniowo przyspiesza. Miałem nadzieję, że bez większego ryzyka zdołam wiosłować całą noc. A później cały następny dzień. Rozwój sytuacji będzie zależał od tego, jak szybko Tanhoci mnie dogonią. W to, że mnie dogonią, nie wątpiłem. Miałem jedynie nadzieję, że dotrę jak najbliżej wschodniego pasma górskich szczytów. Kości były rzucone, a ja mogłem tylko jedno. Wiosłować jak najlepiej umiałem, być czujnym i przygotowanym na atak dzikich łowców.

Mimo że noc należała do najchłodniejszych, które, jak dotąd, przeżyłem w Śnieżnych Górach, czułem na czole krople potu. Utrzymywałem tempo, żeby pozostały tylko tam, ponieważ gdybym przepocił ubranie, zaczęłoby mi być zimno, a to kosztowałoby mnie wiele sił.

Z czasem nauczyłem się utrzymywać równe tempo i wypatrywać drogę bez zastanawiania się. Na razie szło dobrze. Rzeka, mimo szybszego prądu, pozostawała głęboka i spokojna. Nie licząc zdarzających się od czasu do czasu niespodzianek w postaci ostrej skały.

* * *

–Nie mogę znaleźć żadnych śladów prowadzących z obozu! – oznajmił Sprytny Lis. Srebrny Włos nie odpowiedział. Poszukiwanie śladów w nocy było trudne nawet dla najlepszego tropiciela. Łatwo mógł coś przeoczyć.

–Żadnych nie będzie – oznajmił spokojnie ktoś w ciemności.

Trwało chwilę, zanim naczelnik zdał sobie sprawę, do kogo należy głos. To był Chłodna Myśl.

–Straszliwy zabijaka oddalił się wodą w kanoe – dokończył młody wojownik.

Powszechnie zamieszanie powoli ustało, wszyscy czekali, co na to powie Srebrny Włos.

–Skąd wiesz, że to właśnie straszliwy zabijaka?

–Ty sam i szaman po zajrzeniu w wodę przyszłości oznajmiliście, że zaatakuje nas właśnie on – odpowiedział sucho Chłodna Myśl.

–Tak, to byt straszliwy zabijaka – stwierdził Szare Oko.

To nadało powagi słowom młodzieńca, więc grupa najszybszych i najbardziej ciekawskich wojowników wyruszyła w stronę rzeki, do miejsca, gdzie przechowywali kanoe.

Chłodna Myśl został w kręgu obozu, w blasku wojennego ognia, który szybko rozpalili, wyglądał na niezadowolonego. Silna Ręka jako jeden z nielicznych nie przyłączył się do gorączkowych poszukiwań i czekał opodal.

–Po ciemku i tak nic nie widać – wyjaśnił spokojnie.

Naczelnik zauważył, że Wilkosęp stoi na granicy światła i cienia i czeka na to, co się będzie działo.

–O ile się nie myślę, ukradł nam kanoe, i z pewnością postarał się, żebyśmy tak łatwo go nie dogonili – oznajmił Chłodna Myśl.

Jakby na potwierdzenie jego słów od strony rzeki rozległy się rozgniewane, pełne zdziwienia okrzyki:

–Nabieramy wody, utopimy się! Łódź się rozpada!

–Długo potrwa, zanim uda nam się przygotować łodzie zdatne do płynięcia -oznajmił Srebrny Włos głosem, w którym nie było nadziei.

–A co z pogrzebowymi kanoe? Są ukryte i pewnie o nich nie wiedział.

–W nich urządzamy pogrzeby w jeziorze naszym zmarłym – zaprotestował szaman.

–Lecz jeśli go nie dogonimy i nie zabierzemy mu woreczków z duszami dwóch najpotężniejszych mężczyzn plemienia, staną się pogrzebowymi kanoe nas wszystkich

–powiedział spokojnie Silna Ręka i skierował się w stronę jeziora.

* * *

Szczęście albo moja zdolność przewidywania – w zależności, z której strony patrzeć - towarzyszyło mi do południa kolejnego dnia. Wydawało się, że ogrom gór na wschodzie przede mną wznosi się aż do nieba. Dobrze jednak zdawałem sobie sprawę, że w linii prostej dzieli je ode mnie co najmniej pięćdziesiąt kilometrów. A po krętej rzece jeszcze więcej. Na odciski, które od gorliwego wiosłowania zamieniły się w krwawe pęcherze, nawet już nie zwracałem uwagi, ani na ból pleców, ani na ciągle pragnienie, którego nie zdołał zaspokoić łyk wody po każdym stu machnięciach. Co tysiąc przegryzałem jeden kawałek pemnikana. Częstszych kęsów mój żołądek by nie wytrzymał. Kanoe, które dogoniło mnie jako pierwsze, było o dobrą połowę dłuższe niż moje, siedziało w nim czterech mężczyzn i wszyscy zawzięcie wiosłowali. Nie miałem szans być szybszy. Teraz nurt rzeki miał zawrotną szybkość i wciąż musiałem uważać, żeby w coraz to węższym korycie ominąć wszystkie głazy. Wnioskując z zapachu wilgoci w powietrzu i pogłębiającego się hałasu, zbliżały się kolejne progi

skalne albo... wodospad. W takim wypadku miałbym przysłowiowego pecha. Ponieważ jednak moi prześladowcy trzymali się środka koryta, prawdopodobnie nie był to wodospad. Przyspieszyłem i przez kilka dłuższych chwil utrzymywałem najszybsze tempo, jakie mogłem, żeby zyskać przynajmniej ciut większą przewagę. Progi, z daleka mieszanina białej piany i ciemnych skał, już były widoczne. Zaryzykowałszy spojrzenie za siebie, ujrzałem, że jeden z mężczyzn przestał wiosłować i pieczołowicie naciąga luk. Pech, albo złe szczęście, jak się mówi w pewnych językach. Wstałem, żeby znaleźć wzrokiem najlepszą drogę przez morze piany i głazów. Wywrotna łódka drżała pode mną, jej delikatna i jednocześnie elastyczna konstrukcja poruszała się pod stopami, na plecach czułem nieprzyjemne mrowienie. A co, jeśli ten łucznik będzie lepszy niż oczekiwałem? A co, jeśli to najlepszy strzelec na świecie? A co, jeśli właśnie uśmiechnął się do niego los i podarował mu strzał jego życia? Ale ja musiałem wiedzieć, którądy dalej płynąć, inaczej nie miałem szans. Strzała minęła mnie o kilka metrów i bezgłośnie zniknęła pod powierzchnią wody. Znów uklęknąłem w łódce, machnąłem wiosłem i odbiłem trochę w prawo. Tam wyglądało najlepiej.

Znikła granica między wodą a powietrzem, wszędzie tylko piana, huk wzburzonej rzeki, groźna czerń głazów przecinających prąd. Zapomniałem o wszystkim, byłem tylko ja, skrzypiące kanoe i rzeka.

Wreszcie progi znalazły się za mną. Zdjąłem kurtkę oraz koszulę i zacząłem jak najszybciej wylewać wodę z łódki. Nabrałem jej bardzo dużo, kanoe ledwo, ledwo trzymało się na powierzchni wody i kołysało niczym marynarz, który za dużo wypił i już dawno powinien znaleźć się na ziemi.

Nie wykonałem nawet połowy pracy, kiedy za mną wynurzyli się moi prześladowcy. Przepłynęli tak samo jak ja, byli piekielnie dobrzy. Natychmiast zaczęli wiosłować, ale ich kanoe nabrało jeszcze więcej wody niż moje i zanim to sobie uświadomili, godzinę dotrzymywałem im kroku. Następnie jeden z nich zaczął wybierać wodę a wiosłowało tylko trzech. Na długo przed zmrokiem, który miał być dla mnie wybawieniem, znów znalazłem się w zasięgu ich strzał. Łucznik, nauczony poprzednim niepowodzeniem, czekał. Ja także czekałem, z szyją obolałą od ciągłego spoglądania w tył.

Już byli mniej niż dwadzieścia metrów ode mnie, już rozpoznawałem rysy ich twarzy skoncentrowane na wysiłku, sylwetki kanciaste od nabrzmiałych mięśni. Tyły osłaniał im gderliwy i gniewny mężczyzna, powód wielu sporów i nieporozumień,

które widziałem, kiedy ich śledziłem. Coś ze złością oznajmił, łucznik pokręcił tylko głową.

Byli już piętnaście metrów ode mnie. Strzelec naciągnął luk. Zgadywałem, że z tej odległości strzelał sarnom w oko. Moje plecy były dla niego śmiesznie prostym celem, tylko że ja nie leżałem przez tyle dni na wysepce niepotrzebnie. Zanim zwolnił cięciwę, popuściłem sznurek i tarcza zrobiona ze splecionej wikliny i trawy, która przez cały czas była przywiązana do burty kanoe, podniosła się do góry. Strzała w niej utkwiała, dokładnie tak jak się spodziewałem.

Rzeka wciąż przyspieszała, wiosłowanie przestało być istotne, ważniejsze było utrzymanie się w głównym nurcie i omijanie przeszkód. Przepłynąłem przez wzburzoną falę, większość wody zatrzymał mój jedyny koc, który przypiąłem do dziobu. Kolejna strzała mnie ominęła, następna znów wbiła się w plecioną tarczę chroniącą plecy. Stłumiłem chęć odwrócenia się, zrobiłem ostry manewr w lewo i w ostatniej chwili ominąłem młyn wodny. Następna strzała i następna. Podczas kolejnego karkołomnego sterowania musiałem się pochylić i poczułem ukłucie w plecy. Grot przeszedł przez tarczę na wylot i resztką siły mnie dosięgnął. Miałem nadzieję, że tylko mnie musnął. Po kolejnym kilometrze szaleńczej walki w rzeką wiedziałem, że to jedynie draśnięcie, ponieważ w innym przypadku nie dawałbym już rady się ruszyć.

Trwało to godzinę, dwie, nie byłem pewien. Zaczynałem mieć już nadzieję, że do zmroku jakoś sobie poradzę, ale rzeka uspokoiła się zanim zaszło słońce. Słyszałem, jak przyspieszyli, słyszałem wodę chlupoczącą wokół dziobu ich kanoe. Przestałem pracować pełną parą, wiedziałem, że to nie ma sensu. Oszczędzałem siły. Ostatnia strzała z odległości jedynie pięciu metrów przeszła przez prymitywną barierę i trafiła mnie w ramię, tym razem nie było to tylko zadrapanie. Zanurzyłem wiosło w wodzie, łódka szybko zahamowała i jednocześnie skręciła w prawo, dokładnie naprzeciwko moich nieprzyjaciół. Mój manewr ich zdziwił, sądzili, że będę starał się uciekać aż do ostatniej chwili. Obie wywrotne łódki szaleńczo się rozbujały. Przeskoczyłem do nich, walcząc o równowagę, złapałem łucznika i wyrzuciłem go za burtę, kanoe się zakołysało, kiedy zaczął wstawać człowiek za moimi plecami. Nie oglądając się, kopnąłem w tył, trafiłem w coś miękkiego, pewnie w brzuch. Zacharczał, łódka się zatrzęsła, kiedy upadał na dno. Kolejny Tanhot rzucił się na mnie z siekierą bojową w ręce.

Poziomego ciosu zdołałem uniknąć, ponieważ upadłem na plecy. Wspornik kanoe

zatrzeszczał pode mną. Tanhot skoczył na mnie, złapał jednak tylko moją stopę. Przez chwilę balansowaliśmy, próbując złapać równowagę, jego ciężar, moja siła, ostrze siekiery mignęło mi przed oczami. Nagle leciał już wysokim łukiem przez burtę. Ostatni, który uparcie siedział w łodzi, trzymał w ręce mój własny tasak, solidną stalową broń. Idealny moment na atak jednak przegapił. Jeszcze w kucki wytrząsnąłem z futerału nóż do rzucania. Zbladł i nie próbując zaatakować po raz kolejny, skoczył przez burtę. Bez tchu, na wpół oszołomiony, z oczyma zalewanymi krwią spływającą z rany, która nie wiadomo kiedy pojawiła się na moim czole, odwróciłem się powoli w stronę Tanhota podnoszącego się z dna łódki. Wystarczył gest i sam rzucił się do wody. Przeżyłem, tę rundę przeżyłem. Wyczerpany ze zmęczenia klęknąłem i sięgnąłem po wiosło. Zasłużyłem sobie na trochę odpoczynku.

* * *

Chłodna Myśl pracował ile sił i starał się przynajmniej po części dotrzymać kroku Silnej Ręce.-Nie wyglądało na to, żeby Wilkosęp nabierał wodę. Sądzę, że to wymyślił –

powiedział w chwili, kiedy pokonywali mniejszy próg i jego pomoc nie była potrzebna.

Drugi wojownik łatwo wymanewrował kanoe na boczny prąd i roześmiał się.

–Nabierał, ale wiedział, że zakole rzeki pokona po lądzie trzy razy szybciej niż my po wodzie. Wiedział też, że trzymamy tam kanoe dla posłańców na wypadek, gdybyśmy musieli posłać wiadomość naszym sojusznikom na wschodzie.

–To znaczy, że Wilkosęp nie jest prawdziwym mężczyzną – stwierdził Chłodna Myśl po chwili milczenia przerywanego jedynie szumem rzeki i regularnymi uderzeniami wiosel.

–Nie jest, ale szczury są jeszcze bardziej niebezpieczne – przytaknął Silna Ręka.

–I tak dogonimy strasznego zabijakę. Prędzej czy później. Jest sam, znamy góry. Wyprzedzimy go, otoczymy. Nie ma szans.

Silna Ręka milczał.

–Tylko że ja wciąż nie mam pojęcia, o co mu chodzi. I dopóki tego nie odkryję, wciąż może mieć w zanadrzu jakąś niespodziankę – dodał młody mężczyzna, kiedy zdołał złapać oddech podczas gorliwego wiosłowania.

Pożegnałem się z dziką rzeką w chwili, kiedy pogrążyła się w masywie pierwszego szczytu. Wyciągnąłem kanoe na brzeg i zostawiłem. Popsucie łodzi w żaden sposób by mi nie pomogło. Przez pierwszą połowę dnia wspinałem się przez dziewiczy las, który jednak szybko się przerzedzał i zmieniał w występujące od czasu do czasu grupki powyginanych świerków i karłowatych sosen. Między nimi nie było jednak tak sucho, jak wtedy, kiedy schodziłem z najbardziej wysuniętej na południe grani Śnieżnych Gór.

Powietrze przerzedzało się i ochładzało. Poznawałem po tym, że przestałem się pocić i zacząłem mieć coraz większą zadyszkę. Tanhoci znali swój teren. W pennikamie było tyle soli, że nawet przy tak ogromnym wysiłku nie miałem skurczy.

Początkowo szedłem na północ, później na północny zachód i na zachód po pierścieniu skał i graniach ograniczających rozległą kotlinę. Jednocześnie wchodziłem coraz wyżej. Trzeciego dnia pieszej ucieczki znów deptali mi po piętach. Wbrew moim wyliczeniom, trochę wcześniej niż się spodziewałem.

Prześladowcy, czterej najszybsi mężczyźni, byli około pół kilometra pode mną. Przy naszym tempie oznaczało to niecałe trzy godziny przewagi, gdybym pozostał na swoim miejscu. Nie mogłem jednak wykluczyć, że przed nimi są jeszcze dwaj, trzej doświadczeni tropiciele,

którzy potrafią się dobrze maskować.

Nie zatrzymałem się, szedłem swoim tempem, na ile pozwalały mi spostrzegawczość, siły i coraz płytszy oddech. Pogoda się pogarszała, czułem to w kościach, w bliznach. Powietrze się oziębiło, wokół szczytów nad moją głową tworzyła się gęstniejąca mgła. Następnie pojawił się wiatr, lodowaty, wiejący z góry w dolinę. O takim wietrze nigdy nie słyszałem ani nie czytałem. Nie zmieniało to jednak faktu, że nic chciałem, żeby mnie dogonili. Zaciśnąłem zęby, pochylilem się do przodu i szedłem dalej. W dolince, osłoniętej przed najgorszymi wybrykami pogody, rósł gaj powyginanych sosen z popękana korą. Chciałem tutaj parę minut odpocząć, odetchnąć. Nabrałem powietrza, zrobiłem wydech i zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam. Może była to wina dzieciola, który nagle przestał stukać.

Chwyciłem topór, w koronach sosen świszczal przybierający z każdą minutą na sile wiatr. Przez chwilę czułem ostry odór dużych zwierząt, jednak to uczucie zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. Zmiana pogody była blisko. Gdzie się schować, żeby ci, którzy nadejdą, mnie nie widzieli? Truchtem pobiegłem w stronę bogato ukształtowanego terenu, oferującego wiele możliwości potencjalnych kryjówek.

Zanim zdążyłem zająć miejsce, zza pokręconej sosny, której pień miał szerokość dwóch dorosłych mężczyzn, wyszedł indiański wojownik. Poznałem go natychmiast: człowiek, który lubił bawić się z dziećmi, który, choć nie dbał o swoją pozycję, był trzecim najbardziej poważanym człowiekiem w całym plemienu. Przyglądał mi się badawczo, bez strachu, kalkulował i zastanawiał się tak samo jak ja. Lekko utykał na lewą nogę. Nawet on musiał jakoś zapłacić za zaciekły pościg. Mnie coraz bardziej bolało prawe kolano. W ręce trzymał odcieżoną siekierę, raczej młot do walki, na rękę miał nawinięty kawał skóry, który mógł wykorzystać jako prowizoryczną tarczę.

Następnie bez przygotowania zmniejszył odległość na tyle, że posłużenie się nożem do rzucania byłoby dla mnie niewygodne. Jeśli nie umarłby na miejscu, natychmiast by zaatakował. Obchodziliśmy jeden drugiego, obaj przygotowani na błąd przeciwnika, obaj gotowi do ataku. Wiatr szalał w koronach sosen coraz mocniej, pnie skrzypiały, korzenie, stawiające opór podmuchom, poruszały kamieniami, wśród których tkwiły.

Pośliznęła mi się noga, nieznacznie, ale jednak, więc skoczyłem i uderzyłem skośnie w górę po jego klatce piersiowej i uzbrojonym ramieniu. Drasnąłem go, ale w samą porę zatrzymał mnie ręką z tarczą, sam zaatakował młotem po łuku i mimo mego uniku i krycia, zgniótł mi ramię, a następnie zdążył jeszcze podarować czysty prosty w twarz. Mój nos...

Zaczęliśmy drugą rundę ostrożnego tańca.

Źle stąpnąłem, on natychmiast wykorzystał to, że się zachwiałem. Rozpoczął niskim wypadem i niespodziewanie zaatakował ręką jak kolcem. Jednocześnie rozległ się hałas, pień drzewa mignął w powietrzu i powalił wielkiego wojownika na ziemię. Przez chwilę dezorientowany stałem gotowy do ataku, zanim zrozumiałem, co się stało. Uderzyło go drzewo, które nie wytrzymało naporu wiatru. Usłyszałem jeszcze jak wojownik jęczy. Przed zgnieceniem uratował go głaz, na którym opierała się większość pnia. Nie mógł się poruszać, był zdany na moją łaskę i nielaskę. Raz uśmiechnęło się do mnie szczęście, mogłem go zabić bez ryzyka.

Wiatr zmienił się w wichurę, trzask drzew dochodził z każdej strony, w powietrzu unosiły się mniejsze kamienie. Wojownik leżał na ziemi, obiema rękami z całej siły odpychał pień, żeby

użyć swojej klatce piersiowej, żeby móc przynajmniej trochę oddychać i uratować się przed zgnieceniem.

–Wytrzymaj! – wrzasnąłem, chociaż w dzikim wietrze łowca nie mógł mnie słyszeć.

Przytoczenie głazu i znalezienie odpowiedniego drąga trwało tylko chwilę.

–Też pchaj! – wrzeszczałem.

To już rozumiał. Wspólnymi siłami odtoczyliśmy pień kilkadziesiąt centymetrów dalej, aby on mógł spod niego wyleźć.

Przesunął się kawałek dalej i w stosunkowo bezpiecznym miejscu leżał poobijany.

–Dokończymy, jak będzie lepsza pogoda! – krzyknąłem, – To wygląda naprawdę na paskudną burzę! – I już gnałem w górę przez środek sosnowego lasu.

* * *

Chłodna Myśl dotarł do lasu w dolinie zupełnie bez tchu. Pierwszym, kogo zobaczył, był Silna Ręka z trudem podnoszący się na nogi. Przez kurtkę z jeleniej skóry przesiąkała mu krew. Straszliwego zabijaki nie było – uciekł. Wiatr jeszcze przybrał na sile, kolejne drzewo się złamało, w plecy boleśnie uderzyły otoczaki niesione przez huragan, w który przekształcała się wichura. –Musimy się schować! To jest lodowaty powiew! – krzyknął, żeby Silna Ręka go usłyszał.

Większy wojownik tylko skinął głową.

–Jaskinia! Kawałek niżej! – udało mu się powiedzieć.

Chłodna Myśl, tłumiąc strach o własne życie, pomagał kompanowi iść w dół, do kryjówki. Wiedział, że za chwilę nadejdzie mróz. Mróz, który spali wszystko co żywe, zniszczy drzewa, z nieba będą spadały zamrożone ptaki.

Widział już czarne wejście do jaskini, a raczej szczeliny, ale to im musiało wystarczyć. Silna Ręka z zaciśniętymi zębami pierwszy wcisnął się do środka, Chłodna Myśl wszedł za nim. Lodowaty powiew jeszcze nie nadszedł, ale niebo już miało kolor martwego szczura. Świat szarzał – wiele czasu im nie zostało.

–Musimy uszczelnić otwór i otworzyć go, kiedy spadnie śnieg – wysapał Silna Ręka i zabrał się do pracy.

Jaskinia, do której się wcisnęli, była ciasna, mogli unieść się co najwyżej na kolana. Starannie zagarniali za siebie odłamki skał oraz większe kamienie i starali się jak najszybciej uszczelnić otwór. Wraz z ostatnim kamieniem, który oddzielił ich od świata, przyszedł pierwszy lodowaty powiew. Chłodna Myśl miał wrażenie, że liznął go

język ognia, tak bardzo zimne było powietrze przywiewane przez burzę z wysoko położonych terenów pokrytych lodem. Definitywnie ukryli się przed dziennym światłem, a później już tylko czekali i czuli, jak burza błyskawicznie zabiera z ziemi ciepło. Powinniśmy być głębiej, przyszło do głowy Chodnej Myśli, może zamarzną tutaj.

–Straszliwy zabijaka był walecznym mężczyzną, szkoda go – powiedział cicho Silna Ręka. Żwir i otoczaki zachręściły, kiedy szukał wygodniejszej pozycji.

Chłodna Myśl skinął głową, chociaż jego towarzysz nie mógł tego zobaczyć w ciemności.

* * *

Biegłem w górę pod wiatr, przytrzymałem się kępek trawy, korzeni, kamieni. To nie była burza, jaką znałem albo o jakiej kiedyś słyszałem. Wiatr wiał z góry z coraz większą siłą,

jakbym się znalazł w jakimś gigantycznym wirze, zwierzęta wokół mnie uciekały, wiewiórki, wbrew swej naturze, starały się zakopać pod ziemię, kozice mnie mijaly i na złamanie karku pędziły w dół. Wtem przyszedł pierwszy powiew mrozu, który zaparł mi dech. Tak jakby płuca wypełniły się gorącym ołowiem. Mimo to nie zatrzymywałem się, zrozumiałem, że wszedłem w drogę zjawisku przyrody, o którym nic nie wiem i którego nie rozumiem. Jedno było pewne – wszystko, co żywe, starało się uciec lub schować. Kolejna fala lodu, zatoczyłem się. Wszystko uciekało przed mrozem, mrozem, który nie był do niczego podobny. Rozejrzałem się, żeby gdzieś się ukryć, ale wśród pni sosen szarpanych przez huragan nie widziałem żadnego miejsca, gdzie mogłem się schronić. Szedłem szybko dalej, biegłem, potykałem się, czułgałem. Miałem odmrożoną klatkę piersiową, nosa i uszu nie czułem. Mimo że korzystałem ze wszystkich sił, trząsałem się z zimna. Zamarzną, zamarzną, zamarzną. Z nieba spadł martwy jastrząb, twardy jak kamień, podczas upadku odłamała mu się głowa – nie wyciekła ani kropla krwi. Zamarzną, zamarzną. Jeszcze kawalek, z pewnością znajdę jakąś kryjówkę. Myśli miałem mętne, nie wiedziałem, czy piecze mnie ogień, czy mróz. Dotarłem na osłoniętą przed wiatrem polanę w środku sosnowego lasu, stłoczone w kręgu stały tam olbrzymie kudłate woły piżmowe. Dzięki dużej ilości długiej sierści i swojej masie mogły wytrzymać nadchodzącą lodowatą śmierć. Zatrzymałem się przed największym z nich, zwierzę nawet się nie poruszyło, nie chciało opuszczać kręgu stada. Sięgnąłem

po topór, złapałem go obiema rękami i z całej siły podciąłem zwierzęciu od spodu gardło. Głośno mruknęło, ale nie poruszyło się. Przerazenie, jakie wywołała mroźna burza, sprawiło, że nie ruszyło się z miejsca. Użyłem topora jeszcze raz i przez oko wbiliśmy się w jego mózg. Wół w końcu ugiał kolana. Jego krew zamarzała bezpośrednio na moim ciele. Wskoczyłem na umierające zwierzę, ostatkiem sił wyciąłem mu dziurę w tułowiu między żebrami, i przez wspaniałe gorące mięso przebijałem się, przegryzałem, przerywałem, aż dotarłem do żołądka i cuchnących wnętrzności, do środka, gdzie było ciepło. Pozostałe zwierzęta na szczęście wciąż przytulały się do martwego ciała. W szalejącym huraganie nic innego im nie pozostawało. Następnie zwinięty w kłębek w stygnących wnętrznościach, szczękałem zębami i czekałem.

* * *

Wiedziałem, że wygrałem, dopiero kiedy zaczął padać śnieg. Zabójczy mróz skończył się wraz z opadem śniegu, pozostał tylko chłód, który przy odrobinie zaciętości i doświadczeniu dało się przeżyć. Tam, gdzie do martwego wołu tuliły się inne, skóra pozostała miękka. Wyciąłem z niej prostokątny kawalek z otworem na głowę, tylko pobieżnie oczyściłem z tłuszczu i ubrałem się weń jak w prymitywną tunikę. Musiałem wyglądać strasznie – już z daleka śmierdzący, zakrwawiony facet. Wiedziałem ponadto, że niewyprawiona skóra za kilka dni stwardnieje i zacznie pękać. Z zaciśniętymi zębami poświęciłem jeszcze trochę czasu na zrobienie prymitywnych rakiet śnieżnych, które ułatwią mi poruszanie się po wielometrowej warstwie śniegu. Była to walka z własnymi nerwami – zostać w miejscu i pozwolić, żeby prześladowcy bez wielkiego trudu zmniejszyli moją przewagę czasową. Czułem jednak, że to się opłaci, a ponadto miałem nadzieję, że zatrzyma ich sprawdzanie, jak każdy z nich przeżył atak mroźnej burzy. W końcu z niecierpliwością wyruszyłem w górę w stronę grani, najpierw na północ, później coraz bardziej na wschód, żeby zamknąć kilkusetkilometrową pętlę, którą wcześniej zaplanowałem.

* * *

Po drugiej stronie grani wszystko pokryte było śniegiem – dziesięciometrową, może jeszcze grubszą warstwą świeżego śniegu. Głęboko przede mną rozciągała się biała równina, aż do następnych gór daleko na horyzoncie. Spieszyłem się, ale tak, żeby

zdołać utrzymać tempo przez kilka dni i wiele dziesiątek kilometrów. Wiedziałem, że będą mnie stopniowo doganiać. Tylko nie mogło stać się to zbyt szybko.

* * *

Trzy dni później znów szedłem w górę, w stronę wąskiego i głębokiego łęku na grani. Rozpogodziło się, niebo było jasne, bezchmurne, śnieg błyszczał niebieskawo. Po wcześniejszych chmurnych dniach czułem klucie w kącikach oczu. Zakryłem je jedną warstwą materiału oddartego z rękawa i miałem nadzieję, że to wystarczy, żeby uchronić się przed grożącą mi ślepotą śnieżną. Niedaleko przed wierzchołkiem pozwoliłem sobie na krótki odpoczynek. Zapasy mi się skończyły, drugi dzień nic nie jadłem, ale po kilku niewielkich kryzysach głowę miałem jasną i lekką. Zakładałem, że tak będzie już do końca, aż do ostatniej chwili, kiedy będę w stanie się ruszać. Do mroźnego powietrza już dawno się przyzwyczailem, tak jak do dziwnego ślizgania się podczas biegu, kiedy poruszałem się po ośnieżonych stokach. Byli blisko, czułem ich tak jak jeleń ścigany przez niepokonaną zgraję wilków. Jednak nie na tyle blisko, żebym stracił nadzieję. Miałem w zanadrzu jeszcze jedną sztuczkę, do której przygotowywałem się przez dwa ostatnie dni. Obejrzałem się. Równina pode mną, jeszcze przed chwilą bez jakichkolwiek nierówności, nagle się zmarszczyła, jakby tuż pod jej powierzchnią wilo się stado gigantycznych anakond. Czyżby lodowe robaki naprawdę istniały? Czyżby przeżyły do dziś? Niestety, na rozmyślenia i bardziej szczegółowe badania nie miałem czasu. Może innym razem. Na stoku, niecałe dwieście metrów pode mną, pojawiły się ciemne kropki prześladowców. Poświęciłem im ostatnie spojrzenie, zacząłem się powoli i ociężale wspinać, szóstym zmysłem czując, jak ogarnia ich radość i poczucie zwycięstwa ze zbliżającej się do szczęśliwego końca pogoni. Oblizalem wargi. Słone, popękane od mrozu, wiatru i ciągłego zmęczenia. To było dobre uczucie, wiedziałem, że wciąż żyję. Pokonałem kilka ostatnich metrów do nierzucającego się w oczy skaliska, sterczącego z białego stoku jak rafa z pieniącej się wody, i już stałem przy nim.

Tymczasem ścigający zdążyli uformować się w wachlarz, żebym nie miał najmniejszych szansy uciec, nawet gdybym wydobyl z siebie jakieś resztki sił.

Cisza, tylko od czasu do czasu słyhać pęknięcie lodu albo szelest samotnego płątka poruszającego się dzięki powiewowi wiatru po śnieżnym dywanie.

–Ole! – wrzasnałem i pomachałem im. – Ole! – Odwróciłem się w stronę grani nad sobą.

Nawisy śnieżne, wyglądające jak nadmuchana i niewinna piana, zatrzęsły się, szelest płatków znikł w huku, rozległy się trzaski i białe jęzory śniegu definitywnie się urwały.

Skuliłem się za skałą, nagle wszędzie wirował biały śnieg, wlaził do oczu, uszu. Skulony u podnóża występu skalnego walczyłem o kawałek wolnego miejsca. Nagle wszystko ucichło. Wystarczyło się wyprostować, wykorzystać opór skały i już miałem głowę na powierzchni. Niżej pode mną lawina miała o wiele większą siłę, ale nie była tak niszcząca, jak się spodziewałem. Musiało to jednak wystarczyć. Nie ociągając się, zacząłem się wdrapywać w górę, w stronę grani. Moja zasadzka nie była przygotowana na próżno.

* * *

Dwa dni później, już bez rakiet śnieżnych i wstrętnej tuniki z wołu, znów obserwowałem

obóz Tanhotów. Tutaj zima jeszcze nie nadeszła, mieszkańcy dopiero się do niej szykowali. Byli zmęczeni, widać było, że brakuje im siły wojowników, którzy wyruszyli po moich śladach. W obozie zostali tylko ci, których zauważyłem podczas pierwszej pogoni i wrócili wcześniej. Miałem taką nadzieję. Nie czekałem do nocy, chciałem wykorzystać okazję, że prawie wszyscy udali się na potów ryb albo zajmowali się czymś innym. Szybko i pewnie, chociaż ciarki przebiegały mi po plecach, a żołądek miałem niczym kostka lodu, przeszedłem między chatami szamana i naczelnika i usiadłem na honorowym miejscu dla gościa, przy uroczystym ognisku, gdzie odbywały się narady. Siedziałem tak kilka długich minut, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Oba woreczki z duszami najpotężniejszych mężczyzn plemienia położyłem na kamieniu obok siebie, dołożyłem do nich dwa orzechy laskowe i bez pośpiechu, wciąż niezauważony, rozpalilem ogień. Dym trzymał się nisko, szybko zauważyli, że coś się dzieje.

Rozległ się gardłowy krzyk, jedna z kobiet pokazywała w moim kierunku. Nagle obóz był pełen kobiet, dzieci, starców i nielicznych rannych albo chorych mężczyzn. Naczelnik i szaman patrzyli na mnie jak na zjawę.

Zakładałem, że w obozie jest także wojownik, który tak tchórzliwie przede mną uciekł. Miał w sobie coś ze szczura i denerwowało mnie, że go nie widzę.

–Patrzeć – powiedziałem jak najstaranniej w ich języku, wskazując woreczki na kamieniu.

Naczelnik westchnął, pochylił się do skoku. W lewej ręce trzymałem przygotowany kamień i jednym celnym uderzeniem zmiażdżyłem orzeszek leżący tylko cal od obu świętych woreczków. Drugi, nienaruszony orzeszek wrzuciłem do ognia. Już bardziej wyrazisty być nie umiałem. Teraz wszystko zależało od nich. Od tego, jak dobrze ich poznałem, jak szanowali swoje zwyczaje.

Chłodna Myśl przyglądał się na zmianę straszemu zabijacki i dwóm najstarszym mężczyznom plemienia, w ręce trzymał nóż do rzucania, który przyplacił własną krwią.

–Jest w świętym kręgu, nie możemy go zabić – powiedział spokojnie Silna Ręka.

Chłodna Myśl go rozumiał. Silna Ręka szanował wojownika, który był przynajmniej tak dobry jak on sam, a ponadto co najmniej tak honorowy. Honorowy, aż było to prawie niewiarygodne. Z drugiej strony...

–Musimy za wszelką cenę zabić straszliwego zabijackę, chudego mężczyznę z dwukrotnie złamanym nosem. Inaczej zginie całe plemię – powiedział cicho szaman, jakby czytał młodzieńcowi w myślach.

Chłodna Myśl zrobił wyrok prawą nogą i przechylił nóż do pozycji odpowiedniej do rzutu. Cisnął go prawie tak dokładnie i szybko, jak to ćwiczył. Wilkosep, przygotowujący się za plecami przybysza do podstępного ataku, jęknął, objął palcami rękę wystającą z piersi, ale wyciągnąć noża już nie zdołał.

–Krąg jest święty. Wojownik jest prawie tak dobry jak jego słowo. – Chłodna Myśl słyszał swoje własne słowa dobiegające skądś z oddali.

–A poza tym ten mężczyzna nie ma dwa razy złamanego nosa, ale trzy. Ten trzeci raz to moja sprawka – skrzywił się Silna Ręka.

–Nie chcecie wziąć, co do was należy i zacząć rozmawiać o rzeczach ważnych dla plemienia? – udało mi się powiedzieć po długim zastanowieniu i gestem zachęciłem ich, żeby usiedli. Za moimi plecami ktoś jęczał, ale wyglądało na to, że młodzieniec nauczył się obchodzić

z moim nożem lepiej niż dobrze.

*** * ***

Na farmę Flema dotarłem po następnych czterech dniach. Zajęło mi to więcej czasu niż planowałem, długa gonitwa pozbawiła mnie większości sił. Dotarłem tam po zmroku, w chwili, kiedy Bokeli zamykał bramę.

Przywitał mnie, unosząc brwi ze zdziwienia. Nic nie powiedział ani o nic pytał. Wyglądał na starszego, bardziej zmęczonego niż kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Pewnie ja wyglądałem podobnie.

Przy stole siedzieliśmy ja, Joan, Flem i Bokeli. Nikogo innego nie było. Nowiny stały się już pewnie powszechnie znane i pracownicy puciekali. Albo postarał się o to Graham. Wszystko było możliwe.

Mimo że widziałem, jak bardzo Flem i Joan walczą z ciekawością, pozwolili mi się w spokoju najeść. Była to najlepsza kolacja, jaką jadłem w ciągu ostatnich kilku lat. Dopiero potem zacząłem opowiadać.

Słuchali ze zdziwieniem, nie dowierzając, ale stopniowo w ich oczach pojawiała się nadzieja na przyszłość,

–Tanhoci będą napadać na posiadłości ziemskie tak jak wcześniej, zanim przybyła tu armia. Ale was zostawię w spokoju. Dostałem na to ich słowo. A oni słowo szanują. Będzie to was kosztować pięć sztuk dobrze wykarmionego bydła w każdą zimę. Przyjdą po nie, albo wyślą kuriera, żebyście wy je dokądś zapędzili – podsumowałem na koniec.

–To dobra umowa – ocenił Bokeli, a Flem po chwili wahania przytaknął.

–Nie musicie wynajmować uzbrojonych strażników, możecie skoncentrować się na tym, co umiecie, co jest dla was ważne.

Czułem, jak spada z nich ciężkie brzemie, czułem radość i szczęście. I sam, po raz pierwszy od dawna, byłem naprawdę zadowolony. Było to prawdziwie rozgrzewające uczucie.

Zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszeliśmy zbliżający się tętent koni. Tak szybko i w ciemności przybywał tylko jeden rodzaj gości – najeźdźcy.

Bez porozumienia wszyscy czworo wyszliśmy z domu. Bokeli nagle miał na sobie zbroję kółkową, Flem ciężką przeszywaną kurtkę, Joan gdzieś znikła.

–To są ludzie Grahama – powiedział spokojnie Bokeli i wyciągnął miecz. – Już nam grozili i według mnie spalili jedną farmę.

Skinąłem głową na znak, że rozumiem.

–To nie jest twoja walka – zwrócił mi uwagę.

–Tak myślisz? – odpowiedziałem.

Na zewnątrz tymczasem zupełnie się ściemniło, słyszeliśmy rzenie koni i skrzypienie bramy.

Stopniowo rozpoznawaliśmy niewyraźne sylwetki, które ukazywały się w migoczącym świetle pochodni.

–Ostrzegalem was, że jeśli nie odjedziecie, szybko się z wami rozprawię – rozległ się arogancki głos pijanego Grahama.

Już wiedział, jak smakuje krew i zabijanie, jego banda nie była już grupą awanturników, ale zabójców.

Bokeli nic nie powiedział, zamiast tego zrobił krok w przód, wiedziałem, że przy następnym kroku się zamachnie. Flem trzymał się po jego lewej stronie, ja po prawej.

Brzęknęła kusza, Graham zatoczył się i upadł. Joan trafiła celnie. Najbliższemu jeźdźcowi podciąłem więzadła pod kolanami. Zanim zdążył zareagować, prześliznąłem się pod końskim brzuchem i kolejnemu rozciąłem toporem klatkę piersiową pod podniesionym ramieniem.

Słyszałem, jak ktoś krzyczy, inny spada z konia, kolejnego wystraszone zwierzę wgniotło w ścianę.

–Litości, poddajemy się! – ktoś jęknął.

Oni byli na górze, my na dole. Łatwo rozróżnić, kto jest kim. A ciemność nam sprzyjała – ich własna pewność siebie doprowadziła do zguby

Nagle w ciemności galopem zaczął uciekać ostatni jeździec, ale szczęście się od niego odwróciło. Koń się potknął, upadł, a trzask łamanych kości słyszeliśmy z odległości kilkudziesięciu metrów.

–Zatem najtrudniejsze jest już za nami – oznajmił chrapliwym głosem Flem, kiedy doszliśmy do siebie.

–Nie – odpowiedział mu Bokeli. – Teraz musimy ich pogrzebać, a później zapomnieć.

Miał rację.

Na farmie spędziłem jeszcze tydzień. Odpocząłem, pozwoliłem, żeby moje kości choć trochę obrosły mięsem, a skóra straciła papierowy odcień. Później, pewnego wczesnego poranka, wyruszyłem, żeby nie żegnać się z nikim. Wracałem w góry. Chciałem się przecież przyjrzeć lodowym robakom.

SZMARAGDOWA GÓRA

Dołożyłem do ognia kilka bukowych gałęzi i wyciągnąłem nogi w kierunku płomieni, żeby przynajmniej trochę się ogrzać. Mokre ubranie porozwieszałem na okolicznych krzewach, lecz obawiałem się, że do rana i tak nie wyschnie. Aby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi, kulilem się w leszczynowym gąszczu w małym parowie, około czterech kilometrów od brzegu Marakui i utrzymywałem tylko mały ogień, żeby dym, przechodząc przez gęste korony leszczyn, zdążył się rozproszyć. Marakua nie jest jakąś specjalnie dziką rzeką. Płynie, co prawda, szybko, ale ma głębokie koryto i zwaliska kamieni można ominąć nawet z zawiązanymi oczami. Jeśli, oczywiście, nie zapatrzy się w piękną, lecącą parę zimorodków, jak na przykład ja. Skalę wystającą z modrej torii zauważyłem dopiero w momencie, kiedy była tuż przed dziobem kanoe. Wartki prąd wepchnął mnie na nią i zanim zdążyłem wyskoczyć, pleciony szkielet łodzi pęki i poszedł z ładunkiem na dno. Do brzegu miałem zaledwie pięćdziesiąt metrów, ale w lodowatej wodzie i silnym nurcie straciłem wszystkie swoje siły. Zostało mi ubranie, nóż i pięćdziesiąt złotych ukrytych w pasie.

Usłyszałem cichy szelest. Chwyciłem nóż i skuliłem się w cieniu łopianu. Łokcie ugrzęzły mi w wilgotnej i miękkiej ziemi, otoczył mnie ciężki odór butwiejących liści. Czekałem w napięciu, ale nikt nie nadchodził. Zacząłem się skradać wokół swego prowizorycznego obozu. Dla nagiego człowieka czolganie się nocą po lesie nie jest niczym przyjemnym i natychmiast byłem cały podrapany. Mimo to do ogniska wróciłem wtedy, kiedy obszedłem wszystko dokoła. Nikogo nie zobaczyłem.

Nie jestem zazwyczaj tak bojaźliwy i ostrożny, ale o Szmaragdowej Górze słyszałem same najgorsze rzeczy i nie chciałem dołączyć do tych, którzy zapewnili sobie tutaj miejsce wiecznego odpoczynku.

Szmaragdowa Góra to dawno wygasły wulkan wznoszący się na wysokości dobrych sześciu tysięcy metrów. Płytki krater ma średnicę mniej więcej czterdziestu

kilometrów, a cała podstawa stożka wulkanu prawie tysiąc kilometrów w obwodzie. Góra, jak nazywają go czasem jego mieszkańcy, wyrasta z suchej Sawanny Koolskiej i dla znacznej części lądu stanowi jedyne stałe źródło wody. Jej pochyle zbocza zatrzymują chmury, które inaczej szybko przepłynęłyby nad stepem i deszcz z nich spadłby dopiero nad oceanem. Obszar powyżej czterech tysięcy metrów nieustannie spowija mgła, a trzysta trzydzieści dni w roku pada tam deszcz. Marakua wypływa ze źródła jako mała rzeczka na północnym wschodzie Szmaragdowej Góry. Zasilana przez deszcze i obfite dopływy po kilkudziesięciu kilometrach nie zanika gdzieś na pustkowiu, jak wiele jej podobnych, ale opływa górę i po trzech czwartych koła opuszcza ją jako monumentalna rzeka, zmieniająca okoliczny step w zieloną oazę.

Miejscowe osobliwości przyrodnicze nie stanowiły dla mnie żadnego niebezpieczeństwa – w gąszczu ukrywałem się z powodu ludzi. Wybrzuszenie się skorupy ziemskiej, które spowodowało powstanie wulkanu, wyniosło jednocześnie z głębi mnóstwo najwspanialszych i najdoskonalszych szmaragdów, jakie ludzie kiedykolwiek widzieli. Mój ojciec miał ich niezłą kolekcję i był z niej naprawdę dumny. Myślę, że go rozdrażniło, kiedy uciekając z domu wziąłem parę szmaragdów ze sobą. Ale to już historia. Szmaragdowa Góra atrakcyjnymi zielonymi kamieniami szlachetnymi już od stuleci wabi tysiące poszukiwaczy skarbów, górników, kopaczy, złodziei, łowców przygód i zabijaków. Wszyscy oni mają nadzieję, że zdobędą bogactwo. Wielu z pewnością zdobędzie, ale większość z nich później je straci,

ponieważ to nie odnalezienie kamieni szlachetnych na Szmaragdowej Górze jest najtrudniejsze – najtrudniej jest przeżyć. Sam crambijski cesarz próbował zaprowadzić na górze porządek, ale mu się nie udało. Częściowo z powodu niesprzyjających warunków przyrodniczych, a częściowo dlatego, że żołnierze, omamieni zielonym blaskiem klejnotów, zapominali o dyscyplinie i swoim oddaniu cesarstwu. Z biegiem lat między cesarską biurokracją a przestępczą anarchią, która opanowała górę, rozwinęła się szczególna symbioza. Bez względu na to, kto odkryje, znajdzie, wykopie, wydobędzie czy wypłucze z mułu kamienie, wszystkie trafiają do którejś z wielu przestępczych band. Później szmaragdy, za pośrednictwem sieci tak samo niebezpiecznych pośredników, dostają się w ręce licznych kupców, których punkty handlowe otaczają górę jak pajęczyna. Stąd, już otoczone dobrą opieką, klejnoty wędrują dalej do skarbców bogatych i możnych tego świata.

Podczas swojej wędrówki nauczyłem się dbać sam o siebie i widać to po mnie na pierwszy rzut oka. Mam prawie dwa metry wzrostu, silną budowę, blizny gdzie tylko się da (zdziwilibyście się, gdzie), twarz upiększoną złamanym kilkakrotnie nosem. Jestem aż niezdrowo ciekawy i żeby zajrzeć w to czy inne miejsce, chętnie zaryzykuję parę następnych szram. I tak nie ma już czego na mnie popsuć. Nad wizytą na Szmaragdowej Górze ostatecznie jednak zacząłem się zastanawiać. Zdecydowałem, że przyjrę się jej tylko z kanoe i na jakiś czas osiądę na wschodnim wybrzeżu. Ale teraz się wahalem. Z powodu nieuwagi straciłem łódź, a podróż przez pustkowia bez wyposażenia wydawała się prawie samobójstwem.

Siedziałem przy ognisku, wpatrywałem się w ciemność, żeby w przypadku nieoczekiwanych odwiedzin nie dać się za bardzo zaskoczyć i rozmyślałem. Mapa, za którą zapłaciłem ciężkie pieniądze, leżała gdzieś na dnie rzeki. Próbowałem sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów, lecz pamiętałem tylko, że na tym brzegu, na którym jestem teraz, idąc z prądem, niedaleko znajdę punkt handlowy. Tam za pięćdziesiąt złotych mógłbym kupić nowe kanoe i zapas jedzenia na podróż w stronę wybrzeża.

Zapamiętałem dobrze, choć może niezupełnie dokładnie. Po trzech dniach szybkiego marszu doszedłem do miejsca, gdzie znajdowały się liczne chaty, wśród których stała dwupiętrowa, solidna drewniana gospoda i punkt handlowy w jednym. Szmaragdowa Góra zacięła większość horyzontu na wschodzie i wznosiła się nad osadą niekończącym się zboczem prowadzącym między chmury. Na podstawie charakteru zarośli i ich koloru można było określić, jak wraz ze zwiększającą się wysokością nad poziomem morza zmienia się szybko roślinność. U podnóża góry, w pobliżu Marakui, rosła nieprzebyta gęstwa topoli, leszczyn i wierzb, w suchszych miejscach urozmaiconą kolczastymi malinami i całymi plantacjami krzewów dzikiej róży. Wyżej roślinność zmieniała się w gęstą, liściastą puszcę porośniętą dębami, bukami i jesionami, a jeszcze wyżej przeważała ciemna zieleń drzew iglastych. Resztę zakrywały gęste deszczowe chmury. Zanim wszedłem do gospody, z przyzwyczajenia przyjrzałem się okolicy. W prymitywnych chatach z gałęzi, błota i słomy żyli miejscowi osadnicy, w większości kalecy, którzy jednak mieli dość sił na to, żeby wydostać się z „kołowrotu” na górę i żyć tutaj we względnym spokoju. Wnioskując z głębokich kolein, przejeżdżało wtedy czasami wiele wozów, z pewnością z towarami. Teraz jednak nie widziałem ani jednego.

Stajnia dla przyjezdnych mogłaby należeć do większego i bardziej okazałego miejsca. Przy żłobie stało osiem koni, z tego cztery naprawdę pokazowe, a ich świetna uprząż

wskazywała na jednego właściciela.

Wszedłem do obojczy i przez chwilę stałem w drzwiach, żeby przywyknąć do półmroku. Sala była w połowie pusta, przy chaotycznie porozmieszczanych stolikach siedziało tylko kilku gości. Łada przy barze była niezwykle wysoka, a po nacięciach w błyszczącym dębowym drewnie zorientowałem się, że służyła czasem jako pierwsza linia obrony. Z lewej strony znajdowało się przejście do mniejszego saloniku, zakryte jedynie zasłonką z koralików. Miałem wrażenie, że przy jednym ze stolików siedzi kobieta, ale w półmroku nie byłem pewien.

Obecni obrzucili mnie krótkim spojrzeniem, później zajęli się własnymi sprawami. Z pewnością nie byłem główną atrakcją gospody. Tylko barczysty mężczyzna w skórzanej kurtce podbitej metalowymi płytkami poświęcił mi więcej uwagi. Miał niezwykle umięśnione przedramiona, a na stole przed nim leżała ciężka pała z gładką rękojeścią. Uznałem go za miejscowego wykidajkę. Oparłszy się o bar, zamówiłem jedzenie i piwo. Barman postawił przede mną misę z zimnym mięsem, dołożył do tego pół bochenka chleba. Piwo było słabe i zalatywało drożdżami.

–Dziesięć złotych – powiedział.

Nie potrafiłem ukryć zdziwienia. Spojrzenie barmana powędrowało w kierunku wykidajki. Usłyszałem szuranie. Odwróciłem się. Miejscowy strażnik porządku wstał, pałę trzymał w ręce i czekał. Nie wyglądało jednak, żeby był zbyt skory do bójki, po prostu tylko się przygotował, aby jak najszybciej mieć to za sobą.

–Dziesięć złotych? Za to na wybrzeżu dostałbym pokój i wikt na miesiąc.

Barman wzruszył ramionami. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że jest podobny do wykidajki. Wyglądali na braci albo przynajmniej kuzynów.

–To nie wybrzeże, młodzieńcze. Niech pan płaci albo stąd znika. Nie jesteśmy towarzystwem dobroczynnym.

Po trzech dniach postu nie miałem ochoty na targowanie. Rzuciłem na stół jedną piątą swoich pieniędzy i zabrałem się do jedzenia. Nie był to najlepszy obiad, jaki jadłem w życiu, ale po długiej podróży na czczo nie przejąłem się tym, że mięso było twarde i smakowało jak podeszwa. Wykidajki usiadł zadowolony Niewątpliwie w gospodzie lubili spokój. Jadłem powoli i zastanawiałem się, co dalej. Byłem pewien, że za pieniądze, które mi pozostały, nie zdobędę kanoe ani wyposażenia. Przyszło mi do głowy tylko jedno: spróbować szczęścia i znaleźć kilka szmaragdów. Albo raczej wiele szmaragdów i to jak największych, żeby już nigdy nie musiał się martwić o pieniądze. Skoro już tu byłem...

–Piękny nóż.

Niski mężczyzna oparł się o krawędź stołu i pokazał barmanowi, że chce piwa. Miał spiczastą twarz, kozią bródkę i coś przeżuwał.

–Kupiłbym go za pięć stówek.

Wciąż jeszcze nie przyzwyczałem się do miejscowych cen. Pięćset złotych to majątek, który w cywilizowanym świecie wystarczał sprytnemu człowiekowi na kupno ziemi i urządzenie całego gospodarstwa. Moje pełne zdziwienia milczenie potraktował jako zainteresowanie.

–Nazywam się Mark. Daj mu jedno piwo na mój koszt – zwrócił się do barmana.

Wydawało mi się, że goście zainteresowali się nami i obserwowali z oczekiwaniem.

–Ile potrzeba na dobre kanoe i jedzenie na tydzień? – zapytałem.

–Półtora tysiąca. Jeśli chce pan rzucić okiem, mam jedną z tyłu pod zadaszeniem.

Mark złapał się za kocią brodę.

–Też mam łódkę. Nie jest, co prawda, w najlepszym stanie, ale może bym ją wymienił na ten nóż.

Mój nóż był naprawdę dobry, kawał świetnej kowalskiej roboty. Niezłej jakości dwudziestocentymetrowa głośnia z jednostronnym ostrzem mogła równie dobrze służyć jako narzędzie, ale i jako broń. Ponadto był dobrze wyważony, co w przypadku długich noży nie zdarza się często. To jednak trudno dostrzec w futerale na udzie. Rękojeść była zupełnie zwyczajna, ze skórzanych pasków naciągniętych na bolec. Wymienić zwyczajny z pozoru nóż na kanoe, nawet w niezbyt dobrym stanie? Coś mi nie grało w tej transakcji.

–Napijemy się? – zaproponował Mark i sam podniósł dzban.

Poszedłem za jego przykładem.

Piwo bez wątpienia kosztowało tu co najmniej pięć złotych, przynajmniej zaoszczędziłem. W gospodzie zapanowała nagle absolutna cisza, tak jak podczas pokera, kiedy przekracza się pewną granicę i zaczyna grać o naprawdę duże pieniądze. W chwili, kiedy upiłem pierwszy łyk, dźgnał. Gdybym nie dostrzegł zmiany atmosfery, byłbym martwy. W ostatniej chwili zepchnąłem mu rękę na bok i zamiast w brzuch, drasnął mnie w bok. Nie czekając, uderzyłem faceta dzbanem w twarz, kamionka się roztrzaskała, Mark się zachwiał. Jeszcze raz spróbował dźgnać, ale już mocno trzymałem jego nadgarstek. Z jękiem wypuścił nóż i zaczął poddawać się naciskowi.

–Niech mu pan nie łamie ręki! – krzyknął barman.

Rozluźniłem uścisk i uderzeniem w skroń powaliłem Marka na ziemię.

–Dlaczego? – spytałem.

–Rozbił pan dzban, to kosztuje sto złotych. Jeśli nie złamie mu pan ręki, ureguluje to za pana – pokazał na Marka, który właśnie zaczął dochodzić do siebie. – Zgadza się pan?

Nie miałem ochoty płacić stówy za dzban. Wydawało mi się, że tutaj, delikatnie mówiąc, przesadzają z cenami. Zgodziłem się.

Później wszystko poszło szybko.

Barman kiwnął na wykidajkę, ten wstał i rutynowym ciosem – ani słabym, ani mocnym – sprowadził Marka ponownie na ziemię. Szybko go przeszukał, z kieszeni wyciągnął na ladę dwieście pięćdziesiąt złotych. Tymczasem barman przyniósł żelazny pręt, jeden jego koniec rozgrzał w piecu i przycisnął Markowi do czoła. Dopiero teraz zrozumiałem, że to jest właśnie piętno. Skóra zasyczała, izbę wypełnił swąd spalenizny. Kiedy Mark oprzytomniał, zdobyły go wypalone nad oczami litery CG.

–To nasz znak – wytłumaczył barman. – „Chuck i Ghek”.

Ghek tymczasem zręcznie zakuł Marka w kajdany i wyprowadził z gospody. Chuck zaczął liczyć na palcach.

–Pieniądze Marka są pańskie, ale musi pan z tego zapłacić za straty. Wychodzi dwieście plus dzban. Jego pieniędzy nie wystarczy. Za Marka mogę panu dać pięćset osiemdziesiąt. Z wyliczeń wynika, że dostanie pan ode mnie do ręki pięćset trzydzieści złotych i jesteśmy kwita.

–Za co te pięćset osiemdziesiąt? – spytałem.

Nie miałem pojęcia, o co właściwie chodzi.

Chuck zrobił minę kogoś, kto musi odpowiadać na pytania o rzeczy oczywiste:

–Próbował pana zabić, tym samym była to sprawa pomiędzy wami. Wygrał pan i zgodził się, że tamten zapłaci za szkody, które powstały podczas walki. Tylko że on tyle nie ma, a żeby nie musiał pan płacić z własnej kieszeni, sprzedał go pan w niewolę. Nie mogłem panu dać za niego więcej niż pięćset osiemdziesiąt, ponieważ Mark żuje kokę i długo już nie pociągnie. Będę zadowolony, jeśli dostanę za niego osiem stówek. Co rusz w ten sposób kogoś kupuję i zaraz sprzedaję do pracy w kopalni. Jasne jak słońce.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Życie ludzkie było tutaj warte sześć dzbanów piwa.

Pustych dzbanów.

–Wiedzieliście, co robi? – spytałem, żeby podtrzymać rozmowę.

–No – burknął Chuck. – Jak do tej pory zabierał trupa i wyrównywał straty. Nie mieszaliśmy się do tego, proszę pana.

Nagle stał się uosobieniem pokory.

–A dlaczego to robił? – zapytałem.

–Podobał mu się pana nóż, a mięso sprzedałby miejscowym. Nie ma tu zbyt wiele zwierzyny – odpowiedział zamiast brata Ghek, który właśnie wrócił.

–Nie ma pan za dużo ciała, ale pięć stówek by za pana postał, a za ubranie jeszcze więcej.

Nie miałem nic do dodania. Szmaragdowa Góra była jeszcze dziwniejsza i bardziej niebezpieczna niż sobie wyobrażałem. Wyszedłem na zewnątrz. Nagle nie byłem pewny, czy poszukiwanie szmaragdów będzie dla mnie właściwym zajęciem. Może powinienem raczej spróbować szczęścia z samym nożem i iść na wybrzeże na piechotę?

Rozebrałem się do pasa i obejrzałem ranę. Nie była głęboka, ale silnie krwawiła.

Postanowiłem, że poświęcę część swojej koszuli i opatrzę skaleczenie, kiedy drzwi gospody się otworzyły i wyszedł mężczyzna z kobietą. Raczej z dziewczyną. Była wysoka i szczupła, jej długie, proste włosy, spięte skromną spinką w koński ogon, w świetle popołudniowego słońca miękko połyskiwały. Ciężko było się zdecydować, czy porównać ten kolor do brązu czy do czerwonego złota, ale było pewne, że jest bardzo piękny. Miała symetryczną twarz i, jak na kobietę, zbyt wyrazisty nos, który jednak świetnie pasował do głęboko osadzonych oczu. Spodnie jeździeckie podkreślały krągłe kształty i jeszcze bardziej wydłużały doskonale długie nogi. Gdy już to wszystko ustaliłem, wróciłem do oczu. Były łagodne i życzliwe, i patrzyły wprost na mnie.

–Jeśli pan pozwoli, opatrzę panu ranę – powiedziała.

Gdybym miał w skrócie opisać, jak działałam na kobiety, chyba najbardziej celne i prawdziwe byłoby określenie: odpychająco. Dziwkom, jeśli zdecyduję się skorzystać z ich usług, muszę płacić wyższą stawkę. U tej dziewczyny jednak żadnego wstrętu czy strachu nie zauważyłem.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na jej towarzysza. Był to wysoki mężczyzna z pomarszczoną twarzą. Krótkie, obcięte na jeża siwe włosy, tak samo jak brwi oraz gęsty zarost. Obserwował mnie zamyślonym wzrokiem, z pewnością starał się odgadnąć, kim jestem. Stał nieznacznie zgarbiony, z wysuniętą do przodu nogą, jakby

coś go bolało. Większą część życia miał za sobą, starość zdążyła go już powykrzywiać, ale należał do ludzi, którzy do końca zachowują krzepę i sprawność.

–Mamy dla pana ofertę, ofertę handlowa. Ale wolelibyśmy o tym podyskutować u nas w pokoju – zaproponował.

Chwilę później siedziałem na pierwszym piętrze oberży w skromnie urządzonej pomieszczeniu. Za całe wyposażenie służyły stół, trzy krzesła i łóżko. Kiedy spojrzałem na łóżko, przyszło mi na myśl pytanie, co łączy tych dwoje. Mężczyzna był ze trzy razy starszy od dziewczyny, ale nie odniosłem wrażenia, żeby to stanowiło dużą przeszkodą. Sądząc z ich zachowania, byli sobie bardzo bliscy.

Siedziałem na szczycie łóżka, w ręce trzymałem kieliszek wina i obserwowałem swoich gospodarzy. Przedstawili mi się jako Roderick i Margarita. Imiona mogli oczywiście wymyślić, ale wydawało mi się, że do nich pasują.

–Szukam swojego brata. Zaginął gdzieś tutaj – zaczęła Margarita.

W innych okolicznościach i w innym świecie z chęcią pomógłbym go szukać tylko z powodu oczu Margarity, ale właśnie dziś nie mogłem sobie na to pozwolić.

–Zanim zaczniemy rozmawiać o szczegółach, jest jeszcze kwestia zapłaty. Co możecie mi zaproponować za moje usługi? – zwróciłem uwagę na rzecz dla mnie najważniejszą.

Margarita popatrzyła na Rodericka.

–Kompletne wyposażenie, miecz, konia, część naszych zapasów żywności.

Pieniądze, jak sam pan zauważył, nie mają tutaj wielkiej wartości – odpowiedział mi.

–A czego dokładnie ode mnie chcecie?

–Jak powiedziała Margarita: niech pan znajdzie jej brata. Albo dowie się, co się z nim stało, dokąd poszedł, ewentualnie gdzie, jak i kiedy umarł – wyliczył zwięźle Roderick.

Kiedy mówił ostatnie słowa, Margarita spojrzała na niego z wyrzutem.

–Miri, przecież już tyle razy o tym rozmawialiśmy. Musisz widzieć sprawy takimi, jakimi są naprawdę – powiedział delikatnie.

Przez chwilę wyglądała na bardzo smutną.

–Wasza oferta jest dla mnie nęcąca – zacząłem – lecz muszę znać szczegóły.

Najlepiej całą waszą historię.

Roderick przytaknął.

–Geweh, brat Margarity, uciekł z domu trzy lata temu. Oboje są dziedzicami lorda Gutreka, jednego z najbardziej wpływowych szlachciców galopskich. Lord

Gutrek potraktował ucieczkę syna jako osobistą zniewagę i wyrzekł się go, uprzednio zniechęcony. Jednak pół roku temu umarł i Margarita chciałaby odnaleźć swojego brata. Początkowo myślałem, że będziemy szukać we dwoje, ale w takich warunkach nie odważę się dalej iść z Margaritą.

Miał absolutną rację. Według mnie ryzykowali bardziej niż to było rozsądne już tym, że tutaj przyjechali.

–Możecie mi powiedzieć, jak wyglądał i jakiego imienia używał? Mieliście o nim jakieś informacje już po ucieczce?

Oboje pokręcili głową.

–Ojciec kazał zniszczyć wszystkie jego podobizny. Jest trzy lata starszy ode

mnie, ma trzydzieści dwa lata.

Czy pomoże informacja, że jesteśmy bardzo podobni? – spytała Margarita.

Wątpilem w to. Margarita była piękna, z każdego jej ruchu promieniowała elegancją wynikająca z psychicznej i fizycznej harmonii. Ale wszystko było tak bardzo kobiece, że nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak mógłby wyglądać jej brat. Mimo że sprawiała wrażenie delikatnego kwiatu, ranę opatrzyła mi doskonale, a przyjechanie aż tutaj w siodle nie było z pewnością spacerem w zamkowym ogrodzie.

–A pan to kto? – zwróciłem się do Rodericka.

–Jestem niewolnikiem rodziny, nauczycielem domowym.

–To nieprawda! – powiedziała ostro z nieskrywanym oburzeniem. Roderick się uśmiechnął.

–Nie. Lord Gutrek kupił mnie jako jeńca wojennego. Przez jakiś czas byłem niewolnikiem, a później, ze względu na wyświadczone usługi, otrzymałem wolność i zostałem u niego zatrudniony jako osobisty strażnik jego małżonki i dzieci.

–A także jako przyjaciel, doradca i nauczyciel – dodała Margarita z miłością.

Zrozumiałem, co mnie w niej tak fascynuje.

Ta kobieta wszystko co robiła i mówiła, czyniła po prostu szczerze i z całego serca. Kiedy opatrywała mi ranę, koncentrowała się tylko na tym, żeby mi pomóc i ulżyć, nic innego jej nie interesowało. Kiedy okazywała Roderickowi miłość, brzmiało to tak szczerze, że prawie wstydzilem się swojej obecności. Pomyślałem sobie, jakby to było być mężczyzną, którego kocha. Miałem nadzieję, że ten gość okaże się wart jej miłości.

–Przejdźmy do następnej kwestii – powiedziałem. – Jak z pewnością zauważyliście, nie mam zupełnie nic. Właśnie dlatego wasza oferta jest dla mnie tak nęcąca. Żeby jednak mógł rozpocząć poszukiwania, potrzebuję wyposażenia. To oznacza, że wynagrodzenie musicie mi dać z góry. Roderick wzruszył ramionami.

–To nie problem. Prawda, Miri? Skinęła głową.

–Oczywiście.

Pamiętałem o tym, co przed godziną przydarzyło mi się w gospodzie i ich słowa wprowadziły mnie w osłupienie. Zrozumieli moje zdziwienie.

–Wierzymy panu – powiedzieli równocześnie, popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się.

Od czasu, kiedy uciekłem z domu, nie słyszałem podobnego zdania.

* * *

Następnego poranka na nowym koniu wyruszyłem na niekończący się stok Szmaragdowej Góry. Wiedziałem, że tych dwoje obserwuje mnie z okna pokoju i miałem nadzieję, że kiedy wrócę, zastanę ich tam. Miałem też nadzieję, że przyniosę im dobre wiadomości. Chociaż wcale nie musiało mnie to interesować, ponieważ moje wynagrodzenie nie zależało od tego, co uda mi się stwierdzić. Na początku nie miałem najbledszego pojęcia, jak na powierzchni ponad osiemdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych miałbym kogokolwiek znaleźć, ale im wyżej się znajdowałem, tym jaśniejsze było, że ludzkie siedziby zajmują tylko nieznaczną część powierzchni góry. Ponadto większość osad górniczych skoncentrowała się w wyższych partiach. Nie dlatego, że złoża szmaragdów były tam bogatsze. Przyczyna tkwiła w niezliczonej ilości jaskiń i podziemnych rzek, którymi wierzchołek góry był gęsto poprzetykany. Oszczędzało to pracy przy poszukiwaniu kamieni szlachetnych. Przejeżdżałem przez miejsca, gdzie z bocze

góry było podziurawione jak ser. W trawie ni stąd, ni zowąd pojawiały się dziesiątki obfitych źródeł, które łączyły się w rzeczki, a kilkadziesiąt metrów niżej ginęły w skalach. Pierwszym poszukiwaczem szmaragdów, jakiego spotkałem, był starzec z nogami pokręconymi przez artretyzm. Stał po kolana w lodowatej wodzie i przesiewał piach osiadły na dnie małego podziemnego potoku. Ciekawiło mnie, czy coś znajdzie, ale starcowi nie podobała się moja obecność, dlatego wołałem ruszyć dalej. Nie chciałem ryzykować, że gdzieś w okolicy włóczą się jego koledzy. Trzy dni później przejeżdżałem przez opuszczoną osadę. Miała dwie ulice, domy nie były chatami

zlepionymi z łożyny i błota, jakie widziałem wcześniej, ale solidnymi chałupami z bierwion. Drogę, którą dojechałem do osady, ktoś niedawno zatarasował pomalowaną na białą barierą, do której przymocował ludzką czaszkę. Dlaczego, zrozumiałem dopiero, kiedy dotarłem na miejscowy cmentarz. Naliczyłem z grubsza dwa tysiące grobów. Najstarsze napisy miały ponad sto lat, ostatnie około dziesięciu. Zorientowałem się, że ludzie wracali do wioski co dwie dekady, żeby później w ciągu kolejnych czterech wymrzeć. Może za każdym razem atakowała ich jakaś regularnie powracająca zaraza? Gdy opuszczałem osadę, obserwowały mnie nieduże małpy bawiące się na gałęziach. Podobnego gatunku jeszcze nie widziałem. Trochę wyżej, na stromym kamiennym zboczu, ujrzałem małe wywierzysko i zdecydowałem się spróbować szczęścia poszukiwacza. Nie było aż tak źle. Piach w źródelku usiany był wieloma drobnymi zielonymi kryształkami. Kiedy zacząłem go przegrzebywać, znalazłem kamień o wielkości połowy paznokcia małego palca.

Po dziesięciu dniach nauczyłem się rozumieć ścieżki i wyjeżdżone drogi między wioskami, obozami i miasteczkami. Rozpoznawałem, które drogi są stare i zapomniane, które prowadziły do samotników, ludzi żyjących nędznie w odizolowanych komunach, stroniących od świata i handlu. Zakładałem, że jeśli Gutrek junior żyje, będzie gdzieś w centrum miejscowych wydarzeń. W oberżach straciłem mnóstwo pieniędzy podczas rozmów z najróżniejszymi ludźmi, ale imię Geweh oraz ogólny opis, który wyciągnąłem od Margarity, nikomu nic nie mówił.

Im wyżej docierałem, tym ludzie byli bardziej nieufni, a droga bardziej niebezpieczna. Po trzech tygodniach przybyłem do Hampston, miasteczka, gdzie nie wydobywano kamieni, a jego mieszkańcy specjalizowali się w rzemiośle. I przy okazji dorabiali sobie okradaniem wędrowców. Kazałem podkuć konia, każda podkowa kosztowała mnie pięćdziesiąt złotych. Mimo że w ten sposób ilość moich pieniędzy zmniejszyła się do minimum, zdecydowałem się zostać w Hampston kilka dni. Wieczorami wypytywałem ludzi w gospodzie o życie na Szmaragdowej Górze, a w ciągu dnia chodziłem po opuszczonych kopalniach w okolicy, żeby znaleźć parę szlachetnych kamieni, które umożliwiłyby stawianie kolejnych drinków i zapraszanie do stołu innych. Pomału było wiadomo, że za informacje o Gewehu czy szczupłym blondynie godziwie zapłacę i ludzie czasem przychodzili do mnie nawet sami. Wszystkie informacje okazywały się jednak niepotwierdzonymi pogłoskami. Dzień przed planowanym odjazdem z miasteczka, podczas poszukiwania kamieni, uśmiechnęło się do mnie szczęście. Znalazłem opuszczoną kopalnię, czy raczej małą

sztolnię prowadzącą mniej więcej dwadzieścia metrów pod ziemię, gdzie właściciel podczas kopania natrafił na bystry podziemny potok. Z tego, co słyszałem od mieszkańców, wiedziałem, że podobne znalezisko zazwyczaj oznacza bogactwo, ponieważ woda niosła ze sobą szmaragdy. Wziąłem łopatę i zacząłem odrzucać warstwę piachu, który w ciągu lat

zamienił koryto potoku w gąbkę. Pracowałem pół dnia, a kiedy zmęczony wylazłem ze sztolni na zewnątrz, stwierdziłem, że porządnie się zachmurzyło. Hampston leżało na wysokości niecałych czterech tysięcy metrów i codziennie kilkakrotnie padało. Już dawno przyzwyczailem się do chmur i częstych deszczy. Nie miałem ochoty wracać. Zostało mi kilka ostatnich machnięć lopatą do osadów w podziemnym potoku. Zszedłem pod ziemię i znów zabrałem się do pracy. Mimo że na Szmaragdowej Górze nie znalazłem się właściwie z powodu kamieni, z podniecenia miałem przyspieszony oddech. Po godzinie stania w lodowatej wodzie zdobyłem tuzin wspaniałych zielonych kamieni, bez jednej skazy, największy z nich miał wielkość gołębiego jaja. Schowałem je do woreczka i pelen entuzjazmu chciałem kontynuować pracę, gdy zdałem sobie sprawę, że już od dłuższego czasu słyszę narastający szum, a po skale wokół mnie płynie woda. Wahalem się tylko chwilę i to mnie uratowało. Kiedy wdrapywałem się po drabinie do wyjścia, nagle zalała mnie fala lodowatej wody, a gwałtowny podmuch smagnął po twarzy garścią gradu. Jama przede mną momentalnie wypełniła się wodą, a jej poziom szybko się podnosił. Wiedziałem, co się dzieje. Ostrzegano mnie przed taką pogodą – nazywali ją burzą deszczową. Szczęśliwie udało mi się z drabinki dostać na stały grunt. Woda spadała tonami, zalewała kopalnię, podmywała i wywracała drzewa. Powódź mnie oślepiła i ogłuszyła, najbardziej niebezpieczny był jednak mróz. Temperatura w ciągu kilku minut spadła poniżej zera, wiatr wciąż przybierał na sile, aż zmienił się w huragan. O szmaragdach dawno zapomniałem. W połowie zamrożony dotoczyłem się do powalonej sosny. Zagłębienie po korzeniach natychmiast zapełniło się wodą, ale jednocześnie zapewniało schronienie przed mroźnym wiatrem. Chłód pozbawił mnie zręczności, straciłem czucie w rękach i nogach. Ostatkiem sił przywiązałem się za jedną rękę do gałęzi, a później już tylko czekałem. Mróz przenikał mnie aż do szpiku kości, nie byłem w stanie myśleć i tylko przyglądałem się wodzie biczowanej porywami wiatru. W końcu straciłem świadomość. Kiedy się przecknąłem, było już po burzy. Szczekałem zębami, stałem po pas w zimnej wodzie, a na powierzchni utrzymałem się tylko dzięki przywiązanej ręce. Potrzebowałem ciepła i spokoju. I jedno, i drugie mogłem znaleźć w Hampston, ale jednocześnie nie odważyłbym się

tam pokazać w tak nędznym stanie. Miałem obawy, czy miejscowi nie będą się starali tego wykorzystać. Hubka, którą zawsze ze sobą noszę, przemokła. Dopiero wieczorem przy pomocy drewnianego kołka i deseczki udało mi się rozniecić ogień. Rano, już w lepszej formie, ale wciąż szczękając zębami, ruszyłem do wsi.

Mojego konia w stajni nie było. Wszedłem do oberży. Gospodarz patrzył na mnie jak na zjawę.

–Czy moje rzeczy są w pokoju? – zapytałem.

Nie odpowiedział. Oczywiście ich tam nie było. Wszedłem na zewnątrz, przed gospodą tłoczyła się grupa dwudziestu osób.

–To on – szepnął ktoś.

–Nonsens! – odpowiedziało mu kilka głosów.

–Nikt nie może przeżyć burzy deszczowej na zewnątrz!

Ten, kto to powiedział, był ubrany w mój płaszcz podróżny. Nie zabierałem go do pracy, ponieważ nie chciałem zniszczyć. A założyłbym się, że również pozostali krzykacze wzbogacili się o inne części mojego wyposażenia. O ścianę oberży opierał się mężczyzna z kanciastą brodą i twarzą pełną wodnistych bąbli, obserwując scenę z rozbawieniem. Musiał przyjechać, kiedy

nie było mnie w miasteczku, ponieważ jeszcze go nie widziałem.

Było mi zimno, dokładnie mówiąc, trząsałem się z zimna i chciałem mój płaszcz z powrotem. Na wysokości czterech tysięcy metrów to kwestia życia i śmierci. To samo dotyczyło konia, koców do spania, narzędzi i jedzenia. Stałem przed mężczyzną w płaszczu i wyciągnąłem miecz.

–Oddaj to – poleciłem mu spokojnie.

Tłum się rozstał, wokół nas zrobiło się pusto. Mężczyzna stracił pewność siebie, nie wiedział, co ma powiedzieć.

–Przecież nie pozwolimy sobie wchodzić na głowę, ludzie! Co nasze, to nasze! – krzyknął wreszcie do pozostałych.

Paru towarzyszy mu zawtórowało, jednak w większości ludzie milczeli. Denerwował ich mój miecz.

–Wypędźmy go! – zawołał grubas z lewej strony.

Widziałem go już wcześniej, był w dobrych stosunkach z karczmarzem.

–Pan ma mojego konia, prawda? – zwróciłem się do niego.

–Jak, do cholery... – wybuchnął i dopiero teraz zrozumiał, że dał się sprowokować.

–Niech pan idzie do diabła! Powieśmy go! – wrzasnął. Mężczyzna w moim płaszczu mylnie stwierdził, że nie zwracam na niego uwagi i rzucił się na mnie z nożem w ręce. Lekko smagnąłem go przez pierś i jednocześnie zrobiłem krok w tył, żeby stawić czoła mężczyźnie, który tak lubił wieszanie. Wokół pasa owinęły mi się czyjeś ręce, ktoś uderzył mnie w potylicę. Stałem komuś na nodze, aż chrupnęła kość, przebiłem mężczyznę przed sobą i bezpośrednio z obrotu rękojeścią powaliłem mężczyznę, który oddychał mi za plecami. Ujrzałem ostrze sztyletu i pomyślnie odparłem atak ochronną septymą. Dopiero teraz zyskałem większą przestrzeń. Na ziemi leżało dwóch martwych, a dwóch rannych oddalało się, utykając.

–Oddajcie moje rzeczy albo skończy się to gorzej – powiedziałem i myślałem diabelnie poważnie.

Oddali. Każdy coś miał i w końcu zostałem sam nad stosem swojego wyposażenia. Kiedy opuściłem osadę, towarzyszyła mi cisza i pełne nienawiści spojrzenia. Po raz pierwszy w życiu spotkałem ludzi, którzy pozwoliliby się zabić z powodu płaszcza. Dziwnie się z tym czułem. Kawalek drogi za miasteczkiem dołączył do mnie dziobaty z bąblami.

–Niezły jesteś, człowieku – powiedział. – Ale i tak się dziwię, że ci to zwrócili.

Nawet konia! Raz widziałem, jak z powodu pary butów pozabijało się pięciu ludzi. Ale są to naprawdę dobre buty.

Z zadowoleniem popatrzył na swoje skórzane buty z cholewami. Rzeczywiście, porządna szewska robota.

Podczas jazdy z sakiewki, którą nosił zawieszoną na sznurku wokół szyi, wyciągnął zielony liść, włożył sobie do ust i zaczął żuć.

–Koka. Tam w górze, dokąd zmierzasz, będziesz jej potrzebował. Nie chcesz?

Pokręciłem głową. Wzruszył ramionami.

–Nie szkodzi. Jak mówię, zobaczysz. Potrzebujemy takich ludzi jak ty. Nie chcesz do nas dołączyć?

–Do kogo? – zapytałem.

Wypluł kawalek liścia, a później poprawił soczystą śliną.

–Nie wszystko ci jedno? Trzymamy się razem, dobrze się nam wiedzie i kiedyś stąd odejdziemy z napakowanymi sakwami.

–Jestem samotnikiem. Ale może mógłbyś mi pomóc. Mówi ci coś imię Geweh? Szukam młodego mężczyzny z długimi, jasnymi włosami, szczupłego. Chyba jest dobrym szermierzem. Na nazwisko ma Gutrek, ale spokojnie może nazywać się inaczej – zacząłem wypytywać o brata Margarity.

Nie miałem pojęcia, czy Gutrek wygląda właśnie tak, lecz zakładałem, że mam rację. Szlachcice bywają zazwyczaj próżni i jeśli Geweh miał długie włosy, z których był dumny, z pewnością nie dał ich obciąć. A gdyby miał przynajmniej choć trochę elegancji ruchów Margarity, musiał być dobrym szermierzem. Jeśli nie i tak długo by tu nie przeżył.

Dziobaty wydał wargi i pokręcił głową.

–O nikim takim nie słyszałem. Dlaczego właściwie go szukasz?

–Ot, tak sobie.

Nie miałem ani jednego powodu, żeby mówić mu prawdę.

Z dziobatym pożegnałem się na pierwszych rozstajach. Po tym, jak odrzuciłem jego propozycję, nie pragnął jakoś specjalnie mojego towarzystwa. Robiąc trzy postoje, dotarłem w końcu aż do Fatdanu, najwyższej położonej zamieszkałej osady na Szmaragdowej Górze. Było tutaj pięć oberży, trzy domy gry, a nawet jeden dom publiczny. Zajrzałem tam, ale ostatnia dziewczyna zmarła pięć miesięcy temu. prostytutki zostały zastąpione przez mężczyzn o delikatnych twarzach i ogolonych nogach, którzy za swoje usługi żądali olbrzymich kwot. Oczywiście, płaconych w szmaragdach. Żaden z nich nie był blondynem. Znalazłem miejsce w oberży „Pod Kotłem”, zaprowadziłem konia do stajni, umyłem się i zszedłem na dół na kolację. Fatdan leżał na wysokości około pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza. Każdy ruch sprawiał trudność, wystarczyło zrobić trzy szybsze kroki i być zdyszonym od niedoboru tlenu. Usiadłem w kącie, zamówiłem jedzenie i przyglądałem się ludziom. Po grubych spodniach z surowej skóry, butach nad kolana i rękach z brudem pod skórą rozpoznałem trzech kopaczy. Byli to silni i gderliwi mężczyźni, wystarczająco twardzi, żeby nawet na samym szczycie góry dopiąć swego. Przy innym stole siedziało dwóch mężczyzn obwieszonych żelazem nie wyglądającym na ozdoby. Ten sam typ ludzi, co dziobaty. Po schodach zszedł do sali kolejny mężczyzna. W ręce niósł plecak, przez ramię miał przerzucony płaszcz. Szczupły w pasie i szeroki w ramionach, poruszał się gibko i płynnie niczym artysta cyrkowy lub profesjonalny tancerz. Szybkim spojrzeniem obrzucił gości w sali i wydawało się, że to, co widzi, go uspokoiło. Skierował się do wyjścia, ale doszedł zaledwie do połowy drogi, kiedy drzwi otworzyły się na oścież i do środka wparowała czwórka mężczyzn. Wszyscy trzymali w rękach miecze.

–Oddaj nam to, a my pozwolimy ci odejść – warknął jeden z nich, nieforemny mężczyzna z beczkowatą klatką piersiową.

Pozostali goście nagle zniknęli i oberża wydawała się pusta.

Tancerz rozejrzał się, ale innej drogi ucieczki dla niego nie było. W drzwiach do kuchni stało dwóch kolejnych zawadiaków. Wszyscy byli ubrani podobnie, w skórzane kurtki wzmocnione metalem na piersiach i rękawach. Z pewnością należeli do jednej grupy.

–Oddaj nam to i...

Ich dowódca nie dokończył zdania – upadł z nożem w brzuchu. Tancerzowi chyba nie

zależało na żadnej pomocy. Może już wcześniej się z nimi spotkał?

Zrobił piruet, obrócił się, cisnął płaszcz w twarz bliższego mężczyzny, który podszedł od strony kuchni, i nagle dźgnął. Tylko że już go dopadła trójka spod drzwi. Wskoczył na stół, końcem stopy podbił dzban i kopnął go w twarz najbliższego z atakujących. Ostrza spotkały się po raz pierwszy. Gość okazał się świetnym szermierzem, lecz atakujący również nie byli początkujący, ich krótsza broń była nawet lepsza w ciasnej gospodzie. A oni diabelnie dobrze zdawali sobie z tego sprawę. Przeskoczył na następny stół, odparł jednoczesny atak dwóch mężczyzn z różnych stron, jednego z nich drasnął w czoło. Krew oślepiła napastnika i na chwilę wypadł z walki. Pozostali trzej jednak zapędzili tancerza w róg. Otoczyli go murem błyszczącej stali i było jasne, że długo nie wytrzyma. Zmienił rytm obrony, sprowokował jednego z przeciwników do wypadu i nagle błyskawicznie wyeliminował go z walki cięciem w kolano. Otworzył sobie drogę ucieczki. Kryjąc się niezbyt wysoko z prawej strony, przepchnął się przez wąską szparę, już był prawie poza zasięgiem przeciwników, kiedy nagle podłoga pod jego lewą stopą pękła i aż po pas wpadł do piwnicy. Zdołał jeszcze częściowo zablokować uderzenie w głowę. Cios padł płasko i zamroczył go.

–Płacę haracz, żeby mnie nie spalili, płacę za spokój! Żadnego zabijania! – krzyknął nagle oberżysta.

Wąsacz, który chciał dobić nieprzytomnego tancerza, zatrzymał się. Obrzucił spojrzeniem oberżystę i zrobił zniesmaczoną minę.

–Płacisz, no i co?

–Wiecie, co wam zrobi Tyrk, kiedy się dowie, że nie przestrzegacie jego rozkazów?!

Z podłogi podniósł się mężczyzna ze zranionym kolaniem. Był blady, drżał cały, nogę miał zbroczoną krwią.

–Ma rację. Tyrk nas złaja również za to, że go dopadliśmy właśnie tutaj. Zbliży się burza deszczowa. Zabierzcie mu te przeklęte szmaragdy i wyrzucie na zewnątrz!

Co dziwne, mężczyźni od razu posłuchali. Kimkolwiek był Tyrk, potrafił w swojej bandzie utrzymać godny podziwu porządek. Wynieśli bezwładnego tancerza na schody przed drzwiami i skopali go na dół. Jakby cudem w oberży znów pojawili się klienci. Wyglądało na to, że bójka w żaden sposób ich nie zdziwiła. Pewnie byli przyzwyczajeni do znikania i ponownego pojawiania się. Oberżysta przymocował klapę w podłodze, która prawie pozbawiła życia tancerza, i zaczął zamykać okiennice. Niebo przybierało tę typową, groźną, czarną barwę, jaką już raz widziałem. W końcu dostałem kolację, za którą zapłaciłem ostatnim większym kamieniem. Do gospody przybyło kilku nowych gości. Kiedy wchodził ostatni, burza właśnie się zaczynała. Ściany zatrzęsły się pod pierwszym nawalem wody, uderzenie wiatru na chwilę przerwało rozmowy. Przez szparę w zamykających się drzwiach zobaczyłem, że tancerz wciąż jeszcze leży na zewnątrz. Nasilający się prąd wody poruszał jego ciałem i przesuwiał go dalej.

Dokończyłem jeść i poszedłem do swojego pokoju. Na piętrze szalejąca nawałnica była ogłuszająca, w całym budynku ochłodziło się tak, że z ust wydobywała się para. Otworzyłem okno, wspiąłem się na dach i skoczyłem w dół. Rzeka płynąca ulicą o mało mnie nie podcięła, w twarz uderzał grad. Tancerza ujrzałem dobry kawałek niżej, prąd unosił jego ciało coraz szybciej. Gdy go wreszcie dogoniłem, oddychałem już ostatkiem sił. Wziąłem tancerza na plecy

i chwiejnie szedłem z powrotem. Ćmiło mi się w oczach i stopniowo traciłem władzę w nogach. Upadłem i znów wstałem. Było jasne, że jeśli nie zrzucę tego gnojka z pleców, umrę tam razem z nim. Tylko że jestem nieźle uparty.

W końcu dotarłem do oberży, jeszcze bardziej się ściemniło, widzialność spadła do zera. Grad zyskał na objętości, każde uderzenie w głowę mogło oznaczać niewielki wstrząs mózgu. Znalazłem jakieś drzwi, otworzyłem je kopnięciem i chwiejnie wszedłem do szopy. Wiedziałem, że stąd prowadzą schody na piętro gospody.

Znalazłem je i dokuśtykałem do swego pokoju. Miałem zadziwiające szczęście, że nikogo nie spotkałem.

Tancerz był na wpół uduszony, na wpół przemarznięty, a do tego jeszcze krwawił z rany na ramieniu. Zaopiekowałem się nim najlepiej jak umiałem, z wyszynku przyniosłem dzban grzanego wina i czekałem. Nie byłem zupełnie pewien na co. Może na koniec burzy, może na moment, kiedy tancerz się obudzi, może na smutną chwilę, kiedy dopiję grzane wino sam. W Fatdanie płaciło się za wszystko od razu, a ja już nie miałem ani grosza... W tej okolicy powinno się raczej mówić: ani kryształka.

–Da mi się pan napić? – rozległ się słaby głos.

Bohatersko stłumiłem skąpstwo i podzieliłem się z tancerzem ostatnim łykiem. Obudził się za szybko.

–Przyjemne zaskoczenie – tancerz mówił dalej. – Umrzeć i znów ożyć.

–Oberżysta płaci okup, żeby go nie spalili, pewnie to obejmuje również bezpieczeństwo jego gości. Nie chcieli pana zabić wewnątrz, dlatego wyrzucili przed oberżę, w burzę – wytłumaczyłem.

–A pan mnie przyniósł z powrotem?

–Tak.

–Dlaczego? Wzruszyłem ramionami.

–Może podobało mi się, jak się pan bił, może mam dziś urodziny i chciałem zrobić dobry uczynek?

Tancerz roześmiał się cicho, ale jego śmiech szybko zamienił się w kaszel.

–Nie wiem, czy ratując mnie zrobił pan dobry uczynek. Chłopaki z branży – wskazał miecz leżący na stole – powinni bardzo uważnie dawkować dobre uczynki. Szkodzą im.

Skinąłem głową.

–Nie robię tego często. Na ten rok wyczerpałem swój limit.

Zaśmiał się chrapliwie.

–Jestem kurierem, ewentualnie przemytnikiem. Zależy, jak pan to nazwie.

Kilku ludzi mnie wynajęło, żebym wywiózł stąd ich szmaragdy, czyli przemycił je przez sieć punktów handlowych. Cesarz ma monopol na kupno szmaragdów z góry.

Przy sprzedaży na wybrzeżu zyski są oczywiście wielokrotnie wyższe.

–Ale teraz stracił pan przesyłkę.

Tancerz zrobił rozbawioną minę. Siły wracały mu z cudowną szybkością. Mnie niestety nie, ciągle czułem się jak po długim wyczerpującym biegu.

–W plecaku jest tego tyle, żeby myśleli, że mają, co chcieli. Moi klienci jednak dokonali naprawdę wyjątkowego odkrycia, a koszty kamuflażu zwróciły się po

wielekroć.

Uświadomiłem sobie, że kiedy go podnosiłem, wyczułem na jego tułowiu coś w rodzaju pasa. Wtedy myślałem, że to bandaż albo opatrunek na starej ranie. W rzeczywistości był to pas ze szmaragdami. Zostawiłem to tak, nie był to mój problem.

–Kim jest ten Tyrk? – zapytałem.

Tancerz udął, że spluwa.

Najtwardszy, najbardziej podstępny i najbardziej cwany facet, jakiego ostatnimi czasy spotkałem. Niedługo będzie tutaj trzymał łapę na wszystkim. Kopacze jeszcze z żalem wspomną czasy, kiedy bandyci walczyli ze sobą i czasem co nieco po nich zostawało.

Miałem nadzieję, że nigdy Tyrka nie spotkam.

–Nie ma pan jakichś drobnych? Poszedłbym jeszcze po jeden dzban wina, ale jestem splukany – zaproponowałem.

* * *

Burza trwała dwa dni. Tancerz w tym czasie wziął się w garść, a później zniknął. Nie żegnaliśmy się, nie było po co. Byliśmy tylko dwoma facetami, których linie życia przez przypadek się przecięły i którzy prawdopodobnie już nigdy więcej się nie zobaczą. Miałem nadzieję, że już się nie spotkamy, ponieważ mogliśmy stanąć po przeciwnych stronach barykady, a ja naprawdę bardzo nie chciałem go zabijać. Skoro już tyle wysiłku kosztowało mnie jego uratowanie... Następnego dnia znalazł mnie w lokalu starszy górnik. Był niewysoki, ale ramiona miał tak szerokie, że pasowałyby do dwumetrowego mężczyzny, a kiedy poruszał rękoma, mięśnie wyglądały jakby żyły swoim własnym życiem. Co dziwne, nie był uzbrojony.

–Podobno oferuje pan nagrodę za informacje o Gewehu Gutreku. Skinąłem głową. Górnik podrapał się w brodę.

–A co to jest za nagroda?

Nie miałem już nic do zaoferowania.

–Mam w stajni dobrego konia. Jeśli informacja jest tego warta, będzie pański.

–No nie wiem, proszę pana, czy coś dostanę. Geweh Gutrek jest bowiem martwy. Jakies sześć miesięcy temu zasypało go u nas w kopalni.

Moje serce, z powodu Margarity i jej ciepłych oczu, zatrzymało się na jedno uderzenie,

–Jak wyglądał? – zapytałem.

–Taki przystojny chłoptaś to był. Koło dwudziestki, może ciut starszy, blondyn, długie włosy. Kobitkom by się na pewno podobał, gdyby jakieś tu były

–Jest gdzieś pochowany?

–No tutaj. To był dobry chłopak, więc mu u nas w dziurze zrobiliśmy grób. Szkoda go.

–Jeśli mnie pan tam zaprowadzi, dam panu tego konia albo cokolwiek innego, co pan sobie z mojego majątku wybierze.

–Koń by się nadał, proszę pana.

* * *

„Nasza dziura” była jedną z największych kopalni, jakie widziałem na Szmaragdowej Górze. Z pozoru wyglądała na opuszczoną. Z zapalonymi kagankami schodziliśmy po rusztowaniach i drabinach, czasem spuszczaaliśmy się na linach. Kiedy zeszliśmy pięćdziesiąt metrów, mój towarzysz zaprowadził mnie do czarnego otworu o średnicy trzech metrów, przy którym rusztowanie się kończyło. Z ciemności zionęło wilgocią i chłodem, migoczące światło

oświetlało tylko najbliższe otoczenie.-Więc tutaj to było, proszę pana. Urwał się strop i chłopak wpadł do dołu

razem z rusztowaniem. Jak pan popatrzy tutaj, zobaczy pan na ścianie wyryte jego imię i datę.

Przybliżyłem kaganek do ściany, ale ciągle nie mogłem nic znaleźć.

Bez ostrzeżenia ramiona ścisnęły mi dwie niewiarygodnie silne ręce, przez chwilę nie byłem w stanie zrobić zupełnie nic. Ręce mnie uniosły i nagle nogami machałem nad czarną pustką. Spróbowałem kopnąć górnika, ale już leciałem w ciemności, trzymając w ręku kaganek.

-Nie powinieneś się interesować Gewehem Gutrekiem! – usłyszałem szyderczy krzyk, niewyraźny z powodu echa, a później po raz pierwszy wpadłem na ścianę. Przymotność straciłem jeszcze przed upadkiem na dno.

* * *

Leżałem na zimnej skale i byłem całkiem przemoczony. Musiałem wpaść do wody, a później się z niej wyczołgać – przyszło mi do głowy. Wraz z logicznym zdaniem wróciła mi zdolność rozsądnego myślenia. Spróbowałem się poruszyć. Trochę się obawiałem, że mi się to nie uda i że umrę w ciemności ze złamanym kręgosłupem. Jakoś szło. Chociaż na początku nic nie czułem, słyszałem, jak moje nogi i dłonie trą o szorstką skałę. Czuć wróciło mi dopiero później. A z nim przyszedł ból. Ciemność na jakiś czas zamieniła się w różnokolorowe koła i światła. Nie wiedziałem, jak długo to trwało, ale po pewnym czasie znów mogłem myśleć i poruszać się. A widziałem tylko ciemność. Zacząłem badać swe więzienie. Bałem się chodzić wyprostowany, żeby przypadkiem gdzieś nie spaść, wołałem poruszać się na kolanach. Dno sztolni lub naturalnego komina, gdzie mnie wrzucili, miało wymiary mniej więcej sześć na cztery metry i z jednej strony było ograniczone jeziorkiem ze zwężającym się w głębi dnem.

Upłynęło kilka godzin albo dni. Dręczyło mnie zimno i głód. Zapadłem w letarg, później w ciemności krzychałem z rozpacz i ze strachu, ale odpowiadało mi tylko echo własnego głosu. Kiedy znów wzięłem się w garść, miałem lekką i jednocześnie trochę osłabioną głowę. Mogło to być spowodowane głodem, wyziębieniem albo wyczerpaniem. Nie wiedziałem. Ponieważ nie miałem nic innego do roboty, zacząłem znów przeszukiwać swój grób. Znalazłem odłamek wosku, nawet z kawałkiem knota. Krzesiwo i hubkę miałem w zanadrzu. Po kilkudziesięciu minutach desperackich prób udało mi się zapalić resztkę świeczki. Spojrzałem w górę i zawyłem z wściekłości – na ostatnich piętnastu metrach ściany szybu były zupełnie gładkie, bez jakichkolwiek uchwytów dla rąk. Droga powrotna nie istniała. Rozejrzałem się wokół. Woda, którą uważałem za jeziorko, nie była jeziorkiem, ale spokojnym zakolem podziemnej rzeki. Woda po jednej stronie szybu cicho płynęła stałym strumieniem, a po drugiej, w szybko zwężającej się spirali, ginęła gdzieś w głębinach. Knot zamigotał i zgasł. Długo leżałem w ciemności i rozmyślałem. Znów się bałem – bałem się, ponieważ chciałem zrobić niewiarygodnie szaloną rzecz. Nie wierzyłem, że ktoś po mnie przyjdzie, że mnie stąd wyciągną. Co najwyżej za parę tygodni przyjdą sprawdzić, czy jestem w końcu martwy.

Chciałem spróbować wydostać się na zewnątrz podziemną rzeką. Zdawałem sobie sprawę, że jest to bardzo mało prawdopodobne. Rzeka być może nigdzie nie wypływała na powierzchnię. A może tak, ale kilkadziesiąt kilometrów dalej. Albo płynęła przez kanaliki wąskie jak mały palec. Nadzieja była znikoma, może jeden do dziesięciu tysięcy? Jeden do

miliona? Jednak i tak było to lepsze niż czekanie tutaj na pewną śmierć z głodu i zimna. Już teraz czulem się słaby i często pokasywałem. W ciemnościach, z szorstką skałą pod głową rozmyślałem o życiu, wspominałem

wszystkie piękne rzeczy, które przeżyłem, i starałem się jakoś poradzić sobie z myślą, że próbuję popełnić szczególnie drastyczne samobójstwo. Stwierdziłem, że naprawdę podobało mi się na świecie, chociaż czasem narzekałem. Chciałem żyć, desperacko chciałem żyć, widzieć słońce, czuć zapach kwiatów, pić dobre wino. Zakazałem sobie podobnych myśli. W chwili słabości, kiedy uważałem się jedynie za żyjącego warunkowo trupa, zawiązałem sobie wokół głowy koszulę jako ochronę przed uderzeniami o skałę i wszedłem do wody.

Natychmiast zacząłem szczekać zębami. Pewnie nie byłem jeszcze wystarczająco martwy, ponieważ trupom nie bywa zimno, ale wracać nie chciałem. Po raz ostatni wciągnąłem powietrze, a wodny wir wessał mnie z przerażającą łatwością.

Prąd stał się silniejszy, miałem poczucie, że jestem tylko źdźbłem podczas huraganu. Kilkakrotnie trafilem w skały i zostawiłem na nich całe strzępy skóry. W chwili, kiedy zaczynałem już połykać wodę, kręcący się wodny młyn wyniósł mnie na powierzchnię. Dwukrotnie odetchnąłem, żeby znów stać się zabawką żywiołu. Trafilem głową w skałę, ciemność rozświetliły iskry, ale były to tylko halucynacje. Przez dłuższą chwilę leciałem w powietrzu w podziemnym wodospadzie. Po raz ostatni nabrałem powietrza, a później już tylko płynąłem w kierunku mokrej i zimnej mety w niekończącym się wodnym tunelu.

* * *

Leżałem na trawie, ogrzewało mnie słońce. Ktoś położył mi na czole zimny okład i zaczął wiercić w lewej ręce. Wzdrygnąłem się. – Leż spokojnie, zszywam ci rany.

Poznałem głos tancerza. Zemdlałem z uczuciem, że ostatnimi czasy zdarza mi się to nazbyt często.

Leżałem na trawie. Ogrzewało mnie słońce. Poruszyłem nogą.

– Leż spokojnie, zszywam ci rany.

Nic nowego.

Dopiero trzeciego dnia poczułem się trochę lepiej. Tancerz za dużo nie gadał. Polował, gotował zupę i dawał mi pić. Piątego dnia zdołałem usiąść. Spojrzał na mnie krytycznie.

– Nauczyłem się na tobie całkiem dobrze szyć. W sumie trzysta dwadzieścia szwów. I wszystkie się goją.

Nic na to nie powiedziałem. Ciągle byłem jakby w półśnie. Przeżyłem i jak na razie to mi wystarczało.

– Masz talent do niespodzianek, chłopie. – Tancerz kontynuował monolog. –

Siedzę na łące przy wypływającej rzeczce, wygrzewam się i nagle lup! W nurcie coś mignęło. Myślałem, że mam omamy ale zaryzykowałem i skoczyłem po ciebie. Byłeś zimny jak lód, przysiągłbym, że jesteś martwy. A teraz żyjesz. A to przyniosłeś ze sobą. Podał mi owalny szmaragd wielki jak kurze jajo.

– Schowaj go, ma olbrzymią wartość.

* * *

Pobyl ze mną jeszcze dwa dni i odjechał. Zostawił mi swój zapasowy miecz, trochę jedzenia i płaszcz. Dziesiątego dnia powoli wyruszyłem w górę. Miałem do przebycia około trzech tysięcy metrów. Pierwszy tysiąc zajął mi dwa tygodnie, drugi – tydzień, a trzeci

pokonalem w ciągu dwóch dni. Po raz drugi wszedłem do Fatdanu. Wątpilem, żeby ktokolwiek mnie poznał. Twarz miałem oszpeconą ranami, skóra dosłownie obciągała kości. Siedziałem oparty o ścianę domu na jedynym fatdańskim skrzyżowaniu, z mieczem na kolanach i obserwowałem ludzi wokół. Obrzucali mnie spojrzeniem, nie zwracając większej uwagi. Nikt nie lubi kalek, a ja tak właśnie wyglądałem. Najpierw zauważyłem swego konia, potem mojego znajomego górnika. Zatrzymał się przed oberżą „Pod Kotle”, konia zaprowadził do stajni i wszedł do środka. Podniosłem się i poszedłem za nim. Spodnie miałem podarte, płaszcz nałożony na gołe ciało, ponieważ z koszuli nie zostało nic. Prymitywne mokasyny, które sobie zrobiłem podczas drogi, wyrzuciłem i szedłem boso. Po raz pierwszy sam siebie zapytałem, po co właściwie to robię, dlaczego już dawno nie jestem tysiąc kilometrów od tej potwornej góry. Powody były dwa: nie wykonałem pracy, za którą mi zapłacono, i nie podobał mi się fakt, że po świecie chodzi ktoś, kto mnie tak po prostu zrzucił w przepaść. Wszedłem do gospody i na chwilę się zatrzymałem, żeby przyzwyczaić oczy do półmroku. Wyciągnięty miecz luźno trzymałem w opuszczonej ręce. Obecni odwrócili się w moją stronę. Nie byli to zwyczajni goście – wnioskując z ubrań i uzbrojenia, wszyscy należeli do bandy, która kiedyś napadła tancerza. Może powinienem wybrać sobie na wizytę lepszy moment, ale już było za późno.

Górnik długo mi się przyglądał z zamyśloną chmurną miną. Pewnie kogoś mu przypominałem.

–Dlaczego nie powinienem interesować się Gewehem Gutrekiem? – spytałem go.

Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

–To niemożliwe! – szepnął.

–Ponieważ Gutrek to Tyrk – odpowiedział mężczyzna, który właśnie wchodził do wyszynku z saloniku.

Był przystojny, prawie mojego wzrostu. Długie, jasne włosy miał spięte w warkocz obrączką z białego złota i poruszał się jak człowiek, którego natura obdarzyła doskonałą koordynacją. Tak, był fizycznie podobny do swojej siostry, ale podobieństwo kończyło się na oczach – jej były miękkie i ciepłe, te zaś twarde jak dwa polyskujące stalowe groty.

–Tyrk i Geweh Gutrek to jedna i ta sama osoba – powiedziałem głośno.

–Tak. A dlaczego, do diabła, mnie szukasz? Już i tak sprawileś dość problemów.

–Twoja siostra cię szuka.

–Moja siostra? Margarita? Jest gdzieś blisko? Z rozbawieniem zachichotał.

–Już od kilku miesięcy nie mamy żadnych dziwek. Może by się nam nadała. Doskonale zarysowane usta zacięły się w cynicznym grymasie.

Stałem w pozycji wyjściowej. Mężczyzna z prawej chciał się poruszyć, ale nie był wystarczająco szybki i skończył z otwartą tętnicą szyjną.

–To było piękne, skuteczne i eleganckie. – Geweh przychylnie ocenił moje cięcie. – Myślę, że cię posmakuję.

Pseudogórnik sięgnął po siekiere. Przez cały czas palce lewej ręki miałem milimetry od rękojęści noża. Rzuciłem z dołu łukiem, ciężkie ostrze wbiło się w umięśnioną klatkę piersiową po rękojęść. Górnik wypuścił powietrze i zwałił się na ziemię.

Geweh się wykrzywił.

–Tego ci nie daruję, był moją prawą ręką!

Zaatakował zaraz po tym, gdy chwycił broń i był szybki jak wiatr. Nasze ostrza się spotkały. Przez chwilę sprawdzaliśmy jeden drugiego. Był dokładnie tak dobry, jak się spodziewałem. Zaatakowałem niską tercją, odparłem jego zwód i przeszedłem do ataku krótkimi pchnięciami. Ostrza wirowały wokół siebie, serie wymian następowały na zmianę z szarpiącym nerwy zgrzytaniem ostrzy, kiedy stal ocierała się o stal. Im

dłużej fechtowaliśmy, tym lepiej mnie znał i tym częściej spychał mnie do defensywy. Napierając desperacko, co przyplacilem ranami na przedramieniu i piersi, próbowałem wcisnąć go w róg i w ten sposób utrudnić mu zręczne manewry nogami, ale łatwo przejął inicjatywę. Wycofywałem się w stronę przeciwległej ściany. Zmieniłem rytm walki, pokusiłem się o wypad z zaskoczenia i zarobiłem za to cios przez ramię. Ciepła krew ściekała mi po przedramieniu i kapiała na ziemię. Koniec był kwestią czasu. Zaryzykowałem i udało mi się zepchnąć Gutreka o pół metra w tył. Kryłem się prostym zwodem. Rozszyfrował mnie i obronił się, odskakując w bok. Na jego twarzy pojawił się grymas zdumienia, a ja już wiedziałem, że mój podstęp się udał. Wmanewrowałem go tam, gdzie chciałem a on, tak samo jak jakiś czas temu tancerz, stanął na źle przymocowanej klapie do piwnicy. Stracił równowagę i rytm. Chociaż krył się z boku, udało mi się dźgnąć go w pierś. Lekko, tylko żeby grot przeszedł na głębokość trzech centymetrów pod skórą, a następnie szybko wyciągnąłem ostrze z ciała. Jeszcze walczył. Wpadł do otworu aż po biodra, sieknąłem go w twarz. Upadł w tył.

Jego ludzie przyglądali się zaszokowani. Skośnym ciosem oburącz najbliższemu mężczyźnie amputowałem rękę w ramieniu, kontynuowałem płynny obrót i następnego zabiłem poziomym sieknięciem przez żebra. Zatrzymałem się w pozycji końcowej.

–Nie chcecie odejść, panowie? – zapytałem, uśmiechając się.

Serce biło mi jak po wyścigach, czułem gorące pulsowanie krwi, ból, szmer swojego oddechu. Ale żyłem.

Przez chwilę rozważali moją propozycję. Gdyby się na mnie rzucili, nie miałbym najmniejszych szans. Dziobaty, którego spotkałem w Hampston, popatrzył na cztery trupy na ziemi, a później na mnie. Pokręcił głową.

–Myślę, że tu kończymy. Żegnam.

W ciągu minuty zostałem w gospodzie sam.

* * *

Roderick z Margaritą nie czekali już na mnie w punkcie handlowym, ale zostawili wiadomość, gdzie ich mogę znaleźć. W końcu dogoniłem ich w Galop, gdzie Gutrekowie mieli swoją siedzibę. Z problemami przebrnąłem przez zastępy służących i dotarłem do saloniku przyjęć. Oboje przyszli razem zaledwie chwilę później. Margarita zapomniała o bon tonie, rzuciła się w moją stronę i złapała mnie za rękę.

–Dowiedział się pan czegoś?

Jej oczy były pełne nadziei, strachu i miłości. I takie piękne.

Roderick obserwował mnie z uwagą, wiedziałem, że przygląda się moim świeżym bliznom.

–Bardzo mi przykro, pani.

Przytrzymałem jej dłoń w swojej i powiedziałem coś, czego wcale nie miałem zamiaru powiedzieć:

–Pani brat zginął. Wielu jego ludzi, po tym, jak ziemia nagle się osunęła,

zostało w kopalni, starał się ich ratować. Później urwała się cała ściana, nikt nie przeżył. To mi dał dla pani, rozmawiałem z nim na chwilę przed wypadkiem. Na pamiątkę.

Podąłem jej szmaragd, który wyłowilem w głębinach podziemnej rzeki. Patrzyła na kamień ze łzami w oczach.

–Cieszę się, że przed śmiercią dowiedział się, że o nim nie zapomniałam – szepnęła.

Ukloniłem się.

* * *

Kiedy kilka dni później opuszczałem siedzibę Gutreków, Roderick pojechał ze mną aż do granic posiadłości. Nie pytał, co dokładnie się stało, a ja sam mu tego nie tłumaczyłem. Byłem dobrze wyposażony, odziany, w sakiewce brzęczało mi trzysta złotych. W cywilizowanym świecie to niezłe pieniądze. Poklepałem swojego ogiera i sprawdziłem, czy juczny koń ma dobrze umocowaną uprząż. –Ciekawi mnie, jak to możliwe, żeby rodzeństwo było tak różne jak ogień i

woda – powiedziałem i wskoczyłem na siodło.

Starszy mężczyzna smutno popatrzył w dal. Jego oczy na chwilę przybrały pełen miłości i ciepła wyraz. Dopiero teraz zauważyłem, że mają tak samo nasycony brązowy kolor jak oczy Margarity.

–Margarita z Gewehem tylko po części byli rodzeństwem. Ja jestem jej ojcem. Skinął mi na pożegnanie i odjechał.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-11

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[TOM I](#)
[PIEKIELNE SZCZĘŚCIE](#)
[GRA ŁOTRÓW](#)
[NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE](#)
[SZMARAGDOWA GÓRA](#)
[2010-04-24](#)